

**HANS HELLMUT KIRST**

**AFERY GENERALÓW**

Nie ma najmniejszej przesady w twierdzeniu, że zdarzenie natury czysto prywatnej stanowiło preludium tragedii.

**Sir NeWile Henderson**  
**ostatni ambasador Wielkiej Brytanii**  
**w Berlinie**

Jeśli niemiecki feldmarszałek poślubią prostytutkę, znaczy to, że na tym świecie możliwe jest wszystko.

**Adolf Hitler, führer i kanclerz Rzeszy**

Nigdy w dziejach swojej dyktatury nie udowodnił w sposób bardziej dramatyczny własnego talentu do genialnego wykorzystania okazji.

**historyk amerykański Harold C. Deutsch**

Ta Eva Cruhn ma swój udział w historii świata!

**generał Jodl**

Hitler nie dochowuje wierności nikomu, zdradzi również pana, i to za niewiele lat!

**generał Ludendorff**  
**do generała von Fritscha**  
**latem 1936 roku**

Oto list, ostatni i decydujący impuls do napisania tej książki:

„Wielce Szanowny Panie!

Powinienem chyba z całą mocą ostrzec Pana przede mną, autorem tego listu. Jeśli nie uczynię tego ja, z pewnością wnet zrobią to inni. Mogę uchodzić za osobę kontrowersyjną czy wręcz podejrzaną. Byłem, i jestem nadal, określanym jako Członek »spiskującej klikki generalskiej«, ale również jako »rzekomy człowiek honoru o niezupełnie jasnej przeszłości«.

W rzeczywistości jednak byłem jedynie świadkiem tam- tego czasu - co prawda takiego czasu, któremu nie potrafiłem przyglądać się zupełnie beczynnie. A okoliczności, jakie przy tym wyniknęły, można określić chyba jako wysoce dla mnie korzystne. Pełniąc bowiem wtedy, w latach trzydziestych, funkcję koordynującego radcy rządowego w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Berlinie, miałem nieźrównaną pozycję dla dokonywania obserwacji. Do tego dochodziło jeszcze parę kontaktów - dla nas, współczesnych, raczej osobliwych czy wręcz ekstremalnych - z ludźmi o najrozmaitszych przekonaniach. A ponadto nadal trwała moja niezwykła i obfitująca w następstwa przyjaźń z lat młodzieńczych z jednym z ówczesnych gigantów.

Wszystko to umożliwiło mi wgląd zwłaszcza w te wydarzenia, dla których historycy w ciągu minionych lat znaleźli określenie »afery generałów«. Chodzi tu o wstrętne, niktzem-

ne, brutalnie uknute intrygi, o jednoznacznie kryminalne czyny, których ofiarami stali się feldmarszałek von Blomberg i generał von Fritsch. Owa tragedia dwóch »pierwszych żołnierzy Rzeszy« niemal zagubiła się w zgiełku »wielkoniemieckiej historii«.

A przecież w obu tych wypadkach chodziło o absolutnie rozstrzygającą walkę o władzę za kulisami III Rzeszy. Posługując się oszustwem, celowym, pomówieniem i fałszowaniem dokumentów, dążono do całkowitego, zawładnięcia Wehrmachtem, definitywnego rozkładu niemieckiej armii, a tym samym do utorowania drogi upadkowi.

Moje zapiski, notatki i zebrane wypowiedzi, dotyczące tego niepojęcie łajdackiego przedstawienia na kuchennych, schodach państwa, mogę - jeśli Pan zechce - oddać Panu do dyspozycji, ledwie dotykając Ich koniuszkami palców. Proszę zrobić z nimi to co uważa Pan za właściwe.

Serdecznie pozdrawiam  
dr Erich Meller"

Wszelako materiał ten zamienił się, jak mam nadzieję, w apelującą o ludzkie zrozumienie, i współczucie powieść, opartą jednocześnie w; bardzo wielu szczegółach, co wcale nie stanowi sprzeczności, na dokumentach i relacjach współczesnych. Był to z pewnością zabieg konieczny.

W ciągu minionych lat bowiem historycy wszelkich odmian, stronicy i same osoby zainteresowane, pilnie zabrali się do dzieła. Celem ich wszystkich było stworzenie wiernego w szczegółach obrazu tak zwanej III Rzeszy, a więc uprawianie „realnej historiografii”. Mieś ci się w tym analiza wszelkich udokumentowanych prądów politycznych i ugrupowań władzy, badanie na podstawie dokumentów stref wpływów, podejmowanych kroków, możliwości, zaniedbań, fałszywych posunięć.

Przy stosowaniu tej metody istnieje jednak niebezpieczeństwo, że sam człowiek, to, co ludzkie, zostanie przeoczone, a wręcz nawet zagubi się wśród tak- skrzętnie zbieranych liczb, danych i faktów. Polityczne i militarne bitwy tak właśnie opisano w każdej z ich faz - nie dając czytelnikowi nawet najmniejszego pojęcia o losie wykrwawionych, umęczonych ofiar. Co najwyżej wydają mu się one koniecznym „nawozem światowych dziejów”.

Twierdzenie powyższe nie umniejsza bynajmniej wartości ściśle przekazywanych faktów a więc zasług pilnych badaczy. Całkowicie trafnie ustalili oni, co następuje:

1. Wysoki stopniem generał, godny szacunku żołnierz, mógł - i to za pomocą świadomego kłamstwa zostać publicznie napiętnowany

jako homoseksualista. W tamtych czasach było to oskarżenie niszczące jednostkę nie tylko w oczach społeczeństwa. Przy użyciu tego rodzaju pomówienia dało się, wedle życzenia, „wykluczyć” na zawsze każdego.

2. Inny generał, i to najwyższy stopniem i stanowiskiem wśród generałów Wehrmachtu, na podstawie podrabianych i sfalszowanych dokumentów, według których poślubił on „ prostytutkę”; mógł z łatwością zostać pozbawiony wszystkich urzędów.

Choćby tylko trochę myślący obserwator, przyjmując tego rodzaju fakty do wiadomości, musi wreszcie zadać sobie pytanie: cp tak naprawdę zdarzyło się wtedy? Co naprawdę działo się z tymi ludźmi, którzy padli ofiarą przestępczych machinacji w walce o władzę? I jak im się to udało, że choć tak głęboko zranieni i zniesławieni, żyli jednak dalej?

W poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania wydaje się nieodzowne stwierdzenie:

Jeden z owych generałów odznaczał się prostoduszną otwartością - co można uznać za godne szacunku, co jednak w kręgu władzy sprawowanej przez przestępców jest równoznaczne z totalnym samounicestwieniem. Drugi z nich w decydujących momentach życia był tylko pełnym oddania, kochającym człowiekiem, po prostu mężczyzną. A kobieta, którą kochał, padła ofiarą pospolitego zniesławienia.

Obie „afery”, które bardzo ściśle związane są ze sobą nie tylko pod względem czasu, przerodziły się za sprawą wzruszających, chwilami wręcz rozczulających szczegółów w ludzką tragedię.

Początek tych drażliwych wydarzeń, często sprawiających wrażenie absurdalnych, da się dokładnie określić: Berlin, 22 listopada 1933 roku. Wannsee, stacja miejskiej kolejki przy Potsdaffler Platz.

# 1

## Podjrzane początki

Wtedy, kiedy to wszystko dopiero się zaczynało, zbliżał się ku końcowi ponury, deszczowy dzień. Niebo nad Berlinem, stolicą istniejącego już od dziesięciu miesięcy nazistowskiego państwa, jakby zawisło niżej w głębokim zwątpieniu. Wokół wyczuwało się pełne napięcia zmęczenie.

W pobliżu nie dało się zauważyć ani jednego policjanta. Ulice były puste. Na stacji kolejki Wannsee pełniąca dyżur kasjerka ziewała za szybą okienka. Mężczyzny, który oparł się o jeden ze zwietrzałych filarów, nie widziała; prawdopodobnie wcale go jii chciała dostrzec. Był podobny do wyblakłego cienia, mógł być zwykłym szpiclem, ale również agentem. Zauważenie człowieka tego pokroju nie było raczej wskazane. No bo kto w tych czasach chciałby zupełnie niepotrzebnie narobić sobie kłopotów!

W męskiej toalecie zaszumiała splukiwana woda.- po raz trzeci w ciągu ostatniej pół godziny. Nikt jednak stamtąd nie wyszedł. Kobieta za okienkiem również tego - zupełnie zresztą świadomie - nie zauważała.

Ale mężczyzna przy filarze uśmiechnął się szyderczo, pokiwał głową, jakby wiedział, o co chodzi, i wydawał się lekko ubawiony; Czekał uporczywie. Wiedział na co.

Ów człowiek nazywał się Otto Schmidt; w jego kręgach nazywano go Otto-Otto. To, co rozgrywało się tutaj, było dla osoby jego pokroju rzeczą powszednią - często bardzo opłacalną rzeczą powszednią

wśród szumu splukiwanej wody, postękiwania mężczyzn, wydyszanych wyznań.

Dziś miało to dopiero nastąpić, ale już teraz nieuchronnie się zbliżało. Bo oto właśnie zauważył kilku mężczyzn, pięciu albo sześciu, schodzących w dół po schodach w wyraźnie dobrym nastroju, gawędzących, żartujących, jakby zanurzonych w mieniącym się granacie nocy.

Otto-Otto zarejestrował teraz już bardzo skupiony: oficerowie! A wśród nich mężczyzna w cywilu, w sile wieku; z wyciągniętą jak kogut szyją, o lekko syczącym głosie, otulony w niegdyś elegancki, czarny płaszcz z brązowym, futrzanym kołnierzem.

I właśnie on, kołyszając się, niemal tańcząc, powiedział: „To był, drodzy koledzy, naprawdę bardzo udany wieczór!”

Ochoczo przyznano mu słusność. Oficerowie mieli za sobą dzień intensywnego szkolenia, po którym wybrali się na wyśmienitą kolację. Teraz udawali się do swoich kwater albo jeszcze do nocnego lokalu w centrum miasta - na Friedrichstrasse lub przy Kurfürstendamm. Kolega w płaszczu z futrzanym kołnierzem zaopatrzył ich w odpowiednie adresy.

Pożegnali się niemal serdecznie, wesoło i głośno, mocno, ściskając sobie dłonie. Potem, energicznie wymachując rękami, wsiedli do kolejki; pociąg szybko zniknął w ciemnościach. Mężczyzna w czarnym płaszczu patrzył za nim parę sekund. Jego twarz sprawiała teraz wrażenie bardzo bladej. Wydawało się, jakby tylko on sam znajdował się jeszcze w tym wyłożonym kafelkami podziemnym świecie;

Widać było, że nasłuchuje w napięciu. I wtedy dosłyszał, niczym jakiś sygnał, ponowny szum wody w pobliskiej toalecie. Ruszył przed siebie. Otto-Otto śledził go z nadzieją.

Ów Otto Schmidt znał niektóre z nocnych odmian tej żądz. Z pewnością można się było na nie natknąć nie tylko w Berlinie, tutaj jednak były one szczególnie niepożądane, w tej stolicy III, Rzeszy, gdzie od niedawna kładziono silny nacisk na obyczajność, moralność i czystość. Niepożądane elementy należało zwalczać, i w tym właśnie pomagał Otto Schmidt, na swój sposób.

Z tego nawet żył - czasami całkiem nieźle. Było to możliwe tylko dlatego, że dość systematycznie dostarczał policji adresy i wskazówki.



Żeby miał mu się udać jedyny w swoim rodzaju strzał w dziesiątkę - tego nie potrafił sobie nawet wyobrazić. A gdyby go przeczuł, prawdopodobnie za wszelką cenę próbowałby uniknąć takiego „sukcesu”. Ostatecznie nie chciał nic więcej, jak tylko inkasować swoją należność, i jeśli to możliwe, w całkowitym spokoju. " Tak czy owak Otto-Otto wiedział na razie tyle: ta toaleta na stacji Wannsee była czymś w rodzaju gabinetu; jeden z jego kolegów czekał tam na klientów, między pisuarami i muszlami klozetowymi. A pociąganie za sznur przy rezerwuarze było jego wabiącym przywołaniem.

Właśnie do tego człowieka udał się teraz mężczyzna w płaszczu z brązowym, futrzanym kołnierzem. Nagle przyśpieszył kroku, jakby coś go nagliło. „Niemal-zmysłowo” - zapisano później w protokole z przesłuchania.

### Z relacji doktora Ericha Mellera:

„Informacje przekazane mi przez funkcjonariusza policji kryminalnej Georga Hubera: » Jeśli idzie o mężczyznę w męskiej toalecie, chodziło o niejakiego Josepha Weingartnera. Nazywano go także, w odnośnych kręgach jego klienteli, Seppem-Bawarczykiem. Właśnie z tego powodu dosyć wcześnie zwróciłem na niego uwagę, bo w prefekturze policji, jak również później w gestapo, mnie określano zazwyczaj- Żor-żem-Bawarczykiem..

A więc tak! Ów Joseph Weingartner był wytresowanym na homoseksualistów jawnogrzesznikiem. W niczym jednak nie przypominał męskiej dziwki; robił raczej wrażenie już trochę zużytego. Ale właśnie dzięki temu był bardzo chętny, całkowicie pozbawiony wyboru zadowalał się średnimi cenami.

Kto płacił, zostawał obsłużony - w latach 1933 -1937 Weingartner świadczył tę usługę bez wątpienia kilkaset razy. Najczęściej odbywało się to na terenie dworca, ale nie w toaletach - one służyły tylko do nawiązania kontaktu. Właściwa obsługa klienta dokonywana była w miejscach bardziej oddalonych, często na powietrzu - żeby móc w porę dostrzec zbliżanie się kogoś obcego czy wręcz policji.

Cena, jakiej za tego rodzaju usługi żądał podrzędny, co najwyżej średniej klasy 'świadczący', jakim był Weingartner, wahała się w zależ-

ności od zakresu i rodzaju usług od dziesięciu do czterdziestu ówczesnych marek. Więcej niż pięćdziesiąt marek na pewno nie należało się tym typom.

Wszystko to opowiadam panu, panie radco, nie po to, żeby pana zabawić czy panem wstrząsnąć - te sprawy raczej się do tego nie nadają. Chcę tylko przy okazji zwrócić pana uwagę na kilka godnych odnotowania faktów.

Weingartner był pilnie wykorzystywanym obiektem -jednak bez jakiegokolwiek 'stopnia' w swojej branży. Miał setki klientów - których imion nie znał, o których nawet nie wiedział, jak wyglądają. Tym bardziej że sam preferował ciemności - miał ku temu powody; bo przecież, jak już wspomniałem, daleko mu było do atrakcyjnego 'syna Koryntu'.

Z czego, opierając się na: doświadczeniach naszego zawodu, należy wysnuć następujący wniosek: ten facet nie mógłby chyba być obiektem seksualnych pragnień człowieka o pewnej kulturze! A właśnie dokładnie to sugerowano, I niech mi pan tylko nie opowiada, drogi panie radco, że w stosunkach między ludźmi nic nie jest wykluczone. Ogólnie może ma pan rację - ale to nie sprawdza się w sytuacji, w której wysokie stanowisko, dobrze płatna posada umożliwiają swobodny wybór. Nawet w tej dziedzinie. A więc po prostu nie mogę sobie wyobrazić generała, do tego jeszcze o wyjątkowej pozycji - zadającego się z tak nędzną kreaturą jak Weingartner! A pan?«".

Schmidt, Otto-Otto, nadal pozostawał w cieniu filarów stacji Wanhsee. Teraz trzeba było tylko odczekać, a cierpliwości, nieodzownej przy jego profesji, nie brakowało mu.

To, co się tutaj rozgrywało, dla niego, znawcy tych spraw, stanowiło codzienną powszedniość. „Te lubieżne Świnie - zanotowano później w aktach - oddaliły się w wiadomym celu!" ' - "

Mężczyzna w czarnym płaszczu podązał tuż za Seppem-Bawarczykiem; ciemnym, bocznym przejściem, mijając wiele torów, doszedł za nim do zardzewiałego, drucianego ogrodzenia, oddzielającego stację kolejki od sąsiadującego z nią magazynu.

A tam, wśród wysoko spiętrzonych materiałów budowlanych - worków z cementem, desek i cegieł - odbyło się to, co zwykle się

określać jako „zbliżenie homoseksualne”. Czas trwania: od pięciu do ośmiu minut. Kategoria cenowa: prawdopodobnie trzydzieści ówczesnych marek.

Otto-Otto znał to dokładnie. Nie musiał więc w ogóle ruszać się z miejsca i się temu przyglądać. Mimo to w określonym momencie powie poi przysięgą wszystko, czego się od niego zażąda.

Dalsze fragmenty relacji doktora Ericha Mellera, pełniącego wówczas funkcję radcy rządowego w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Berlinie: „Po prostu śmieszne są te ostatnio co rusz podejmowane próby bagatelizowania ówczesnych wydarzeń jako »zrozumiałych ze. względów państwowopolitycznych«. A przecież jasne jest, że chodziło wówczas o pospolite, podstępne machinacje. Obejmowały one również te dziedziny, których dotyczył tak zwany żołnierski, kodeks honorowy. Należało ugodzić w niego, a jeśli to możliwe - w ogóle go zlikwidować.

Po przegranej wojnie światowej resztki wielkiej armii, zwłaszcza jednoznacznie konserwatywni, świadomi swojej pozycji klasowej oficerowie znaleźli schronienie w instytucji określonej jako Reichswehra, czyli w tak zwanej Armii Stu Tysięcy. Jej czołowym przywódcą był wielce utalentowany generał von Seeckt. Dążył on do neutralności armii, niezależnej »od wszelkich partii«. Ale potem zjawił (się Hitler. I właśnie jemu bez trudu udało się przechytrzyć tak pewnych siebie oficerów - jednak nie Seeckta, on zmarł, nim do tego doszło.

Do zaplanowanych ofiar należała jednakże słynna »podwójna gwiazda« wojny światowej: Hindenburg i Ludendorff.

Drugiego z nich, którego wcześniej okrzyknięto genialnym szefem sztabu generalnego cesarskiej armii, Hitler załatwił na wstępie: sam krocząc u jego boku w czasie marszu na Feldherrnhalle w Monachium w 1923 roku, Uczynił potem z niego nieudanego zamachowca; gorzko zawiedziony Ludendorff przeobraził się w następstwie w germańskonarodowościowego fantastę.

Mowa o nieudanym puczu Hitlera wspieranego przez Ludendorffa, mającym na celu obalenie rządu w Berlinie. Pucz udaremniła Reichswehra i policja, rozpędzając demonstrantów przed Feldherrnhalle w Monachium (przyp- tłum.).

Feldmarszałek Paul von Hindenburg, postać symbolizująca świetność praniemieckiego ducha bojowego, został załatwiony przez Hitlera później, kiedy prezydent Rzeszy zamienił się już w poczciwego, stetryczalego bęcwała. Nastąpiło to, podobnie jak w wypadku Ludendorffa, po bezwstydnie służalczych próbach przypodobania się im obu i żarliwych deklaracjach wierności: on, Adolf Hitler, żołnierz wielkiej wojny, odznaczony Krzyżem Żelaznym pierwszej klasy, zapewniał, że jest gotów w każdej chwili bronić żołnierskiego honoru.

Prawdopodobnie Hitler tak myślał - ale pojmował to na swój sposób! W każdym razie żołnierze skwapliwie dawali mu wiarę: to na pewno jeden z naszych najlepszych! Ktoś taki jak on będzie umiał zorganizować masy i unieszkodliwić elementy godzące w dobro narodu - komunistów, pacyfistów i socjalistów. Gwarantuje to jego duch frontowego żołnierza.

W niezachwianej pewności - »on będzie posłuszny« - feldmarszałek i prezydent Rzeszy, czyli Hindenburg, w tak zwany dzień przejścia władzy, 30 stycznia 1933 roku, mianował byłego gefrajtra, a obecnie przywódcę partii, kanclerzem Rzeszy.

Istotnie wydawało się, że Hitler zamierza schylić czoło przed uświęconą tradycją niemieckiego ducha bojowego - w każdym razie uczynił taki gest. W poczdamskim kościele garnizonowym, w którym przywódca NSDAP wygłosił mowę na temat prawdziwych wartości narodu, sędziwy naczelny wódz, wzruszony i pełen uznania, podał mu swoją prawicę. Generalicja spodziewała się nadejścia dla siebie dobrych czasów, finansowo stabilnych i obfitujących w ciepłe posady.

Oddziałom szturmowym partii, określanym krótko jako SA - licząca miliony, ambitnie wysuwająca się na czoło formacja bojową - niebawem brutalnie ograniczono pole działania; ich szef sztabu Ernst Röhm, a wraz z nim wielu czołowych przywódców SA zostali zamordowani. Hitler rzucił hasło: »Jedynym obrońcą Niemiec jest Wehrmacht!« Ta sentencja była bardzo po myśli Hindenburga; napełniała generalicję większą nadzieją. Wszyscy oni jednak nie znali swojego »führera«, nadal trwali w mylnym przekonaniu; dla nich był nikim innym, jak tylko szarym gefrajtrem, karierowiczem, no i w końcu: ich podwładnym.

Sam Hindenburg, ulegając postępującemu szybko procesowi starzenia się, znajdował dla niego nazbyt wielkie, niemal wzniosłe słowa

uznania. Pewnego razu po kolacji w pałacu prezydenta Rzeszy, na której byłem obecny, Hindenburg dosłyszał odgłos przelatującego samolotu, któremu przysłuchiwał się prawie z namaszczaniem: »To on!« Miał na myśli Hitlera. »On bezustannie troszczy się o nasze Niemcy. Ciągle na posterunku!«

W obliczu takiej reakcji, świadczącej ,o starczym niedołęstwie umysłowym, wszystko już wydawało się możliwe. Pierwszego czerwca 1935 roku jednak ten sam prezydent Rzeszy, na propozycję Hitlera, podał do wiadomości dwie niezwykle ważne nominacje: generał Werner von Blomberg otrzymał stopień feldmarszałka, został naczelnym dowódcą Wehrmachtu i ministrem wojny Rzeszy. Ale jednocześnie, jak gdyby w celu stłumienia dającego się przewidzieć; gniewu konserwatywnych kręgów oficerskich, generał Werner baron von Fritsch otrzymał stanowisko głównodowodzącego sił lądowych.

Właśnie ta druga nominacja była niezwykle zręcznym, szachowani posunięciem: u boku generała, wykazującego rzekomo sympatie nazistowskie, postawiono oficera ze starej pruskiej szkoły. Powstał układ, z którego z całą pewnością musiało coś wymknąć.

Dziś można odnieść "wrażenie, że Hitler to przewidział. W tym sznurowatym przedstawieniu, jakie wkrótce miało się rozpocząć na państwowej scenie, ja zajmowałem miejsce w łoży. Zawdzięczałem to nie tylko faktowi, że mój »przyjaciel z młodości to osoba jedyna w swoim rodzaju." .

Otto-Otto, ów kapuś ze stacji Wannsee, był pewny swego widząc mężczyznę w czarnym palcie idącego znowu w jego kierunku od strony położonych z tyłu urządzeń nastawniczych. Mężczyzna robił wrażenie bardzo odprężonego a jednocześnie, przybitego. Oglądał się na wszystkie strony, jakby się bał, że zaraz ktoś go osaczy jak zwierzę.

Po chwili jednak uznał chyba, że jest na peronie zupełnie sam odetchnął więc z ulgą i wyraźnie się uspokoił. Z prawej kieszeni płaszcza wyciągnął białą "chustkę i wytarł nią pokrytą potem twarz. Nagle dostrzegł wyłaniającego się z półmroku mężczyznę, który szedł w jego stronę.

W długim płaszczu od deszczu, w kapeluszu naciągniętym głęboko na oczy, poruszał się niedbale - niemal tanecznym krokiem zbliżał się

do mężczyzny w czarnym palcie. Zatrzymał się przed nim - jak gdyby studiował plakaty na słupie ogłoszeniowym.

Potem powiedział niemal serdecznie: „To, co pan robił, obserwowano i zarejestrowano. W najdrobniejszych szczegółach.”

Mężczyzna w czarnym płaszczu cofnął się, oślepiając biały szal jeszcze mocniej zacisnął wokół szyi, jak gdyby chciał zasłonić sobie twarz, która stała się blada jak światło księżycy. Nie powiedział ani słowa.

Schmidt, Otto-Otto, znał się na tym. Wiedział, że oszczędność w słowach zdolna była spotęgować sugestywną złowrogość takich zdarzeń. Stał dalej w tym samym miejscu - uśmiechał się, bynajmniej nie przyjaźnie: pogardliwie, wyczekująco.

W tym momencie na stację wjechał pociąg. Mężczyzna w czarnym płaszczu wśliznął się do wagonu. Otto Schmidt powoli za nim. Dla niego cała akcja właściwie już się skończyła: do uzgodnienia pozostała tylko cena. Niestety raczej mierna, co najwyżej przeciętna, według wstępnego szacunku.

Wycwiczony w wyczekującej cierpliwości Otto-Otto usiadł na przeciwko swojej ofiary i zarejestrował: zmęczona a teraz bardzo zwiotczała twarz oficera, lśniące oczy zebrzące o pobłażliwość, zrozumienie.

- Kim pan jest? I, przepraszam, czego pan chce ode mnie?  
Otto Schmidt zachował się wspaniałomyślnie, jak pełna zrozumienia, po ludzku myśląca istota. Z nim można się dogadać.

- Nazywam się Kröger - powiedział. - Jestem komisarzem policji obyczajowej. Reszty może się pan domyślić.

Mężczyzna w czarnym płaszczu wyraźnie się przeraził. Pojął bowiem, że tym razem wcale nie wpadł w ręce policji obyczajowej, jak kilka razy do tej pory. To nie byłoby jeszcze takie złe, ponieważ policja ma obowiązek udowodnienia winy i surowego przestrzegania obowiązujących reguł. Nie ryzykowali niczego, co ewentualnie mogłoby zaszkodzić im samym. Teraz jednak trafił na jakiegoś szantażystę - i to chyba nie znającego pardonu.

Otto-Otto nie robił już zresztą żadnych ceregieli, chciał jak najszybciej przejść do sedna sprawy, podczas gdy kolejka ze stłumionym stukotem toczyła się przez Berlin.

- Ostatecznie jestem człowiekiem - zapewnił. - Nigdy nie byłem

bez serca! Ale myślę, godziłoby się, że tak powiem, coś wyłożyć. Pan rozumie?

- Dwieście marek - szybko odpowiedział mężczyzna. - Tyle mógłbym zapłacić, od razu.

- Za kogo szanowny pan mnie uważa! - Otto Schmidt wydawał się naprawdę oburzony. - Czy chce mnie pan zmusić do tego, żebym odstawił pana na najbliższy posterunek? Razem z Seppem-Bawarczykiem jako zasranym świadkiem? Chce pan? W porządku. Nie zrobię tego z czysto ludzkiej życzliwości. Ale będzie to pana kosztować co najmniej pięćset marek. No, czy to nie prawdziwa okazja?

- Aż tyle nie mam. Nie przy sobie.

- A gdzie?

- W domu. Gdyby zechciał pan pójść ze mną..

- Zechcę! Ale ma się rozumieć z niezbędnym zabezpieczeniem. - Otto-Otto miał doświadczenie, znał wszystkie kruczki w tych interesach. - Niech pan nie myśli, że uda się panu wymknąć! Na przykład wejść do domu od frontu i zwać tylnymi drzwiami, i przepaść na zawsze. Ze mną, drogi panie, nic takiego się nie uda!

- Daję panu słowo honoru...

- Jest mi pan winien pięćset marek. Dwieście, które ma pan przy sobie, da mi pan już tutaj, a resztę w pańskim mieszkaniu, A teraz niech mi pan poda pański adres i nazwisko!

Okazała się że mężczyzna mieszkał na Lichterfelde-Ost - w dzielnicy o ustalonej renomie, popularnej wśród co znaczniejszych urzędników i wyższych oficerów. Mieszkał tam także generał Beck, szef sztabu generalnego armii.

Dowód mężczyzny informował: Ferdinandstrasse 20. Zawód: rotmistrz w stanie spoczynku, z pochodzenia Austriak. Nazwisko: Frisch. A może. von Fritsch.

I jeszcze tej samej nocy wypłacił szantażyście pozostałe trzysta marek, zauważając przy tym, że czyni to z bólem serca, bo ostatecznie nie jest żadnym zamożnym człowiekiem, musi, z niemałym trudem, utrzymać się ze swojej skromnej pensji oficera w stanie spoczynku.

Otto-Otto zainkasował należność z niewzruszoną twarzą.

**Dalsze zapiski doktora Ericha Mellera:** „Stosunki między kanclerzem Rzeszy Hitlerem a jego generałami od samego początku pełne były napięcia, wręcz niechęci. Chcąc określić je krótko, można by powiedzieć:

Oni nim pogardzali - on ich nienawidził!

Podczas gdy oni widzieli w Hitlerze tylko zachłannego gefrajtra-o wynikającej z ograniczenia potrzeby imponowania, on uważał ich za głupich, zadufanych karierowiczów i niepoprawnych besserwiserów. Ani jedno, ani drugie nie miało się z prawdą.

»Oni mnie nie rozumieją!« - skarżył się Hitler pewnego wieczoru, siedząc w pretensjonalnej pozie w Kancelarii Rzeszy, gdzie wśród paru osób i mnie dane było się znaleźć. Ów monolog był na miarę wielkiego teatru; nie szczędząc szlachetnego patosu, bardziej w stylu Schillera niż Szekspira, führer uskarżał się: »Oni nie są w stanie pojąć, do czego ja zmierzam!«

- Ten pan nas nie rozumie! - stwierdził dobitnie generał Beck, szef sztabu generalnego armii. Uwaga ta została wypowiedziana w kręgu osób, jak sądził Beck, rozsądnych i godnych zaufania, do których zaliczał również mnie. Ów generał, bez wątpienia nobliwy i bardzo powściągliwy mężczyzna, nie należał do tych, którzy nazywali Hitlera po prostu gefrajtem. On mówił o nim »ten pan« albo »pan Hitler«. - Ów pan Hitler - stwierdził - najwyraźniej nie jest w stanie pojąć, w jakim kierunku powinniśmy zmierzać!

Generał rozwinął tę myśl z bezsprzecznie wyzywającą otwartością: - Nasz Wehrmacht, rozsądnie i celowo rozbudowany, może stać się rozstrzygającym czynnikiem europejskiego porządku. Zainwestowane w niego miliony mogłyby, a nawet musiałyby stać się jedynym w swoim rodzaju elementem stabilizującym pokój!

Adolf Hitler pozwolił pozostać swoim generałom w tym przekonaniu. Przynajmniej w pierwszych latach sprawowania funkcji głośno Wy państwa przy każdej nadarzającej się okazji wyrażał im swój głęboki szacunek i wiarę we wspólnotę wynikającą z żołnierskiego braterstwa. - Niemcy to każdy z nas! Nie ma większego zobowiązania ponad to!

Hitler sądził, że na wypowiedzanie tego rodzaju pięknych haseł czy wręcz pięknych sentencji mógł pozwolić sobie bez najmniejszych obaw. Zwłaszcza że do jego najbliższego otoczenia należał nie tylko



dzielny von Fritsch, ale również dostojny Werner von Blomberg, a tea potrafił, jak się wydawało, poskramiać nawet zatwardziałe, staropruskie rumaki bojowe. Ale że właśnie sam Blomberg miał wkrótce pojawić się na scenie w roli swego rodzaju wentyla bezpieczeństwa albo że miało dojść do tego przy użyciu kryminalnych metod, i to z powodu kobiety, tego nikt sobie nie wyobrażał.

Lecz tak właśnie się stało. Zadbał o to ze szczególną gorliwością Hermann Göring. Ten człowiek potrafił wykorzystać nawet grzeszne żądze dla akcji państwowych."

### Pierwsza próba beletryzacji biegu wypadków związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Przestrogi matki

- Boże drogi,, dziecko kochane, co w ciebie wstąpiło?! - zawołała matka Gruhn. - Zachorowałaś na manię wielkości? Czego ty właściwie chcesz?

- Nic więcej, tylko wreszcie żyć! - zapewniła ją córka Eva niemal; wrogim tonem. Chcę się wyrwać z tej ciasnoty, z tego brudu, z tego smrodu! Nie życzyś mi tego?

Znajdowały się w pralni nędznej berlińskiej kamienicy czynszowej; odpadający tynk, poplamiona cementowa posadzka, zużyte sprzęty, kotły, wanny. Unosił się przenikliwy zapach bielizny gotowanej w kiepskim mydle.

- Jestem prostą, uczciwą kobietą! ~ powiedziała matka Gruhn. -«Zawsze starałam się być dla ciebie dobrą matką, To musisz mi przyznać. Ale od niedawna przestałaś mnie słuchać! Widać wyraźnie że masz zamiar zrobić jakieś głupstwo.

- Och, mamó, co ty opowiadasz! - broniła się Eva. -Przecież ja nie szukam niczego więcej jak tylko poczucia bezpieczeństwa i miłości, która by się opłacała, byłaby warta poświęcenia wszystkiego. I chyba wreszcie znalazłam. Proszę cię, nie przeszkadzaj mi w tym!

- Próbuję cię tylko przestrzec, moje dziecko. Jesteś bardzo ładna, bardzo pociągająca, kochają się w tobie, ale właśnie to może okazać się szalenie niebezpieczne! Mężczyźni są nieobliczalni.

- W ostateczności zawsze kończy się. na tym jednym jedynym, dla

którego warto było przez wszystko przejść. I kogoś takiego chyba wreszcie znalazłam.

- Co ty opowiadasz, moje dziecko, przecież ciągle zawierasz znajomości z mężczyznami dużo starszymi od ciebie. I to mnie martwi. Czy coś takiego nie nazywa się przypadkiem „kompleksem ojca”? Może o to chodzi?

- Niewykluczone - przyznała Eva. Swojego ojca prawie nie знаła; poległ w wojnie światowej...- Ale raczej staram się tylko realnie myśleć. Bo zauważyłam, że starsi mężczyźni dzięki swojemu doświadczeniu są o wiele bardziej wspaniałomyślni, rycerscy i wyrozumiali.

Matka Gruhn z dezaprobatą pokręciła lekko posiwiałą głową o lwiej grzywie. Ciągle jeszcze mogła uchodzić za kobietę o niezaprzeczalnej urodzie. Lecz ciężkie, mozolne życie wycisnęło na niej swoje piętno.

Córka Eva, mająca wtedy niewiele ponad trzydzieści lat, była osobą wybitnie atrakcyjną, bardzo zgrabną, stworzeniem dość zmysłowym. ...

- A co mi powiesz o właścicielu naszego domu<sup>1</sup>? To przecież naprawdę odrażający typ! Mówią, że się z nim zadajesz?

- Tak mówią? - Eva, uśmiechając się, spojrzała na matkę. - Ludzie wygadują różne rzeczy, a zwłaszcza takie, których sami by sobie życzyli. Jak widać, bardzo chętnie zajmują się moją osobą. Mam się do tego przyzwyczaić?

- Oczywiście, że nie, moje dziecko] Ale. ostatecznie, gdyby ten człowiek żywił dla ciebie jakieś prawdziwe uczucie, złą partią na pewno by nie był. Podobno ma jeszcze co najmniej ze dwie takie kamienice jak nasza.

- Oj, mam, takie rzeczy wcale mi nie imponują. Jest mi wszystko jedno, co mężczyzna posiada, zależy mi tylko na tym, żeby mnie kochał.. Tak samo bezinteresownie jak ja jego.

Matka Gruhn westchnęła głęboko. - A co z tym lokatorem z trzeciego piętra, tym Vogelsangiem? Podobno i dla niego jesteś bardzo miła, tak słyszałam. A przecież on to już prawie starzec. Chyba ma pięćdziesiątkę! I komuś takiemu nadskakujesz?

- A dlaczego nie miałabym być dla niego miła? - spytała Eva Gruhn. - Zwłaszcza że jest tak ustosunkowany, ma znajomości w samej partii, a nawet w policji! Poza tym jest dosyć sympatyczny,

kierownik dobrze prosperujących delikatesów przy Kurfürstendamm. To prawda, nadskakuje mi. Ale to wszystko.

- Kiedy ja byłam młoda - zapewniła z naciskiem matka Gruhn - zawsze starałam się żyć przyzwoicie, uczciwie i pracowicie. W *ten* sposób uchowałam się dla tego jedyne go mężczyzny, mojego męża. Twojego ojca. - Tylko jego kochałam.

- Tyle zacności, zaraz się rozplączę ze wzruszenia! - Evą popatrzyła na matkę z pobłażliwą serdecznością. - W każdym razie mój ojciec poległ na polu chwały, jak to ładnie nazywasz. Ja w przyszłości też tak to będę określać; w mojej obecnej sytuacji bohaterstwo ojca może się przydać.

- A twoje pochodzenie? To, że twoi rodzice byli prostymi ludźmi? Tego nic da się tak po prostu wymazać,

Tego nie da się wymazać, mamó! Ale niejedno chętnie bym zapomniała, A ten mężczyzna, którego teraz poznałam, mógłby mi to umożliwić. To wielki dobry człowiek, prawdziwy dżentelmen. O takim mężczyźnie marzyłam od dziecka.

Matka wydawała się teraz naprawdę przerażona i zatroskana jak kwoka. - Coś takiego - obwieściła ponuro - może się źle skończyć. Ty z prostego domu, a on, jak słyszę, ważna osoba. To musi się źle skończyć.

- Nie musi i wcale się nie skończy! On mi to nieraz przyrzekał i ja to czuję.

- Kto to jest? Powiedz mi wreszcie! Kto to?-

Eva roześmiała się ubawiona.

- Może któregoś dnia przeczytasz o nim w gazecie.

- W gazecie? A w którym miejscu? - Matka Gruhn, widząc tak promienną beztroskę córki, poczuła lęk. - Może w wiadomościach kryminalnych? Eva, ja naprawdę się boję. To wszystko może przyjąć zły obrót. Także dla mnie.

Ż zapisków byłego, radcy rządowego doktora Erich. Mellera;

„Tak zwany Żorz-Bawarczyk - służbowa określenie wewnętrzne, które mojemu przyjacielowi Huberowi ze zrozumiałych względów zupełnie się nie podobało, łączyło go bowiem przez swe brzmienie z jedną

z najnędniejszych figur w jego rewirze, z owym Seppem-Bawarczykiem - tak więc ów funkcjonariusz policji kryminalnej był fachowcem najwyższej klasy.

Georg Huber uchodził za przenikliwego szpiega, ostrożnego anioła stróża, uznanego mistrza w swoim fachu. Przy czym służył jedynie, w co mocno wierzył, prawu i sprawiedliwości. I właśnie to przekonanie miało wkrótce doprowadzić go do tej szczególnej, niezwykle ponurej tragedii. Również jego zgubiło w ostateczności pragnienie pozostania - mimo wszystko - po prostu prawym człowiekiem. I to w takich czasach!

Ja w tamtym okresie kierowałem w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Berlinie wydziałem K. Nazwa ta mogła oznaczać, co kto chciał: kontakty, koordynację, kanalizację. I w pewnym sensie prawie wszystko było trafne.

Moją placówkę uczyniono oficjalnie odpowiedzialną za bezkonfliktową współpracę wszystkich ambitnie prących do przodu ugrupowań władzy: partii i państwa, SA i SS, policji i służb tajnych, i cze go tam jeszcze! A ja przy tym piekłem, można powiedzieć, swoją własną pieczę. I to bynajmniej nie pozbawiony ochrony. Czy inaczej bym przeżył?

Tego rodzaju sprawami zajmował się także Georg Huber, Żorz--Bawarczyk. Zjawiał się u mnie prawie regularnie i za każdym razem twierdził, że właśnie szedł przypadkowo korytarzem i zauważył na drzwiach moją wizytówkę. I w tym samym momencie przypominał sobie: radca Meller jest w posiadaniu ładnych parudziesięciu pudełek wymienionych, hawańskich cygar, przechowywanych w kasetkach ze szlachetnego drewna na półkach szafy. Pragnienie posmakowania któregoś z tych wyrobów Henry'ego Claya - przedstawiających wówczas, gdy Kuba nie znała jeszcze Fidela Castro, absolutnie najwyższą, jakość - zawładnęło nim, jak mówił, przemożnie.

Choć udawał niewidzialnego, zawsze był przeze mnie serdecznie witany. Dostawał swoje cygaro, które wyszukiwał sobie z ceremonialną starannością w moich bogatych zasobach. Dotykał wierzchniego liścia, wąchał intensywnie, jak gdyby chodziło o cudownie pachnącą skórę pozornie chłodnej, ale bez trudu dającej się przytulić kobiety. Nim jednak zapalił cygaro, zawsze kładł przede mną kilka przyniesio-

nych ze sobą dokumentów; przy czym robił to w taki sposób, jak gdyby chciał się od nich zdystansować.

Nigdy nie dawał mi do ręki teczek z papierami ani luźnych dokumentów wewnętrznego użytku, gotów jestem na to przysiąc. Mogłem jednak po nie sięgnąć i zajrzeć do nich, również zadać parę pytań, jeśli uważałem to za konieczne. Owa »audiencja« trwała zawsze tyle czasu, ile Huber potrzebował na wypalenie cygara, czyli - zależnie od jego wielkości - czterdzieści do pięćdziesięciu minut.

Potem próbowałem podsuwać mu coraz dłuższe, z gatunku tych większych. Bo to, co przy okazji przynosił, była to naprawdę ostra broń - niezwykle przydatna i skuteczna w najrozmaitszych dzikich przedsięwzięciach owych drapieżnych zwierząt! Na przykład coś takiego; Notatka urzędowa, prefektura policji, Berlin, referat d s obyczajowych. Wyłącznie do użytku wewnętrznego:

»Dotyczy Evy Gruhn. Szczegóły: patrz kartoteka wstępna. Chodzi o osobę określaną jako podejrzana. Wstrzymać się od nadzoru bezpośredniego. Zwracające uwagę dalsze fakty odnotować tylko w celach profilaktycznych.«

- Wyjątkowo podejrzana, mętna historia, mój drogi Huber - powiedziałem, przekonany o własnej znajomości rzeczy. - Przypadkowo sporządzona notatka urzędowa, potem równie przypadkowa następna, i w ten sposób policja gromadzi materiał, nad którym potem pracuje. Coś takiego zdarza się po stokroć razy.

- Po tysiącokroć! W samym Berlinie - potwierdził Huber, z pozoru zajęty wyłącznie swoim cygarem.-- Ale niech pan, jeśli wolno mi prosić, niepotrzebnie się nie rozprasza. Proszę czytać dalej. Notatkę numer dwa.

- Ta dotyczyła matki Gruhn, która już nieraz miała do czynienia z władzami, wywołując przy tym, prawdopodobnie swoją beczelnością, głęboką niechęć wzburzonych urzędników. Przytoczono ich opinie na jej temat; między innymi grubo podkreślone zdania w rodzaju: »całkowicie nie do wytrzymania« albo »bez powodu kłótniwa« czy nawet »nieopanowana awanturnica«.

- Zawiedzione dziecko naszego potwornie wykorzystywanego na rodu - zasugerowałem. - Czyli taki człowiek, który z wielkim mozołem musi przebijać się przez życie i wtedy wali na oślep także wko-

ło siebie, żeby nie dać sobie odebrać ostatniej kromki chleba. Tacy gryzą i kopią, byle tylko jakoś przeżyć. I stają się postrachem urzędników, zakłócającym im trawienie, aż wreszcie trafiają do notatek służbowych. A ta Eva to pewnie nieodrodna córka swojej matki?

- I tak, i nie - Huber dalej delektował się cygarem. - Zwykli funkcjonariusze policji, tacy jak ja - ale także mający na celu szeroką koordynację przedstawiciele rządu, tacy jak pan, nigdy nie mogą się uwolnić od skłonności do upraszczania tych spraw, żeby wydawały się bardziej przejrzyste. A w tym wypadku od tego bzdurnego, ogłupiającego ludzi przysłowia, że jabłko pada niedaleko od jabłoni. Jeśli nawet matka rzeczywiście jest tylko zwykłą, kłótniową praczką, to jej córka mogłaby przecież mieć wręcz królewskie cechy. Albo je w sobie wykształcić.

W tym momencie zrobiłem się czujny. - Co mi tu pan próbuje wmówić, drogi panie Huber?

- Zaraz pan to zrozumie. Niech się pan zajmie notatką numer trzy.

Ta głosila:

»Obserwacja zastrzeżona do użytku wewnętrznego. Dotyczy Luise Gruhn. Była praczką w Zamku Królewskim, Berlin-Chariottenburg. Jej mąż, Paul Gruhn, pracował tam jako ogrodnik. Pobrali się w 1903 roku. W tym samym roku urodziło się ich jedyne dziecko, Eva Gruhn. Ojciec dziewczynki, Paul Gruhn, prawdopodobnie z powodu żony, którą on również dosyć wcześnie określił jako nie do wytrzymania, opuścił rodzinę. Przyjmował różne posady, najczęściej daleko od Berlina«.

. Dalej z notatki wynikało co następuje: Mimo wszystko ojczyzna zdążyła jeszcze Paula Gruhna wezwać do broni. Stawił się na wezwanie i w roku 1916 poniósł tak zwaną bohaterską śmierć. Piechota, Verdun, huraganowy ogień pocisków. Liczne odłamki granatu rozerwały mu podbrzusze.

Wdowa po nim, wkrótce nazywana już; tylko matką Gruhn, z zaciętością drapieżnego zwierzęcia starała się przetrwać z córką gorączkowe lata powojenne, zniechęcającą inflacją, te wszystkie polityczne zakręty i wiry.

Matka Evy nie unikała najbardziej marnych zajęć: wynajmowała się na przykład jako pomoc w szpitalnych pralniach albo kuchniach. Później próbowała wyspecjalizować się w masażu leczniczym. Jej klientelę stanowili w większości inwalidzi wojenni, których stać było na coś takiego.

Oficjalnie - mniej więcej od roku 1923 do 1927 - podawała się za masażystkę. Był to wówczas szanowany zawód? Mimo to na podstawie licznych, ale, jak się okazało, nie uzasadnionych donosów została poddana kilkakrotnym rewizjom zarówno przez policję, jak i przez izbę rzemieślniczą. Nie wyniknęły jednak z tego żadne oskarżenia.

- Należy zaznaczyć - odezwał się Georg Huber, nadal pochłonięty bez reszty swoim cygarem, a właściwie już tylko jego resztką - że nawet ten rzeczowy i zimny fachman, któremu zawdzięczamy to sprawozdanie, odczuwa najwyraźniej pewną sympatię dla nich obu.

*Ze mną jest to samo!* Bo w gruncie rzeczy te dwie wielokrotnie doświadczone przez los kobiety to chyba tylko biedne, żyjące pod ciągłą grozą ofiary naszych czasów. Przeciwno czemu w zrozumiały sposób się bronią. I dlatego mam dla nich szacunek, a także współczucie. Może się mylę?

- Chyba ma pan rację. Ale dokładnie nie wiem, jeszcze nie wiem. Nie pomogła mi nawet równie wątpliwie brzmiąca notatka numer cztery, z którą- pan też powinien się zapoznać. Może okaże się kolejnym elementem tej mozaiki.

Maj 1933 roku. Eva Gruhn zostaje aresztowana pod zarzutem kradzieży. Oskarżono ją o przywłaszczenie sobie pierścionka z diamentem. Pierścionek jednak odnaleziono u okradzionego. Okazało się ponadto, że ów diament był jedynie dobrze podrobionym szkiełkiem, madę in Germany — prawdopodobnie produkcji Idar-Oberstein . Tak więc Eva Gruhn, .po udowodnieniu jej niewinności, musiała zostać zwolniona.

Ta masa pracowicie gromadzonych przez policję bredni wprawiła mnie w niepokój, a także oburzyła. - Mój Boże, co to za metody! Zwykle plotki zebrane w aktach przez gorliwych urzędników! Ale jeśli

Idar-Oberstein - miasto w Nadrenii-Palatynacie, znane ze szlifierni diamentów i wyrobu biżuterii, również sztucznej (przyp. tufn.).

te biurowe ekskrementy trafią kiedyś w niepowołane ręce, może dojść do potwornych nieporozumień! Według zasady, że jakiś procent prawdy musi w tym być.

Huber odparł: - To pan tak mówi, panie radco, bo pan doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ale kto to wie, które ręce są powołane, a które niepowołane? Przecież wiadomo panu, że żyjemy w czasach gromadzenia wielkich zbiorów danych. Ten przypadkowy materiał jest przechowywany po to, by zrobić z niego użytek lub przekazać go dalej. W każdym razie, choć jest tak wątpliwy, należy się z nim obchodzić jak ze zmagazynowanym materiałem wybuchowym. Można go też wykorzystać do scementowania niektórych przyjaźni.

- Czy pan wciąż ma na myśli te dwie kobiety? Boże drogi, matka i córka z trudem przebijają się przez życie, a policja, jakby nic innego nie miała do roboty, zajmuje się nimi całkowicie niepotrzebnie. Tylko po to, żeby zapełnić swoje kartoteki. To naprawdę bardzo podle i bardzo niepokojące.

- Prawdopodobnie ma pan rację. Zwłaszcza że tym paniom, a przede wszystkim córce, podsunęto agenta, tylko jeszcze nie wiem kto to zrobił. Może to zwykły, rutynowy zabieg, przynajmniej na razie. Ale nie powinien pan odmówić sobie notatki numer pięć.

Dotyczyła ona niejakiemu Vogelsanga, Volkera Vogelsanga. W berlińskiej prefekturze policji był on odnotowany, miał tam swoje stałe miejsce. Znajdował się w rubryce »wielokrotna recydywa«, ale tylko z powodu lekkich przestępstw - na przykład fałszowania towarów, drobnych oszustw czy nieudolnie maskowanych sprzeniewierzeń. Według kompetentnej opinii jednego z urzędników policji kryminalnej był zwykłym partaczem. Ale właśnie dlatego mógł okazać się bardzo przydatny.

Tak więc ów Vogelsang, zgodnie z przyjętym zwyczajem, został, poproszony przez policję o współpracę; »urzędową«. Na co oczywiście przystał. Po wykonaniu kilku pomniejszych, ale bynajmniej nie pozbawionych znaczenia zadań w roli pomocnika i donosiciela, zarejestrowano go jako agenta numer 134. Był jednym z setek podobnych. j Dostarczał to, co mógł - co podsunął mu przypadek. I właśnie w ten sposób udało mu się, a zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy, trafić w dziesiątkę. Dane mu było uczestniczyć w tym, co przyjęło się



nazywać »historią światową«. Albowiem również przypadkiem, a więc jak zwykle, podsunęto mu hasło, na które szybko i ochoczo zareagował: Eva Gruhn!

W jednym z pierwszych odnośnych sprawozdań agenta numer 134 czytamy: »Rzeczoną osobę znam, przypadkiem. Mieszkamy w tym samym domu. Jej matka, najczęściej nazywana po prostu matką Gruhn, zajmowała się masażem leczniczym. Córkę Evę zmusiła do tego, żeby przynajmniej jakiś czas pracowała u niej za pełnym wynagrodzeniem jako pomoc.

Chodziło o masaż kikutów rąk i nóg, również okolic serca i pleców. Przygnębiające zajęcie, od którego Eva, Gruhn, ze zrozumiałych powodów, próbowała się uwolnić.

Pomogłem jej w tym, zupełnie bezinteresownie, z czysto ludzkich pobudek. Załatwiłem jej posadę ekspedientki w domu towarowym, którą bardzo szybko zmieniła na pracę w restauracji dosyć wysokiej kategorii. Ku zadowoleniu jej właściciela i jego klientów. I tam się to zdarzyło«.

- Co się zdarzyło?

Huber jednak już wstał i zatopił resztę cygara w mojej wielkiej jak talerz, kryształowej popielnicy. Zabrał swoje dokumenty.

- To, co się tam zaczęło, może się okazać niewinne, a więc bezużyteczne. Jeśli nic się nie zmieni.

- Ale co ma się zmienić?

~ Ta bajeczka jak z filmu. Wielki człowiek spotyka prostą, piękną dziewczynę. Oboje są szczęśliwi i zadowoleni. I to, jak można się spodziewać, bez marzeń o happyendzie.

- Ma pan na myśli tę Evę Gruhn? Ale w związku z kim?

Huber, już w pobliżu drzwi, sprawiając wrażenie bardzo zamyślnego powiedział:

- Obawiam się, panie Meller, że nie będzie się pan z tego śmiał, choć to wszystko nie jest pozbawione komizmu. Bo osobą, która trafiła na tę panią, jest jeden ze stałych gości tamtej restauracji. To feldmarszałek von Blomberg.

-Jeśli to żart, to naprawdę się uśmieję. Ale pan chyba nie żartował, prawda? - Czułem się lekko oszołomiony, również zaniepokojony. Sprawa zaczęła nabierać drastycznego charakteru.

- Kto ma dostęp do tych akt?

- Co najmniej sześciu urzędników. No i oczywiście ich przełożeni. Tak było do tej pory. Teraz jednak widzę, że będę musiał ten materiał trochę odizolować, jeśli nie jest już za późno.

'- Czego się pan obawia?

- Naturalnie tego samego co pan. I właśnie dlatego uważam, że ktoś powinien zająć się tą sprawą trochę intensywniej, ale nikt z policji. Nie sądzi pan?

Po czym na pożegnanie wręczył mi patetycznym gestem czystą kopertę. Znajdowało się w niej zdjęcie i dwa adresy: restauracji i prywatny Evy Gruhn. Ten szczywany lis naprawdę usiłował pozyskać mnie jako siłę pomocniczą dla swojego drażliwego przedsięwzięcia. I robił to w niezachwianym i niestety uzasadnionym przekonaniu, że na taką przynętę dam się zwabić.

Tymczasem Otto-Otto pilnie starał się zarobić więcej pieniędzy. Bo teńedzne pięćset marek, które wręczył mu rotmistrz Frisch, nie-mogły go zadowolić. On, profesjonalista, chciał więcej. Jak najwięcej!

Tak więc ponownie zjawił się u swojej ofiary - zaledwie kilka tygodni po zajściu na stacji Wannsee. Przecież znał adres. Stosował zawsze tę metodę: za drugim razem bez najmniejszego skrupowania podawał się za pracownika policji kryminalnej. Nieważne, czy. mu wierzono. Sposób był sprawdzony.

Znalazłszy się w mieszkaniu byłego rotmistrza Frischa powiedział: .

- Ja, szanowny panie, konsekwentnie przestrzegam umowy. Zapłacił pan, i tym samym uważam sprawę za załatwioną.

- Wobec tego po co pan przyszedł?

- Bo niestety nie tylko my dwaj żyjemy na tym świecie. Mam przełożonych. Bardzo niewygodnych. Nie dających się pominąć. Oni też żądają udziału. Tak się sprawa przedstawia.

- Ile?

- Ostatecznie wszyscy jesteśmy ludźmi, szanowny panie - zapewnił Otto-Otto. - Ale funkcjonariusze policji kryminalnej także muszą żyć. Z pewnością orientuje się pan, że myślimy przy tym racjonalnie. Gruntownie zbadaliśmy pańskie możliwości i do nich się dostosowuje my. W żadnym wypadku nie chcemy pana wykorzystywać.

- A więc ile?
  - Dwa tysiące marek.
  - Mój Boże, to przecież wszystko, co mam.
  - Zgadza się, nawet dokładnie. Akurat taką sumą pan dysponuje sprawdzaliśmy to. I właśnie tyle pan dostarczy, powiedzmy, najpóźniej pojutrze. Do restauracji przy stacji metra Lichterfelde-Ost. Mnie osobiście. Będzie też obecny mój przełożony.
  - A co się stanie, jeśli odmówię? .
  - Wtedy całkiem po prostu złożę doniesienie.
  - - A co będzie, jeśli ja doniosę na pana? Z powodu szantażu?
  - Boże broń, szanowny panie! Niech się pan zastanowi! Zależy panu na tym, „żebym świadczył przeciwko panu? Oficjalnie? Jako świadek? Funkcjonariusz policji kryminalnej! I nie tylko ja, także na sto procent nasz Sepp-Bawarczyk, który tak uprzejmie pana obsłużył. Chce pan do tego dopuścić? Na pewno nie! No widzi pan! Nie pozostaje panu nic innego. Kapujesz, człowieku?
- Zrozumiałem, tak jest!

### Z relacji radcy rządowego Mellera:

„W budynku berlińskiej policji kryminalnej, w referacie do spraw wykroczeń obyczajowych już wiele miesięcy przedtem, nim zdarzenia zaczęły szybko następować po sobie, znalazły się. dwie teczki; i to w tym samym pomieszczeniu, ale na oddzielnych regałach. Na początku nikomu nie przyszłoby do głowy, że dokumenty z obu teczek będą miały ze sobą tak ścisły związek. Nie wpadł również na to mój przyjaciel Żorz-Bawarczyk, specjalista od nieobyczajności.

Jedna ze wspomnianych teczek w gruncie rzeczy dosyć przypadkowy zbiór materiałów.- odnotowała istnienie niejkiej Evy Gruhn. I to w nieco zagadkowy sposób. Drugi zbiór dokumentów natomiast, nieporównanie bardziej wiarygodny, dotyczył osoby Otto Schmidta - chętnie wykorzystywanego, ale i skwapliwie oferującego swoje usługi obserwatora berlińskiego światka homoseksualistów.

Osobą dysponującą wówczas tymi dokumentami był inspektor kryminalny Singer, człowiek pracowity jak mrówka i ambitny. Miał on mecenasa w najwyższym stopniu, zasługującego na uwagę, radcę kryminalnego Meisingera; Ów Meisinger należał do zagorzałych zwo-

lenników ówczesnej władzy; już wiele wcześniej zadeklarował się jako ochoczy towarzysz wspólnej drogi. Instynktownie wyczuł to także Reinhard Heydrich, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy.

Niebawem przewidziano dla Meisingera wysokie stanowisko w gestapo, tajnej policji państwowej. Inspektor przygotowywał się do objęcia go już teraz, a robił to na swój sposób: zbierał materiał, raczej przypadkowy i niekompletny, po prostu wszystko, na co trafił. Chciał, by tak rzec, z pełnymi rękami zjawić się na swoim nowym posterunku.

Huber powiedział później:

- Nie miałem najmniejszego pojęcia o tym wszystkim, chociaż te dokumenty, akta i kartoteki należały do zakresu moich spraw. Ale wtedy właśnie tak było: drapieżne zwierzęta rozpętywały w dżungli dzikie wojny, a niejedna mała świnia próbowała naśladować lwa. W tym wypadku wynikło z tego coś, czego nikt nie mógł przewidzieć - ludzka tragedia. I to niejedna.

Ale również to należało do wielkiej, oszukańczej gry w pokera, jaka wkrótce miała się rozpocząć. Aktywni przystępowali do działania. Proces niepowstrzymanie się rozwijał.

Przy czym Adolf Hitler, choć z pewnością nie pozbawiony fantazji, bardzo chętnie porównywał innych ze sobą: wszystkich ludzi, którzy się z nim zetknęli i z nim obcowali, uważał za podobnych do siebie! Wmawiał sobie, że musieli również tak samo reagować. Także generałowie. Zgubne przypuszczenie, wcale jednak nie wyssane z palca.

Sobie i innym przypisywał właściwie wszystko: podstępna walkę o władzę, zakłamanie intrygi, polityczne kombinacje! Po prostu nie był w stanie pojąć, że również wśród generałów znajdowało się jeszcze wielu zacnych ludzi; przynajmniej chcieli takimi pozostać.

Tak więc wobec nich wcale nie musiałyby uciekać się do tych kryminalnych machinacji, jakie nastąpiły później. Albowiem słowo führera, rozkaz kanclerza Rzeszy, głowy państwa, wystarczyłyby przecież, i obie zamieszane w te zdarzenia osoby, feldmarszałek i generał zareagowałyby z pełnym oddaniem posłuszeństwem. Ostatecznie byli żołnierzami.

Jak się zdaje jednak, tego Adolf Hitler w ogóle nie brał pod uwagę. Bo tak naprawdę chodziło mu o zainscenizowanie przerażającego i tym

samym odstrasżającego przedstawienia na skalę całego kraju. W wyrachowanej wspólnocie z Göringiem i Heydrichem - właśnie Heydrich był moim »przyjacielem z młodości«! Wyniknęły potem z tego nieuniknione, zuchwale podsycane wojny, zagrażające życiu walki - rozgrywane nierówną bronią. Eleganccy szermierze stawali przed pozbawionymi jakichkolwiek zahamowań nożownikami.

Mój Boże, cóż to była za rzeź!" ;

## 2

### Dalsze manipulacje

Pułkownik Friedrich Hossbach, adiutant Führera i kanclerza Rzeszy, uchodził za solidnego, szczerego i godnego szacunku mężczyznę. Nie bez powodu. Był przecież żołnierzem. I próbował pozostać nim także w tym otoczeniu.

Od niedawna jednak zawałdnęło nim przygnębiające uczucie wywołane wrażeniem, że posadzki Kancelarii Rzeszy zamieniły się w gładką jak lustro i cienką jak papier lodową tafłę. Właśnie tak się poczuł, gdy zameldował Hitlerowi;

- Naczelny wódz Luftwaffe pyta, czy przewidziana na dzisiejsze popołudnie narada z ministrem wojny Rzeszy i naczelnym dowódcą sił lądowych dotyczy wszystkich trzech sił Wehrmachtu, czyli także marynarki i lotnictwa?

Hitler spojrzał zaniepokojony, zagniewany, wręcz oburzony.

- Co to ma znaczyć! - ryknął potężnym głosem. - Od kiedy to Göring ma rozeznanie w moich terminach! - Jego ciągle czujna podejrzliwość objawiła się z całą siłą. - Czyżby były u nas jakieś przecieki, i to może nawet w pańskim biurze, panie pułkowniku?

Friedrich Hossbach nie dał po sobie poznać, jak bardzo raniło go to podejrzenie. Powiedział jedynie wyjątkowo uprzejmie:

- O ile wiem, panie kanclerzu, panowie von Blomberg i Göring wczoraj wieczorem jedli razem kolację. Niewykluczone więc, że niechcący...

- No, już dobrze, drogi Hossbach! - krzyknął Hitler. Zdawało się,

że w ułamku sekundy nastrój mu się poprawił, starał się nadać swojemu chropowatemu głosowi wesoło-mrukliwy ton. Oczywiście nie przeprosił Hossbacha - takich rzeczy nie robił nigdy; ale nikt też tego nie oczekiwał. Powiedział tylko: - Niech Göring z łaski swojej nie miesza się we wszystko, niech się lepiej zajmie swoją Luftwaffe, i to bardziej intensywnie niż do tej pory; najwyższy czas! To, na czym mi przede wszystkim zależy, to nasze wojska lądowe, są dla mnie zawsze na pierwszym miejscu!

W ten oto sposób wyraził trzy ważne myśli. Były one przeznaczone specjalnie dla uszu pułkownika Hossbacha, stanowiącego istotne ogniwo między Kancelarią Rzeszy a Wehrmachtem. Po pierwsze, Hitler dał do zrozumienia, że ów Göring, co prawda oficjalnie druga osoba w III Rzeszy, robi się w niepożądany sposób natrętny - i wcale nie ma osób zareagowało na to wyraźnym zadowoleniem. Hitler zdawał sobie z tego sprawę. Po drugie, podawał w wątpliwość nawet jego umiejętności militarne - również to wielu żywiącym podobne wątpliwości musiało się podobać. Na koniec wreszcie Hitler podkreślił dominującą rolę sił lądowych, co pochlebiali każdemu, kto do nich należał - a więc i Hossbachowi.

- Czy przygotować na naradę jakieś dokumenty? - spytał pułkownik, choć już znał odpowiedź, na pewno będzie brzmiała „nie”. Hitler bowiem miał niezrównaną pamięć, a poza tym to było w jego stylu: sprytnie unikać sytuacji, które jego rozmówcom umożliwiłyby wcześniejsze zapoznanie się ze szczegółami - on lubił niespodzianki dużego formatu. Potrzebny w tym celu materiał, dostarczany z przeróżnych, tylko jemu dostępnych źródeł, potrafił, umiejętnie i efektywnie wykorzystać.

, Tym razem jednak kanclerz Rzeszy odpowiedział jak gdyby cał kowicie zgodnie z duchem swojej polityki maskowania: - Chodzi mi jedynie o to, żeby, na ile to możliwe, wzmocnić siłę naszej armii. Przy czym dane jest nam to szczęście; że w osobie generała von Fritscha, którego nadzwyczaj cenię, mamy stratega najwyższej klasy. Uważam za wskazane pełne wykorzystanie jego niepowtarzalnych umiejętności, czyli danie mu w jak najszerszym wymiarze wolnej ręki. Zapewne zgadza się pan ze mną?

- Tak jest! - pospiesznie potwierdził pułkownik Hossbach. Te piękne słowa uspokoiły go jednak tylko na krótko. Już od dłuższego

bowiem czasu z coraz większą intensywnością, coraz bardziej dotkliwie dręczyło go pytanie: czy temu- człowiekowi, naszemu przywódcy, można jeszcze wierzyć?

Ówczesnemu naczelnikowi policji w Berlinie Wolfowi hrabiemu von Helldorf przydzielono mniej więcej w tym samym czasie nowego zastępcę: był nim również hrabia - Fritz-Dietlof von der Schulenburg. Jak się później okazało - człowiek równie energiczny, co nieprzenikniony.

Na początku obaj hrabiowie nie wiedzieli, co mają o sobie sądzić; ostrożnie próbowali wy badać jeden drugiego i zgłębić nawzajem swoje ukryte myśli. W czasie jednej z pierwszych rozmów zastępca naczelnika, który wkrótce odsłonił się jako człowiek niezwykle ciekawski, odwołał się do rozporządzenia pruskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nakazywało ono, co następuje:

„Sporządzenie centralnej kartoteki osób uznawanych za szkodliwe dla zdrowia moralnego, jak prostytutki, sutenerzy, homoseksualiści i inne odmiany zwyrodnienia. Odnośne informacje w formie notatek, przeznaczonych do umieszczenia w kartotece, należy co miesiąc zgłaszać w nowo utworzonej komórce śledczej.”

- To godne uwagi polecenie - stwierdził von der Schulenburg mrugając powiekami - już od kilku tygodni leży na pana biurku. Pan jednak na tę niecierpiącą zwłoki prośbę do tej pory nie odpowiedział i nie wydał odnośnych rozporządzeń. Czy jeszcze długo zamierza pan odwlekać tę sprawę?

- Czy pana coś w tym oburza? - Słodka twarz hrabiego von Helldorfa wydawała się, napięta. - Czy to znaczy, że pan mnie tym obciąża?

- Dlaczego od razu obciąża! - odparł nowy zastępca naczelnika z lekkim uśmiechem. - Pozwalam sobie tylko zwrócić uwagę, że gdzieś wyżej może powstać wrażenie, że to niezaprzeczone przeciąganie sprawy jest sprzeczne z jedynie właściwym działaniem w duchu narodowego socjalizmu.

- No tak, no tak - powiedział jeden hrabia do drugiego. - W każdym razie mogłoby to być zinterpretowane jako swego rodzaju zanie-



dbanie obowiązków, i to przez tak zdeklarowanego narodowego socjalistę jak pan, jeśli właściwie odczytałem pańskie akta!

Naczelnik policji Helldorf szybko dał się sprowokować do całkowitej szczerzej reakcji. - Czyżby ostrzył pan sobie na mnie zęby? - spytał gniewnie. - Żeby objąć moje stanowisko, jeśli nie uda się udowodnić mojej stuprocentowej wierności narodowemu socjalizmowi? Bo przecież się nie uda! Przy tym egzaminie każdy przepadnie, jeśli komuś będzie na tym zależało. A po panu można się wszystkiego spodziewać! Po każdym. Ale bardzo proszę, niech pan sobie zajmuje moje miejsce, nie musi pan robić aż takich podchodów!

Hrabia von der Schulenburg był ubawiony, czego wcale nie tikrywał. - Orientuję się, co pan o mnie wie albo rzekomo wie. Przed i po trzydziestym trzecim roku byłem gauamtslei terem w Królewcu, akurat podlegałem gauleiterowi Erichowi Kochowi, co temu kretynowi tylko wyszło na dobre, bo mógł błyszczeć wykorzystując moje osiągnięcia. Potem pracowałem jako landrat w Prusach Wschodnich, odnosząc równie duże sukcesy, wręcz spektakularne. Później zostałem prawą ręką gauleitera okręgu śląskiego, który wkrótce, choć był zwykłym tępakiem, zaczął uchodzić za najlepszego w swojej branży.

- Ale teraz, panie Schulenburg wylądował pan akurat u mnie. Dlaczego?

- Bo chyba wszędzie byłem o jeden numer, a może nawet o parę numerów za duży. Prawdopodobnie wszędzie gdzie trafiałem, byłem niewygodny, zakłócałem spokój, stawiałem kłopotliwe wymagania.. Ale to chyba po prostu leży w mojej naturze.

- I te zuchwałe praktyki zamierza pan stosować dalej u nas?

- Ależ tak! Z przyjemnością! I to również z tego powodu, że wiem o panu wiele więcej niż pan o mnie. Na przykład coś takiego: w kręgu admirała Canarisa , a zwłaszcza u tamtejszej grubej ryby, pułkownika Oстера, jest pan odnotowany jako bardzo obiecujący sojusznik. Niech pan zatem nie oczekuje, że będę uważać pana za niewzruszonego zwolennika nazizmu.

- A kim pan jest, Schulenburg?

- Chyba kimś jeszcze gorszym. Ja jestem zdecydowanym przeciw-

Wilhelm Canaris (1887-1945), szef Abwehry związany z opozycją, po zamachu na Hitlera w lipcu 1944 roku aresztowany i stracony (przyp. tłum.).

nikiem. Ten opętany manią wielkości Hitler ze swoimi drobnomieszczańskimi faszystami napawa mnie nieopisanym wstrętem. Przejrzałem dobrze tych rewolucjonistów w śmierdzących skarpetkach! I któregoś dnia obiecałem sobie: jeśli nie mogę tego brudasza zamordować, to przynajmniej chcę stać się dla niego kimś w rodzaju Fouche..

- Żywię tylko nadzieję, że się przesłyszałem, Schullenburg. Czy wymieniając nazwisko, Fouche miał pan naprawdę na myśli tego napoleońskiego ministra, który nawet cesarzowi dał się parę razy nieźle we znaki?. Czyżby coś takiego zamierzał pan wobec Hitlera?

- Zobaczymy, jak daleko uda mi się zajść. Z pana pomocą oczywiście.

- I pan mi to mówi tak otwarcie? - Hrabia Helldorf sprawiał wrażenie zaskoczonego. - A może próbuje mnie pan sprowokować? Nie przyszło panu do głowy, że zdaje się pan na moją łaskę i niełaskę?

- Co też panu przychodziło głowy? - Hrabia von der Schullenburg wyglądał na szczerze ubawionego. - Przecież my tylko rozmawiamy sobie, w cztery oczy, bez świadków- Czyli nie ma najmniejszego problemu. Zastanawia mnie jedynie pańskie ociąganie się przed pełnym zaangażowaniem. Co prawda ód czasu do czasu pozwala pan sobie na żarty z nazistów, podsuwa pan też ich przeciwnikom niektóre cenne informacje, to na pewno nie mała. Ale ja chcę działać! Zobaczymy, jak się nam ułoży współpraca.

Naczelnik policji przybrał niemal urzędowy ton, jakby tego wszystkiego nie słyszał, nie chciał słyszeć: - Przejdźmy może do sprawy.

Ma pan na myśli ten podstępny, maskowany, urzędowy nakaz założenia oficjalnej kartoteki sprośności która dostanie się w wiadome, brudne ręce. Sprośności, które bez wątpienia mogłyby, w tak zwanym interesie państwowym, zostać później wykorzystane! To prawda, w czymś takim nie można maczać palców bez skrupułów, towarzyszu Helldorf! Ale przeciąganie sprawy ponad miarę, tak jak pan o robi, na dłuższą metę też nie jest możliwe. - A więc dobrze, towarzyszu Schullenburg. Wobec tego rozwiązanie problemu jest proste: przekazuję tę sprawę panu jako mojemu zastępcy. Jakie kroki zamierza pań podjąć?

- Praktyczne i zgodne z kompetencjami policji, panie naczelniku. Odnotować, czyli przekazać wyżej, należy wyłącznie wydarzenia o charakterze kryminalnym i powtarzające się notorycznie; w żad-

nym razie nie mogą się znaleźć w kartotece przypadkowi i po raz pierwszy zarejestrowani przechodnie.

- Właśnie dokładnie *odo* ma się pan postarać! - powiedział Helldorf z wyraźną ulgą. Nie był pozbawiony nadziei, pozostał jednak sceptyczny. - Niech więc pan wśród uprawiających ten wyuzdany proceder spróbuje przeprowadzić w miarę rozsądną linię podziału, która oddzielałaby szubrawych złoczyńców od biednych ofiar. Przypuszczam, że pan się orientuje, dla kogo ostatecznie jest przeznaczona ta centralna kartoteka.

- Prawdopodobnie dla gestapo. To pasuje do metod tych osobników. Im się zdaje, że wszędzie natrafiają na złotą żyłę. Ale z nami nie pójdzie im tak łatwo!

- Niech pan będzie ostrożny, towarzyszu wicenaczelniku! I proszę nie Uczyć na mnie, że będę pana aniołem stróżem. Jeśli nawet kiedyś miałem skrzydła, to już dawno mi je podcięto. Niech pan sobie rozważy: jedna mała wpadka, która zdradzi pańskie nielegalne metody, i już po nas. Po nas obu!

W tym samym dniu w Kancelarii Rzeszy, w co do minuty ustalonym czasie zjawili się feldmarszałek Werner von Blomberg i generał baron von Fritsch. Pułkownik Hossbach zaprowadził ich do Führera, który bez zwłoki wyszedł im naprzeciw - z szeroko rozwartymi ramionami. Obraz w prostym kolorze feldgrau i złotawo połyskującym brązie. Hitler najpierw przywitał Blomberga, wznosząc wzrok ku górze, ponieważ feldmarszałek był od niego wyższy o pół głowy. Blomberg jednak pochylił się głęboko. Dzięki temu Hitler spojrział na niego z góry, a potem, obiema rękami przyciągnął do siebie.

- Cieszę się, że pana widzę!

Hitler i naczelny wódz armii, generał Fritsch, obaj niemal tego samego wzrostu, stanęli, by tak rzec, naprzeciw siebie oko w oko, tyle że jedno oko generała Fritscha, mianowicie lewe, spoglądało przez szkiełko. Nosił on bowiem monokl, który pozornie nadawał mu wyraz wyniosłej arogancji, a w rzeczywistości chodziło tylko o korygowanie wywodzącej się jeszcze z młodości wady wzroku.

Komentarz generała dotyczący owego monokla powtarzano później w szerokich kręgach: „Noszę go, żeby zachować nieruchomą

twarz, zwłaszcza kiedy stoję naprzeciw tego człowieka!" - Miał na myśli Hitlera.

Generał Werner von Fritsch mógł uchodzić za ideał pruskiego oficera, chociaż jego ojciec pochodził z Saksonii, a matka z Nadrenii. Był to wojskowy asceta, żołnierz o powściągliwości mnicha. Żartobliwe czy dowcipne uwagi nie były w jego stylu.

Feldmarszałek Blomberg natomiast uchodził, jak wszyscy zgodnie poświadczają, za światowca: był szczupły i energiczny i miał pogodne usposobienie. Mimo to niekiedy, zwłaszcza bezpośrednio przed tymi wydarzeniami, sprawiał wrażenie „jak gdyby przybitego”. Podobno dawały się niekiedy zauważyć „sine worki pod jego szklistymi oczami”.

Hitler z wyszukaną uprzejmością poprosił swoich gości o zajęcie miejsca w pobliżu frontowego okna, tuż obok jego biurka. Zachęcająco uśmiechnął się do swego ministra wojny, aby jednak za chwilę zwrócić się ku naczelnemu dowódcy sił lądowych, wyraźnie go wyróżniając. Jak gdyby od niechcienia, pozornie nawet lekko rozbawiony, powiedział na wstępie:

- Panie von Fritsch dostarczono mi raport, z którego wynika, że niektórzy oficerowie pańskiej armii nazywają mnie podobno malarzem. Czy to prawda?

.. - Prawda - lapidarnie potwierdził generał.

- A pan zwrócił im uwagę, żeby w przyszłości mówili nieco ciszej. Czy to też prawda?

- Tak jest - powiedział von Fritsch we właściwy sobie lapidarny sposób, patrząc Hitlerowi prosto w twarz.

Ten spojrział teraz pytająco na swego feldmarszałka. I Blomberg odezwał się niezwłocznie:

- O ile jestem dobrze poinformowany, chodziło wtedy o osobników kompletnie pijanych. Ich wypowiedzi nie należy, z czym prawdopodobnie pan generał się zgodzi, wyolbrzymiać, a w żadnym wypadku rozdmuchiwać. Kiedy Fryderyk Wielki, pan z pewnością zna tę historię, mein Führer, dostrzegł na plakacie swoją karykaturę, powiedział tylko władczy tonem: „Powiesić niżej!” Myślę, że i w tym wypadku reakcja powinna być podobna.

- Absolutnie - zgodził się von Fritsch.

Hitler stał się teraz szczególnie łaskawy — odpowiadało mu to

porównanie jego osoby z wielkim królem pruskim. Niemal wesoło przeszedł do innego tematu:

- W ostatnim czasie podczas jakichś manewrów doszło do ostrych potyczek, byli nawet ciężko ranni. Brał w tym udział któryś pułk wojska i straż przyboczna SS.

- Takie rzeczy - skromnie wyjaśnił generał - mogą się zdarzać.

- Ale pan, panie von. Fritsch, bezpośrednio po tym zażądał rozwiązania straży przybocznej, mojej straży przybocznej.

- Zasugerowałem! Niech mi wolno będzie przypomnieć przyjętą między nami podstawową zasadę: Wehrmacht jest jedynym obrońcą niemieckiego narodu.

- I-ma nim pozostać - zapewnił Adolf Hitler niemal uroczyście. Sprawiał wrażenie, jakby ubolewał z powodu tego nieporozumienia, i to bardzo głęboko. Potem znowu spojrzał na swojego feldmarszałka. Pełen nadziei.

A ten rzekł donośnie: - W tej kwestii z pewnością powiedziano i uczyniono wszystko, co możliwe, i to w sposób przekonujący! Kości już dawno zostały rzucone, najpóźniej wtedy, kiedy wykluczono owego pana Röhma.

Była to aluzja do krwawej łaźni nad Tegernsee pod Monachium, jaka miała miejsce 30 czerwca 1934 roku. Hitler polecił wówczas zamordować szefa sztabu i licznych wysokich funkcjonariuszy SA, ponieważ zamierzali oni przy pomocy jednego zmilitaryzowanego oddziału dokonać rewolucji. I to nie tylko przeciwko Wehrmachtowi.

- Podstawę naszej współpracy stanowi zaufanie! - potwierdził generał von Fritsch. I wydawało się, że jest o tym przekonany. ':- Tak powinno być i tak być musi - przytaknął spontanicznie führer. - Tylko to wzajemne zaufanie ma oczywiście być absolutnie i bezgranicznie zobowiązujące. Musimy więc z całą stanowczością wyposażyć nasz Wehrmacht, a zwłaszcza naszą armię, w niepowtarzalną wręcz siłę! W przekonującą siłę!

- Czy to znaczy że jest pan, panie kanclerzu, niezadowolony z moich dokonań? - Generał Werner baron von "Fritsch postawił to drażliwe pytanie z niewzruszoną nonszalancją. - Jeśli kiedykolwiek miałby pan wątplić we mnie i w moje umiejętności, panie kanclerzu, proszę mi tylko powiedzieć. Podam się do dymisji.

- Tylko nie to! - wykrzyknął Blomberg, minister wojny Rzeszy,

wysoce zaniepokojony. - Nikt nie myśli o pańskiej dymisji, panie von Fritsch. Niemożliwe, żeby ktokolwiek tego chciał.

- Oczywiście, że tego sobie nie życzę! - zapewnił Adolf Hitler serdecznym tonem. - Przecież pańskie zasługi dla naszego niemieckiego narodu, dla naszej armii, panie generale, są wręcz nieocenione!

- Jestem gotów służyć panu, panie kanclerzu, bez zastrzeżeń - oświadczył z mocą Fritsch. Był on przecież prawdziwym żołnierzem, wiernym i posłusznym. Pozostałby takim w każdej epoce - był nim również wtedy.

- Dobrze, bardzo dobrze! - wykrzyknął z uznaniem von Blomberg.

- Dziękuję - powiedział Adolf Hitler, schylając głowę w geście skwapliwego uznania. Nie patrzył jednak na swojego, ministra wojny, zajęty dalej naczelnym wodzem armii. Oświadczył mu teraz, starając się używać ostrożnych sformułowań: - Pańskie zasługi, panie generale, są z pewnością niezwykle. Oczywiście nie od razu wszystko jest doskonałe. Przyzna pan, że niejedno jeszcze musimy zmienić, ulepszyć. Ale przecież my wszyscy uczestniczymy w procesie jedyne w swoim rodzaju, narodowego doskonalenia.

- Moim zadaniem - oświadczył von Fritsch niewzruszenie - jest rozbudowa armii, podnoszenie jej skuteczności. Ale na to potrzeba czasu.

- Nie może to jednak ciągnąć się bez końca. Mam tu na myśli, żeby podać choć jeden przykład, politykę personalną w armii - powiedział führer. - W moim odczuciu mało w niej jeszcze tego nowego ducha. Korpus oficerski wlecze za sobą, jakby zupełnie nieświadom, dawno już przeżyte tradycje. Czy też jest pan może odmiennego zdania, panie von Blomberg?

- Nie, nie, raczej nie, mein Führer! - zapewnił feldmarszałek, po czym jednak, bardzo ostrożnie, nawiązał do myśli generała: —. Ale to prawda, że takie przedsięwzięcie wymaga czasu. Bo przecież jeszcze nie w całych Niemczech zrozumiano, czego żąda od nas nowe państwo.

- Moi panowie - odezwał się Adolf Hitler, wstając dosyć niespodziewanie z krzesła i serdecznie ściskając ręce swoim gościom.

- Dziękuję panom za szczerość. Ta rozmowa była bardzo pouczająca.

O tym, jak niezmiernie pouczająca była ta rozmowa, führer i kanclerz Rzeszy jeszcze tego samego wieczora poinformował Göringa. Czyli owego obdarowanego tak wieloma urzędami, uprzywilejowanego paładyna; był on także między innymi naczelnym dowódcą Luftwaffe. Göring przysłuchiwał się z pełnym rozkoszy i wściekłości zachwytem.

- Próbowałem znowu - oznajmił Hitler, opierając się omdlewającym gestem o oparcie skórzanego fotela, ze wzrokiem skierowanym w sufit - wybadać tego Blomberga i Fritscha. Rezultat:, oni nie są zdecydowani na sto procent! Czyli mało przydatni dla naszej wielkiej, niemieckiej sprawy!

- Co wcale mnie nie dziwi - oświadczył Göring z właściwą sobie zuchwałą otwartością, do której zawsze się odwoływał, kiedy wy-czuwał korzyść dla siebie. - Ten Fritsch to w gruncie rzeczy ograniczo-ny wojskowy biurokrata! A Blomberg mówi tak, jak mu zagra Fritsch, mein Führer. On tylko wszystkiemu przytakuje. Pragnie przede wszyst-kiem przyjemnie żyć, Tak naprawdę to leń.

Na tego rodzaju beczelne wypowiedzi w obecności Adolfa Hitlera Göring mógł sobie bezkarnie pozwalać - pod warunkiem, że znaj-dowali się sami albo w kręgu ściśle zaufanych osób. Nierzadko führer upajał się tymi brudnymi potwarzami. Ów masywny Göring bowiem nie bał się niczego i nikogo - a najmniej swoich intryg. Z jedynym niewątpliwym wyjątkiem - Hitlera! Z nim nie było żartów - należało tańczyć tak, jak on zagrał.

I Hermann Göring rozumiał to. Jego führer wiedział o tym, a Göring zdawał sobie z tego sprawę. Jego taktyka polegała na ciągłym czekaniu, aż wreszcie on będzie mógł rozegrać piłkę. Kiedy tylko trafiała do niego, chwycił ją, zonglował nią raz mniej, raz bardziej zgrabnie, zawsze jednak z polotem.

Hitler ożywiony, grzmiał dalej: - Wtedy z czystej uprzejmości spróbowałem uświadomić temu Fritschowi, że powinien przyspieszyć rozbudowę wojska, że musi prowadzi dostosowaną do nowych wa-runków politykę personalną, czyli kłaść szczególnie nacisk na kon-struktywne powiązanie z organami państwa i partii. Ale on nic z tego nie zrozumiał, nic! Jedyne, co miał do powiedzenia na moje za-strzeżenia to to , że na wszystko potrzeba czasu.

- To nawet podobne do tego pruskiego konia z wojskowych defilad! - wypalił Göring ze skrzeczącą furią. - On po prostu nie jest

zdolny zaryzykować spojrzenia, które sięgałoby poza mur koszar. Sprawia wrażenie starca. Poza tym mówi się, że jest chory: ma kłopoty z oddychaniem, nadciśnienie, nowotwór odbytu czy coś w tym rodzaju.

- Tak się mówi? - Hitler nadstawił uszu. — Czy wiadomo coś dokładniej? Czy są jakieś dokumenty? To bardzo mnie niepokoi, jestem zatroskany o stan zdrowia mego wodza.

Hermann Göring roześmiał się donośnie, bez najmniejszego skrępowania, byli przecież sami. - Odpowiednie dokumenty zawsze mogą się znaleźć - zapewnił. A za chwilę spytał: - A może przydałyby się podobne detale na temat Blomberga? Myślę, że coś takiego dałoby się zrobić.

- Tylko bez niepotrzebnych sensacji! - upominał go Hitler, zrazem przeciwny i przychylny propozycji. - To, co mną kieruje, to troska, obawa. Zwłaszcza jeśli chodzi o Blomberga, któremu bądź bądź mamy trochę do zawdzięczenia. Choć muszę przyznać, że jego zachowanie w obecności von Fritscha nie przypadło mi szczególnie do gustu. Blomberg nie poparł ochoczo mojego stanowiska, które dosyć jasno przedstawiłem. Najwyraźniej też nie jest przekonany do naszej sprawy.

- Wiedziałem, że tak będzie! - wykrzyknął Göring niemal z zachwytem. - Jemu po prostu za dobrze się powodzi! Wiedzie bardzo wystawne życie; za dużo je, wlewa w siebie co popadnie i plecie głupstwa wkoło! - W ten sposób przypisał ministrowi wojny Rzeszy niemal wszystkie te cechy, które miał sam. - Poza tym daleko mu do stuprocentowego mężczyzny! Podobno lekceważąco, i to bardzo, wyrażał się o polowaniu. - To Göring miał mu szczególnie za złe, bo ta wypowiedź była wyraźnie wymierzona przeciwko niemu, wielkiemu łowczemu Rzeszy!

- Ponadto pija zagraniczne trunki! Ubiera się w Londynie! Słyszałem też, że czyta amerykańskie powieści w oryginale. Nie jest to zgodne z niemieckim duchem!

Hitler upajał się tą rozmową nie okazując tego nawet w najmniejszym stopniu. Powiedział jedynie z zadumą: - Bądź co bądź mówimy o kompetentnych dowódcach naszego Wehrmachtu.

- Oni też nie są niezastąpieni! - zapewnił Göring. - W każdym razie należałoby poważnie zastanowić się nad ich zwolnieniem, jeśli właściwie oceniam okoliczności. Ale może się myłę, mein Führer?



Hitler sprawiał wrażenie, jakby wpatrzony był w jak najodleglejszy horyzont, nie odezwał się. Göringowi jednak zdawało się, że führer jak gdyby potakująco skinął głową. W każdym razie również w tej chwili uciekł się do swojej skutecznej taktyki: jeśli w kręgu zaufanych osób nie wyrażał jednoznacznego sprzeciwu, należało rozumieć to jako akceptację.

Co komuś takiemu jak Göring wystarczało. To był myśliwy - również w polityce. Jego niezawodny łowczy instynkt podpowiadał mu zawsze, jak wytropić żywą istotę; „uznaną za dzikie, zwierzę, i jak się z nią rozprawić. Jednym strzałem.

Dalszy ciąg relacji doktora Ericha Mellera: „Ów kociot czarownic, który się wówczas warzył, nie wydał się niczym szczególnym. Przypominał raczej nieodparcie metody stosowane z sukcesem od stuleci przez kryminalnych, zawodowych władców. Jeśli niewygodnych przeciwników nie można ugodzić w serce ani opanować ich umysłu, trzeba razić poniżej pasa.

Kto natomiast nie przeszkadzał ani nie zagrażał tego rodzaju władcom, od Nerona po Hitlera, dla tego nie było żadnych moralnych granic czy obyczajowych tabu. Ci pozwalali sobie; niemal pod każdym względem, na wszystko, co można sobie tylko wyobrazić.

I tak na przykład Ernst Röhm, szef sztabu SA, do momentu, gdy nie zaczął wydawać się groźny swojemu führerowi, mógł swobodnie uprawiać homoseksualne praktyki, a wraz z nim czyniło to wielu innych, również jeden z ministrów. Dopóki wszyscy oni byli niezaprzeczalnie posłuszni Hitlerowi, mieli niemalże wolną rękę. Jeśli jednak powstawało choćby najmniejsze podejrzenie, że próbują się sprzeniewierzyć, wyłamują się, bezceremonialnie i bez żadnych zahamowań stawiano ich pod pręgierzem wobec całego narodu - jako całkowicie wykolejony, brudny, demoralizujący element». Rzucano ich więc - dającym się łatwo zastraszyć masom, a w gruncie rzeczy jedynie chciwym wrażeń, na pożarcie.

W wyjątkowo fatalny sposób nadawał się do wykorzystania przypadek Evy Gruhn, kobiety, która nie chciała niczego więcej jak tylko kochać. Bo wreszcie uwierzyła, że jest kochana. Bez zastrzeżeń. A z tego na pewno dało się zrobić użytek."

Draga próba beletryzacji biegu wypadków  
związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Falszywy  
przyjaciel

- Evo, kochana! Dlaczego mnie unikasz? Czy nie widzisz, ile dla mnie znaczysz? Ja ciebie kocham!

Zapewniał ją o tym niejaki Vogelsang, agent numer 134. Odwiedził Evę w jej mieszkaniu. Siedział na pokrytej kwiecistym obiciem kanapie. Starał się patrzeć na Evę z pożądaniem, a jednocześnie z bezgranicznym oddaniem. Na szklanym stoliku stały przed nimi: pasztet z gęsich wątróbek, z samego Strasburga, miseczka z kawiozem, rosyjskim, a do tego butelka szampana pommery. Wszystko to, przepełniony nadzieją i radością, przyniósł z delikatesów przy Kurfürstendamm. Dla niej.

- Ale ty mnie nie kochasz!

Była to ciężko wydyszaną skarga, a zarazem oskarżenie. Eva Gruhn spojrzała na niego z pobłażliwością. Potem powiedziała irytująco łagodnie:

- Wiesz przecież, że nie ma dla mnie żadnej wartości, kiedy próbuje się mnie kupić. Jak coś na własność! Mówiłam ci to już parę razy. Do czego ty chcesz mnie namówić?

- Do szczęścia, Evo!

- Co przez to rozumiesz?

- Kochana Evo - zapewniał ją, pochylając się w jej stronę - gotów jestem nawet się z tobą ożenić... pod pewnymi warunkami.

- Żadnych warunków - oświadczyła nie bez dumy - nie zamierzam akceptować! Ja chcę nieograniczonego, bezinteresownego zrozumienia. To jest dla mnie miłość. Ale ty chyba nie jesteś do tego zdolny.

To niedbale rzucone twierdzenie oburzyło go, sprowokowało do niezamierzonego wybuchu: - Już dawno cię przejrzałem! Jesteś nieobliczalna, owładnięta niepohamowaną żądzą życia! Chcesz tylko używać życia, wszystko jedno jak i z kim! Zgadza się?

- Nie! Bo zawsze marzyłam tylko o tym, żeby znaleźć człowieka, który będzie mnie podziwiał i którego ja też będę mogła podziwiać. Ale tego ty na pewno nie jesteś w stanie zrozumieć.

- Co mi tu opowiadasz! - Zabrzmiało to bardziej jak pogroźką niż

drwina. - Czyli królewicz z bajki! Mam wrażenie, że pilnie się starasz kogoś takiego sobie przygadać.

Eva Gruhn spojrzała na niego zaszępiła.

- Szpiegujesz mnie? Nie radzę ci, jeśli zależy ci jeszcze na znajomości ze mną.

- Zależy! Bardzo, Ale coraz mi trudniej. No bo powiedz, co ci po tym młodzieniaszku? Heersdorf, Herbert Heersdorf. Kupiec rzekomo handlujący z zagranicą, a tak naprawdę ta zwykły darmozjad! Czego ty się po nim spodziewasz?

- Niczego - otwarcie odparła Eva. - Mam to, czego chcę, mężczyznę, który mnie kocha, bezinteresownie.

-Boże drogi! - zdenerwował się Vogelsang. - Ale ty jesteś przebiegła! Próbujesz mnie złamać, tak? Chcesz mnie zmusić, żebym się z tobą ożenił! Ale ze mną ci się to nie uda.

Oto prawdopodobnie wkrótce potem sporządzony raport „męża zaufania” Volkera Vogelsanga, numer 134. Dotyczy: Ewy Gruhn.

„Wzmiankowana osoba wyznaczona mi do obserwacji została zgodnie z zaleceniem poddana intensywnym obserwacjom. Przy tej okazji wyszły na jaw fakty, które na pewno doprowadzą Ewę Gruhn do konfliktu z władzami. Jej osobę można uznać za w wysokim stopniu zagrożoną! Szczegóły poniżej:

Zajmuje się pozowaniem do zdjęć rzekomo reklamujących modę. Najczęściej chodzi jednak o bieliznę i kostiumy kąpielowe. Otrzymuje za to pieniądze.

Można domyślać się także innych ekscesów. Adresy w załączeniu. Również niejakiemu Herberta Heersdorfa. Podaje się za handlowca, sprawia jednak wrażenie osoby bardzo niepewnej. Należy poddać go obserwacji.

Niemal w tym samym czasie pojawiła się na scenie wyraźnie znacząca osobistość. Na razie nie do ustalenia, o kogo chodzi. Jeśli będą mi znane dokładne szczegóły, dołączę kolejny raport. Pozostaję blisko obserwowanego obiektu.”

Na początku lata 1936 roku - czyli w czwartym roku istnienia III-Rzeszy - Otto Schmidt, nazywany Otto-Otto, dostał się w ręce gestapo. Skazano go od razu na karę siedmiu lat więzienia; nie odbył jej jednak.

Otto Schmidt bowiem bardzo szybko dawał się namówić do tego, co w fachowych kręgach przyjęło się określać „śpiewaniem”. Jeśli tylko popadł w tarapaty, kiedy na przykład miał odsiedzieć jakąś karę, starał się „wyspiewać sobie” przychylność policji. Nie szczędził wysiłku, żeby, dostarczyć „materiału”: nazwiska, adresy, wskazówki - nic trudnego dla takiego jak on intymnego znawcy berlińskiego światka homoseksualistów.

Od, niedawna przestępstwami tego rodzaju na terenie Wielkiego Berlina nie zajmował się już, referat do spraw obyczajowych policji, lecz nowo utworzona komórka - Centrala do Zwalczenia Homoseksualizmu w Rzeszy, Działała ona jako wydział H-II z siedzibą w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, czyli znajdowała się w bezpośredniej gestii gestapo.

I właśnie tam Otto-Otto sypał na trwającym godzinami, całymi dniami przesłuchaniu. Mówił wszystko, czego od niego żądano, z największą skwapliwością i w obfitości wręcz rozrzutnej. Jego lista objęła na koniec prawie sto nazwisk; znajdował się na niej między innymi również niejaki „Frisch” - albo nawet „von Frisch”. - Wyższy oficer, ze starej arystokracji-zapewniał Otto-Otto.

Nie bawił się w szczegóły. Chętnie upiększał oferowany przez siebie towar, żeby jego klientom wydawał się jak najbardziej atrakcyjny,

Funkcjonariusz prowadzący przesłuchanie — nazywał się Herbert albo Hubert, w każdym razie swoje raporty podpisywał zazwyczaj literą „H” - sprawiał wrażenie zadowolonego. - Pracowita z siebie bestia! Niezła robota, ty żmijo!

Otto Schmidt przyjął to za komplement - wcale nie bezpodstawnie. Powiedział wyniośle: - Człowiek stara się jak może! To chyba powinno wystarczyć, prawda? - Miał na myśli istotne złagodzenie kary, a może nawet jej uchylenie, „jako rekompensatę za te wyborne informacje.

- Zobaczmy, co powie szef - odparł ów Herbert czy Hubert z niejaką nadzieją w głosie.

Szefem Centrali do Zwalczenia Homoseksualizmu w Rzeszy był niejaki Joseph Meisinger, czyli ów przeniesiony z komendy policji do gestapo radca kryminalny. Na nowym stanowisku zjawił się z pokaz-

nymi, wręcz pękającymi od teczek personalnych walizkami. Wiele lat później, jako wyższy funkcjonariusz SS, będzie pracował za granicą, w niemieckiej ambasadzie w Tokio. Tam właśnie w olśniewający sposób miał się z nim rozprawić chyba najbardziej utalentowany szpieg działający przeciwko nazistom, doktor Richard Sorge, co przez wielu zostanie przyjęte z satysfakcją,

Joseph Meisinger z upodobaniem stosował metody brutalne, przestępcze. Należało do nich także przyzwyczajanie zawczasu swoich podwładnych do strachu przed sobą. Starał się bowiem robić wszystko; co możliwe, żeby tylko ucieszyć swoich przełożonych.

Gdy otrzymał okazałą listę Otto Schmidta, powiedział: - Będą z tego piękne posiłki dla obozów koncentracyjnych! - A następnie zlecił: - Z listy należy wyłączyć te osoby, które mogłyby w jakikolwiek sposób okazać się wpływowe. Na przykład ludzi, bogatych, ustosunkowanych, no i przede wszystkim członków partii. Nimi zajmiemy się oddzielnie.

A kiedy ów Joseph Meisinger bliżej przyjrzał się liście sporządzonej przez Otto Schmidta, powiedział w zamyśleniu: - Coś mi się tu nie podoba! - Uważał się za genialnego specjalistę w dziedzinie kryminalistyki i zawsze, znajdował kogoś, kto mu to potwierdzał. - Ja mam dobrego nosa! - zwykł mówić. A teraz rzeczywiście węszył jak pies myśliwski.

- Czy odkrył pan coś szczególnego? - spytał Herbert-Hubert, sędzią śledczy, w każdej chwili gotowy unizienie wyrazić swoje uznanie.

- Niewykluczone - powiedział Meisinger zadumany, - Co to za nicpoń ten Schmidt?'

- Zwykła żmija. Nic specjalnego w tych kręgach.

- Pewny?

- Całkowicie. A stuprocentowo pewny wtedy, kiedy mu się to opłaca. Wtedy połknie nawet najobrzydliwsze gówno. I wypluje je tam, gdzie mu się każe.

- Chciałbym go zobaczyć! - oznajmił Meisinger.

W niecałe pół godziny potem spotkał się z nim w cztery oczy. Obaj bezceremonialnie zmierzli się od stóp do głów; czekali w napięciu, pełni nadziei. Nie spieszyli, się.

- Czy można na parni polegać, Schmidt? - spytał wreszcie Meisinger wyraźnie zachęcającym tonem. .

- Absolutnie, panie komisarzu! Muszę tylko wiedzieć, na czym panu zależy.

Meisinger przerzucił protokół z przesłuchania Otto Schmidta. Chodziło mu tylko o jedno nazwisko, które jemu, temu czujne mu superznawcy, tytułarnemu obrońcy niemieckiej, moralności, rzuciło się w oczy.

- Tu jest napisane Frisch.

- Tak jest!

- Dodano jeszcze, że to wyższy oficer, prawdopodobnie ze starej arystokracji. Czy to możliwe żeby chodziło tu o generała? No, mój drogi?

Umiejący szybko myśleć Otto-Otto bezzwłocznie zrozumiał, że oczekuje się od niego czegoś wyjątkowego. Czegoś, co mogłoby się opłacić.

- Tak jest, generał. Możliwe. Bardzo możliwe.

- A czy możliwe jest też, że pomylił pan nazwisko? Jakaś drobna pomyłka?

- Mylić się to ludzka rzecz, panie radco. A na czym, pana zdaniem, mogłaby ta pomyłka polegać?

- Czy można-założyć, Schmidt, że to nazwisko brzmi nie Frisch, ale Fritsch? Von Fritsch?

Otto-Otto poczuł wiatr w żaglach. Zdaje się, że do czegoś tu się przyda. Może to go uchroni przed odbyciem kary. Już widział siebie w roli koronnego świadka.

- Tak, tak, ma pań rację, Fritsch! Von Fritsch! Generał. Zgadza się.

Wtedy Joseph Meisinger, jak zostało stwierdzone, uczynił coś, co nawet w kręgu tego rodzaju „poszukiwaczy prawdy” określało się jako „coś potwornego”. Jeszcze wtedy. Podsunął owemu Otto-Otonowi Schmidtowi zdjęcie.

Fotografia ta, zrobiona w czasie jakiejś defilady, ukazywała niemieckiego generała w pełnej gali: włosy starannie zaczesane do tyłu, przedziałek dokładnie pośrodku, wysokie czoło dominujące nad całą twarzą. Oczy o badawczym spojrzeniu, na lewym monokl. Pod bardzo regularnym nosem wydłużony trójkąt wąsów, wygięte w łuk usta. Człowiek robiący wrażenie surowego ojca. Jego mundur zdobił długi,

zakrywający niemal całą lewą pierś rząd orderów. Górował nad nimi Żelazny Krzyż pierwszej klasy.

- Czy to może był on? - spytał Meisinger zachęcającym tonem inkwizytora.

Otto Schmidt, zazwyczaj zimny jak gład, patrzył, ani trochę nie przestraszony, na przedstawione mu zdjęcie. Zaczynał rozumieć, że, czekają go tu wydarzenia znacznie donioślejsze, niż jego zgniła wyobraźnia była w stanie mu podsunąć.

- No jak tam, Schmidt? - spytał wyczekująco najwyższy spośród wyznaczonych przez Rzeszę urzędowych przeciwników homoseksualizmu. - Czy ten widok odebrał ci mowę?

- W każdym razie - wydusił z siebie Otto-Otto - na stacji - Wannsee nie było go.

- To jasne - Meisinger zaśmiał się serdecznie, jak kumpel. - Nie myśl, że chcę ci wmówić, że ten facet w eleganckim mundurze, z tymi orderami, wypina się w dworcowej toalecie. Musisz zapomnieć o tym całym blichtrze, zwłaszcza o monoklu. Wyobraź go sobie w cywilu! No i co?

- No tak, tak, kiedy go sobie wyobrazę... Niewykluczone, że to rzeczywiście on...

- Tak czy nie? Nie próbuj się wymigiwać, ty źmijo! Nie ze mną takie numery, zrozumiano? Tu chodzi o wysoką stawkę, również dla ciebie!

- A gdybym rzeczywiście zaświadczył... - Otto Schmidt spojrział, prostodusznie, wręcz błagalnie, - To co wtedy?

- Jeśli powiesz prawdę, na której bardzo mi zależy, i będziesz przy niej obstawał, i to niewzruszenie, wtedy, że tak powiem, odłożymy cię na bok jak puszkę kawioru czy butelkę szampana. Aż nadejdzie twoja godzina.

- Czyli do tego czasu mógłbym zrobić sobie urlop?

- Na koszt państwa - ochoczo potwierdził Meisinger. - Będziemy wobec ciebie bardzo hojni. Ale pozostaniesz pod naszą opieką. Możesz wybierać. Albo będziesz węższył, niezawodnie, i zostaniesz moim człowiekiem, albo wylądujesz w więzieniu na parę lat. Co wybierasz? Słucham.

- Jasne, zostanę pana człowiekiem! - Otto Schmidt zdecydowany by} wybać wolność, swoją wolność, czyli to, co on przez to rozumiał. I niemal uroczyście oświadczył: - Tak jest, to był on!

## Z relacji Mellera:

„Ów podstępny handel kloaczny doprowadził potem do powstania desyć przydatnego dokumentu. A za jego pomocą Meisingerowi udało się w niezwykle przyjemny sposób zaskoczyć swojego szefa, Heydricha, a mojego »przyjaciela z młodości«. Tak więc według istniejących dowodów już w 1936 roku - czyli ponad rok przed szybko zbliżającą się końcową katastrofą - zostało sporządzone w Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy tak zwane pierwsze dossier von Fritscha.

Było przechowywane tam jako jedna z najlepiej strzeżonych tajem? nic tej fabryki eksterminacji mieszczącej się na Prinz-Albrecht-Strasse. Nie wiedziała o tym ani Abwehra, ani policja, również na mojej giełdzie informacji tych papierów nie licytowano. Prawdopodobnie' nawet Himmler nie został o tym poinformowany.

Ale jedną jedyną osobę spoza Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy wtajemniczono niezwłocznie: Adolfa Hitlera. Gdy Reinjard Heydrich przedłożył mu owo pierwsze dossier, dodając, że jest to wielka tajemnica państwowa, Hitler, pozornie znudzony, przerzucił je tylko bez słowa. Na koniec odsunął je na bok ze stwierdzeniem; To mnie nie - interesuje .

Nie powiedział więc: To dopiero świństwo! Przy czym mógłby mieć na myśli von Fritscha, i równie dobrze gestapo. Nie powiedział też: Wypraszam sobie coś takiego, to ma zniknąć! Czego skutkiem byłoby oczyszczenie, niejako z ramienia państwa, tego całego bagna. Nie, führer oświadczył jedynie: »To mnie nie interesuje!« Czyli --nie teraz. Nie. Jeszcze nie!

Tego rodzaju subtelne różnice mój »przyjaciel z młodości« Heydrich potrafił rozpoznać bez trudu. Wniosek, jaki z tego wyciągnął, *by-* następujący: Prawdopodobnie von Fritsch na razie mógł się okazać przydatny, czyli znajdował się, by tak rzec, pod opieką państwa. Hitler jeszcze nie chciał uznać go za skończonego.

Wobec czego owo dossier zniknęła w jednej" z pancernych szaf: Heydricha. Na, długie miesiące. Za to potem..."



### 3

## Giganci w działaniu

Z relacji byłego radcy rządowego w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Berlinie, doktora Ericha Mellera: „Można dokładnie określić dzień, który stanowił początek końca tych strasznych wydarzeń - także miejsce i dokładną godzinę: 3 listopada 1937 roku. Kancelaria Rzeszy. Narada na temat aktualnej sytuacji. Początek godzina 16.15 - koniec około godziny 20.30.

Oprócz Hitlera obecni byli:

Feldmarszałek Werner von Blomberg, minister wojny Rzeszy i na czelny dowódca Wehrmachtu. Zajmował miejsce po prawej ręce führera.

Po lewej stronie głowy państwa siedział minister spraw zagranicznych Rzeszy, Konstantin baron von Neurath.

Dalej: dowódcy trzech formacji sił zbrojnych, czyli generał von Fritsch, armia lądowa; generał Göring, siły powietrzne; admirał Raeder, marynarka wojenna..

Ponadto obecny był także adiutant führera pułkownik Friedrich Hossbach, zajmujący miejsce w najodleglejszym końcu ogromnego, lakierowanego stołu.

Na jego obserwacjach i zapiskach opierają się główne fragmenty mojej relacji. Hossbach, coraz bardziej sceptyczny obserwator wielkoniemieckiej sceny, sporządził szczegółowe notatki na temat wydarzeń, w widoczny sposób nabierających historycznego znaczenia. Udostęp-

nił je później kilku przyjaciółom uchodzącym w jego oczach za zaufanych, do których zaliczył również mnie, jak sądzię, nie bez racji."

Adolf Hitler rozpoczął naradę z wyszukaną galanterią, co potrafił bardzo dobrze, jeśli tylko tego chciał. A tym razem tak było. Podziękował swoim gościom za przybycie, zapewnił, że bardzo jest rad i ma nadzieję na dalszą owocną współpracę, równie wzorową jak do tej pory.

Wiedział dokładnie, dlaczego jego feldmarszałek poprosił go o tę naradę. Blomberg, prawdopodobnie z inspiracji von Fritscha, chciał poruszyć kwestię bardziej wyważonego, równomiernego przydziału surowców dla przemysłu zbrojeniowego. Pretensja ta dosyć jednoznacznie była skierowana przeciwko Göringowi, który od roku 1936 był odpowiedzialny za plan czteroletni. Jak zakładano nie bez podstaw, Göring z zupełną beztróską faworyzował swoją Luftwaffe. Twierdził bowiem: „My nie mamy żadnych problemów finansowych! My możemy pozwolić sobie na wszystko! Hermann - czyli Göring - bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność!” Hitler nie był bynajmniej skłonny występować w roli obrońcy Göringa. Wręcz przeciwnie, życzył mu nawet trochę kłopotów. W żadnym wypadku jednak nie mogło dojść do konfliktu między trzema dowódcami. Dlatego też führer był zdecydowany skierować ich uwagę na godniejsze cele, może nawet najwyższe z możliwych. I właśnie z tego powodu zaprosił pa naradę również swojego ministra spraw zagranicznych.

Hitler rozpoczął jeden z jego wielkich monologów, które po trafiły trwać parę godzin. Tym razem jednak, jak wynika z notatek pułkownika Hossbacha, skoncentrował się na następujących zagadnieniach.

Po pierwsze: Bardzo istotne jest, żeby nie tylko iść z duchem czasu, ale zdecydowanie go wyprzedzać. Ci, co z trudem i bezradnie doganiają jedynie swój czas, są właściwie zgubieni. Wyraźnie rozpoznawalne znaki ówczesnego czasu były według Hitlera następujące:

Europa znajduje się w sytuacji przełomowej. Można liczyć na poparcie Włoch; duce solidnie się o to stara. Natomiast zepsuta moralnie Francja właściwie jest już zgubiona. A Anglii potrzebny jest mocny

bodziec, żeby wreszcie zaczęła myśleć o swoich prawdziwych wartościach i własnym honorze.

Po drugie: Niewykluczone, że za kilka, i to wcale nie tak wiele lat Rosja Sowiecka mogłaby przekształcić się w światowe mocarstwo najwyższej rangi. Nie można jednak czekać tak „długo. Ameryka potrzebuje prawdopodobnie jeszcze dużo czasu, żeby dostosować się do -Er jcesu, któremu my musimy przewodzić. Ten dotknięty przez żydowską zarazę naród musi najpierw uporać się ze swoimi niewyobrażalnymi trudnościami finansowymi i gospodarczymi. „My jednak, nieprawdaż, nie mamy nic do stracenia - natomiast wszystko do wygrania!"

Wobec tego, po trzecie, nasuwają się następujące wnioski: Francją należy się zająć, Anglię trzeba przekonać, że na Wschodzie sytuacja musi ulec wyjaśnieniu. I to zarówno w Czechosłowacji, jak i w Polsce; nawet w Rosji. Te zacofane, zagrządzające drogę postępowi twory zostaną podporządkowane zwierzchnictwu Niemiec. Co jednak może się udać jedynie przy zdecydowanie szybkim działaniu. I do tego musimy się przygotować.

I prawil dalej, jakby nagle przepełniony niepoohamowaną wiarą w swoje posłannictwo:

- Mniej więpej do roku 1945, najdalej, możemy mieć w Europie prawie wolną rękę. Do tego momentu musimy ten nasz kontynent zgermanizowac, czyli spoić go w jedną zwartą całość pod naszym przywództwem. Jeśli nie zrobimy tego w tym czasie; już nigdy natn się lo iie uda ! Potem będziemy wystawieni na napór dwóch mocarstw: żydowskich Stanów Zjednoczonych i komunistycznego Związku Radzieckiego, dążących do naszej zagłady. Ale do tego nigdy - nigdy- nie może dojść!

Obwieściwszy to w sugestywny sposób, z całą świadomością własnego posłannictwa, popatrzył wokół siebie wzrokiem badawcze-pytającym. Jego rozmówcy sprawiali wrażenie oniemiałych, a więc wizja świata Hitlera chyba do głębi ich poruszyła. A minister spraw zagranicznych, baron von Neurath, wyraźnie bardzo podniecony, ciężko dyszał z zamkniętymi oczami, przyciskając obie dłonie do serca.

Reakcja obecnych bynajmniej nie była dziwna w obliczu doprawdy tak epokowego zagajenia. Nawet Göring, głęboko Zadumany, patrzył przed siebie. A Raeder, dowódca floty, potrząsał nieustannie głową,

jakby nagle chwyciła go gorączka. Jedynie von Blomberg zachowywał się z władczą nonszalancją, niczym pozornie nieporuszony. A pułkownik Hossbach notował, notował, notował.

Również dowódca sił lądowych, baron von Fritsch, zdawał się nie ulegać temu porywowi uczuć. Nieodmiennie rzeczowy, jak zawsze, pozwolił sobie powiedzieć:

- Pańskie wywody, panie kanclerzu, niewątpliwie należy określić jako niezwykle dalekowzroczone. Nie ośmieliłbym się ani oceniać ich wartości, ani podawać ich w wątpliwość. Jako żołnierz jestem zdecydowanie człowiekiem czynu. I widzę tylko to, co jest - co teraz jest. I co dostrzegam? Nasza armia lądowa potrzebuje o wiele większego materialnego i finansowego wsparcia, niż otrzymuje da tej pory. Ponadto trzeba niestety stwierdzić: jesteśmy zaniedbywani, by nie powiedzieć: dyskryminowani! A ostatnio, mam wrażenie, prawie, sys tematycznie!

Tym samym, po niemal dwugodzinnym monologu Hitlera, narada została sprowadzona do spraw wymiernych. Wypowiedź Fritscha była wyraźnie' skierowana przeciwko pełnomocnikowi do spraw planu czteroletniego. Przeciwno Göringowi.

Teraz także admirał Raeder stanął u boku Fritscha. Zjednoczonymi siłami zaatakowali Göringa, krytykowali jego metody, próbowali, zdeprecjonować jego posunięcia, i to bynajmniej nie w pieśczośliwych słowach. Göring bronił się - nie mniej zażarcie.

Hitler śledził ów słowny pojedynek w milczeniu, w każdej chwili gotów wystąpić w roli sędziego. Nie zależało mu jednak na ingerencji za wszelką cenę. Również taki rozwój "sytuacji bardzo mu od powiadał. Chodziło tylko o to, jak zawsze w takich wypadkach, że by jak najlepiej wykorzystać okazję. A pod tym względem führer miał niezawodny instyunkt.

Göring, z kilku stron przyparty do muru, wprost zakwilił: „Po zwólcie mi wreszcie powiedzieć własne zdanie!" Tak zanotował pułkownik Hossbach. W tym samym czasie wielu spośród obecnych usiłowało wyprzeć ze swojej świadomości owe wizjonerskie plany przebudowy świata, zapomnieć o nich. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Atakowany przez nich Göring wybuchnął po chwili dosyć nerwowo: - Kiedy słyszę to wszystko, zadaję sobie pytanie, czy to nie jest

przypadkiem próba udzielenia mi lekcji! To przecież niemożliwe, żeby ktoś się na to poważył!

- Proszę nas źle nie zrozumieć - zapewnił von Blomberg, wyraźnie zatroskany. - Nikomu z nas nie przyszłoby na myśl kwestionowanie pańskich umiejętności i dokonań.

-Nikomu bym też tego nie radził! - burknął głównodowodzący Luftwaffe.

- Jeśli o mnie chodzi, mogę zapewnić pana - oświadczył na to feldmarszałek dosyć bezceremonialnie - że cenię sobie pana niezwykle wysoko. - Za wszelką cenę starał się nie uczynić sobie z Göringa wroga. Potrzebował bowiem pilnie jego popałcia, i to w zupełnie prywatnej sprawie. - Jest pan dla nas wszystkich jedynym z najważniejszych gwarantów naszej Rzeszy.

- Ale na te gwarancje składa się również oświadczył von Fritsch całkowicie niewzruszony - absolutnie sprawiedliwy i równomierny podział wszystkich stojących do dyspozycji środków materialnych. A z tego, drogi panie Göring, wynika logiczny wniosek, że najwyższy czas skończyć z tym wręcz dotkliwie jednostronnym faworyzowaniem pańskiej Luftwaffe!

Jeszcze tego samego, wieczora Hitler wezwał Göringa do siebie do Kancelarii Rzeszy. Oficjalnie: zaproszenie na kolację. Przy takiej okazji wolno było rozmawiać o Bogu i świecie, ale Nie o polityce.

Bezpośrednio po posiłku Führer wraz ze swym zastępcą wycofali się do pomieszczenia połączonego z tarasem, w którym Hitler miał zwyczaj studiować gazety i dokumenty. Göring, nie czekając na jakąkolwiek zachętę, wybuchnął grubiańsko:

- W tych ludziach - miał na myśli Blomberga, Neuratha i głównodowodzących sił lądowych, i floty - nie ma najmniejszego śladu wielkości! Rozumieją tyle eo nic z pańskiej imponującej wizji świata, mein Führer!

- Ja też ubolewam nad tym -brakiem zdolności pojmowania - oznajmił Hitler patrząc-na swojego paladyna pełnym oczekiwania wzrokiem. - Ale nie wolno, nam niczego robić byle jak. Powinniśmy wykorzystać wszystkie .nadarzające się możliwości starannie i skutecz-

nie, ale z jak największą ostrożnością! Byłe bez niepotrzebnych meczenników!

- Ja jestem także tego zdania, mein Führer. Tych ludzi należy jak najdyskretniej, ale nie zwlekając, przywołać do porządku albo pomóc im zniknąć ze sceny, na przykład za pomocą kopniaka w tyłek! Mówią w przenośni.

- Trzeba jednak zrobić tak, żeby dla opinii, publicznej, a także wobec historii, krok ten był całkowicie przekonujący! Należałoby coś wymyślić. Zadaję sobie tylko pytanie, komu można by taką rzecz powierzyć?

- Mnie! - zapewnił Göring bez chwili wahania. - Ja się tym zajmę! Z prawdziwą rozkoszą!

Na co Hitler uśmiechnął się do niego, przepelniony nadzieją. Podsunął mu bowiem fałszywą kartę, a on sięgnął po nią ochoczo. Zdawało się, że jest bardzo pewny swego.

- Na mnie zawsze można polegać! - wykrzyknął.

Co jednak było zgodne z prawdą tylko wtedy, gdy chodziło o jego własne interesy, A tutaj, jak sądził, mógł wiele skorzystać.

## Z relacji Mellera:

„Aby móc działać według ogólnej reguły rządzącej walką o władzę - »Kto chce być następcą, powinien usunąć z drogi swojego poprzednika albo mu w tym pomóc« - Göring musiał zastanowić się nad sytuacją. Był on wówczas - nie biorąc pod uwagę jego licznych pozostałych funkcji - jednym z trzech równych stopniem naczelnymi dowódców sił zbrojnych, odpowiedzialnym za Luftffaffe. Marynarka podlegała admirałowi Raederowi - nadzwyczaj zgodnemu i zawsze skłonnemu do kompromisów fachowcowi. Armia natomiast znajdowała się, zdaniem Göringa, we władaniu bezdennie głupiego mędrka o wyzywająco pogardliwym spojrzeniu, czyli von Fritscha. Ponad tymi trzema znajdował się jednak Werner von Blombferg -feldmarszałek, minister wojny Rzeszy, głównodowodzący Wehrmachtu. Nie Göring! pni Blomberga były już policzone. Tak samo myślał teraz także Hitler. Jeśli jednak uda się sprawić, że von Blomberg będzie musiał »pozierać swoje manatki,, potrzebny będzie jego następcą. A według sprawdzonej tradycji, a także ze względu naciągle jeszcze nieuniknioną konieczność liczenia, się z generalicją, stanowisko

to powinno było przypaść w udziale głównodowodzącemu sił lądowych - czyli akurat Fritschowi. Tak więc również jego, jak logicznie rozumował Göring, należało w odpowiednim czasie usunąć.

W ten oto sposób droga przed nim stałaby wreszcie otworem.

Baron von Neurath, minister spraw zagranicznych w gabinecie Hitlera, bezpośrednio po wspomnianej konferencji w Kancelarii Rzeszy doznał ataku serca. Zaufanym osobom wyznał, że nie może i nie chce popierać polityki u której podstaw leży tak wątpliwy i lekkomyślny światopogląd. Nosił się z zamiarem podania się do dymisji.

Admirał Raeder, głównodowodzący flotą, oscylował na pograniczu głębokiej rezygnacji i z trudem podtrzymywanej nadziei. »Naprawdę nie wiem, co mam o tym myśleć! Czy to możliwe, że to wszystko jest tylko nieporozumieniem? Od tej pory z ogromną samodyscypliną wstrzymywał się od jakichkolwiek negatywnych wypowiedzi czy spontanicznej krytyki. Ale właśnie to milczenie odczytywane było przez wszystkich, którzy go znali, niezwykle wieloznacznie.

Werner von Blomberg, feldmarszałek, zachowywał się uderzająco suwerennie. Pozwalał sobie, nawet jeszcze teraz, na podtrzymywanie optymizmu. Jego komentarz brzmiał: »Nic nie jest ostateczne; trzeba umieć odczekać. -I mieć dobre nerwy! Być na zupełnym luzie. Kiedyś, w jakiś sposób wszystkim się ułoży«.

Zachowanie głównodowodzącego armią, nie zdradzało najmniejszego drgnienia duszy. Generał Werner baron von Fritsch sprawiał wrażenie niewzruszonego. Powiedział jedynie: »Robię, co do mnie należy«. A następnie równie chłodno: »Kanclerz "Rzeszy z pewnością wie, czego chce. Ale ja też wiem, czego chcę!«

Prawdopodobnie jedyną osobą, która, jak gdyby zupełnie nie dając się zbić z tropu, zamierzała z tych wypadków wyciągnąć ostateczne konsekwencje - zarówno osobiste; jak i zawodowe, był pułkownik Friedrich Hossbach, adiutant Wehrmachtu. Był przekonany, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko przeciwstawić się Hitlerowi. Co mogło go doprowadzić do bezwzględnej eliminacji.

- Ten Göring - wyznał na dodatek Hossbach, jakby mu było mało - to coś potwornie obrzydliwego, sto pięćdziesiąt kilogramów żywej wagi, wciśnięte w ten przepyszny mundur, i ani grama żołnierskiego ducha.'

Göringiem niewątpliwie można było pogardzać - ale nie wolno było go nie respektować. Lekkomyślny atak na niego oznaczał samobójstwo. A zwłaszcza wtedy, kiedy sądził, że ma »całkowicie wolną rękę«, czyli może działać zgodnie z wolą swojego führera. Potrafił wówczas niszczyć z druzgocącym okrucieństwem."

### Trzecia próba beletryzacji biegu wypadków związanych z osobą Evy Grufin Temat: Oświadczenia

- Bardzo cię kocham - wyznawał Werner von Blornberg swojej Evie. Gruhn z ogromną, nie ukrywaną czułością. Ujął ją za rękę. - Jestem szczęśliwy, że cię spotkałem.

- Proszę cię, nie mów takich rzeczy! - Próbowwała mu się wysliznąć, aby za chwilę znów pochylić się w jego stronę. - Ja też cię lubię, bardzo! Znaczysz dla mnie niezwykle dużo. Ja też jestem szczęśliwa, żeśmy się spotkali. Ale...

- Jeśli tak jest, to nie "ma żadnego ale!

- Możliwe jednak - stwierdziła zaszępiła - że nie jestem ciebie godna.

- Ależ jesteś!

- Niczego bardziej bym sobie nie życzyła! To byłoby spełnienie" marzeń mojego życia. Tylko nie chciałabym, żebyś z mojego powodu . narażał się na taki ryzykowny krok. Nie zasługujesz na to!

Przytuliła się do niego, a on objął ją z czułym pożądaniem.

- Co ty opowiadasz! A może próbujesz mi uciec?

- Nigdy Wernerze! Masz we mnie przyjaciółkę! I bardzo się z tego cieszę. Jestem szczęśliwa, że wreszcie spotkałam takiego człowieka jak ty.

- Jak miło to słyszeć. Mnie też przepelnia uczucie szczęścia, od kiedy mam ciebie. I chcę, żeby to trwało. Zostań ze mną!

- Jak długo zechcesz!

- Na zawsze!

- Jestem twoja. Na zawsze.

Wobec tego daj mi wszystko, moja ukochana! I od tej pory dziel ze mną życie!

- Chcę tego, czego i ty chcesz! Nigdy jednak nie stanę się dla



ciebie ciężarem. To też należy do mojej miłości. Nie musisz się ze mną wiązać.

- Ale ja tego chcę, Evo! - powiedział zdecydowanie.

Patrzyła na niego nie dowierzając własnym uszom. - Czy to znaczy...

- Właśnie tak! Chcę się z tobą ożenić!

- Ze mną? - spytała przytulając się do niego. - Właśnie ze mną?

- Z tobą! Tylko z tobą - powiedział obejmując ją. - Jeśli na naszej drodze pojawią się jakieś przeszkody, przezwyciężymy je! Razem.

- Jesteś bardzo odważny - wyznała. - Ale ja mam nadal wątpliwości. Boję się! To byłby po prostu nadmiar szczęścia dla kogoś takiego jak ja! Zupełnie prostej dziewczyny.

Usiadł blisko niej. -. Pomyśl tylko, czy mężczyzna mego pokroju, w moim wieku może oczekiwać czegoś więcej niż potwierdzenia swojej wartości w tak cudowny sposób? Przez tak wspaniałego człowieka! Od którego riie oczekuję niczego ponad to: Żyj ze mną! Wyjdź za mnie!

Z relacji Mellera:

„Ta olśniewająco bezinteresowna miłość Wernera von Blomberga do Evy Gruhn rozpoczęła się chyba w połowie roku 1936. Po raz pierwszy spotkali się prawdopodobnie w czerwcu. Dostępne dowody nie są w pełni zgodne; ale różnią się zaledwie w niewielkim stopniu. Jeśli chodzi o szczegóły, zawsze „trudno jest 5 absolutną jednoznaczność.

W głównych zarysach sprawa przedstawia się następująco: Starszy mężczyzna, wówczas chyba po sześćdziesiątce, związał się z niemal trzydzieści lat młodszą od siebie kobietą. No cóż, zdarzają się takie rzeczy i z tego powodu nie można robić nikomu najmniejszych nawet wyrzutów. Mężczyzna ów był jeszcze dosyć atrakcyjnym obiektem: wdowiec od wielu lat, zaprzeczenie lekkomyślnego kobieciarza, sprawiający wrażenie dystygowanego, szarmanckiego, zawsze uprzejmy, a więc bez wątpienia wart pokochania.

Ta znacznie młodsza od mego kobieta, którą dane mi było później poznać - nie tylko, z powodu nacisków Hubera - wyróżniała się niezaprzeczną urodą, pełnymi kształtami i promieniejącą kobiecością. W żadnym razie nie wydała mi się wyfachowana czy wręcz.

chciwa, raczej skłonny byłbym powiedzieć, że owładnięta była naiwną, nie dającą się poskromić tęsknotą za wielkim szczęściem »prawdziej miłości«.

Tak więc wszystko sprawiało wrażenie czegoś zupełnie normalnego. Gdyby nie to, że obiektem tej miłości nie był jakiś tam mężczyzna - choć Werner von Blomberg w tej sytuacji bardzo chciałby .nim być - lecz prawdziwy feldmarszałek,- minister wojny Rzeszy.

Z licznych raportów dotyczących początków tej miłości zachowało się kilka, wyraźnie sfalszowanych, w aktach berlińskiej policji kryminalnej. Między innymi również wynurzenia Volkera Vogelsanga, agenta numer 134, który wśród pracowników policji uchodził za »wyjątkowo elastycznego kłamcę«.

»Pierwsze spotkanie Evy Gruhn z panem von Blombergiem - czytamy w jego relacjach - odbyło się prawdopodobnie w restauracji Biały Jeleń, w pobliżu Steinstrasse. Właśnie tam osoba ta była zatrudniona jako obsługa, ale pełniła ważniejszą, funkcję, jakby starszej kelnerki. Wywiązywała się z tego bardzo dobrze, pracowała z wyczuciem i była uprzejmą, co wielokrotnie potwierdzano.

Od razu pierwszego wieczoru wpadła w oko panu von Blombergowi - można przypuszczać, że osiągnęła to za pomocą przebiegłe wystudiowanej skromności. Obsługiwała go z jak największą uwagą. Napiwek, jaki dostała, był podobno niewyobrażalnie hojny.

A do tego wszystkiego powiedział jeszcze do niej: Niech mi wolno będzie panią zapewnić, że pani mi się podoba, bardzo! Chętnie spotkałbym panią znowu, jeżeli pani zechce .

I spotkali się' później, zaledwie po dwóch czy trzech dniach, w herbaciarni hotelu Adlon. Następnie wybrali się do varietes, gdzie występował szwajcarski kłown - Grock, którego właściwe nazwisko brzmiało Adrian Wettrach. Po dwóch tygodniach doszło do następnego spotkania, prawdopodobnie w jej mieszkaniu - «zyli w tym domu, w którym i ja, Volker Vogelsang, przypadkowo mieszkam. On przyniósł ze sobą ciastka, przypuszczalnie z kawiarni Kranzler; także wino i kwiaty, róże białe, mniej więcej trzydzieści sztuk« .

Tyle jeśli chodzi o relację owego podejrzanego Volkera Vogelsanga, Już wówczas.budzącego wątpliwości - nie tylko Hubera".

Dzień dobry, drogi Maier - powiedział Werner baron von Fritsch.

- Dzień dobry, panie generale - odpowiedział feldfebel Maier.

Były to mniej więcej wszystkie słowa, jakie dzień w dzień wymieniali między sobą. Przy czym głos naczelnego wodza armii brzmiał zawsze przyjaźnie, nigdy protekcyjnie czy wyniośle; czasami zdradzał nawet wstrzemięźliwą serdeczność. Jego „podwładny” nie sprawiał bynajmniej wrażenia osoby skwapliwie usłużnej ani przesadnie poufalej. Atmosferę w kręgu Fritscha cechowała rzeczowość i poprawność.

Feldfebel Maier zajmował się oprócz paru innych koni również koniem generała. Przyprawdzał go dokładnie na wyznaczoną minutę. Absolutna punktualność szefa armii była przysłowiowa; Również pod tym względem Immanuel Kant, filozof z Królewca, stanowił jego wzorzec.

A ponieważ zarówno dla zawsze niezawodnego feldfebla Maiera jak i dla pana von Fritscha konie nie były obiektami użytkowymi, lecz towarzyszami podróży, dzień w dzień powtarzał się ten sam rytuał: generał nie miał w zwyczaju od razu wsiadać na konia, jak gdyby obejmował go w posiadanie. Najpierw głaskał go niemal czule, przesuwał dłońmi po końskim grzbiecie, aby poczuć aksamitną, wypielegnowaną sierść. Potem stawał przed nim, by tak rzec, oko w oko, pochylał się ku niemu tak blisko, że ich głowy lekko się dotykały.

Następnie wykonywał zazwyczaj aprobujący ruch głową w stronę feldfebla - powściągliwie i bez słowa, co oznaczało wysokie uznanie. Teraz, można było wyruszyć na przejażdżkę do Tiergartenu.

Tego dnia jednak nastąpiła mała zwłoka. Fritsch wiedział, że jego feldfeblowi leży coś na sercu, wyczytał to w jego oczach.

- Masz jakąś prośbę, Maier? No mów!

- Nic podobnego, panie generale - zapewnił feldfebel. - Taki drobiazg, ale nie daje mi spokoju. To nie ma związku z naszym koniem.

- Wobec tego co cię tak niepokoi, mój drogi? No, powiedz szczerze!-

- Może się myłę - zaczął feldfebel Maier nie bez zakłopotania.

- Na niektórych sprawach się nie znam.

- Nie tak dobrze jak na koniach i na mnie - zażartował generał uśmiechając się lekko. A tego rodzaju wysiłek, by jednocześnie się

uśmiechać i żartować, podejmował von Fritsch nadzwyczaj rzadko. - No, co ci doskwiera? Wiem, że, mi ufasz, a ja mam zaufanie do ciebie, z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę. No mów, mój drogi! Feldfelbel pospiesznie wyrzucił wreszcie z siebie to, co miał do zameldowania, jakby chciał się tego jak najszybciej pozbyć.

- Wczoraj po południu krążył tu jakiś facet, w cywilu. Próbował wziąć mnie na spytki, pytał o same bzdurne rzeczy. O moje konie, moje obowiązki; co tu robię, u kogo służę, kiedy, jak często, w jaki sposób i różne takie..

- Odpowiadałeś na te jego pytania?

- Jasne, że nie, panie generale! Parę razy mu powtarzałem: „Możesz mnie pocałować...!” Dosłownie. Ale to go wcale nie zraziło.

- Co to za człowiek?

- Zanim jeszcze dałem mu w tyłek, zdążył wyciągnąć swoją legitymację. To był ktoś z policji, z gestapo, jeśli się nie mylę.

Feldfelbel patrzył na konia, nie na generała - wiedział bowiem, że tego rodzaju wyznaczenie nie wywoła w jego przełożonym żadnej reakcji. A zwierzę wyczuje najmniejsze nawet zdenerwowanie człowieka czule gładzącego jego głowę. Jednakże również koń nie zdradzał absolutnie niepokoju.

- Czy to coś złego? - spytał Maier. - Mam na myśli pojawienie się tego człowieka?

- Mój drogi Maier - odezwał się naczelny dowódca, a jego głos brzmiał jak- głos dobrego kolegi, kamrata - może wplątałeś się w jakąś nieprzyjemną historię? To przecież może się zdarzyć. W takiej sytuacji trzeba tylko odpowiednio wcześniej zareagować i sprawę zdecydowanie zakończyć. Czy mogę ci w czymś pomóc?

Maier, do głębi zaskoczony taką reakcją swojego szefa, zaczął się jękać i użył nawet oficjalnej i uznanej za przestarzałą formy: - Jego ekscelencja generał byłby... gotów... jeśli ja...

- Oczywiście - potwierdził von Fritsch. Znał swego feldfelbla od lat, był on najlepszym opiekunem zwierząt i ludzi, jakiego kiedykolwiek udało mu się spotkać: porządny, uczciwy, niezawodny. - Jeśli uwikłaliście się, Maier, w jakąś paskudną historię, powiedzcie mi wyraźnie i wtedy spróbujemy wspólnie pozbyć się tego problemu.

— Dziękuję, panie generale. -Feldfelbel czuł się uszczęśliwiony tym niewątpliwym dowodem zaufania, jednocześnie jednak zdziwiła go

szczerze ta wręcz niepojęta naiwność, jego szefa. Czy on go nie rozumiał, czy tylko udawał? A jeśli udawał, to o co tu chodziło? Maier uśmiechnął się zakłopotany: - Ale czy ja coś tu znaczę? Zajmuję się końmi, chętnie i chyba nie najgorzej, tak mi się wydaje. A jeśli chodzi o moje życie prywatne, też nie ma co węszyć. Nie palę, od zasu do czasu napiję się piwa, obce kobiety mnie nie interesują, jak pan wie, panie generale, jestem od dawna żonaty. Mam też dwójkę dzieci, dobrze żyję i z żoną; i z całą rodziną. Wszystko jest na sto procent w porządku. Do obrzydzenia normalne. Czyli nie o mnie tu chodzi - na pewno nie o mnie,

- A więc o co... albo o kogo" waszym zdaniem?

- No, prawdopodobnie o pana, panie generale! - wyznał feldfebel z dążym, trudem. - Bo ten człowiek z gestapo chciał bardzo dużo wiedzieć, i to o panu! Co odczułem jako bezprzykładną obrazę; Chyba mam rację, prawda?

- Ale tak naprawdę, mój drogi Maier, pomyślcie, czy jest w tym coś niezwykłego? - Von Fritsch, jak zwykle z powodzeniem, nakazał sobie zachowanie przewagi, jaka przystoi naczelnemu dowódcy. Zdało się, że mocno trzyma się swego konia, który spoglądał na niego jakby pełen zrozumienia. - Ostatecznie żyjemy w państwie, w którym panuje porządek, a do tego potrzebna jest też policja..

- Możliwe. Ale co obchodzi tych ludzi, co pan robi, a czego nie robi? To jest naprawdę obraźliwe, czego ten człowiek chciał się dowiedzieć. Kiedy i jak często jeździ pan konno i dokąd, kto panu towarzyszy, z kim się pan spotyka, czy przychodzi pan w stroju do konnej jazdy, czy dopiero się przebiera, sam czy z czyjąś pomocą, czy ma pan broń albo obstawę. Takie bzdury! Czy to nie bezczelność, panie generale?.

Werner baron von Fritsch nadal się uśmiechał, choć dosyć skąpo. Wydawało się, że nawet teraz starał się zrozumieć ten nowy, niemiecki świat. Oświadczył więc swojemu feldfeblowi z właściwą sobie, z lekka ojcowską uprzejmością:

- Drogi Maier, musicie wziąć pod uwagę następującą rzecz: dla naszego państwa jestem podobno dosyć, ważną osobą. A będąc nią, muszę, chcąc nie chcąc, pogodzić się z tym, że jestem intensywnie pilnowany. To służy tylko mojej ochronie, ma mnie ustrzec przed niebezpieczeństwem i różnymi zagrożeniami. To wszystko.

- Możliwe - odpowiedział feldfebel Maier przeciągle, ale z niejaką ulgą. - Jeśli pan tak to widzi, panie generale, to znaczy, że pewnie się pomyliłem. Wobec tego nie będę już pana zatrzymywał, zwłaszcza że nasz, chciałem powiedzieć, pański koń trochę się już niecierpliwi. Proszę ruszać!

### Czwarta-próba beletryzacji biegu wypadków związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Zastrzeżenia Evy

- Jestem bardzo szczęśliwa. - wyznała Eva Gruhn cichym głosem, przytulając się do swego Wenera. - Ale jednocześnie wydaję się sobie sama bardzo nieszczęśliwa..

- Nie wolno ci tak mówić, Evo!- wykrzyknął zaskoczony. - Bardzo cię proszę, nie mów tak nigdy więcej! Należysz tylko do mnie! Powinnaś wreszcie to zrozumieć!

- - Zawsze, ale to zawsze marzyłam o mężczyźnie, który kochałby mnie taką, jaką jestem.

- Właśnie taką cię kocham.

Znowu poczuła się szczęśliwa, wzruszyła się do łez tą wylewną rycerskością.

W jej życie wkroczył właśnie taki mężczyzna i nawet chciał się z nią ożenić! Ale ten krok, rozumiała to doskonale, nie był całkowicie bezpieczny. Nie dla niego.

W ostatnim czasie ogarniał ją często dławiący lęk, że straci swojego Wenera. Ciągłe bowiem istniało niebezpieczeństwo, że on dowie się, usłyszy o niej z czyichś ust jakieś kłamstwa, plotki. I dlatego postanowiła nie tać przed nim niczego, co ewentualnie mogłoby stanąć na przeszkodzie ich związkowi.

- Nigdy przed tobą nie ukrywałam, drogi Wenerze - zaczęła ostrożnie - że nie jesteś moim pierwszym mężczyzną!

- Ostatecznie nie jesteś przecież dzieckiem, Evo - odparł wspaniałomyślnie. - Jesteś dojrzałą kobietą. Oszczędźmy sobie wobec tego wszelkich detali. Skoncentrujmy się wyłącznie na naszej przyszłości, naszej wspólnej przyszłości.

Ostatnio spotykali się niemal regularnie dwa razy w tygodniu, specjalnie się z tym nie kryjąc. Najchętniej widywali się w małym mieszkanku Evy. On czuł się tam niewypowiedzianie dobrze - z nią.

Mieszkanie to znajdowało się na Eisenacher Strasse, w dzielnicy Schöneberg. Było urządzone w trochę przesłodzony sposób. Zabłakało się tam parę mebli w stylu późnej secesji, dominowały barwy czerwono-brązowe, paliło się kilka świeczek, najczęściej w bardzo małej sypialni, przy toalecie, nad którą wisiało wąskie lustro.

Werner von Blomberg, przyzwyczajony raczej do dużych, obszer-nych pomieszczeń, czuł się jednak tutaj wyraźnie dobrze. Fizyczna bliskość Evy, niemal w każdej chwili osiągalnej, uskrzydlała go, upajała i jednocześnie uspokajała. Kochał i był kochany; większego szczęścia łye można sobie wymarzyć.

Było to uczucie jakiego nie doznawał już od parudziesięciu lat. Musiałby sięgnąć pamięcią bardzo, bardzo daleko, aż do czasu, kiedy był podporucznikiem; ale nawet wtedy nie przeżył nic takiego, co dałoby się porównać z obecnym szczęściem. Eva była dla niego wielkim, nieoczekiwanym, wspaniałym prezentem, a na dodatek otrzymał go w momencie, kiedy już uwierzył, że jest starym mężczyzną, który ma życie za sobą. Okazała się jednak, że spełnienie prawdziwej namiętności było mu przeznaczone dopiero teraz. To była jedyna i ostatnia namiętność jego życia.

- Werner von Blomberg mówił o ich wspólnej przyszłości. Jak jej oznajmił, przeszłość go nie interesuje. Eva jednak nie dała się zadowolić tym wyznaniem;

- Boże drogi - wykrzyknęła niemal zrozpaczona. - Pomyśl tylko, skąd się wywodzę! Pomyśl o moim dzieciństwie! Nie było ani ładne, ani szczęśliwe!

. - Zapomnij o tyrn - zażądał. - Dla nas znaczenie ma tylko to, co jest teraz i co będzie.

Jego niezachwiana wspaniałomyślność doprowadziła ją do łez wzruszenia. Podał jej chusteczkę i zamknął ją w swych ramionach;, łkając przytuliła się do niego. Wydawało się jej, że jest bohaterką przepięknej, rozczulająco prostej powieści.

Na próżno usiłowała wydostać się z jego objęć...- Nie chcę, nie mogę obciążać cię moim nędznym, w gruncie rzeczy tak mało rados-

nym życiem, jakie wiodłam do tej pory. Bo przecież ciągle muszę zadawać sobie pytanie: kim jestem ja, a kim jesteś ty? Na tak cudownego człowieka jak ty po prostu sobie nie zasłużyłam.

### Z relacji doktora Ericha Mellera:

„W miarę dokładnego studiowania dalszych dokumentów aa ten temat, udostępnionych mi przez urzędnika policji kryminalnej Hubera, ogarniał mnie coraz większy niepokój, jakbym wyczuwał w tym wszystkim gromadzenie ekskrementów...

- Drogi Hubet, niech mi pan na przyszłość oszczędzi takich historii! Co one mogą nas obchodzić? A może to znaczy, że Blomberg wpadł już w sieci gestapo?

- Tego jeszcze nie wiadomo. Ale jedno jest pewne: gestapowcom zależy na gromadzeniu takich ekskrementów, wszystko jedno jakich, w każdej ilości i nawet zupełnie przypadkowych.

- Naprawdę całkiem przypadkowych?

- Chyba tak. Na biurkach tych dzikich szpicli piętrzą się akta dotyczące rzekomych homoseksualistów i prostytutek, ale też oszustów, gauleiterów i generałów, których można by ewentualnie w coś wplątać.

- Chyba Blomberg nie należy do nich?

- Nie. Jeszcze nie. Ale zajęli się już niejaką panią Gruha, i to nawet z wyraźnym upodobaniem; bo ostatecznie ter atrakcyjna istota i działa na wyobraźnię tych zakurzonych, biurkowych tropicieli. No cóż, tak się sprawy mają na razie. Wiadomo jednak, że ten, kto zajął się nią, wszystko jedno, z jakich powodów, któregoś dnia nieuchronnie natknie się na jej feldmarszałka. I co wtedy?

- Czym ci faceci mogą obciążyć Evę Gruhn?

- Całą masą świństw. Czym tylko zechcą. A dlaczego mieliby tego nie zrobić! To im sprawia przyjemność - stwierdził Huber. — Na gestapo pojawiły się na przykład rozmaite fotografie tej Evy Gruhn, jak przygląda się sobie w lustrze, trzymając ręce na piersiach, albo leży na dywanie, czy pochyla się nisko nad umywalką...

- Ale to przecież nic nadzwyczajnego. Takie fotografie można spotkać wszędzie, nawet w najlepszych rodzinach. Ja na przykład mam parę zdjęć z moją przyjaciółką z młodości, oboje jesteśmy



w kostiumach kąpielowych; przy czym, muszę przyznać, ona wygląda wyjątkowo početně, ale niestety tylko na fotografii.

--W każdym razie niektóre ze zdjęć zebranych przez tych samców i puszczonych w obieg mają dość pornograficzny charakter. Ukazują wspomnianą osobę nawet w akcji z jej partnerem.

- To już znacznie gorzej!

Niekoniecznie. Miałem okazję przyjrzeć się tym zdjęciom trochę dokładniej. I odkryłem, że wszystkie są sfalszowane! Fotomontaż! Ostatecznie gestapo ma do dyspozycji całą siatkę fałszerzy.

- I dałoby się to udowodnić?

-Tak, z dużym marginesem prawdopodobieństwa. Przynajmniej wtedy, kiedy te sfalszowane zdjęcia weszłyby w obieg oficjalny, na przykład jako materiał dowodowy.

- Niech pan się na to przygotowuje.

Huber uśmiechnął się szeroko. - Drogi panie radco, szanuję pańską troskę o pana von Blomberga i jego damę. Nie jest ona z pewnością zupełnie bezpodstawna, wydaje się jednak trochę przedwczesna. Nie powinno jednak przy tej okazji ująć pańskiej uwagi coś innego, sprawa wcale nie mniej ważna: ostatnie zainteresowanie gestapo generałem von Fritschem.

. - Ależ drogi panie Huber! - zareagowałem z całkowitą stanowczością. - Te kreatury mogą sobie wygrzebywać, wysysać i manipulować, czym i kim chcą. Jeśli jednak w tych zepsutych czasach istnieje choć jeden nieposzlakowany, nietykalny, nie dający się niczym zstraszyć człowiek, to jest nim właśnie ten generał!

- Wobec tego poproszę pana jeszcze tylko o whisky bez lodu i następne cygaro- oświadczył Huber, lekko kręcąc głową. - Cygara potrzebuję, żeby się uspokoić, a whisky wypiję za pańskie dobre samopoczucie. Bo jedno mogę panu zdradzić, mój drogi: jeśli kiedykolwiek będzie im "potrzebny kozioł ofiarny- taki. prosto pod nóż, to już go sobie na pewno sfabrykują! Nawet jeżeli miałby nim zostać jedyny i ostatni człowiek honoru w tym kraju. Pańskie zdrowie!"

Joseph Meisinger, wówczas jeszcze radca kryminalny, został wezwany przed oblicze Reinharda Heydricha, szefa Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Z powodu „dossier F”. Widocznie sprawa znowu dojrzała, czyli należało zrobić ją na „wysoki połysk” .

Heydrich spojrział nie bez nadziei na swego podwładnego, kierującego wydziałem H-II, „Do walki z homoseksualizmem”. I choć w jego oczach człowiek ten był obmierzłym padalcem - nić dziwnego, przy takiej profesji - to mimo wszystko uchodził nie bez racji za skutecznego szpicla, zdecydowanego demaskatora, wytrwałego prześladowcę. Niezachwiany w swych przekonaniach nazistowski Niemiec. "

- Wydaje mi się, że pan mnie trochę zna, Meisinger - powiedział Heydrich na wstępie, po czym dodał ostrzegawczo: -1 właśnie dlatego zakładam, że tym razem nie podsunie mi pan -byle gówna, ale wreszcie coś grubszego kalibru?

Ma się rozumieć gruppenführer. Akurat coś takiego maml

- No to dalej, naco pan eżeka?

Meisinger położył przed Heydrichem czerwoną teczkę, którą niosąc tutaj przyciskał do piersi jak małe dziecko. Widniał na niej napis Otto Schmidt. Dotyczy: Homoseksualizm - informacje bieżące. Chodziło o znacznie rozszerzone w tym czasie „dossier von Fritscha”.

Gruppenführer przyglądał się grubej teczce z lekką odrazą, mniej więcej tak. samo, mrugając oczami, popatrzył na Meisingera. ~ Pan może przypuszcza, że zamierzam przeglądać te brudy? Niech mi pan powie krótko to co najważniejsze, albo to, co pan uważa za najważniejsze.

Heydrich lubił uczyć swoich podwładnych respektu dla siebie, drażniąc ich. W wypadku Meisingera metoda ta przestała już jednak działać, bo byta mu zbyt dobrze znana. Sam ją stosował z dużym sukcesem wobec swoich podwładnych. Poza tym uważał się za nadzwyczaj doświadczonego specjalistę od teorii i praktyki przestępczości.

Meisinger relacjonował, krótko, lapidarnie, zgodnie z poleceniem koncentrując się na rzeczy najistotniejszej: Otto Schmidt, długoletni agent, spec od homoseksualistów, niedawno dostarczył szczegółów dotyczących ponad stu przypadków i jest gotów zaświadczyć, że chodziło o von Fritscha. Tylko on! „Przysięgnie, na to, jeśli będzie trzeba, przed każdym sądem. Przed każdym!" ..

Odsuwając na bok nie otworzoną teczkę Heydrich poruszył jedynie rękami; sam trwał wyprostowany. Jego elegancko skrojony mundur, bez najmniejszych zagnieceń, wyglądał zawsze jak nowy, Heydrich przywiązywał do tego wagę. Nędzne i raczej sfatygowane ubranie

Meisingera nie przeszkadzało mu; kontrast ten bowiem bardziej podkreślał ich relacje.

Teraz przyszła kolej na rozporządzenia Heydricha. Nie były one pozbawione pogrózek, a przynajmniej ostrzeżeń. Mimo to jednak dodały Meisingerowi otuchy.

- Po pierwsze: Co się tyczy tego agenta, tego Schmidta! Jego informacje należy jak najdokładniej sprawdzić, zwłaszcza w tym określonym wypadku, co do najdrobniejszego szczegółu. Parę razy, kilkakrotnie! Wszystko musi się zgadzać w stu procentach. Albo trzeba do tego doprowadzić.

Po drugie: Von Fritsch. Jeden świadek to za mało - jak dla niego. Niech pan się dokładnie przyjrzy jego życiu prywatnemu! Wywróci na nice jego przeszłość. Przetrząśnie całe bliższe otoczenie. Niech pjm nie pominie też jego podwładnych, nawet byłych! Adiutantów, ordynansów, koniuszych. Niech pan spróbuje się dowiedzieć, czy ma wrogów - każdy ich ma. A oni właśnie, jak wynika z doświadczenia, śpiewają najskwapliwiej. A kiedy im się umiejętnie pomoże, wyszepcą akurat to, co będziemy chcieli wiedzieć. Ale komu ja to mówię?

Po trzecie: Słuchajcie no, Meisinger. Zawartość tej teczki jest znana, w całości tylko nam obu, nikomu poza tym. Gdyby jednak okazało się konieczne udostępnienie jej jeszcze komuś innemu, to tylko za moją, bezpośrednio wyrażoną zgodą. Poza tym potrzebni panu ludzie będą otrzymywali wyłącznie zadania cząstkowe - czyli nie będą mieli pełnego rozeznania w sprawie. Czy to jasne?

— Zrobi się! - obiecał Meisinger. Nie mógł uwolnić się od uczucia, że wreszcie nadeszła jego wielka godzina. Bo przecież to jedyne w swoim rodzaju zlecenie specjalne, dojrzałe już do zakończenia, na pewno stanowi początek obiecującej, wymarzonej przez niego kariery, -Wszystko będzie wykonane, jak najlepiej.

Gruppenführer Heydrich stłumił jednak bezzwłocznie ów nieomyślnie rozpoznany przez niego entuzjazm swojego zwiadowcy od homoseksualistów. Uczynił to z groźną jednoznacznością. Nie cenił autokratyzmu u innych.

- Mam nadzieję, Meisinger, że orientuje się pan, co to za sprawa. Jeśli nie będziecie uważać, możecie się nieźle poparzyć. Jak nawalicie, koniec z wami! Ale już nie będę pana dłużej odrywać od pracy. Czekam na informacje.

## Dalsze fragmenty raportu Mellera:

„Werner von Blomberg, feldmarszałek, minister wojny Rzeszy i naczelny dowódca Wehrmachtu, uchodził za osobę wysoce kontrowersyjną. I to nie tylko za życia. Również jeszcze długo po swej pożałowania godnej, samotnej śmierci w brytyjskiej niewoli; czuł się zawsze nie rozumiany - ale bynajmniej nie cierpiał z tego powodu.

Czasami mówił na ten temat. Ale czynił to zawsze z właściwą mu pobłażliwością i pogodną uprzejmością. Na przykład kiedyś podczas rozmowy ze mną, w maju 1937 roku, przy kolacji w restauracji »Rollenhagen«:

- Niektórzy uważają mnie za kogoś w rodzaju protektora führera. Twierdzi się, że podłożyłem mu Reichswehre. Abstrahując od tego nieco prostackiego sformułowania, przyznać muszę, że myśl ta nie jest całkowicie nietrafna. Ja jednak wyraziłbym to nieco inaczej: dopo mogłem, między innymi również na żądanie prezydenta Rzeszy Hindenburga, uchronić naszą armię, naszych żołnierzy przed zarażeniem się jednostronnymi, groźnymi dla państwa poglądami, popierającymi przedsięwzięcia SA i SS.

Można było odnieść wrażenie, że w to wierzył. Istotnie, Werner von Blomberg - w przeciwieństwie do kilku innych generałów - wydawał się wówczas nie tylko mnie na wskroś subtelnym człowiekiem; Zawsze pełen wyrozumiałości, uprzejmy, wspaniałomyślny. Ale pułkownik Oster, przytomny w każdej "sytuacji, który przeszedł wszystkie stopnie wtajemniczenia w tajnej służbie (gestapo) tłumaczył to następująco: »Von Blomberg może sobie pozwolić na tę swoją władcą wspaniałomyślność. Przynajmniej on tak uważa! Ostatecznie" osiągnął już wszystko, do czego może dojść żołnierz w czasie pokoju: najwyższy stopień, całkowitą, choć pozorną pełnię władzy'. Tylko prawdopodobnie on sam nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, że jego problem polega na tym, jak to wszystko utrzymać - i na jak długo?«

W tym miejscu należałoby chyba wyjaśnić, dlaczego akurat mnie dany był tak bezpośredni kontakt z tymi kręgami. Pomijając już fakt, że los obdarzył mnie jedynym w swoim rodzaju »przyjacielem z młodości«, to również wszystko inne nie było moją zasługą. Po prostu »dziedziczyłem«. A Zaczęło się to od mojego ojca, Maximiliana Mellera. Urodziłem się 1 stycznia 1900 roku w Królewcu jako jego jedyny syn. Ojciec był szanowanym znawcą prawa i to nie tylko za

cesarza, ale również w okresie Republiki Weimarskiej. Ponadto miał dwóch wspaniątych pruskich braci.

Jeden z nich to wuj Adalbert, nazywany też Mellerem-armatą. Przed Verdun służył jako pułkownik i dowódca pułku. Jego jednostka spowodowała największe straty, jakie w ogóle zadano. Był on więc absolutnym bohaterem! Od tamtej pory mówiono o nim w odnośnych kręgach z wyraźną czcią.

Drugi to wuj Erich, noszący przezwisko Meller-duszpasterz. I choć z udawaną skromnością określał siebie mianem »polowego kapłana«, to miał przecież tytuł ewangelickiego biskupa.: Błogosławił na polach bitew umierających i przez jakiś czas odprawiał msze w »Wielkiej Kwaterze Głównej«. Wraz z nim modlili się żarliwie - o zwycięstwo oczywiście - cesarz Wilhelm II oraz generałowie Hindenburg i Ludendorff.

Czyli: najlepszy niemiecki surowiec! I to wystarczyło! Mnie takie.

Wystarczyło zgodnie z wielokrotnie sprawdzającym się w życiu przysłowiem: »Niedaleko pada jabłko od jabłoni«. Tak więc potomków oceniało się po ich przodkach. W ten oto sposób również ja, zostałem przyjęty pod te opiekuńcze skrzydła: na przykład przez towarzystwo z kasyna, męski klub arystokratów, dyplomacji i wyższych urzędników, a także przez nobliwy syndykat generałów! Pano wie generałowie zazwyczaj wierzyli, że nigdy nie będą musieli żałować swoich kroków - również jeśli chodzi o mnie.

, Przyznaję jednak szczerze, że z kontaktów tych korzystałem chętnie.- choć może nie aż tak chętnie, jak wyobrażali to sobie moi protektorzy i mecenasi. W każdym razie prawie nigdy nie wahałem się przed budowaniem razem z nimi owych wspaniątych zamków z piasku. Na swój sposób.

Co się zaś tyczy Wenera von Blemberga, to bywały chwile, kiedy sprawiał wrażenie nadzwyczaj smutnego. To normalne u mężczyzny, który obawia się, że życie ma już za sobą. Jego~żona, o której zawsze wyrażał się z najwyższym szacunkiem, zmarła w 1929 roku - wyniszczona długą, przewlekłą chorobą, przypuszczalnie rakiem. Dzieci z tego małżeństwa już podorastały i opuściły dom rodzinny. I choć ich późniejsze kontakty z ojcem wydawały się bardzo serdeczne - przynajmniej do czasu wydarzeń, o których tu mowa - to jednak Werner von Bjomberg często sprawiał -wrażenie osamotnionego, jakby był

zupełnie opuszczony. Również przez kolegów.- Przy czym godna szczególnego odnotowania jest sytuacja, której przypadkowość miała wkrótce okazać się zaskakująco wątpliwa. Najstarsza córka Blomberga wyszła za mąż za syna niejakiego Wilhelma Keitla, który w tym czasie został mianowany generałem - zresztą nie bez poparcia jego nowego powinowatego, von Blomberga. Keitel był najpierw prawą ręką von Blomberga, wkrótce jednak w sprawach dotyczących Wehrmachtu stał się prawą ręką Hitlera. Oczywiście musiał przedtem pokonać wiele przeszkód, do których zaliczał, się także ojciec jego młodej synowej.

Szczególnie znamienita dla Wernera Blomberga wydała mi się uwaga poczyniona przez niego - przypadkowo w mojej obecności - podczas rozmowy z attache wojskowym niemieckiej ambasady' w Londynie, opowiadającym o niezwykle delikatnej natury, zażyłej znajomości ówczesnego króla Wielkiej Brytanii, Edwarda VIII, z pewną amerykańską wdową, uważaną przez rząd i opinię publiczną za osobę o dosyć wątpliwej reputacji - z niejaką madame Simpson.

- Ową damę - relacjonował attache wojskowy szczerze zdziwiony - obejrzałem sobie trochę dokładniej. I przy wszelkiej dla niej życzliwości nie wiem doprawdy, panie feldmarszałku, co może być w tej pani godne uwagi! Same kości, a do tego jeszcze powleczone warstwą kosmetyków.

Werner von Blomberg pokiwał głową. Uśmiechnął się - do siebie, jak gdyby zachęcająco. A potem, rozkładając ramiona, powiedział:

- No, widzi pan, to jest miłość.

Było to stwierdzenie, które zaledwie parę miesięcy później pasowałyby dokładnie do sytuacji Wernera von Blomberga. W wypowiedziach rzekomych świadków, manipulowanych dochodzeniach i sfałszowanych dokumentach gestapo brzmiało to inaczej. Potem wydarzyło się coś - prawdopodobnie w połowie września 1937 roku

- bardzo ważnego: Eva Gruhn, chcąc jeszcze bardziej związać ze sobą swojego Wernera, posunęła się chyba o jeden krok za daleko. Jeśli nawet na początku mogło wyglądać na to, że dzięki temu znalazła, się znacznie bliżej swego wymarzonego szczęścia".

Piąta próba fabularyzacji biegu wypadków  
związanych z osobą Evy Gruhn  
Temat:  
Spodziewane dziecko

-Czy będziesz bardzo zły - spytała Eva - jeśli nie zobaczymy, się pojutrze?

- Moja kochana Evo! - odrzekł nie zwlekając. - Przecież nie musisz ciągle dostosowywać się do mnie, rozporządzaj swoim czasem, jak chcesz! Dzięki temu ja będę miał okazję dostosowywać się do ciebie.

- Nie musisz tego robić, naprawdę! - Czasami zachowywała się tak, jakby czytała w jego myślach. - Bo przecież jeśli ktokolwiek z nas powinien się liczyć z drugą stroną, to chyba nie ty.

Był to powtarzany w wielu wariantach jeden z jej ulubionych argumentów, wypowiedziany chyba przez matkę. Choć wydawało się, że wie, jak on na to za każdym razem zareaguje, mimo to chciała ciągle od nowa czuć jego oddanie. Także tym razem oczekiwana przez nią odpowiedź padła bezzwłocznie:

Znowu problemy? - spytał. - Moja kochana Evo, nie próbuj wywoływać wciąż tych rzekomych upiorów własnej przeszłości, to nie są żadne cienie. Może ich wcale nie było.. Czy już raz tego nie ustaliliśmy?

- Tym razem nie o to chodzi. To zupełnie co innego. Stałoby się to mniej więcej za siedem miesięcy, jeśli się nie mylę. - Ale to już wyłącznie moja sprawa i nie chcę, żebyś, z tego powodu miał się martwić.

- Nie rozumiem, moja kochana, co chcesz przez to powiedzieć?

— Tylko-to, że jestem nieopisanie szczęśliwa! - odparła.. - Wydaje mi się, że będę miała dziecko.

- Mój Boże, jak pięknie! Dziecko! Nasze dziecko. Moje dziecko. - I objął ją niezwykle żarliwie.

-Jesteś wspaniały! - wyznała tuląc się do niego. - Nie chciałabym jednak cię tym obciążać. Poza tym nie jestem jeszcze pewna.

Ale jeśli to dziecko przyjdzie na świat, nasze dziecko, będę je bardzo kochać, jak ciebie! Ten Fakt jednak do niczego cię nie zobowiązuje.. Wolalabym raczej umrzeć, niż choćby w najmniejszym stopniu ci zaszkodzić!

- Przed całym, światem mogę potwierdzić, że jestem z tobą

zapewnił. - Z tobą i z naszym dzieckiem! - Sprawiał wrażenie pogodnego, jego uśmiech zdradzał już dumę przysłego ojca.

- Drogi Wernerze, jutro pójde do lekarza. Jak powiedziałam, nie mam absolutnej pewności.

- Ale co do jednego, moja cudowna, musisz ją mieć: należymy do siebie, teraz już naprawdę! I nikt nie może nas rozdzielić! Już nikt!

Obaj hrabiowie z samego wierzchołka, policji Wielkiego Berlina - czyli Helldorf, jej naczelnik, i Schulenburg, jego zastępcą - nie ustawiali w dalszych, często dosyć zuchwałych spekulacjach myślowych, nie zapominając jednak ani na chwilę o zachowaniu wskazanej jeszcze ostrożności.

Tym razem Fritz Dietlof hrabia von der Schulenburg wręczył swojemu naczelnikowi czterostronicową listę obejmującą siedemdziesiąt trzy nazwiska z raczej niekompletnymi danymi personalnymi.

Prawdziwa dżungla.

-- Oto najświeższy wymysł gestapo! Tym kreaturom nie wystarcza już to, że żądają od nas bieżącego uzupełnienia ich kartoteki, teraz chcą jeszcze więcej: żebyśmy prowadzili całkiem normalne dochodzenie, jakby oni byli jednostką nadrzędną, a my podrzędną. Czy zamierza pan sobie na to pozwalać?

A co, radziłby mi pan drzeć koty akurat z gestapo? - Hrabia Helldorf wykonał dłonią lekceważący gest. - Może jednak pozostaniemy przy naszych metodach, które pan przecież, tak pięknie obmyślił: niech sobie żądają, czego chcą, a my, lub pan dostarczymy im tylko tego, z czego nie będą mogli zrobić żadnego świńskiego użytku.

- Ale już sama lista, towarzyszu naczelniku, jest dostatecznym świństwem! - oświadczył von Schulenburg, raczej miernie rozbawiony. - Pozwoliłem sobie bowiem dać ten rejestr do opracowania, to znaczy do rozszyfrowania, około dwunastu naszym urzędnikom. Nie mówiąc im jednak, skąd pochodzi ten zbiór nazwisk. Wyniki wyglądają bardzo interesująco. Chce pan posłuchać?

-Nie chcę, do diabła! Ale zdaje się, że będę musiał się panu poddać i wysłuchać tego, prawda? Widzę po panu, że się pan wziął, żeby mnie w to wciągnąć. Np więc słucham.



Von der Schulenburg wyciągnął kartkę zapelnioną notatkami. -Siedemdziesiąt trzy nazwiska, w tym sześćdziesiąt jeden odnotowanych także u nas. Dziewiętnaście spośród nich to niecelne strzały, a więc. nic nie znaczące, przypadkowe osoby, lekko podejrzanę, dwadzieścia dwa nazwiska to zwykle przypadki rutynowe, a pozostałe dwadzieścia to notoryczni kryminaliści.

-I o czym pana zdaniem to świadczy? -Hrabia Helldorf roze śmiał się z ulgą. - Zdaje sie że ci osobnicy z gestapo chcą nas sprawdzić, a właściwie niezawodność naszych kartotek, i przy okazji wywieść nas w pole! Ale pan, przezornie w tym wytrenowany, przez cieź się nie da.

- Gdyby to było wszystko! - powiedział zastępcę naczelnika policji odwracając kartkę na dń A stronę; również z tyłu była gęsto zapisna. - Gdyby to było wszystko - powtórzył - wtedy moglibyśmy spokojnie się z tego śmiać. Ale niestety tak nie jest.

- A co pan jeszcze wysiedział?

- Coś na podobieństwo kukułczego jaja. Co jednak nie powinno być dla pana zaskoczeniem. Bo po intensywnych badaniach okazało się, że dwie trzecie wszystkich wymienionych osób należało do referatu obyczajowego, przy czym połowa z nich w sposób bezpośredni związana jest z Wehrmachtem. I co pan na to?

Helldorf wydawał się zaniepokojony, próbował to jednak ukryć. - To może być przypadek. Mam wrażenie, że gestapo raczej się nie odważy mieszać w interesy Wehrmachtu. Hitler nigdy by do tego nie dopuścił.

- Oczywiście, że nie, jeśli miałyby tylko, chodzić o samowolne działanie tych hien Heydricha. Ale co- będzie, jeśli nasz führer sam coś takiego zarządzi? Albo chociaż zainspiruje?

- Co też pan mówi! - Helldorf usiłował zagłuszyć swój niepokój mówiąc głośno. - Dlaczego Hitler miałby coś takiego zrobić? To przecież nie idiota! Wehrmacht jest mu potrzebny, a on Wehrmachtowi. On chce mieć dziarskie rumaki bojowe, które niezawodnie pokłusują we wskazanym przez niego kierunku, I ma je! Po co miałyby je popędzać? Mogłyby się spłoszyć!

Schulenburg niewzruszenie obstawał przy swoim. - Można na to spojrzeć także trochę inaczej. Na przykład tak: niektóre z tych rumaków już się spłoszyły i właśnie te mogłyby pociągnąć za sobą całe

stado. Czyli trzeba je wyeliminować za pomocą przyjętych w tych wielkich czasach metod: wykastrować albo od razu poderżnąć gardło.

- Jeśli pańskie przypuszczenie, przyjacielu Schulenburg, miałoby jakieś realne podstawy, w co bardzo chciałbym wątpić, to co wtedy?

- To nawet wtedy, przyjacielu Helldorf, nie musi pan od razu stawać na barykadach. A ja nie muszę robić w portki! Zamierzam dalej roztaczać nieustępliwie te dymne zasłony. A pan w tym czasie mógłby doprowadzić do małej, prywatnej pogawędki z paroma pańskimi stronnikami z Abwehry, na przykład z pułkownikiem Osterem. Niech pan spróbuje wysondować, czy oni przeczuwają, na co się zanosi i co czeka ich Wehrmacht. Niech im pan o wszystkim opowie, ze szczegółami. Potem zobaczymy.

Meisinger, radca kryminalny i urzędowy prześladowca homoseksualistów, znowu znalazł się przed obliczem swojego głównego szefa Reinharda Heydricha. Stał lekko pochylony, jakby przygniatał go jakiś wielki ciężar. Jego blada twarz błagała o pobłażliwość i zrozumienie. Heydrich od razu rozpoznał żaloszny stan swego podwładnego. Dlatego też jego głos zabrzmiał wyjątkowo niełaskawie, wyzywająco i ostro: - Czyżbyście się czegoś bali, Meisinger?

- Dlaczego od razu miałbym się bać, panie gruppenführerze! Ale nie powiem, żebym czuł się specjalnie dobrze w tej sytuacji.

Heydrich trzymał go wciąż przy drzwiach. Meisinger stał tam przez dłuższy czas z boleśnie uniżonym wyrazem twarzy.

Nagle dosięgło go pytanie: - Może wasz główny świadek padł trupem?

-To nie to, panie gruppenführerze! Ten Otto Schmidt jest pewny na sto procent, nie do przekupienia. Tylko po dokładnym sprawdzeniu paru jego wypowiedzi pojawiły się pewne sprzeczności. To i owo się nie zgadza, nie do końca. Na przykład miejsce przestępstwa albo sposób pobrania pieniędzy. Albo niektóre szczegóły dostarczone go przez niego opisu, zwłaszcza, w odniesieniu do von Fritscha, nie wydają się całkiem przekonujące.

- Ja się chyba przestyszałem, Meisinger? - Reinhard Heydrich odchylił się do tyłu, zaledwie parę centymetrów, starając się nie pognieść przy tym swego nienagannego munduru. - Najpierw niby

dysponujecie świadkiem pierwszej klasy, który według was nie zawie dzie. A teraz, Meisinger, pomykacie się o jakieś detale? Tak przecież nie może być! Człowieku, trzeba go po prostu spreparować, uodpornić na wszystko!

Tak jest, panie gruppenführerze! - odparł radca kryminalny. - Tylko że tego nie da się raczej zrobić tak po prostu, z dnia na dzień. Proszę o wyrozumiałość. Potrzebuję czasu.

- Przypadek zrzucił, że może go pan mieć - powiedział Heydrich pobłażliwie. - Ponieważ obiekt naszych specjalnych zainteresowań wybiera się akurat na dłuższy urlop, na południe. Będzie mu towarzyszył jego adiutant.

- Adiutant? - spytał Meisinger, znowu ożywiony. - Prawdopodobnie jakiś młody mężczyzna? To bardzo dobrze się składa. Każę go, to znaczy ich obu, śledzić w czasie tej podróży...

- Tym, Meisinger, to ja się zajmę! Pan ma zebrać tylko dalszy materiał, przede wszystkim skoncentrować się na waszym Otto Schmidcie. Kiedy przyjdzie czas, chciałbym usłyszeć, jak będzie mi tu wyśpiewywał bez zająknięcia najpiękniejsze arie.

Informacje starszego gefrajtra Schmiedingera, wówczas ordynansa generała von Fritscha w Berlinie, obecnie zarządzającego domu w Stuttgarcie:

„Jak mogło przyjść panu do głowy coś takiego? Twierdzi pan, że ja znałem ówczesnego dowódcę armii, generała von Fritscha? Człowieku, czy w ogóle istniał ktoś taki, kto go naprawdę znał? Przecież on już za życia był jak swój własny posąg. Przez dwa czy trzy lata należałem tylko do jego bliższego otoczenia - chyba od trzydziestego piątego do trzydziestego ósmego. Jako tak zwany ordynans - od powiedziałny za jego oficerski mundur i podobne rzeczy.

Ale zbliżyć się do niego po prostu się nie dawało. I chociaż nie mogę powiedzieć; zawsze był uprzejmy, to jednak więcej Niż paręnaś cie zdań nie roztrwoniał dla mnie w czasie tych trzech lat. Łóżko słał sam, nierzadko też czyścił sobie buty, czasami robiliśmy to razem. Nie pamiętam, żeby choć raz widział go bez munduru, zawsze był ubrany zgodnie z przepisami, co do najmniejszego, drobiazgu. O to panu chodziło?

Można było odnieść wrażenie, że miał wbudowany w siebie precyzyjnie funkcjonujący mechanizm zegarowy. Jego porządek dnia dzielił się dokładnie na minuty i był co do sekundy przestrzegany. Pyta pan o sposób mówienia. Spokojny, oszczędny, zawsze wyraźny, nigdy głośny. Wobec mnie zachowywał się jak cierpliwy ojciec, przemawiający do swego prawie dorosłego syna.

Jego gospodynią była chyba jakaś baronowa. Już nie taka młoda kobieta, zawsze sprawiająca wrażenie zatroskanej, ale dosyć sympatyczna. Nieraz powtarzała: »Trzeba go tolerować takiego, jakim jest. To po prostu żołnierz.« Co brzmiało okropnie, ale było zgodne z prawdą.

Czy dawało się w nim zauważyć coś szczególnego? Niech mnie pan nie rozśmiesza! To był człowiek z betonu! Czy coś, albo kogoś wyraźnie faworyzował? No, może swojego konia, ale psy i koty też wzbudzały jego zainteresowanie. Czasami wyglądało to tak, jakby próbował z nimi rozmawiać jak z równymi sobie.

Ale tak zupełnie szczerze, to nikogo jeszcze nigdy nie było mi tak żal, jak tego człowieka. Chyba nie miał żadnych przyjaciół; przypuszczalnie nie wiedział nawet, co to takiego przyjaciel. Nie palił, pił bardzo mało, unikał życia towarzyskiego. Prawdopodobnie nie miał nawet przyjaciółki. Czasami tylko chodził na wyścigi konne. Często mówiono o nim, że jest wyniosły, co na pewno nie było zgodne z prawdą.

Jego gospodyni, ta baronowa, powiedziała mi kiedyś, chyba w momencie słabości: »Tak naprawdę to nie jest z nim wcale łatwo; Nie wiem, ile on rzeczywiście zarabia, ale ja muszę mu prowadzić dom jak najskromniej, przywiązuje do tego dużą wagę«.

Wspierał swoją starą matkę z niezwykłą hojnością, ponadto kilku krewnych i byłych kolegów. Dla siebie samego nigdy nie potrzebował więcej niż pięćset marek miesięcznie. Skromna, raczej żalosa jej sytuacja! Która jednak, jak się zdaje, całkowicie go zadowalała."

Szósta próba beletryzacji biegu wypadków  
związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Chyba jest  
wyjście...

- Wydaje mi się - powiedziała Eva Gruhn przytulając się do swojego Wenera po przeżyciu jednej z jej najszcześniejszych chwil - że znalazłam rozsądne wyjście z mojej, naszej sytuacji Zwłaszcza jeśli chodzi o nasze ewentualne przyszłe dziecko. ,

- Do którego, moja droga Evo, oficjalnie się przyznam, jak już raz ci oświadczyłem.

- Taki krok mógłby jednak, zupełnie niepotrzebnie, wszystko skomplikować i spowodować znaczne kłopoty, zwłaszcza jeśli chodzi o ciebie! - Eva nie tylko sprawiała wrażenie szalenie zatroskanej, ona była zatroskana, i to wyłącznie z jego powodu; - Jesteś przecież człowiekiem zajmującym wysoką pozycję, nie możesz nie brać tego pod uwagę. I musisz mi pozwolić, żeby i ja się z tym liczyła. *Bo* ja, ciągle ci to powtarzam, po prostu nie jestem ciebie godna.

- Ach, mój ty skarbie, moja piękna dziewczyno, dlaczego ty się tak kłdpczesz? Na szczęście nie żyjemy w średniowieczu. Od wielu lat jestem wdowcem, czyli całkowicie wolnym człowiekiem. Mogę się" związać, z kim chcę, któz mógłby mi w tym przeszkodzić?

- Musisz uważać!

- Na co, na kogo? Nasze niemieckie państwo akurat przeżywa rewolucyjny przełom, jedyny w swoim rodzaju, również pod względem społecznym. Nie obowiązują już przestarzałe zasady moralne.

- Nie zapominaj, skąd ja się wywodzę, Wenerze. Nie jestem „odpowiedniego stanu”. I jeszcze jedna rzecz, której nie wolno mi przed tobą przemilczeć: istnieje mężczyzna, który mi się naprzykrza.

- Kto to jest?

-Ktoś, kto wtedy, kiedy jeszcze ciebie nie znalazłam, usiłował mnie zdobyć. Niejaki Herbert Heersdorf, handlowiec. I nie chce, zrezygnować, ciągle mi to powtarza. A ja też mu powtarzam, i to nie raz, że już nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Feldmarszałek miał w tym momencie ochotę spytać, Czy ów mężczyzna jest może znacznie młodszy od niego- albo przynajmniej atrakcyjniejszy. Wiedział jednak, jaka będzie odpowiedź Evy: ona

.kocha jego, tylko jego, i to właśnie z tej przyczyny, że jest taki, jaki jest: uosobienie wszelkich marzeń.

Powiedział więc tylko: - Prawdopodobnie mniej lub bardziej nieprzyjemne nagabywanie. Ale to żaden problem dla nas. Co to za człowiek ten Herbert Heersdorf?.

- Jak już wspomniałam, zawsze bardzo o mnie zabiegał. Ale z całą pewnością brak mu twojej bezinteresownej, rycerskiej czułości. Jest bezceremonialny, bardzo natarczywy, władczy. Ale on też mnie kocha, na swój sposób.

- Czy może będzie ci trudno z nim się rozstać?

- To on nie chce się zgodzić na rozstanie! Chce mnie bezwzględnie mieć. I jest chyba gotowy zgodzić się na wszystko: również na moją znajomość z tobą, pójsz na każde ustępstwo. Zaakceptowałby nawet dziecko innego mężczyzny.

Teraz on przyciągnął ją do siebie. A ona objęła go jak dziecko, które szuka oparcia, które chce czuć bezpieczne ciepło. Powiedział:

- Przesądzi o tym następująca kwestia: gdybym cię, droga Evo, poprosił o absolutne rozstrzygnięcie - ja czy on, to kogo byś wybrała?

- Ciebie, Wernerze. Tylko ciebie. Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości!

- Wobec tego wszystko jest jasne. W takiej sytuacji postaram się przyspieszyć nasz ślub.

Powiedział to tak, jakby w tej chwili wszystko zostało definitywnie postanowione. I tak rzeczywiście się stało.

W ostatnich dniach listopada 1937 roku doszło do następującego zdarzenia. Jeden z adiutantów feldmarszałka von Blomberga przeprowadził rozmowę telefoniczną z jednym z adiutantów naczelnego dowódcy Luftwaffe, generała Göringa.

Uczestniczący w rozmowie oficer Luftwaffe pragnął niezwłocznie złożyć sprawozdanie swojemu szefowi wszystkich szefów. Nastąpiło to w Karinhall, podczas niezwykle długo trwającego śniadania. Göring otulony był w szlafrok, uszyty z najszlachetniejszej tkaniny przypominającej miękką sierść, zwierzęcą..

Owo Karinhall było większą posiadłością wybudowaną w stylu półpenogermańskim, nazwaną tak przez Göringa dla uczczenia jego

pierwszej, bez wątpienia bardzo ukochanej żony, która wcześniej mu zmarła.-Ta przepyszna jaskinia znajdowała się w pobliżu Berlina, zatopiona wśród ciemnych lasów, rozświetlana blaskiem granatowego jeziora. W domu dominowały kamień, dąb, skóra, laka, adamaszek, chrom i kryształ. .

Adiutant Göringa przemierzył puszyste dywany i w stosownej odległości zatrzymał się wyprężony przed swoim dowódcą. Czekał na jego znak - nieznaczny, zapraszający ruch lewej ręki. Pierścienie ze szlachetnymi kamieniami zamigotały jak słońce.

- Z rozkazu pana feldmarszałka dzwonił jego adiutant -rozpoczął swoje sprawozdanie. Stał wyprężony, ale lekko pochylony do przodu, jakby gotowy w każdej chwili pilnie nadstawić ucha.

- Czego on chce, właśnie on, ode mnie? - Göring miał zwyczaj to, co do niego docierało, przezornie oszacować, podać w wątpliwość, zakwestionować. Po prostu, wszystko - chyba że chodziło o führera. Za pomocą tej metody próbował swemu otoczeniu dać do zrozumienia, że wszystko, obojętne kto i co, w porównaniu z nim może mieć tylko drugorzędne znaczenie. - Ostatecznie mam ważniejsze rzeczy do roboty niż rozmawianie z nim przez telefon.

- Pan feldmarszałek - kontynuował z oddaniem adiutant - prosił o przekazanie panu najserdeczniejszych pozdrowień.

Hermann Göring uśmiechnął się skąpo. Chyba dlatego, że te wielkie Niemcy miały tylko jednego feldmarszałka i niestety nie był nim on. To wyraźna skaza tego państwa. Bowiem tylko jemu należał się ten jedyny w swoim rodzaju stopień.

- Pan von Blomoerg - kontynuował adiutant - prosi o rozmowę. O bardzo osobistą, czyli nie służbową, jeśli dobrze zrozumiałem.

Dopiero teraz Göring zaczął uważnie słuchać. Jego lekka, senna obojętność z nagłą zniknęła. Natychmiast podniósł się; jego szlafrok zaszeleścił; król słońce...

- Powiedział pan: osobistą?

- Tak jest, panie generale. Osobistą i prywatną.

Hm, to brzmi bardzo obiecująco! - skomentował Göring. Adiutant miał okazję się przekonać, nie po raz pierwszy, jak ważną, znaczącą osobistością był jego szef. - Jeśli więc tak bardzo chce ze mną rozmawiać, to niech przyjdzie. Tutaj. Jeszcze "dzisiaj.

- Przyszedł chłopak od Hitlera - rzeško zameldował ordynans naczelnego wodza armii, Schmiedinger. - Wymyty, uczesany, paznokcie ma w miarę czyste i pewnie pełne spodnie.

Von Fritsch potrząsał głową, średnio ubawiony. Schmiedinger czasem pozwalał sobie przy nim na błazenadę - ale tylko wtedy, kiedy byli sami. I tej zasady obergefrajter przestrzegał bardzo starannie; jednakże w rozmowach w cztery oczy chętnie korzystał z tej swobody.

- Bardzo was proszę, Schmiedinger - zwrócił mu uwagę generał - bądźcie uważni w doborze słów. To nie jest chłopak od Hitlera, tylko Hitlerjunge. I nie ma pełnych spodni, jak raczyliście powiedzieć, tylko czuje respekt. Prawdopodobnie przed moim ojcowskim autorytetem.

Ów członek Hitlerjugend o imieniu Heinz był jednym z trzech chłopców, jakimi generał regularnie się opiekował - z osobistej inicjatywy Hitlera, który zwrócił się do oficerów wyższych stopniem, a będących kawalerami, aby od czasu do czasu, lecz w miarę regularnie, zajęli się nie mającymi ojców wychowankami Hitlerjugend. Chodziło o stworzenie im namiastki ojcowskiej opieki. Von Fritsch bez wahania odpowiedział na wezwanie.

- Chętnie pana odciążę, panie generale - zaoferował Schmiedinger. - Pójdę z nim na spacer, wybiorę się do kina albo do Zoo, nakupię mu ciastek i sprawa będzie załatwiona, i to jak najlepiej. U pana, panie generale, na pewno nie będzie się czuł taki szczęśliwy.

- Drogi Schmiedinger, ale tu nie chodzi o to, żeby temu chłopcu zapewniać przyjemności. O wiele ważniejsza jest praca nad jego wychowaniem, ojcowska.

I tak się właśnie działo. Heinz mógł z generałem spożywać posiłki, czyli brać udział w stosunkowo skromnym obiedzie. Przy tej okazji następowała nauka niemieckich manier przy stole. Następnie odbywały się pogadanki informacyjne na różne tematy, jak na przykład historia Prus, zwłaszcza historia wojen; generał objaśniał mu rodzaje broni, uczył czytania map i orientacji w terenie.

W każdym razie kiedy obergefrajter Schmiedinger brał potem Heinza pod swoją opiekę w celu odstawienia go do domu, chłopak, wyglądał zazwyczaj na nieco wyczerpanego. Von Fritsch .zawsze wciskał swojemu ordynansowi dwie marki: „Dla was piwo - dla chłopca dwa ciastka.”



Po drodze do najbliższej kawiarni Schmiedinger bez skrupowania wypytywał swojego podopiecznego: - No, co stary dziś z tobą przerabiał?<sup>v</sup>

- Zbił mnie!

- Nie opowiadaj! - Obergefrajter, słysząc to stwierdzenie, zmieszał się nieco. - A może sprął ci tyłek, bo go nie słuchałeś, jak należy?

- Skąd, nic podobnego! - odparł Heinz niemal oburzony, jakby chciał dać do zrozumienia, że z członkiem Hitlerjugend nie można tak postępować. - Uderzył mnie linijką, bardzo słabo, nawet nie bolało. Przy odczytywaniu mapy, bo nie mogę pojąć tych podziałek.

- I na tym koniec? - spytał z ulgą Schmiedinger. - Czyli był dla ciebie jak ojciec. Bo ojcowie tacy czasami są, mówię ci. Biją, żeby tylko pokazać, jacy są ważni. Mój stary zawsze używał skózanego pasa.

- Naprawdę? - Heinz zamyślił się. - Wobec tego właściwie powinienem się cieszyć, że nie mam ojca, w każdym razie nie na stałe.

- Ale jakkolwiek by było, mój chłopcze, kiedyś będziesz mógł powiedzieć: znaczący człowiek, wielki żołnierz zajmował się mną godzinami. Za to powinienes być mu wdzięczny. Nie przynieś mu wstydu!

Główny dowódca Wehrmachtu i minister wojny Rzeszy feldmarszałek Werner von Blomberg po wstępnej telefonicznej rozmowie obił adiutantów zjawił się jeszcze tego samego dnia w Karinhałl. W cywilnym stroju. Przytłumione, szare barwy, materiał francuski, krój angielski.

Göring tanecznym krokiem niedźwiedzia kroczył w jego stronę przez przypominający halę ogromny salon. Ubrany był w swobodny strój myśliwski w stylu średniowieczno-łowieckim: skórzana kamizelka, jedwabna koszula i szarawary. Na szyi miał łańcuch zrobiony z trofeów. Rozłożył ramiona, bardzo szeroko, a potem niedbale podał von Blombergowi rękę.

Bo ostatecznie to von Blomberg był tym, który prosił o tę rozmowę, a on, Göring, przychylił się do jego prośby. Wśród gigantów zawsze należało zwracać uwagę na takie subtelne różnice. Przy tego rodzaju spotkaniach hierarchią tworzyła się jak gdyby sama.

Gdy usiedli naprzeciw siebie w niezwykle obszernych fotelach,

obciążniętych skórą leoparda, badawczy wzrok Göringa od razu wychwycił lekkie zakłopotanie feldmarszałka. Zwiększyło to znacznie jego pełną oczekiwaniami ciekawość.

- Dobrze pan wygląda, panie von Blomberg.

- Bo dobrze się czuję. Jako człowiek, że tak powiem. Wydaje mi się, że nadszedł dla mnie teraz dobry czas, bardzo dobry. I chętnie bym go przedłużył. Przy pańskiej pomocy, panie Göring, mówiąc zupełnie szczerze. Liczę na pana. Bardzo.

- To trafił pan pod właściwy adres. - Zagrzmiał generał. - Po magam wszędzie, gdzie tylko mogę. Zwłaszcza swoim kolegom.

Po czym nie spuszczać Blomberga z oka rozparł się głęboko w fotelu. Jego olbrzymi brzuch, masowany niemal miłośniczo obiema dłońmi, piętrzył się przed nim. Był to pod każdym względem potężny mężczyzna.

I właśnie czując się nim w pełni, kontynuował, zerkając przy tym na swego gościa: — Bardzo pana lubię i szanuję, panie von Blomberg. Swojego czasu nie tylko cieszyłem się z pańskiej nominacji na feldmarszałka, ale również ją poparłem. Rzeczu zupełnie naturalna, nie wymagająca jakichkolwiek zobowiązań z pańskiej strony. Ale, mówiąc całkiem otwarcie, spodziewałem się po panu pewnego zrozumienia, dla mnie, dla moich wielkich, niezwykłych, szczególnych problemów. Jednak na tej znaczącej konferencji, którą Führer zorganizował trzeciego listopada, nie stanął pan, mówiąc łagodnie, po mojej stronie.

- Jeśli rzeczywiście odniósł pan takie wrażenie, szanowny panie Göring, to tylko za sprawą nieporozumienia, godnego pożałowania. nieporozumienia. Pozwoliłem sobie bezpośrednio potem napisie do pana list zapewniający, że przywiązuję wielką wagę do intensywnej, dalekowzroczonej i pełnej zaufania współpracy.

- Bardzo mnie to cieszy, panie von Blomberg! - Potężny mężczyzna na z Katinhall uśmiechnął się teraz z zażyłą serdecznością. Ta rozmowa dobrze się zaczynała - jego gość wydawał się niewątpliwie skłonny do współpracy. Oczywiście nie bez przyczyny. Czegoś od niego chciał. Ale czego?

Göring pochylił się do przodu, pogłaskał gościa po ramieniu jak swego kompana i kolegę, A ten nie odsunął się, raczej nawet się postarał o wyjątkowo szczery uśmiech. Oddychał z lekkim trudem. Jego podejrzanie serdeczny rozmówca roztaczał wokół siebie zapach

słodkawych perfum. Von Blombergowi skojarzyło się to, choć nie bezpośrednio, z jego Evą - i nastroiło go łagodnie.

Göring znowu się odezwał, szumnie, zachęcająco: - Bardzo chętnie, kochany panie Blomberg, zapomnę o tym nieporozumieniu. — Bardzo mnie to cieszy..

- W żadnym razie nie mam do pana urazy, sam sobie wydałbym się małostkowy, a przecież taki nie jestem. Zwłaszcza teraz, kiedy, jeśli pana dobrze zroammałem, chce mi pan powierzyć sprawę całkiem osobistą, wymagającą zaufania. Tak więc proszę mówić! Znajdzie pan we mnie uważnego słuchacza i energicznego: sojusznika.

- Sprawa, którą chcę panu zawierzyć, jest całkiem prywatnej natury. I nie jestem do końca przekonany, czy wolno mi nią pana obarczać.

Pan na Karinhall natychmiast przeczuł, że chodzi o coś drażliwego, czuł także, że Blomberg waha się przed wyjawieniem otwarcie tego, co go dręczyło. Toteż Göring uciekł się do pełnej zrozumienia, zachęcającej jowialności.

-Mnie można powierzyć po prostu wszystko! Wśród dobrych kolegów zawsze staram się być tym najlepszym. Absolutna dyskrekcja jest oczywiście sprawą honoru. Więc, w czym mogę panu pomóc? Może popadł pan w finansowe tarapaty? Niezależnie od tego, o jaką sumę chodzi, natychmiast i z przyjemnością dam ją panu do dyspozycji!

- To bardzo uprzejme, bardzo życzliwe z pana strony. Serdecznie dziękuję za pańską gotowość. Ale to nie to.

- Jakiś niewygodny przeciwnik? Albo może jakieś inne szczególne życzenie dotyczące krewnych, przyjaciół, kolegów? Też nie? No to co?

- Jak pan wie, jestem wdowcem - wyznał gość owego potężnego, przynajmniej jeśli chodzi o wagę, mężczyzny. Blomberg był już zdecydowany absolutnie mu zaufać; bezinteresowna życzliwość Göringa chyba na to zasługiwała. - Moja ukochana żona zmarła mniej więcej dziesięć lat temu. I oczywiście nie zapomniałem jej i prawdopodobnie nigdy nie zapomnę. Ale życie musi toczyć się dalej.

- Komu, kochany von Blomberg, pan to opowiada! Ze mną było podobnie. Jeszcze jeden powód, żebyśmy sobie nawzajem pomagali. Czyli, jeśli pana dobrze zroammałem, chce się pan powtórni ożenić?

- Właśnie dokładnie o to chodzi, szanowny panie Göring! I pan

jest pierwszą osobą, której, że tak powiem, oficjalnie powierzam tę sprawę.

Göring wywęszył natychmiast: w tej historii coś śmierdzi! Zdaje się, że tu powstała nadzwyczaj delikatna konstelacja, która może do czegoś się przydać. - Czyżby były jakieś komplikacje? - spytał wyczekująco. - Ta dama jest jeszcze zamężna? Jeśli tak, to ją uwolnimy. O to chodzi?

- Bynajmniej - odparł Blomberg, w widoczny sposób zaskoczony tak ogromną koleżeńską życzliwością. - Jeśli idzie o wybraną przeze mnie kobietę, to jest ona bardzo skromną osobą pod względem społecznym. Obecnie pracuje w restauracji, co prawda bardzo wytwornej. Pełni funkcję, że tak powiem, niemal kierowniczą, niejaka panna Eva Gruhn.

- No, wspaniale, wspaniale - potwierdził Göring zachwycony. - Znacznie młodsza od pana, przypuszczam?

- Prawie trzydzieści lat. Czy to panu przeszkadza?

- Moje uznanie! Gratuluję! - Göring niepomiarnie upajał się tą sytuacją. - Życzę panu tego z całego serca! Jednakże nie bez uczucia niejakiej zazdrości, mówiąc między nami, mężczyznami.

Po czym udało mu się sformułować określenie, które będzie powracać również w późniejszych relacjach - co prawda w bardzo niefortunny sposób. Mianowicie powiedział: - A więc, dziecko ludu? '!. — Właśnie coś w tym rodzaju! - potwierdził Blomberg. - Zadaję sobie jednak pytanie, jak zareaguje na to Führer?

- Czyli to ja - natychmiast domyślił się Göring - mam mu to zakomunikować? Dlaczego nie? Uczynię to chętnie, wręcz z entuzjazmem. Niech się pan nie martwi, mój drogi. Niech pan zaufa mojej elokwencji, a także szczególnie sprzyjającym okolicznościom; mam tu na myśli jak najbardziej prywatną sferę życia naszego Führera. Wystarczy, że powiem tylko tyle, z wszelką należną dyskrecją: Eva Braun! A więc też Eva!

- Jestem niezwykle zobowiązany. - Blomberg pochylił się w ukłonie. Poczł ogromną ulgę, tak wielką, że nie zauważył już nawet chępliwego krygowania się gospodarza.

- Co też pan mówi! - wykrzyknął Göring. - To ja panu powinienem dziękować! Za pańskie zaufanie, które przynosi mi zaszczyt i napawa nadzieją. Zdziwi się pan jeszcze, do jakich koleżeńskich

przysług jestem zdolny. Powinniśmy to uczcić, i to czymś najlepszym, co ta z drugiej strony tak podejrzana Francja ma do zaoferowania.

Już po następnym kieliszku szlachetnego szampana r- riunart dom, rocznik 1933, w klasycznej, pękatej butelce - nagle niezwykle ożywo-ny gospodarz zaczął rozwijać bardzo praktyczne, sięgające w przy- szłość myśli.

- Powiedział pan, że pańska szanowna narieczona jest obecnie zatrudniona w pewnym lokalu, i to nawet w wytwornym? Oczywiście jest to godne szacunku, nie można mieć absolutnie, nk przeciwko temu. Tylko że, mój drogi, "w aspekcie małżeństwa z feldmarszałkiem wskazane by było coś w rodzaju optycznej „rewaluacji”. Mam na myśli opinię publiczną, a więc tenw większości jeszcze ograniczony i konserwatywnie myślący korpus oficerski. W tym wypadku trzeba chyba pójść na pewne ustępstwa.

- A jak pan je sobie wyobraża?

- Myślę o czymś bardzo skutecznym dla kręgów oficjalnych, mój drogi, czego takiemu człowiekowi jak ja udałoby się dokonać bez większych trudności. Ostatecznie podlegają mi różne instytucje, ko- mórki, biura. I właśnie gdzieś tam mógłbym umieścić pańską pannę Gruhn, do chwili ślubu, w którym chętnie wezmę udział. Dzięki temu pańska szanowna narieczona, to dziecko ludu, nie musiałaby pracować w restauracji, byłaby urzędniczką Rzeszy. Co pan o tym sądzi?

Von Blomberg uważał to za coś' wspaniałego. Jego wdzięczność wobec tego potężnego mężczyzny rosła "niepohamowanie. W duchu był sobie wdzięczny, że tu przyszedł.

- Czy ma pan już coś konkretnego na myśli?

Göring dolał szampana i z rozkoszą go wypił, trącając się kielisz-kiem ze swoim gościem. Następnie przystąpił do dłuższej relacji, rozwodził się na temat swoich urzędów i możliwości, i nieograniczo-nej, polegającej na wzajemności, koleżeńskiej pomocy. Obfitość jego oferty była oszałamiająca.

I tak w gestii Göringa było Ministerstwo Sił Powietrznych Rzeszy, kancelaria pruskiego premiera, administracja, główny zarząd związku myśliwskiego i leśnego Rzeszy, biura planowania i rozwoju, tak zwany urząd badawczy, ponadto rozmaite komórki w obrębie jego najnowszej funkcji, czyli pełnomocnika do spraw planu czteroletniego, jak na przykład komórka do spraw koordynacji zasiewów, oczyszczania

rzek, centrala rozplodu byków Rzeszy, centrala do spraw gospodarki masłem - jak również główny urząd do spraw produkcji jaj.

- To jest moje ostatnie dziecko, bardzo dla mnie ważne. Kierownikiem tego urzędu jest wysoko wykwalifikowany człowiek, ale za mało ma przydatnych współpracowników, jak dopiero dzisiaj dowiedziałem się z odnośnego resortu. Wobec tego mógłbym umieścić pańską szanowną Evę Gruhn właśnie tam. Zgoda?

- Oczywiście, jak najbardziej!.- zapewnił z wdzięcznością von Blomberg.

- Czy to już wszystko? - spytał Göring przesadnie ożywiony. - Czy też powinniśmy jeszcze coś wziąć pod uwagę? W każdym razie niech pan pamięta o tym, że musimy dostarczyć opinii publicznej ładny, przekonujący harmonijny wizerunek. Na to kładzie szczególny nacisk także Führer. Dla niego niemal wszystko, co się dzieje, musi przynosić korzyść także państwu. Czy wszystko jest jasne, czy też ma pan jeszcze jakieś wątpliwości?

- Powiedzmy.

- Poznałem od razu! W tych sprawach mam dobre oko. A więc o co albo o kogo chodzi?

. - Prawdopodobnie oceni pan to jako drobiazg. Istnieje bowiem, jeżeli mogę mówić otwarcie, znacznie młodszy, raczej dosyć nieprzyjemny człowiek, który próbuje wdrzeć się w moje prywatne życie.

- Doprawdy? - spytał Göring wyraźnie uszczęśliwiony. Zrozumiał bezzwłocznie, że to był punkt na który należy bardzo uważać; Coś takiego zawsze może się przydać, trzeba tylko mieć dokładne informacje. - Czyli ktoś w rodzaju rywala, tak? Mój drogi, znam ją te ptaszki! Dzięki mojej ukochanej drugiej żonie, Emmy. Była aktorką i aż roilo się wolcół niej od pożądlivych i wyrachowanych mimów, reżyserów, którzy czuli się półbogami, od dziennikarzy i krytyków... Ale wszystkich ich przepędziłem gdzie pieprz rośnie!. I jestem gotów zrobić to również dla pana. A więc kto?

- Niejaki Heersdorf, Herbert Heersdorf, rzekomo handlowiec;

- Wszystko jedno, có on za jeden! Znam już nazwisko. Proszę mi jeszcze podać jego adres, resztę załatwię sam. Bardzo taktownie. Z właściwą mi dokładnością. Jeszcze się pan zdziwi, zobaczy pan!

## 4

### Przypadki i plany

Z relacji Ericha Mellera:

„Zajmując się tymi wypadkami natrafiłem na całą masę szokujących szczegółów.

"Niegodziwe na przykład było to, że Eva Gruhn od razu została nazwana przez niektórych ludzi kurwą, i to nie tylko przez Hitlera czy tych kryminalistów z gestapo, ale również liczni z »kolegów« Blomberga wnet użyli tego odrażającego określenia. »Z czymś takim nie można się przecież wiązać« - to był najłagodniejszy zwrot. W porządku, myśleli pewnie ci panowie, jeśli sam tego chce, niech idzie na dno! Przynajmniej zrobi miejsce innym.

Nie mniej zuchwałe było także zachowanie sporej części kliki generałów wobec wątpliwych zarzutów, jakie wysuwano przeciwko Fritschowi. No cóż, dawało się powiedzieć o nim wszystko, tylko nie to, że był typowym nazistowskim generałem - był to bowiem raczej cichy, skromny mężczyzna, daleki od jakichkolwiek intryg. Co oczywiście prowokowało do komentarzy w rodzaju: »ostatecznie on sam musi wiedzieć, co robi - i czego się z nim nie da zrobić!«

Wręcz zdumiewające, w jak krótkim czasie rozegrała się ta akcja: pozbawieni skrupułów stratedzy władzy potrzebowali nie więcej niż jedenaście dni, by przeprowadzić swoje przestępcze manipulacje: od końca stycznia do początku lutego 1938. Niszczyli właściwie wszystko, co stało im na drodze. Radykalnie! A okoliczności wydawały się po temu niezwykle korzystne.

- Nie ma pan innego wyjścia, pan musi! - zapewniał lekarz generała von Fritscha. I to ze stanowczością, na jaką może sobie pozwolić tylko medyczna sława, - Uważam za absolutnie konieczne, żeby niezwłocznie wybrał się pan na urlop. Co najmniej na dwa miesiące. W przeciwnym razie nie biorę za nic odpowiedzialności!

- Ale ja nie chcę! - protestował przebadany gruntownie pacjent.

- Ja nie mogę tak po prostu wyjechać. Jestem tu pilnie potrzebny. Z każdym dniem coraz bardziej.

- Wobec tego niewiele już panu tych dni pozostało, panie von Fritsch - stwierdził lekarz z niedoścignioną otwartością. - I co panu z tego przyjdzie, jeśli przez zwykłą lekkomyślność znajdzie się pan przedwcześnie w grobie? Co będzie miała z tego pańska armia? Obecnie stan pańskiego zdrowia jest tak żałosny, że ryzykuje pan życie i wystawia pan na szwank pracę! I do tego jeszcze moją reputację jako pańskiego lekarza.

- Takie podtrzymujące na duchu żarty może pan sobie, profesorze, darować! Ostatecznie nie jestem tylko pacjentem medycznej sławy, mam też do spełnienia określone zadanie. I jedynie to mnie zobowiązuje.

- Bardzo pana proszę; panie von Fritsch, tylko bez tych wielkich słów, nie w mojej obecności! Dla mnie jest pan wyłącznie jednym z moich pacjentów, który czasem nie może złapać oddechu. Cierpi pan na ciągłe ataki kaszlu, czasami nawet pan wymiotuje. Pańskie oskrzela wyglądają jak meduzowate polipy; pewnego dnia może się pan po prostu udusić!

- - Kiedy mogłoby to ewentualnie nastąpić?

- Być może niedługo. - Lekarz był zdecydowany nie ulegać temu wyniośle krnąbrnemu człowiekowi. I właśnie dlatego powiedział rozkazująco: - Pojedzie pan na urlop! Na dwa miesiące, co najmniej. Nalegam na to. Dobre dla pana byłoby Davos, ale jeszcze lepszy w pana wypadku jest Egipt. Potrzebuje pan bowiem, i to niezwłocznie, zmiany klimatu, żeby pańskie drogi oddechowe, znajdujące się doprawdy w strasznym stanie, miały możliwość się zregenerować.

- A jeśli nie zastosuję się do pańskiej rady?

- To wtedy pańska armia straci wkrótce swojego wodza, A ja pacjenta. I to takiego, panie von Fritsch, jeśli to pana interesuje, któ-



ry dla mnie osobiście znaczy bardzo wiele. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Prawdopodobnie jeszcze tego samego dnia spotkali się - rzekomo tylko po to, by zjeść wspólnie wyśmienitą kolację - zastępca naczelnika policji hrabia von der Schulenburg i pułkownik Hans Oster, prawa ręka szefa Abwehry, admirała Canarisa. Miejsce spotkania było jak najbardziej neutralne: luksusowa restauracja „Horoljer” przy Kurfürstendamm.

- A kto z nas zapłaci rachunek? - Hrabia von der Schulenburg jak zawsze ciekawy chciał to wiedzieć na samym wstępie.

.- -- Oczywiście ty! Ostatecznie to ty mnie zaprosiłeś.

- Ja\_ zaproponowałem ci tylko spotkanie w celu wymiany informacji. A jak z pewnością się orientujesz, mój drogi, budżet prefektury policji jest w pożalowania godny sposób ograniczany. Ale wy z Abwehry możecie jeszcze sobie pozwalać na dosyć duże niekontrolowane wydatki. Na przykład taką kolację jak nasza można byłoby zaksięgować jako „nawiązanie kontaktu z wrogimi elementami”.

- Przyjacielu Schulenburg - odparł na to pułkownik Oster, młwie jeszcze ubawiony - nie próbuj mnie przechytrzyć! Trudno mi przyzwyczać się do twoich praktyk, które irytują nie tylko mnie. Do czego -zmyrasz tym razem? Helldorf napomknął mi tylko o tym i owym. A więc: co wiesz tak naprawdę?

- Zaraz ci to wszystko opowiem, ale dopiero po homarze i pieczeni baraniej na koszt Abwehry.

Propozycja została przyjęta. Gdy skończyli już obfity posiłek, hrabia von der Schulenburg pozwolił sobie na wręcz szokująco bezpośrednie pytanie: - Gzy możesz sobie wyobrazić, Oster, że generał von Fritsch ma skłonności homoseksualne?

Pułkownik Oster zadławił się, i to nie na żarty. Spojrzał w osłupieniu Na Schulenburga: - Boże drogi, czyś ty zwariował? Posuwasz się zdecydowanie za daleko. To niebezpieczne, w dzisiejszych czasach Wypraszam sobie coś takiego, Schulenburg.

Ale zastępca naczelnika policji wydawał się całkowicie niewzruszony; nie spodziewał się innej reakcji. Spytał jedynie, trochę przeciągle: - Czy naprawdę jesteś absolutnie pewny, że tak nie jest? Tylko

nie wyjeżdżaj mi tu z twierdzeniem, że przecież niczego nie można wiedzieć na pewno! Odnoszę wrażenie, że kategorycznie zaprzeczasz temu, o co cię spytałem. Dlaczego?

- Bo znani generała. Od wielu lat!

- Wiem o tym, i właśnie dlatego zwracam się z tą sprawą do ciebie. Ale czy rzeczywiście uważasz, że znasz go wystarczająco dobrze? Czy jesteś całkowicie, pewny, że masz wgląd w jego życie prywatne?'

- Takie sprawy są mu zupełnie obce, trzeba to powiedzieć na samym wstępie - Pułkownik Oster był wyraźnie oburzony. Miało się wrażenie, że za chwilę wybuchnie, tu, w tej restauracji najwyższej kategorii. - Ten mężczyzna pozostaje poza jakimkolwiek podejrzeniem tego rodzaju! Dla generała; poza Bogiem, godni są jego uczucia tylko matka, jego służba i koń;

- Bardzo chciałbym wierzyć, że masz rację.

- Dla niego -oświadczył pułkownik Oster, gotów wręcz na to przysiąc - zrobię wszystko! Przez dłuższy czas miałem okazję przebywać w bezpośredniej z nim bliskości, i podczas służby, i w czasie wolnym, a więc i w dzień i w nocy, Co wcale nie było szczególnie zabawne. Ale jedno jest pewne: to jest człowiek honoru, w każdym calu choć trochę nudny, to prawda.

- Lecz zastanów się, czy w życiu prywatnym nawet takiego nie kwestionowanego człowieka honoru nie znalazłoby się coś, co według obecnie obowiązujących praw byłoby oceniane jako karalne?

Na co pułkownik Oster zwrócił się do hrabiego von der Scholenburga z kategorycznym żądaniem: - Słuchaj, Fritz Dietlof, domagaj}! się bezwzględnie jednoznacznego wyjaśnienia, na jakiej podstawie podejrzewasz o tak niebezpieczną rzecz naszego generała.

Von der Schulenburg zajął się najpierw napełnianiem kieliszków - rozmowa znacznie wzmogła jego pragnienie. - Wskazują na to wyraźnie niektóre pytania gestapo. Zdaje się, że w tamtych kręgach istnieje spore zainteresowanie życiem prywatnym tego człowieka. Z wyraźnym naciskiem na nawyki seksualne.

- To nieprawdopodobne świństwo!

- Całkowicie się z tobą zgadzam, Hans. Odczuwam to tak samo.

- Ale może to tylko na wpół służbowe przewąchiwanie jakichś-partaczy z obyczajówki. Pewnie chcą się zasłużyć!

- Możliwe. Choć niekoniecznie. A jeśli tak nie jest, to co wtedy wy jako Abwehra zamierzacie zrobić?

- A więc. O, to chodzi! - Pułkownik był zaskoczony, - Do tego zmierzasz, ty Fouche! Usiłujesz doprowadzić do konfrontacji nas, czyli Abwehrę, z gestapo, a więc także z SS.

- To przecież jasne, człowieku! Czy może być rzecz bardziej oczywista? - Hrabia von det Schulenburg zajął się deserem: ananas w likierze wiśniowym. - Przecież SS już pd pewnego czasu usiłuje położyć tamę działalności Abwehry, nieustannie robi wam trudności, żeby już niedługo wami zawładnąć,

- Chcieliby - burknął Oster.

- I dopną swego! Jeżeli nadal będziecie się tak dyskretnie trzymać z boku i pozwalać na podkopywanie jednej pozycji za drugą przy użyciu kryminalnych metod. Ostatecznie wy też nie jesteście klubem; kręglarskim.

-Z całą pewnością;

- No to pokażcie to wreszcie! A może zamierzacie wydać waszego rzekomo uwielbianego przywódcę na pastwę tych ludzi?

- Oczywiście, że nie! Ale dlaczego mamy od razu wszczynać dziką wojnę? Tylko dlatego, że paru podrzędnych samców z gestapo chce się trochę pochełpić swoimi sukcesami?

- Czyli nie zamierzacie podjąć żadnych kroków?

- Rzecz jasna, będziemy mieli oko na tego rodzaju usiłowania, to naturalne. Chyba, że kryje się za tym coś więcej niż tylko, gestapowska, biurokratyczna, głupia gadanina. Na przykład wpływy kogoś z góry, może Himmlera czy nawet Heydricha. Jesteś w stanie stwierdzić to w tej chwili? .

- Nie - odpowiedział szczerze Schulenburg. - Co prawda jest to zupełnie możliwe, ale nie ma co do tego absolutnej pewności. Na razie.

- A właśnie tej pewności potrzebujemy! Postaraj się o to. Na przykład za cenę następnej takiej wystawnej kolacji.

Spotkania -dowódców trzech rodzajów sił zbrojnych - a więc armii lądowej, lotnictwa i floty - odbywały się; by tak rzec, z regularną nieregularnością. Poza naradami u führera trzej generałowie utrzymy-

wali ze sobą także urzędowe kontakty jedno naczelne biuro z drugim - w momentach, jakie uważali za wskazane.

W tym szczególnym wypadku Hermann Göring - „Akurat tędy przechodziłem” - odwiedził generała von Fritscha. Został niezwłocznie przyjęty, co prawda nie nazbyt serdecznie, jednakże z zachowaniem uprzejmej życzliwości, co było wynikiem i dobrego wychowania, i mądrości barona. Spotkanie to było równie krótkie, co gwałtowne: nie ulegająca wątpliwości próba prowokacji.

Naczelny dowódca Luftwaffe wszedł z wielkim szumem, nagle stanął jak w ziemię wryty i wykrzyknął: - Pan sprawia nam same kłopoty, von Fritsch!

- Jakie tym razem, panie Göring? Pańskim zdaniem?

- Chodzi o ten rozkaz dotyczący religii. Czyli o to rozporządzenie, w którym sugeruje pan, aby oficerowie uczestniczyli w nabożeństwach razem z żołnierzami.

- Uważam to naprawdę za wskazane - wyznał von Fritsch z pełnym godności opanowaniem. - Wiara chrześcijańska stanowi dobrą bazę dla spełniania żołnierskich powinności. Zawsze tak było.

--Ale oczywiście, dlaczegoż by nie! - Hermann Göring stał się teraz hałaśliwie swobodny. - Ostatecznie znam pana poglądy. Nie można mieć nic przeciwko temu! Mnie jednak zależy na jak najbardziej jasnej sytuacji.

Von Fritschowi wydawało się, że nieomylnie podchwycił aluzję Göringa. Chodziło mu pewnie o jego matkę! Wywodziła się bowiem z rodu von Bodelschwingh, czyli należała do wielkiej, bardzo rozległej protestanckiej rodziny, ciągle jeszcze mającej w Niemczech duże znaczenie. Ale co to mogło obchodzić tego Göringa?

- W porządku, zgadzam się! - prychnął. - Jeśli o mnie chodzi, może pan pozwalać pańskim duchownym na tyle swobody, ile pan uważa za stosowne, tylko że religię powinien pan zostawić w jej własnych opłotkach, panie von Fritsch. A co się dzieje? Niektórzy z moich księży, czyli podlegających Luftwaffe, jak chorzy, by nie powiedzieć, jak tknięci zarazą, próbują na siłę realizować lansowane przez pana pomysły! Jest to rzecz niedopuszczalna.

- Prawdopodobnie dałoby się to łatwo zmienić. Musiałby pan tylko rozszerzyć mój rozkaz na pańskie oddziały. Sformułować go od nowa, ale jeśli chodzi o istotę rzeczy, w tym samym duchu.

Göring wpadł w niepohamowaną złość. - Gówno zrobię, mój panie! Nie jestem przecież pańskim podwładnym! Ani żadnym papieżem zawodowych chrześcijan w mundurach! Pan naprawdę jest niedzisiejszy, pod tym względem na pewno!

Generał von Fritsch stał jak sękaty i przedwcześnie pozbawiony liści dęb, twarz miał zdrętwiałą jak kora. Głos jednak dalej brzmiał rzeczowo, uprzejmie, nawet jeszcze w tej sytuacji.

- Wskazana byłaby odnośna decyzja na wyższym szczeblu. Powinien się tym zająć kanclerz Rzeszy. Proponuję wobec tego, żebyśmy obaj włączyli ten punkt do porządku dziennego najbliższej konferencji.

- Tylko niech mi pan, drogi panie, nie wyjeżdża z takimi, podstępami! Ostatecznie obaj dobrze wiemy, jak do tej sprawy odnosi się Führer. Realnie! To, co nazywane jest religia, nie da się usunąć ze świata z dnia na dzień! Taka próba tylko by napsuła krwi. A tego nie powinien sobie życzyć żaden z nas!

- Oczywiście, że nie, panie Göring. Ale w tej sytuacji zadaję sobie pytanie, czego pan właściwie ode mnie chce. Proszę mi to powiedzieć tak. otwarcie, jak tylko pan potrafi.

- Pan wszędzie przysparza kłopotów! - odparł Göring. - A teraz nawet i mnie! Czy uważa pan, że może pan sobie na to pozwalać?

Von Fritsch patrzył na swego gościa zdumiony i dosyć bezradny. Poprawił monokl. Bez słowa.

- Jest pan rzeczywiście uparty - grzmiał dalej Göring. —. Ja wyciągam do pana rękę, a pan co robi? Odpycha ją.

Nie otrzymał na to żadnej odpowiedzi, mimo że czekał kilka sekund. Potem odwrócił się nagle, jakby sam sobie wydał rozkaz, i wyszedł z hałasem.

Kiedy bezpośrednio potem wszedł do pokoju jeden z adiutantów tak przykro doświadczonego w swym domu von Fritscha, dowódca stał przy oknie. Było szeroko otwarte.

Von Fritsch, jak człowiek bardzo wyczerpany, oparł głowę o szybę, oddychał ciężko z na pół przymkniętymi oczami. Był bez monokla. Twarz miał bładą jak kreda.

Potem powiedział w paraliżującej ciszy, z wielkim trudem:

- To było odrażające! W najwyższym stopniu odrażające.

## Z relacji Mellera:

„Ów generał von Fritsch wydawał się w tamtych czasach dość wielu osobom »postacią trochę niepojętą«. Jeszcze dzisiaj, w kilkadziesiąt lat później, stanowi zagadkę również dla bardzo dociekliwych historyków. Jeden z nich, zresztą wyśmienity znawca żołnierskiego buntu przeciw Hitlerowi, stwierdził: »w gruncie rzeczy był on bezradny jak dziecko«.

On - bezradne dziecko w gruncie rzeczy? Akurat on, ten mężczyzna, którego wielu zgodnie uznawało za »geniusza militarnego i strategicznego najwyższego rzędu«? Nawet Hitler cenił go wysoko jako wyjątkowego eksperta. Całkowicie zasadnie.

Ale o tym, co dla Hitlera stanowiło w nim szczególną wartość, powiedział mi dopiero pułkownik Hossbach, cytując jedynie wypowiedź führera: »Generał nie jest doprawdy ani wygodnym, ani szczególnie przystępnym człowiekiem. Ma jednak moje pełne zaufanie. Bo na nim, całkowicie i zawsze można polegać. On jeszcze wie, co znaczy rozkaz«.

A wobec mnie generał von Fritsch pozwolił sobie podczas wspólnej konnej przejażdżki przez Tiergarten na następującą, bardzo pouczającą uwagę: »Pragnę zawsze służyć bez zastrzeżeń - to z pewnością pierwsza, naturalna i najwyższa cnota żołnierza«. Po czym ledwie dosłyszalnie dodał: »Służyć - tylko komu?«.

Doprawdy nie był on wcale »bezradnym dzieckiem«. Ta wielka tragedia, która nosić będzie jego imię, miała w istocie rzeczy także inne przyczyny. Po pierwsze czysto ludzkie. Von Fritsch bez wątpienia cieszył się dużym autorytetem, nierzadko obdarzano go też bezinteresownym uwielbieniem, ale wydaje się, że chyba nikt goi nie lubił - poza jego matką, o którą zawsze troszczył się w sposób rozczulająco opiekuńczy.

Ogólnie rzecz biorąc von Fritsch, mężczyzna o niewzruszonej pewności siebie, robił wrażenie człowieka nieprzystępnego, niemal odpychającego, szczelnie zamkniętego we własnym pancerzu. »Otaczają go - wyraził się jeden z adiutantów - grube ściany ze szkła«. A jego ordynans, nonszalancko wyniosły, nie ulegający żadnym wpływom, wspomina: »Nikt nigdy me mógł go na nic nabrać, on umiał przejrzeć, wszystkich! I to tak, że nikt nie był w stanie tego zauważyć«.

To właśnie o nim, jak również o Wernerze von Blombergu, Göring wyraził się później, podczas procesu norymberskiego, jednym lapidarnym: zdaniem: »Qn stał nam na drodze!« Co znaczyło tyle co: był nieprzydatny, przeszkadzał, nusiał zostać wyeliminowany!

Mimo to tego rodzaju konsekwencje prowadzonej bez skrjpułów walki o władzę również wtedy nie były przyjmowane przez wszystkich bez sprzeciwu. Pułkownik Oster, niezmordowany konspirator, próbował zmobilizować siły oporu. W tym również mnie, I to stawiając mi niedwuznaczne zadanie:

- Liczymy teraz, na ciebie, Meller! Spróbuj 'wreszcie wykorzystać wszystkie swoje stosunki. Przecież z naszym generałem jesteś za przyjaźniony.

- On z nikim się nie przyjaźni, nawet pozornie - zapewniłem.

-W porządku, Mäller. Wobec tego, jeśli nie masz do niego dojścia to może dotrzesz-do swojego.przyjaciela z młodości, Heydricha. Niewykłuczone, że od tej strony dałoby się coś zrobić.

- To nie jest mój przyjaciel z młodości - poprawiłem go uprzejmie, ale z lekkim zaniepokojeniem - co najwyżej ja jestem jego przyjacielem. Kiedyś było .nas trzech. Koledzy z sąsiedztwa bez określonej przyszłości. Co się stało z trzecim, nie wiem, Heydrich też twierdzi, że nie ma pojęcia, gdzie się tamten podział. W każdym razie wtedy żaden z nas nie przewidziałby tego, że któregoś dnia my dwaj spotkamy się w Berlinie - on jako szef Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, ja jako radca rządowy. Trzeci z nas trafił już pawdopodobnie do obozu.

- Często widzisz Heydricha?

- Bardzo, rzadko.

- Błąd, który jak najszybciej musi zostać naprawiony. Nie uważasz?

- Teraz i ja tak uważam. Ale nie zrobię tego ze szczególną przyjemnością.

- W tej sytuacji to jednak konieczne. - Po czym upomniał fnnie jeszcze w zamyśleniu'. - Tylko bądź w tym. wszystkim cholernie ostrożny! Ale komu ja to mówię! W przyszłości unikaj kontaktów rzucających się w oczy, na przykład ze mną. Skoro tylko do gry włączony zostanie Heydrich, na pewno zrobi się niebezpiecznie.

Nawet taki Reinhard Heydrich wierzył w to, i wierzy do dzisiaj, że miał przyjaciół. Już nie dwóch, jak kiedyś, ale przynajmniej jednego. ów elegancki, zdecydowany, dysponujący potężną władzą szef Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, chętnie okazujący zrozumienie także dla spraw ducha, tkwił w swojej centrali na ulicy Prinza Albrechta jak w obwarowanej grubymi murami twierdzy.

Tam mógł go odwiedzać tylko jeden jedyny spośród cywilów uważanych zazwyczaj za „niepoważnych”. I to bez najmniejszych przeszkód. Dla doktora Ericha Mellera zawsze było „zielone światło”.

- Nareszcie znowu wpadłeś, kochany Erichu! - wykrzyknął z radością Heydrich na widok radcy rządowego. - Pozwolę sobie stwierdzić, że w ostatnim czasie stałeś się rzadkim gościem.

Meller odpowiedział niemieckim powiedzonkiem: - Nie stawaj przed swego pana obliczem, gdy nie przyzywa cię niczem.

Reinhard Heydrich zareagował na to wręcz serdecznie. Podał swojemu Erichowi prawicę, po czym po kumplowsku poklepał go po ramieniu. Jeszcze tylko ten jeden przyjaciel wiedział, co to jest szlachetna powściągliwość. Nigdy się nie narzucał, nigdy, choćby w najmniejszym stopniu, nie próbował wykorzystać tej przyjaźni. Heydrich porównał go nawet z księciem, co oczywiście było żartem, ale zawsze.

- Siadaj, mój drogi. Rozgość się. Załatwię jeszcze tylko parę drobniaków i już będę wyłącznie do twojej dyspozycji.

Gość usiadł przy stoliku obok; cierpliwie czekając, zaczął niedbale, bez najmniejszego skrępowania, przerzucać leżące przed nim akta. Jakby tylko chciał wypełnić sobie czymś te parę minut.

Heydrich załatwił w tym czasie „kilka drobniaków”. Obecność Mellera ani trochę mu nie przeszkadzała. Podpisał listę osób przewidzianych do aresztowania - stosunkowo krótką - składała się tylko z osiemnastu nazwisk. - Załatwić jeszcze dzisiejszej nocy - rozkazał jakby od niechcienia wezwanemu pracownikowi.

Następnie zadzwonił do niejakiego Meisingera. Powiedział mu:

- Przejrzałem wasze ostatnie raporty. Dalej są gówna warte! Wyraźnie widać, że nie zabraliście się do tej sprawy odpowiednio ostro i zdecydowanie! Zapamiętajcie sobie jedno: niezależnie od tego, kto jest na naszych listach, niechby to był sam papież, nie wolno wam z czystego respektu od razu robić w portki! Pełno jest podejrzanych typów

- dlaczego nie miałby nim być supergenerał! A jeśli do tego wypiął



tyłek, musi zostać przez nas gruntownie rozpracowany. Zrozumiano?

Lekko rozbawiony Heydrich siedział ze słuchawką przy uchu, mrugając konspiracyjnie do Ericha. Aż wreszcie, kończąc rozmowę, powiedział szorstko: - Darujcie sobie wszelkie ozdobniki, Meisinger! Macie tylko dostarczyć przydatny materiał dowodowy, nic więcej! Weźcie się porządnie do roboty, czasu jest dosyć; przynajmniej dopóki nasz obiekt nie wróci z zagranicy. To potrwa sześć albo osiem tygodni. Ale potem, Meisinger, żadnej fuszerki!

Gdy już wszystko było załatwione, Heydrich mógł wreszcie spokojnie zająć się swoim przyjacielem z młodości. Usiadł blisko niego i znowu poklepał go po ramieniu. - Jak to dobrze, że mam ciebie. W samym środku tego świata, pełnego kompletnie zepsutych świntuchów, gdziekolwiek by spojrzeć.

- I przy pomocy czegoś takiego Führer chce uszczęśliwić świat?.

- Ale tytko z czymś takim da się to zrobić! - Heydrich zaśmiał się bez skrępowania. - Bo im większe dupy, tym wspanialsze czasy:

- Jak widzę - odezwał się Meller, dokonując ostrożnego wywiadu - jest to sytuacja, która sprawia ci niejaką przyjemność.

- A dlaczegoż by nie, człowieku! Już samo tresowanie tych usługowych płazów daje niemało przyjemności. Mówiąc szczerze, dawno już odkryłem, że jeśli tylko zechcę, wszyscy oni będą mi jeść z ręki! To, co im podsunę! Nawet ich własne ekskrementy wydałyby się im apetyczne!

- Jedyłą rzeczą, jaka mnie w tej chwili interesuje - odezwał się Meller robiąc sprytnie unik - i dla której tu przyszedłem, jest twój szampan, Reinhard. Ja na coś takiego nie mogę sobie pozwolić.

- Mógłbym oczywiście ci przesłać parę skrzynek - zapewnił szef Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w nastroju niezwykle przyjacielskim - ale wtedy widziałbym cię jeszcze rzadziej. A z kim mógłbym rozmawiać tak swobodnie jak z tobą, na przykład o naszych kawałach z młodości!

O tym Heydrich ciągle opowiadał z rozkoszą, ale tylko wobec Ericha Mellera. Snując wspomnienia odprężał się, robił wrażenie niemal wesołego, wręcz swobodnego. Wyraźnie to lubił.

Oni obaj bowiem, razem z tym zaginionym trzecim, przez dobrych parę lat - jako dzieci z sąsiedztwa - byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Była to niepowtarzalna przyjaźń, robili mnóstwo beztroskich, wspa-

niałych, głupich kawałów, jak obcinanie dziewczynom warkoczy, straszenie dzieci i kotów, tarasowanie jezdni kamieniami z pól czy sprzeniewierzenie mszalnego wina, by później potajemnie urządzać pijaństwa. W programie mieli też mieszanie piwa i wódki. Na przykład na imprezach ich hurapatriotycznych ojców, którzy wymiotowali potem jeden przez drugiego. I tak dalej, i tak dalej...

Szczególnie podniecająca wydała im się obecność rosyjskich jeńców wojennych w obozie połączonym niedaleko ich wsi. Chodził oczywiście o jeńców wojennych z tej wojny światowej, która później otrzymała numer jeden. Ofiary tamtego czasu wzbudzały ogromne zainteresowanie ich obu. Wkrótce zaczęli się uczyć ich języka i nawet osiągnęli w nim pewną biegłość. Jeszcze dzisiaj potrafili się porozumieć po rosyjsku.

- Nikt wtedy nie przeczuwał - medytował głośno Heydrich - co nas spotka.

- Nie starczyłoby na to - potwierdził Erich Meller - nawet najśmielszej fantazji.

Feldfelbel Maier, stajenny generała, zaprosił obergefrajtra Schmiedirigera, czyli ordynansa von Fritscha, na spotkanie. „Wybadajmy się wzajemnie, może przy piwie?”

Spotkanie to odbyło się w restauracji „Aschinger” przy dworcu Zoo. Było to ulubione miejsce spotkań drobnych mieszczan, robotników, studentów, prostytutek i żołnierzy. Popularne nie bez przyczyny, z powodu obowiązujących tam cen: gulasz kosztował tylko trzydzieści fenigów; pieczeń wieprzowa jedną markę; za pół normalnej ceny można było dostać czubaty talerz gęstej grochówki z kielbasą. Małe, świeże bułki leżały w koszykach - gratis.

Tu właśnie jedli i pili ci dwaj - bardzo długo i najpierw w milczeniu, lustrując się nawzajem. Zdaje się, że dosyć szybko przypadli sobie do gustu.

Po drugiej szklance piwa - marki „Schulthei-Patzenhofer” - feldfelbel Maier stwierdził z wyraźną ulgą: - Wyobrażałem sobie pana zupełnie inaczej, Schmiedinger! Ale robi pan wrażenie zupełnie normalnego.

- I jestem taki, pod każdym względem. Chyba tak jak pan, panie feldfebel. Miło mi to słyszeć.

- Łączy nas jak gdyby wspólna praca: służbą u naszego generała. Ja zajmuję się jego koniem.

- A ja mam na głowie różne osobiste sprawy: ślanie łóżka, czyszczenie butów, porządkowane szafy, - Ale dalej Schmiedinger dodał, że generał ma zwyczaj, prawdopodobnie już od czasu pobytu w szkole kadetów, sam ślać sobie łóżko. - Skarpetki, chustki i bieliznę najpierw pierze własnoręcznie i dopiero potem mogą to oddać do pralni.

- Niespotykane!

- Całkiem zrozumiałe dla kogoś, kto zna tego człowieka. Sam zajmuje się własnymi brudami! Jeśli wydało się to panu niezwykle, zgoda. Bo tak naprawdę w tym człowieku nie ma nic zwykłego!

- No właśnie! - drążył dalej Maier. - I to jest właściwy problem.

- Nie dla mnie! I dla niego też nie. To naprawdę wspaniały człowiek.

- Tak pan mówi, Schmiedinger! Czy pan jest żonaty? To by niejedno wyjaśniało.

Obergefrajter zareagował z oburzeniem: - Chce pan wysondować, czy ewentualnie mam pewne skłonności, tak? Pewnie chciałby pan wiedzieć czy mam tylek, szeroki jak kobyła! Czy pan mnie może uważa za...

- Broń Boże, skąd! To byłaby zupełna niedorzeczność!

Milczeli przez chwilę. Schmiedinger był zirytowany. Po chwili feldfebel Maier powiedział: - To chyba już wszystko, co chciałem od pana usłyszeć.

- Domyślam się, do czego pan zmierzał - wymamrotał Schmiedinger oburzony. - Chodzi pewnie panu, o to samo świństwo, na które tak ostrzyli sobie zęby policjanci gestapo. Pytali mnie bez skrępowania, czy- generał dobierał się już do mojego tyłka.

- A dobierał się?

- Nie! Głupie pytanie!

- Mógłby pan przysiąc?

- Owszem! Ale po co? Kogoś, kto rozpowiada takie bzdury, mogę tylko wyśmiać. Głośno!

- Poinformował pan o tym generała?
- A jak miałem to zrobić? - Schmiedinger był szczerze oburzony. - Powiedziałby pan takiemu przełożonemu pierwsza klasa, prosto w twarz, że są tacy, którzy uważają go za nieobyczajną świnię? Ja nie.
- A więc także pań, Schmiedinger, uwielbia go - stwierdził feldfebel. - To tak jak ja. I dlatego obaj powinniśmy zadać sobie pytanie; co możemy dla niego zrobić?

Radca rządowy doktor Erich Meller zamierzał tego dnia wieczorem zjeść kolację „U Emila” przy Uhlandstrasse. Była to typowa berlińska restauracja. Miała kilka, w tym wypadku szczególnie korzystnych właściwości: była przytulna i wyraźnie mieszczańską; bez śladu luksusu. I właśnie to ustrzegło „Emila” przed niepożądanymi gośćmi wyższego szczebla z partii, Wehrmachtu i rządu.

Właściciel restauracji, Emil Labenske przykładał wagę do tego, by znać swoich gości możliwie dokładnie - dla własnego bezpieczeństwa. Kiedyś bowiem był czerwony - czyli socjalista; teraz jednak mówił o sobie, że jest jak najbardziej „brązowy” - a więc nazista. Ostatnio miał zwyczaj powtarzać to tak często, że odnosiło się wrażenie, iż sam w to uwierzył. I właśnie na tym mu zależało. Jego przyjaciele wiedzieli o tym.

Przywitał Ericha Mellera poufale i serdecznie - znał go od lat i to nie tylko jako gospodarz, ale także quasi-sanitariusz. Albowiem właśnie Mellerowi mniej więcej siedem lat temu udzielił pierwszej pomocy jako ciężko rannemu - po bójce między Reichsbanner Schwarz-Rot-Gold a bojówką NSDAP.

- Czym mogę służyć tym razem? - spytał Labenske, pełen złych przeczuć.

- Mógłbyś połączyć mnie z tym numerem? - Meller wcisnął mu kartkę do ręki.

Emil znał ten numer na pamięć. - Chcesz z nim rozmawiać? Koniecznie?

Jeśli to możliwe, natychmiast  
Zrobione.

Polityczna organizacja bojowa lewicy założona w 1924 roku, skupiająca głównie członków Socjaldemokratycznej Partii Niemiec w 1933 zdelegalizowana (przyp. tłum.).

. Na co Emil Labenske udał się do telefonu, by uzyskać wspomniane połączenie. Bez chwili zwłoki zgłosiła się prefektura policji. Właściciel restauracji spytał wyjątkowo grzecznie:

- Czy mógłbym mówić z panem wicenczelnikiem, czyli z hrabią von der Schulenburgiem?

Bezpośrednio potem nastąpiła rytualna wymiana zdań służąca bezpieczeństwu; po obu stronach. Emil orientował się, że w takiej sytuacji należy przestrzegać określonych przepisów służbowych. W związku z czym urzędnik prefektury zgodnie z zaleceniem spytał:

- A kto mówi?

- Właściciel restauracji „U Emila”, Umlandstrasse. Moje nazwisko Labenske.

- W jakiej sprawie chce pan rozmawiać z panem wicenczelnikiem?

- Chodzi o zamówienie menu na kolację.

Po czym odbyła się rozmowa, która, jak zawsze była podsłuchiwana i prawdopodobnie także stenografowana. W słuchawce rozległ się bardzo rześko brzmiący głos:

- Schulenburg. O co chodzi, panie Labenske?

- Panie hrabio - odezwał się niezwykle zachęcająco restaurator - chciałem tylko, zgodnie z pana sugestią, zakomunikować, że dziś wieczorem podajemy pańską ulubioną specjalność zakładu, czyli golonkę z kapustą.

- Nie zamierzam odmówić sobie tej przyjemności - zapewni! obojętnym tonem hrabia. - Proszę zostawić dla mnie wyjątkowo pokazną porcję. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

Już po półgodzinie zjawił się „U Emila”. Powitano go jak najserdeczniej i bez chwili zwłoki zaprowadzono do stolika w najbardziej odległym kącie, sali. Tu właśnie siedział już sprawiąjący wrażenie zamyślnego Erich Meller. Nie podali sobie rąk, jedynie niezauważalnie skinęli głowami: dwaj goście, których czysty przypadek przywiódł do jednego stolika. Nic do siebie nie mówili, na początku.

Również bez słowa Labenske serwował teraz ową specjalność zakładu: golonkę z kapustą i puree z grochu. Była to chyba najbardziej imponująca specjalność tego miasta; piętrzyła się wysoko na wielkim, płaskim talerzu, Danie, które doprowadza żołądki, zdolne poddać się jeszcze takim torturom, do granicy ich wydolności

Obaj panowie koncentrowali się tylko na jedzeniu, przez pół godziny nie zamienili z sobą ani słowa. Jedynie od czasu do czasu zerkali na siebie Póki powtórnie nie zjawił się Emil i nie oświadczył: - Nie ma żadnych przeszkód. - Po nadaniu tego sygnału wycofał się znowu.

Teraz rozpoczęła się bardzo mozolna rozmowa, przy czym osoby trzecie mogły odnieść wrażenie, że toczy się tu zwykła pogawędka. Przypuszczalnie o kruchości gołonki i cudownym, intensywnym zapachu tej masy mięsa, która co prawda odurzą żołądek, ale nie jest w stanie usnąć mózgu.

W rzeczywistości jednak odbywała się przy stole rozmowa informacyjna, przy zachowaniu wskazanej lapidarności i jasności.

Schulenburg: - Po co to całe przedstawienie, przyjacielu Meller! Już nawet my dwaj musimy się do tego uciekać? Uważa to pan za bezwzględnie konieczne?

Meller: - Odwiedziłem znowu, po dłuższej przerwie, mojego przyjaciela z młodości.

Schulenburg: - Wydaje mi się, że rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć. Jako uprzywilejowany gość Heydricha musi liczyć się pan z tym, że jest pan śledzony! Podobnie jak osoby, z którymi się pan kontaktuje. Ale trzeba się z tym pogodzić. To może się opłacić. Oster też jest tego zdania. Czyli w najbliższej przyszłości powinien pan częściej odwiedzać swojego przyjaciela, Na pewno wyniknie z tego jakaś korzyść. Czy jest pan już w stanie stwierdzić, jaka tym razem? Kogo wyobrażałby pan sobie pod postacią supergenerała? Takiego, który, jak się jeszcze dowiedziałem, zamierza wybrać się w dłuższą podróż za granicę. Czy domyśla się pań, o kogo tu może chodzić?

Hrabia von Schulenburg uśmiechnął się z pobłażaniem. - Oczywiście pan wie doskonale, kto to jest. Przypuszczam tylko, że chce pan w przyszłości z czystym sumieniem móc twierdzić, gdyby kiedyś doszło do takiej sytuacji; że nigdy nie wymienił mi pan tego nazwiska.

- Zgadza się, mój drogi - potaknął Meller. - Nie mam zamiaru lekkomyślnie narażać ani pana, ani siebie. Zdążyłem się nauczyć, że ostrożności nigdy nie za wiele. A więc może mi pan nie ufać, to mnie nie zrani.

- Ale ja czułbym się dotknięty, gdyby pan zakładał, że nie mam do pana zaufania

Zabrzmiało to równie jasno co szczerze. Hrabia von der Schulenburg wiedział bowiem dokładnie, jakie motywy powodowały Erichem, że tak jednoznacznie i bez wątpliwości opowiadał się przeciw nazistom. Kto znał te motywy, uważał jego zaangażowanie za zupełnie oczywiste.

30 stycznia 1933 roku, a więc w dzień przejścia władzy przez nazistów, do mieszkania rodziny Mellerów, wówczas już osiadłej na stałe w Berlinie, wtargnęła bojówka nazistowska. Niepohamowana NSDAP-owska horda zabiła ojca Ericha Mellera, owdowiałego profesora prawa, ponadto żonę jego syna i ich czteroletnią córkę, mieszkających w tym samym domu. Przeżył tylko Erich, bo akurat był w podróży służbowej.

Kiedy wkrótce potem Heydrich dowiedział się o tych wydarzeniach, był nadzwyczaj oburzony. Wprawdzie nie z powodu samych zająć - w nich bowiem nie było „nic niezwykłego”. Można odnieść wrażenie, że człowiekiem tym do głębi wstrząsnął fakt, że to „przekłete łajno”, czyli niewolniczo poddane Hitlerowi bojówki, nie są zdolne do naprawdę dobrej, a więc „czystej” roboty. Tego rodzaju „błędy” nje były niestety rzadkością.

- To jest jedyne w swoim rodzaju łajdactwo - powiedział wtedy Heydrich. - Już ja dam im za swoje, tym partaczom.

Do czego jednak nigdy nie doszło. Albowiem owych wojujących bohaterów nie dało się odszukać - podobno. Wobec czego Heydrich mógł zamknąć i ten „przypadek” następującą uwagą:

- Cholernie mi przykro, Erichu, że akurat ciebie, mój przyjacielu, musiało coś takiego spotkać! Ale gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą! Powinieneś, dobrze ci radzę, potraktować to jako pożałowania godny wypadek przy pracy. Za co oczywiście otrzymasz od nas finansowe odszkodowanie, jak najhojniejsze.

Nic takiego nigdy nie nastąpiło. A Erich Meller również nie podejmował żadnych starań, by uzyskać tę „zapłatę” czy wręcz ją wymusić. Od tej pory nie wspominał już o tych „zajściach”. Ale zapomnieć o nich nie potrafił.

Schulenburg rozumiał to. Usiłował jednak zachowywać się rzeczowo i nie powodować sentymentami. - Tak więc niniejszym potwierdzam panu, drogi Meller, z całą mocą, że między nami nie padło w rozmowie nazwisko generała von Fritscha. Dla bezpieczeństwa umówmy się może, że spotkaliśmy się tutaj, u Emila Labenske, zupełnie przypadkowo i rozmawialiśmy wyłącznie o najsmaczniejszych potrawach z wieprzowiny, czyli o typowych berlińskich daniach. I porównywaliśmy je ze wschodniopruskimi. Czy to pewne?

- Całkowicie. Przykro mi, że niepotrzebnie pana trudziłem. Nie przypuszczałem, że jest pan już wyczerpująco poinformowany.

- Poinformowany byłem rzeczywiście, przyjacielu, ale nie aż tak dokładnie. Do tej pory zakładaliśmy jedynie, że paru szubrawców z gestapo intensywnie nam bruździ. Lecz jeśli już i naczelny szubrawiec wkracza w to osobiście, to trzeba bić na alarm!

- Co zamierza pan zrobić?

- Chyba dokładnie to, czego się pan spodziewa. A teraz, proszę mi wybaczyć, muszę już iść.

- Ależ oczywiście, hrabio. I proszę mu powiedzieć ode mnie, bo pewnie zamierza go pan odwiedzić, że chętnie przekazałbym mu tę wiadomość osobiście! Ale, tak jak sam słusznie twierdzi, zbyt częste bezpośrednie kontakty z nim nie są chyba zbyt bezpieczne.

Jeszcze tej samej nocy Fritz Dietlof hrabia von der Schulenburg, zastępca naczelnika policji berlińskiej, odwiedził zaprzyjaźnionego z nim pułkownika Hansa Oстера w jego prywatnym mieszkaniu. Mocno zapukał do drzwi.

Rozbłysło światło, dało się słyszeć człapanie. Za chwilę odezwał się wyraźnie zirytowany, zmęczony głos:

- Kto tam, do licha?

- Policja! - zawołał rzeško hrabia.

Bez chwili zwłoki Oster otworzył drzwi. Rozpoznał głos Schndettburga; stał teraz przed nim w piżamie w biało-niebieskie paski i mówił zrzędliwie: - Naprawdę, czasem mam dość tych twoich kawałów! Ale wejdź, mimo wszystko! Co chcesz osiągnąć tym straszaniem ludzi po nocy? - Pułkownik poczłapał pierwszy w głąb mieszkania i znowu opadł na



łóżko. Chciał dać w ten sposób do zrozumienia, że musi się wyspać i w żadnym wypadku nie zamierza być cierpliwym partnerem rozmowy ze swoim współspiskowcem. - Czy to naprawdę konieczne? W samym środku nocy?

- Zajmę ci tylko krótką chwilę, ale nie mogę zagwarantować, że po tym, co usłyszysz, zaśniesz spokojnie. - Schulenburg usiadł na łóżku obok Oстера.

Pułkownik, jak człowiek niezwykle zmęczony, zamknął oczy. Zachowywał jednak przytomność umysłu. -Jakieś nowiny?

To coś więcej, Hans, wreszcie niemal pewność. Tę sprawę, która na razie wydawała ci się tak bardzo podejrzana, wyjaśniono chyba dosyć jednoznacznie. Ich celem jest rzeczywiście generał von Fritsch.

- N.p COŻ. - Oster raczej nie był zanadto zaskoczony. - Właściwie byliśmy na to przygotowani. Ważne jest jedno: czy wreszcie wiadomo? Kto interesuje się Fritschem? Czy udało ci się do tego dotrzeć?

- Tak! A ściślej mówiąc, udało się to mojemu przyjacielowi Mellerowi, masz od niego pozdrowienia. On powoli zaczyna się bać ma trochę zbyt potężnego protektora.

Pułkownik Oster wyprostował się. - Heydrich?

- Tak! Osobiście wkroczył teraz na arenę.

- Czy ja dobrze słyszę? - Oster pocierał dłonią twarz pokrytą obficie potem, od czoła aż po kąciki ust. - Czy ty wiesz, co by to znaczyło?

- A czy inaczej przychodziłbym tutaj w środku nocy?

- A więc Heydrich! Akurat on. A z nim SS, cała góra przeciwko dowódcy armii. I jednocześnie, choć może już nie tak bezpośrednio, przeciwko nam, Abwehrze! Naprawdę chcecie, to nam wmówić, ty i Meller.

- Wmówić? Tu chodzi o fakty! Ktoś musi się z tym rozprawić. A kto inny, jeśli nie wasz związek?

- Mieć Heydricha i tę hordę SS za bezpośredniego przeciwnika? - Oster zadrżał na samą myśl o .tym. - Oczywiście, byłem na niej jedno przygotowany. Ale żeby od razu aż taki kaliber... Przecież Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy dysponuje siłami stokrotnie liczniejszymi niż my, ma też nieporównywalnie większe środki finansowe. A do tego wszystkiego tej hordzie sprzyja niewątpliwie Führer! Człowieku, i przeciw takim siłom wy zamierzacie nas mobilizować?

- Niekoniecznie. Jeśli bez skrupułów chcecie wrzucić waszego szefa na patelnię, żeby nienasyceń naziści zrobili sobie z niego jajecznicę, proszę bardzo! Jeśli więc bez skrupułów chcecie pozwolić na spalenie go na ofiarnym ołtarzu ojczyzny...

- Mój Boże, Schulenburg, do czego to doszło!

- Oster, człowieku, jeżeli wy do tej pory jeszcze tego nie pojęliście, ty i twoi kompani, to już teraz możecie zamówić sobie trumny na koszt państwa.

Hermann Göring, piastujący w tamtym czasie nie tylko liczne urzędy państwowe i honorowe, generał i naczelny dowódca Luftwaffe, ale wkrótce także feldmarszałek, do czego niezwykle skutecznie zmierzał, miał bardzo nietypowe wyobrażenie o strategii sprawowania władzy. W każdym razie w kręgu swego dowodzenia wydawał się sobie oryginalny. I nie bez racji.

- Niech mi się tu zamelduje - powiedział do jednego ze swoich adiutantów, w Karinhall - niejaki Heersdorf.

- Tak jest, panie generale, o dziewiątej rano.

- Jest to wysoce podejrzany typ i odpowiednio do tego należy go traktować. Czyli odizolować nie czyniąc najmniejszych ustępstw. To znaczy nikomu nie wolno z nim paplać, cały czas ma być pod ostrym nadzorem, nawet do ubikacji nie może iść sam! Niech robi ze strachu w portki!

Był to jeden z typowych, męskich żartów Göringa. Jego otoczenie najczęściej przyjmowało je z aprobatą - z pełnymrozbowienia śmiechem; ale nierzadko towarzyszył im tylko uśmiech wymuszony.

Poza tym w tym wypadku „paladyn führera” stosował po prostu swoją specjalną, sprawdzoną metodę, którą wolno mu było uważać za równie odpowiednią, co skuteczną. Delikwentów należy pozostawić samym sobie, żeby się dusili we własnym sosie, obojętne, czy chodzi o ministrów, generałów albo gauleiterów - czy też o niejakiego Herberta Heersdorfa.

Był to ponad trzydziestoletni mężczyzna, sprawiający wrażenie wysportowanego, wyglądający podejrzanie dobrze, dosyć pokaźnego wzrostu. Jeden z tych, który nie miałby najmniejszych trudności z dostaniem się do SS. Mógłby też być instruktorem narciarskim al-

bo gwiazdorem filmowym; poruszał się tak, jakby cały czas stał przed kamerą.

W owym czasie Herbert Heersdorf miał niezaprzeczone powody, aby uważać się za dobrego handlowca; niemiecko-włoski handel cytrynami, którym właśnie się zajął, rozkwitał. Ponadto utrzymywał, że jest oficjalnym narzeczonym ostatnio bardzo adorowanej damy, niejakiej Evy Gruhn. Zdawało się, że również ta inwestycja zapowiada się wielce obiecująco, bo przecież ty ko z tego powodu, jak sądził, został wezwany do Göringa.

Trzy godziny czekania w Karinhall zniósł dosyć pogodnie. „To, co dobre, nie przychodzi tak łatwo!” - powiedział sobie na pocieszenie. Ale to, co dane mu było przeżyć za chwilę, mogło wyprowadzić z równowagi nawet jego człowieka interesu, który już z niejednego pieca chleb jadł.

- Jesteś, ty nędzny szubrawcze! - wykrzyknął gospodarz w stronę Heersdorfa, nim ten zdążył wejść do jego gabinetu, do jego sali audyencyjnej. - Zostań łaskawie tam, przy drzwiach, ty świniu! I nie waż się nawet oddychać w-moją stronę. Bo każę zrobić z tobą porządek, raz na zawsze!

Herbert Heersdorf miał przykre uczucie, jakby zupełnie niespodziewanie uderzono nim o potężną, grubą, gumową ścianę. Stał jak ogluszony, z wielkim wysiłkiem zdołał jeszcze się odezwać: - Naprawdę nie wiem, dlaczego...

- Nie próbuj mi tu łąać, ty nędzny śmierdzielu! - wrzasnął Göring. - Ze mną nikomu się to nie uda, a jeśli nawet, to tylko raz! Człowieku, co ty się tak uwziąłeś? Tęsknisz za prawdziwym przesłuchaniem na gestapo. Za zabawą w kotka i myszkę przy użyciu fizycznej przemocy? Za wylądowaniem w obozie? Mogę ci to wszystko zapewnić. Jeśli tak bardzo tego pragniesz. Chcesz?

Herbert Heersdorf zorientował się: szybko, że nie ma innego wyboru, jak tylko sprawiać wrażenie głęboko .wstrząśniętego. Jednocześnie jego intuicja doświadczonego handlarza cytryn podpowiadała mu, że po tym groźnym gardłowaniu może paść jakaś propozycja. Ale jaka? Jakakolwiek by była - będzie ją chyba musiał przyjąć. Jeśli tego nie robi, Göring prawdopodobnie ani chwili się nie zawaha, by go załatwić, usunąć, zapakować do trumny.

- Panie generale - odezwał się, usiłując wytrwale jak najszybciej

znaleźć się na pewnym gruncie - nie jestem świadom popełnienia jakiegokolwiek przestępstwa, naprawdę! Jeśli jednak pan uważa... to proszę mi tylko powiedzieć, czego pan ode mnie oczekuje. Od razu to zrobię.

- No, Heersdorf, ty łajdaku. To brzmi już znacznie lepiej, wręcz po ludzku.

- Tak jest, panie generale, zastosuję się do wszystkiego! Ale właściwie o jaką sprawę chodzi?

- Można to ująć w jednym zdaniu, ty padałcu, miałeś czelność wedrzeć się w przyszłe małżeństwo niemieckiego feldmarszałka! Mnie, jego oddanemu, przyjacielowi i koledze, zupełnie się to nie podoba! Zrozumiano? Nie zamierzam czegoś takiego tolerować!

- Pardon, panie generale - odezwał się Heersdorf udając zaskoczonego. - Czy naprawdę chodzi tu o przyszłe małżeństwo pana von Blomberga i Evy Gruhn?

- Dokładnie o to! - Göring potwierdził to obojętnie, ale z zachowaniem czujności. Zdawał sobie bowiem sprawę, że dotarł do jakiegoś ważnego punktu, i tymczasem dał spokój. - W każdym razie stoisz temu związkowi na przeszkodzie!

- — Wydaje mi się, że rozumiem panie generale, czego się ode mnie oczekuje. Mam się wycofać?

~ I to tak dalece, jak to tylko możliwe! Gotów jestem wysłać ci drogę różami, z czystej przyjaźni dla pana von Blomberga, oczywiście. Pomyślałem sobie o Argentynie, Tam też mam doskonałe stosunki dzięki podlegającym mi służbom. Musiałbyś tylko prze kwalifikować się z handlu owocami hal handel mięsem. No, Heersdorf?

- To mogłoby się opłacać! Czy wolno mi spytać, o jaką kwotę ewentualnie by chodziło?

- Na przykład podwójna gaża przy skróconym do połowy czasie pracy. Co zostanie urzędowo zagwarantowane! Powiedzmy na najbliższe dwa, trzy lata; także na następne, jeśli wszystko będzie w porządku. Czy interesuje cię |a oferta?

- Oczywiście, jak najbardziej! Spełnię każdy warunek.

- No proszę, wcale nie jesteś taki głupi, ty psie! To mi się podoba. Ale pamiętaj, masz być posłuszny jakdziecko! To znaczy: koniec figli

ze wspomnianą damą! Żadnych amorów na pożegnanie, żadnego trzymania za rączkę na do widzenia. Poniechasz też tej sentymentalnej paplaniny w rodzaju: Nigdy cię nie zapomnę, będę pisał, zawsze będę o tobie myślał. Darujesz sobie łaskawie te bzdury! Czyli po prostu koniec, minęło, adieu! Jasne?

\_ - Jeśli o mnie chodzi, absolutnie finito! - Herbert Heersdorf użył z rozradowaniem swoich kilku importowanych, włoskich słów. - Totalissimo!

Göring zareagował na to pełne zrozumienie z instynktowną podejrzliwością. - Pańska gotowość wykreślenia tej damy z serca wydaje ni się trochę podejrzana. - Zachowywał się: teraz jak wielki łowczy Rzeszy na ambonie, przekonany, że ma na muszce wspaniałego jelenia. - Co cię skłania do tak szybkiego, odwrotu?

- Oczywiście pańska wspaniałomyślna propozycja, panie generale.

- Nie próbuj tylko, Heersdorf, tak bezczelnie mydlić mi oczu! Przy tym wszystkim chodzi nie o to, ile ty ewentualnie jesteś wart, ale ile jest warta ta dama. Rozumiesz?

-Tak jest!

- Mów wreszcie otwarcie, człowieku! - Göring ustalił z radością, jako namiętny myśliwy, że niezawodnie jest na właściwym tropie - Czy z tą panią jest coś nie w porządku? Tylko bez wykrętów, jeśli nie chcesz pokpić sprawy i nie stracić mojej przychylności. Tu chodzi o twoją przyszłość! No więc, jak jest z tym moim przypuszczeniem? Zgadza się?

- Mniej więcej, mówiąc bardzo oględnie. - Herbert Heersdorf zdołał dostrzec w wyczekujących oczach Göringa groźny błysk. Pospieszył więc dodać: - Chodzi o przeszłość tej Evy Gruhn. Bo mówiąc otwarcie, trudno nie mieć do niej zastrzeżeń.

Göring odetchnął. Ostatecznie sam von Blomberg powiedział mu coś podobnego, a on dobrze to zapamiętał. Teraz, stosując zmasowaną prowokację, chciał dowiedzieć się czegoś więcej.

- Co ty opowiadasz, podejrzana przeszłość! Każdy z nas ma podejrzaną przeszłość, w mniejszym lub większym stopniu. A więc także ta dama, zwłaszcza że trafiła na takiego typa jak ty. A może i na jeszcze gorszych, jakie to ma znaczenie? Ale to może nie wszystko?

Nie gap się na mnie tak durnowato, nic w ten sposób ze mną nie wskórasz, wypluj wreszcie, co wiesz, albo wydaje ci się, że wiesz! Słucham!

- No więc od czasu do czasu interesuje się nią nawet policja. Obyczajówka.

- Tego - powiedział ze stanowczością podejrzliwy Göring - nie słyszałem. A już na pewno nie od ciebie! Zrozumiano? Przyszedłeś do mnie tylko po to, żeby prosić o to stanowisko za granicą. A ja nie byłem nieprzychylny twojej prośbie. I to jest wszystko, o czym rozmawialiśmy. Jasne?

- Rozumiem, oczywiście - potwierdził Heersdorf bez chwili wahania. - Nikt - nie usłyszy z moich ust nic innego, jeśli tak pan sobie życzy.

- Nie będziesz miał nawet okazji - zdecydował Göring. - Znikniesz stąd, i to natychmiast; zgodnie z twoim życzeniem wyniesiesz się prosto do Ameryki Południowej. Z nikim już nie będziesz się kontaktować. Dopilnuje tego jeden z moich ludzi! Również on wręczy ci na odjezdnym sumę dziesięciu tysięcy, dolarów, do późniejszego rozliczenia, żebyś mógł się tam urządzić, Masz coś przeciwko temu?

. - Nie. Można powiedzieć, że już jestem w drodze. Heil Hitler, panie generale!

9 listopada 1937 roku generał Werner baron von Fritsch - naczelny wódz sił lądowych, znalazł się w Kancelarii Rzeszy. Był w pełnym umundurowaniu, ze wszystkimi orderami i odznaczeniami, czapka wcisnął pod lewe ramię. Trochę sztywno, jak na paradzie, kroczył Führerowi naprzeciw; audyencja pożegnalna z powodu zalecanej mu przez lekarza dwumiesięcznej kuracji na południu.

Adolf Hitler przyjął go z wszelkimi honorami. Przy samym wejściu stał pułkownik Hossbach, adiutant Wehrmachtu. Obie warty gwardii honorowej SS prezentowały broń - pod każdym względem nienaganne. Służący otwierali zapraszająco wszystkie kolejne drzwi.

Führer w swoim niemal jak boisko wielkim gabinecie stał przez moment za biurkiem. Nie pozostał tam jednak. Ruszył w kierunku generała, aby, będąc jeszcze kilka metrów przed nim, wyciągnąć do niego rękę. Fritsch ujął ją mocno.

Adolfa Hitlera otaczało na lśniącym jak szkło parkiecie kilku adiutantów; minister wojny Rzeszy von Blomberg znajdował się tuż przy nim. I führer, zimno kalkulując, przystąpił do manifestowania swoich sympatii. - A więc, szanowny panie von Fritsch, chce nas pan opuścić niemal na dwa miesiące.

- Nie chcę, ale chyba rzeczywiście muszę, panie kanclerzu.

- Tak jest, musi pan, panie generale! Mówię to pełen troski o stan pańskiego zdrowia, o którym kazałem sobie zdać wyczerpujące sprawozdanie. Ku mojej wielkiej radości dowiedziałem się jednak, że choroba pańska nie wygląda na beznadziejną. Przeciwnie, powiedziano mi, że ta podróż może przywrócić panu zdrowie, czego i panu i sobie serdecznie życzę.

- Tak czy inaczej, panie kanclerzu, na dłuższy czas muszę przerwać wykonywanie swoich obowiązków. W związku z tym zastanawiam się oczywiście, co stanie się z moim wojskiem.

- Ależ drogi panie! Wszystko przecież przebiega jak najlepiej, szworo, w pełnej zgodzie z pańskimi planami! - Brzmiąca w głosie Hitlera uprzejmość jak gdyby jeszcze się spotęgowała. Nawet przez moment nie dał po sobie poznać, jak bardzo wyprowadziło go z równowagi wypowiedziane przed chwilą przez generała zdanie. Bo, po pierwsze, człowiek ten uparcie zwracał się do niego per „panie kanclerzu”, a czasami nawet „panie.Hitler”. Ani razu nie padł z jego ust zwrot „mein Führer”. A do tego jeszcze pozwolił sobie użyć określenia „moje wojsko” - jak gdyby mówił o swojej własności! Hitler ukrył jednak złość. - Proszę się nie martwić, zadbamy o wojsko, niech pan. spokojnie wypoczywa.

Bezwzględnie potwierdził to także feldmarszałek von Blomberg po krótkim,- zachęcającym spojrzeniu, rzuconym w jego stronę przez Hitlera: - Pański szef sztabu generalnego, pan Beck, którego darzy pan z pewnością absolutnym zaufaniem zastąpi pana. Ale także ja sam intensywnie zajmę się naszą armią, oczywiście całkowicie po pańskiej myśli. Myślę, że zapewni to panu spokój, prawda?

- Będę zobowiązany — odpowiedział von Fritsch dosyć mruklawie. - Wystarczy chyba jednak, jeśli moją pracę podejmie generał Beck, który będzie ze mną w stałym kontakcie. Gdyby doszło do jakichkolwiek komplikacji, oczywiście jest, że bezzwzględnie przerwę urlop

- To na pewno nie będzie konieczne – zapewnił von Blonaberg skwapliwie.

- Proszę być absolutnie pewnym, panie von Fritsch - oświadczył Hitler na koniec niemal uroczystym tonem - że podczas pańskiej nieobecności nie zdarzy się nic, co w jakikolwiek sposób naruszyłoby pańską koncepcję prowadzenia armii, koncepcję w pełni przeze mnie uznawaną. Właśnie to chciałem panu powiedzieć na pożegnanie. Mam nadzieję, że to pana uspokoiło.

. - Bardzo! - potwierdził prostolinijny, łatwowierny von Fritock Usłyszał dokładnie to, co spodziewał się usłyszeć. Przepęłniło go to ufnością, a nawet wdzięcznością. – Mogę spokojnie wyjechać.

Adolf Hitler znowu podał mu rękę. I połączeni uściskiem dłoni stali naprzeciw siebie i patrzyli sobie w oczy. Hitler zapewnił: - W głębi duszy każdy z nas jest po prostu żołnierzem; pan doświadczonym dowódcą frontowym, ja sprawdzonym frontowym żołnierzem A to mówi za wszystko.

Do owych dni ostatecznej i całkowitej kompromitacji, czyli do 27 i 29 stycznia 1938 roku, zostały tylko dwa miesiące. Heydrich powiedział później: „Potrzebowaliśmy jeszcze trochę czasu - ale minął on jak błyskawica. I wykorzystaliśmy go - a potem poleciały wióry!”

### Erich Meller:

„Jedyną osobą, która czuła się źle obserwując te zdarzenia, był, ku mojemu zaskoczeniu, Huber, urzędnik do spraw kryminalnych; Bez wątpienia był on człowiekiem, który wierzył, że zna się na wszystkich ciemnych zakamarkach duszy ludzkiej: gotów był zdecydowanie stać czoło najkrwawszym gwałtom, najstraszniejszym okrucieństwom aby ująć ich sprawców i ich unieszkodliwić - uważał to za sens swojego życia.

Teraz jednak przyszło mu się przekonać, że trafił na czas kompletnego, szaleństwa: to państwo przypominało klub bokserski, naród niemiecki był stadem baranów, a tak zwana ojczyzna - po prostu obiektem wyzysku służącym kryminalistom! Ostoją prawa, którego



odnowę uważał za swoje zadanie życiowe był burdel! Sprawiedliwość, do której zawsze dążył, zamieniła się w jatki.

- Do czego to doszło? - spytał mnie w jednym ze swoich raczej nielicznych momentów słabości.

- W tym, co zbliża się do nas jak gigantyczna lawina można się udusić! Nigdy nie byłbym w stanie wyobrazić sobie czegoś takiego. Co to jest?

- Nazwijmy to niemieckim losem - poradziłem mu. - I załóżmy, że jest to nie zasłużony, niezależny od nikogo niemiecki los, jeśli to pana uspokoi. W każdym razie może za pomocą tej znowu nie tak bardzo nieprzydatnej wymówki można będzie później wyjaśnić to, co się w tym kraju wydarzy. Jeśli jeszcze wtedy będziemy żyć.

## 5

### Wesołość i naiwność

Ostatni miesiąc roku 1937 był w Berlinie zimny, ale pogodny. Temperatura; około zera. Śniegu prawie w ogóle, od czasu do czasu deszcz, w porannych godzinach lekko oblodzone ulice. I jak niemal o każdej porze roku w Berlinie z równin brandenburskich aż tutaj napływało świeże, orzeźwiająca powietrze jakby delikatnie skąpane, w wodzie licznych jezior tamtej okolicy. Tu, mówiono, można jeszcze swobodnie oddychać jeśli było się skłonny przyjąć wszelkie skutki procesu wietrzenia jako podstawę bytu.

Berlin był ruchliwą stolicą Wielkich Niemiec - podkolorowany, wizerunek dobrze zorganizowanej doskonałości: robotnicy pracowali wydajnie, rzemieślnicy wytwarzali pilnie, handel i przemysł kwitły. „Czystość”, gdziekolwiek spojrzeć - ani jednego żebraka na ulicy, prawie żadnych prostytutek, coraz mniej Żydów...

Promienny obraz: Wehrmacht - potężne wojsko, szybka Luftwaffe, solidna flota. Wspaniali żołnierze, dumni i pewni siebie, świetnie władający bronią - gotowi do obrony własnego i innych krajów. Wielkie zjawiska zawsze otacza cień. Tu jednak coraz bardziej stawało się widoczne, że ten śmiercionośny blask miał straszną cenę - przypuszczalnie już wtedy kilkadziesiąt miliardów marek. Imponujący obraz pod każdym względem.

W owym czasie zdarzyło się również to:

W Rosji Sowieckiej stracono marszałka Tuchaczewskiego, a wraz

z nim innych wyższych oficerów. W Ameryce John Steinbeck opublikował swoją pierwszą powieść „Myszy i ludzie”; tam też powstał film „Dobra ziemia”, z niemiecką niegdyś aktorką, Luise Reiner, Żydówką. Joe Luis został mistrzem gwiata w boksie wagi ciężkiej; „zwierzęcy Murzyn”, mówiono w rasowo czystej Europie Środkowej. W Niemczech Grondgens został mianowany, za łaskawym przyzwoleniem, naczelnym dyrektorem Pruskiego Teatru Państwowego w Berlinie. W Lakehurst statek powietrzny LZ-129 strawił ogień. Hitler jak gdyby przestał się zajmować polityką władzy; teraz pozwał się czcić jako wielki architekt, mępenas sztuki i wychowawca (młodzieży

Jednakże jego zwolennicy, a zwłaszcza ci ze stolicy - Rzeszy, raz wprawieni w stan natodowego uniesienia, nie dawali się już *po-*wstrzymać w swej nieustającej działalności. Wiadomi towarzysze czekali na rogu niemal każdej ulicy, w bramach domów, na podwórkach, stacjach metra: ochoczy naganiacze władzy, gorliwi pomocnicy partii i policji, również tajnej policji państwowej. Nie byli to bynajmniej tylko liczni dozorczy domów i bloków, którzy, wspierani przez ambitnych towarzyszy partyjnych, chcieli się sprawdzić. Także niejedni dzielny, pozbawiony jakiegokolwiek partyjnej funkcji drobny czy średni mieszczanin, teraz nazywany Volksgenosse , nie chciał „próżnować”.

Nastał czas szpicli, uważających się za godnych najwyższego szacunku, oddanych państwu konfidentów, gotowych do spełnienia każdego zadania kapusiów- nie mylić z „deńuncjatorami”, broń Boże! Wszyscy oni wykonywali tylko swój obowiązek! Przy pomocy tak samo urobipnych ludzi prasy i radia „wyostrzano” im zęby. Byli przekonani, że działają z przekonania.

Tak więc wszyscy oni pilnie i skutecznie dbali o to, żeby aparat chroniący państwo pracował pełną parą. Zwłaszcza szczególnie wydajnie działająca centrala zagłady - pałac przy Prinz-Albrecht-Strasse, kwatera główna Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy"- pracowała dwadzieścia cztery godziny na dobę. I zawsze była przepełniona.

- No tcrdalej do-roboty! - zagrzniał równie zapraszająco, co stanowczo radca kryminalny Meisinger, specjalista od homoseksualistów

ludowy lowatzysz

w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. - Spróbujmy jeszcze bardziej ujarzmić naszego konika. Jak najskuteczniej! Czyli zaczyna jąć nie od głowy, aie od ogona. Jesteś gotowy?

Schmidtowi schlebiało to. - Jasne, jestem do pana usług.

- Przede wszystkim, ty kapuściana głowo, zapamiętaj sobie: jesteś ekspertem! Zrozumiałeś? Skoro ja podaję cię za takiego, to nim jesteś!

Otto-Otto zdziwił się teraz naprawdę, ale tylko na chwilę; gotowość kooperacji z jego strony wydawała się nie mieć granic.

- Przepraszam, kim ja niby jestem? Ekspertem? Ale pod jakim względem pana na pewno słusznym zdaniem?

- Jeżeli zamierzamy zrobić z ciebie skutecznego korohnegd świadka, to musi to być pod każdym względem przekonujące, tyłogłoby się nam udać, gdybyś pozostał na scenie jako, że tak powiem, urzędowy ekspert do spraw homoseksualistów, ich powiązań i kombinacji.

- Pozostanę, szefie!

- Najpierw trzeba cię spreparować. Dostarczę ci stos materiałów, których nauczysz się na pamięć. Jak to zrobisz, będziesz fachowcem. Meisinger, siedząc z szeroko rozstawionymi nogami, szczylił się swoją popisową rolą genialnego tropiciela i prześladowcy. - Według wszelkich reguł sztuki zdemaskujemy działo wielkiego kalibru i naładujemy je tak, żeby bez najmniejszych zastrzeżeń dało się użyć jako środek prawny. Przez ciebie, eksperta mającego uprawnienia zawodowe, nieustannie będącego na służbie sprawiedliwości. Rozumiesz?

- Zaczynam rozumieć coraz więcej.

No, nareszcie! — wykrzyknął Meisinger z zapalem. - No to zacznijmy od najważniejszych lekcji!

Funkcjonariusz gestapo wziął do ręki ze swobodą wytrawnego, iluzjonisty plik przygotowanych wcześniej zdjęć. Rozłożył je jak wachlarz i podsunął Schmidtowi pod nos. Wszystkie przedstawiały generała von Fritscha - siedzącego za biurkiem, dokonującego przeglądu broni, odbierającego defiladę; niemal na każdym z nich był sztywny jak kukła, ale nie pozbawiony godności.

- Będą cię pytać, czy go znasz.

- Odpowiem, że znam. Natknąłem się na niego... No, może nie wyglądał zupełnie tak samo. Wtedy, rzecz jasna, był po cywilnemu, wiadomo, życie prywatne.

- Tylko tak dalej, Schmidt! Zapamiętaj sobie dobrze tę twarz

- zachęcał go Meisinger. - Jeśli postawią cię przed nim oko w oko, musisz bez chwili wahania, bez najmniejszych wątpliwości podejść do niego i wskazać go palcem. Czy mogę na ciebie liczyć, czy też znowu zaczniesz trząść portkami?

- Chyba nie mogę sobie na to pozwolić, co? - Otto-Otto uśmiechnął się do Meisingera, aby już za chwilę, pod wpływem jego surowego spojrzenia, dodać: - Na pewno sobie nie pozwolę, szefie! Jak przyjdzie co do czego będę twardy jak stal!

- I nawet przed sądem, na przykład sądem wojennym, będziesz niewzruszenie obstawał przy swoim?

- Tak jest! - zapewnił Otto-Otto. - A czy mam inny wybór?

- Nie masz! Ale przedtem musisz się jeszcze trochę poduczyć. Już ja się tym zajmę. Wszystko musi być zorganizowane na sto procent.

W następnych dniach doszło do takich oto wydarzeń: Heydrich zadzwonił do Göringa. Zachowywał się uprzedzająco grzecznie, głosowi starał się nadać jak najbardziej poufale ton - ostatecznie obaj zdawali sobie sprawę ze swoich wyjątkowych pozycji w tej konstelacji władzy. Wskazana więc była obustronna ostrożność, ale i pewna doza wzajemnej życzliwości.

- Niewykluczone - powiedział Heydrich - że natknąłem się na coś, co być może pana zainteresuje.

- To proszę mnie odwiedzić, mój drogi, jak najszybciej.

Spotkanie odbyło się już następnego dnia przed południem w Karinhall. Przywitali się ze sobą uderzająco serdecznie, aby bezpośrednio potem rozpocząć rozmowę w cztery oczy. Najpierw nie obyło się bez „ceregeli”, czyli próbnego wysondowania się nawzajem, zapewnienia sobie bezpieczeństwa, a jednocześnie wyciągnięcia jalec największych korzyści.

W pojęciu Hermanna Göringa, jak już wielokrotnie się o tym przekonał, najlepszą obronę stanowił bezpośredni atak. Również wobec Heydricha.

- Przy wszelkiej życzliwości, jaką mam dla pana, muszę powiedzieć, że ustawiczne próby wtykania nosa w sprawy należące do mojej kompetencji, czyli urzędu badawczego, me bardzo mnie cieszą.

- Nie ulega wątpliwości, że respektuję zakres pańskich wpływów,

panie generale. Dążę jedynie do koncentracji wszystkich sił - w służbie Führerowi.

- Dokładnie o to samo chodzi także mnie, Heydrich!

Ów „urząd badawczy”, mimo wszelkich podejmowanych wysiłków nadal nie znany w świecie, był pomysłem Göringa. Była to niezwykle hojnie finansowana instytucja, zajmująca się zbieraniem danych, jedyna w swoim rodzaju centrala informacji zdobywanych dzięki podsłuchowi czy inną drogą. Pracowało tam około tysiąca specjalistów od różnych języków. I właśnie ten „urząd” Heydrich usiłował, jak należało przypuszczać, nasycić swoimi ludźmi, aby dotrzeć do zebranych tam, wręcz spiętrzonych w stosach informacji.

- Mój drogi - odezwał się Göring chętnie, z groźnie brzmiącym spokojem w głosie - po prostu nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że odważyłby się pan na próbę zadzierania ze mną.

- Akurat zmierzam do czegoś wręcz przeciwnego, i właśnie dlatego jestem tutaj.

- Miło mi to słyszeć. Proszę to udowodnić.

Heydrich był gotów uczynić to bez chwili zwłoki. - Co by pan na to powiedział, gdyby udało się wyeliminować, szybko i skutecznie, naczelnego dowódcę armii?

- Ale w jaki sposób? - chciał wiedzieć Göring.

- Jako jednoznacznego homoseksualistę!

Zastępca Führera parsknął śmiechem. Jednakże to, co powiedział, nie zabrzmiało wesoło:

- Nie chcę o tym w'ogóle słyszeć; mój drogi! Człowieku, akurat ten Fritsch! Coś takiego powinien pan najpierw udowodnić, jeśli dysponuje pan przekonującym i całkowicie pewnym materiałem dowodowym.

- Właśnie nad tym pracujemy intensywnie! Jeśli pan sobie życzy, mógłbym już w najbliższych dniach...

- Tylko bez pośpiechu! Ma pan czas. Proszę pracować dokładnie. Być może wróczę do pańskiej propozycji. Wcześniej czy później, niewykluczone, że już niedługo.

Heydrich zrozumiał od razu, co Göring miał na myśli.

- Wobec tego każę wszystko przygotować, a pan określi właściwy moment. Zgoda?

- Jeśli się to panu uda, Heydrich, będzie pan mógł liczyć na moją szczególną przychylność, nawet gdy idzie o urząd badawczy. Nie życzę sobie tylko, mój drogi, żeby pan wścibiał swój duży nos od razu we wszystko. Ale w ogóle to nie byłbym przeciwny współpracy.

- Nie chcę niczego więcej, panie generale - pośpiesznie zapewnił Heydrich. - Przecież, ce tak powiem, doimy tę samą krowę. Von Fritsch stoi na drodze nie tylko panu, ale także nam, SS! A sposobność, by wreszcie-się z nim rozprawić, wydaje się jak najbardziej odpowiednia.

Göring oparł się wygodnie i przyglądał niemal z miłością swoim splecionym na brzuchu dłońom.

- Doskonale, Heydrich! Rozumiemy się. A skoro już pan nabrał rozpędu, to powinien go pan dalej wykorzystywać do odkrywania podobnych kwiatków przy użyciu całego znajdującego się w pana dyspozycji aparatu. Czy zna pan jakąś Evę Gruhn?

- Nie. - Heydrich instynktownie zareagował z ostrożnością; udał, że nie jest poinformowany. - A kto to jest?

- Dziecko ludu! - Göring uśmiechnął się szeroko i popatrzył zachęcająco na swego gościa. - Eva Gruhn. Mieszkanka Berlina, ma trochę ponad trzydziestkę. Byłoby bardzo dobrze, żeby nie tylko była dzieckiem ludu, ale miała jeszcze do tego „odpowiednią” przeszłość Najlepiej: odnotowaną w naszych aktach. To interesowałoby. mnie znacznie bardziej. Proszę nie pytać dlaczego.

Reinhard Heydrich, zawsze zimna, i przytomna bestia, udawał zaskoczonego. Co w gruncie rzeczy było zupełnie zrozumiałe z punktu widzenia strategii władzy. Trudno jednak przyjąć, że ten gigant, Göring, dopuściłby do popełnienia tak lekkomyślnego błędu.

Ostatecznie człowiek ten jako pruski premier był również szefem policji berlińskiej. A ponieważ ewentualne akta dotyczące owej Ewy Gruhn stanowiły materiał urzędowy tamtejszej obyczajówki, byłoby dla niego rzeczą łatwą sprowadzenie ich bezpośrednio stamtąd. Czyli prawdopodobnie niczego tam nie mieli. Dlatego musiało włączyć się w to gestapo, a więc Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, tym samym i SS, które Göring chciał -jak wnioskował Heydrich - zaprząć do swojego wozu. Zamierzał brudną robotę zostawić innym, aby póź niej, by tak rzec, mieć czyste ręce.

Oczywiście, tak czy owak płynęli tą samą łodzią - tyle że wiosła oddał Göring w ręce SS. Ale przecież wcale nie musiało pozostać tak na stałe. Heydrich zareagował życzliwie:

- Zrobi się, panie generale! Jak tylko będzie gotowy pierwszy użyteczny materiał, zamelduję się znowu!

### Siódma próba beletryzacji biegu wypadków związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Niebezpieczna gra

- Evo, moja droga! - wykrzyknął Volker Vogelsang, agent 134. Lekko się kołysząc szedł w stronę Evy z otwartymi ramionami,  
- Wiesz przecież że cię uwielbiam.

Odsunęła się od niego. - Volker - powiedziała niemal błagalnie - byłeś moim, przynajmniej wierzyłam w to do tej pory dobrym przyjacielem...

- Nadal nim jestem! - zapewnił ochryple. - A teraz to już naprawdę, kiedy zniknął ten Herbert Heersdorf. Ty mnie potrzebujesz!

Znowu go odsunęła. Spojrzała na niego wzrokiem błagającym o zrozumienie. - Pamiętasz ehyba jeszcze, co ostatnio ustaliliśmy! Że nasza znajomość musi się skończyć. Bo ja chcę zacząć nowe życie. Wychodzę za mąż.

- Za tego człowieka? I uważasz, że to naprawdę jest możliwe? Ty i on! On, wpływowa potęga, a ty, właściwie nic! - Agent Vogelsang zaśmiał się zakłopotany. - Czy nie za wiele sobie obiecujesz? Przemyślałam wszystko dokładnie. Ciągłe zwracałam mu uwagę na moje pochodzenie. Ale on wykazuje naprawdę niepojętą wspaniałościowość. Ja chcę z nim żyć!

- Dziewczyno, to przecież stary człowiek!

- Nic o nim nie wiesz!

- W każdym razie ja jestem lepszy. I też chcę się z tobą ożenić.

- Za późno - powiedziała zdecydowanie. - Nigdy tak naprawdę mnie nie rozumiałeś i jego też nigdy nie zrozumiesz. On należy do zupełnie innego świata.

- Do którego ty na pewno nie natężysz! A poza tym nie doceniasz



mnie. Od niedawna mam stosunki nawet w gestapo. A tam zaczynają się tobą interesować. Zdajesz sobie sprawę, co to może znaczyć? - Jest mi wszystko jedno. Zdecydowałam się! A mój Werner powiedział mi: niezależnie od tego, co się wydarzy, między nami nic się już nie zmieni. I ja w to wierzę.

- Nie bądź taka pewna! - zagroził jej Vogelsang grubiańsko. - W twojej sytuacji są ci potrzebni przyjaciele,, i ja jestem jednym z nich! Mógłbym ci się bardzo przydać. Nie uważasz?

- Ostatecznie znasz mnie już na tyle, że powinieneś wiedzieć: jeśli czegoś nie chcę, to nie chcę! Poza tym radziłabym ci nie mieszać się do tego.

- No, no, no, próbujesz mi grozić?

- Nie. Chcę cię tylko prosić, żebyś nie sprawiał mi żadnych trudności.

- Ach ty głupia, biedna idiotko! Ja i trudności! Inni potrafią to o wiele lepiej. Wyraźnie widać, że nie masz pojęcia, w co się wdałaś!, Tobie już nie można pomóc! Ale mimo to będę próbował.

Owej próbie niesienia pomocy przez niego szybko położono kres. Jeszcze usiłował rzucić się na Evę Gruhn, która mu jednak uciekła. Zataczając się chciał ją złapać, krzyczał, przewrócił lampę stojącą, rozbił szybę w oknie, wrzeszczał. Słysząc go było w całej okolicy.

Przerażeni mieszkańcy domu zawiadomili policję, która natychmiast się zjawiała. Funkcjonariusze wtargnęli do mieszkania Evy Gruhn i wyciągnęli stamtąd Volkera Vogelsanga. Później powstała rutynowa notatka. Wywołanie publicznego skandalu.

Opis tego zajścia włączono bezzwłocznie do kartoteki. Rutynowo - pod nazwiskiem Evy Gruhn.

Doszedł jeszcze jeden punkt zaczepienia.

Volker Vogelsang, agent nr 134, 24 grudnia, czyli w Wigilię 1937 roku, został aresztowany i odtransportowany do obozu koncentracyjnego - nie wiadomo na czyje polecenie. Od tego czasu zaginął po nim wszelki ślad. Nie mógł więc powiedzieć, jak niewinny był ten „skandal”

W tym samym czasie w głównej kwaterze gestapo - pałac przy Printz-Albrecht-Strasse Meisinger, naganiacz homoseksualistów, dalej wytrwale preparował swojego Schmidta. Heydrich znowu mu surowo nakazał: „Ten człowiek musi być absolutnie posłuszny!”

- No to teraz spuścimy portki niektórym panom! - powiedział Meisinger zachęcająco. - Przygotowałeś się do tego?

- Tak jest, szefie! - Otto Schmidt wcale nie ukrywał, że czuł się bardzo ważny. - Czyli, jak widzę, będę pilnie potrzebny. Jestem gotów. Tylko czy to mi się opłaci? I w jakim stopniu? Chciałbym to wiedzieć, szefie.

Oczy Meisingera zwięzły się, jego bladą jak papier twarz zaalał purpurowa czerwień. Szczeknął jak mały kundel: - Jąk ty się zachowujesz, ty nędzny pętaku! Może chcesz mi stawiać warunki.

-A dlaczego by nie, szefie - odparł Otto zuchwale - okazja nie jest zła. Ostatecznie każda robota ma swoją cenę! A dlaczego ja, niezawodny ekspert, miałbym się nie cenić?

- Zaraz ci szybko wyłożę - odpowiedział Meisinger -A kim ty naprawdę jesteś, ty szurze. Zdajecie, że bardzo tego potrzebujesz!

Po czym Meisinger nacisnął jeden z zainstalowanych na jego biurku guzików, czerwonego koloru. Po niespełna dziesięciu sekundach pojawili się dwaj funkcjonariusze w mundurach SS. Średniego wzrostu, krępi, sympatycznie wyglądający mężczyźni o twarzach wyrażających dziecięce zaciekawienie.

Meisinger z udawaną obojętnością wskazał kciukiem prawej ręki na Otto Schmidta. Krótka lekcja. Na średnich obrotach. Kwadrans powinien wystarczyć.

- To nieporozumienie, panie radco! - zaskamlał Otto-Otto w panicznym strachu. Szybko się zorientował, co go czeka. - Jestem gotowy na wszystko, wszystkiego, po prostu wszystkiego może pan ode mnie żądać.

- Lepiej będzie, jak umocnimy twoją gotowość służenia nam za pomocą naszej sprawdzonej metody.

Po czym Otto-Otto został wywleczony z pokoju mimo błagalnych spojrzeń rzucanych w stronę Meisingera. Ten uśmiechał się z pogardą. I zaczął czyścić sobie paznokcie nożyczkami do papieru. Nie spieszył się.

W dwadzieścia minut później Otto Schmidta wciągnięto do gabine-

tu i rzucono na krzesło. Wisiał na nim zupełnie bez sił, dłonie mu drżały, a twarz miał pokrytą potem. Na skinienie ręki Meisingera tragarze oddalili się, zerkając na Schmidta dobrodusznie. Meisinger przyglądał się mu z wyraźnym zadowoleniem i nadzieją.

- Oto w ten sposób wyjaśniliśmy bardzo ważną rzecz, ty nędzna wszo! To nie my jesteśmy dla ciebie, ale ty dla nas! Wreszcie dotarło?

- Całkowicie panie radco! - zapewnił Schmidt z lękiem. Znowu był bez reszty oddany, nie stawiał żadnych żądań. Przeżył, i to napełniło go wręcz wdzięcznością.

- No to do rzeczy! Rozumiem, że jesteś gotowy przysiąc że widziałeś tego Von Fritscha w akcji., Na tyłach dworca. Razem z Seppem-Bawarczykiem. Zgadza się?

- Tak przysięgnę! - zapewnił Otto, trwając w skulonej pozycji. Dłonie położył na brzuchu, w który mocno go kopano. Wnętrznosci paliły go teraz żywym ogniem.

- Wszystko sobie dokładnie przemyślałeś, to znaczy, ułożyłeś w głowie? Każdy szczegół, każdy drobiazg? Tak jak do tej pory omawialiśmy?

- Tak jest, panie radco, teraz wszystko się zgadza!

- A co by było, gdybym kazał jakiemuś kutemu na cztery nogi urzędnikowi sprawdzić twoje zaznania? Co wtedy?

- Nic by nie wskórał, panie radco. To, co mówię, jest niepodważalne. Na sto procent! Na pewno.

- No, to teraz możemy iść dalej - powiedział Meisinger wyraźnie ucieszony.

Erich Meller, „przyjaciół” Heydricha, był nie tylko coraz bardziej niespokojnym wędrowcem, krążącym po więcej niż dwóch światach, był także fatalnym, przypadkowym świadkiem tamtego czasu. Tym razem, znowu w dużej mierze nieświadomie, wplątał się w dalsze katastrofalne intrygi.

Należało do nich także pewne spotkanie, na początku wyglądające zupełnie niewinnie. Doktor Meller odwiedził kobietę, która opiekowała się jego mieszkaniem. Wstąpił do niej, aby omówić z nią konieczne zakupy i sprawunki.

Ponadto przez chwilę gawędził z nią jeszcze sympatycznie i uprzej-

mie o sprawach natury ogólnej - o nowym niemieckim duchu czy też o odczuwalnym niedostatku żywności, o rozrzutnie bogatym wachlarzu imprez artystycznych, o teatrze, muzyce i filmie. Spytał ją również, w odruchu przyjaznego zainteresowania, czy dobrze się jej mieszka w tym domu.

- Oczywiście, tak, panie radco! I chociaż na zewnątrz nie wygląda może tak dobrze, jest to chyba jednak dosyć wytworny dom. Od niedawna.

- Naprawdę? - spytał Meller w odpowiedzi na jej wyraźną ochotę poplotkowania z nim. — A dlaczego od niedawna?

- Bo ostatnio-odpowiedziała nie bez dumy - bywają u nas wysoko postawione osobistości, najwyższej rangi! Nawet feldmarszałek. I co pan na to?

Radca rządowy Meller najpierw nic nie odpowiedział. Wiedział bowiem, że w tym czasie był w Niemczech tylko jeden feldmarszałek; był wdowcem i kochał pewną kobietę. A więc to wszystko rozgrywało się tutaj, w tej czynszowej kamienicy? Hm, dlaczego nie!

Powiedział więc obojętnym tonem: Serce nie służy...

Ale taki stary mężczyzna i taka młoda kobieta?

- Różnie się zdarza. Ale kogo to może obchodzić? Mnie na przykład najbardziej interesuje w tym momencie to, kiedy zrobi pani u mnie gruntowne porządki?

W dwa dni później radca rządowy Erich Meller ponownie odwiedził swojego przyjaciela z młodości, Reinharda Heydricha, który przywitał go serdecznie i natychmiast kazał podać szampana, pommmery. A potem powiedział; - Gdybyś sam nie przyszedł, ja poprosiłbym cię do siebie,

- Ale chyba nie służbowo?

- Co też znowu! - odparł Heydrich z niezwykłym ożywieniem.

- Ostatecznie jesteś znany w tym urzędzie jako mój przyjaciel, czyli tabu!

- Wobec tego czego chcesz ode mnie?

- Chcę pokazać ci kilka zdjęć! - Szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy zdawał się dobrze bawić. - Wśród nich jest też jedno twoje, wyśmienicie uchwycone.

Heydrich położył je przed swoim przyjacielem. Przedstawiało ono

Mellera opuszczającego pewną kamienicę, a mianowicie dom, w którym mieszkała kobieta zajmująca się jego mieszkaniem.

- Zrobione przedwczoraj! Co ty na to?

- Przez kogo i w jakim celu?

- Czysta rutyna, Erichu! Po prostu: kto wchodzi do tego domu czy go opuszcza, jest automatycznie fotografowany - przez moich ludzi. Ale twoja obecność wśród tamtejszych gości jest dla mnie niespodzianką.

- Czyżbyś oczekiwał ode mnie wyjaśnienia, w jakim celu odwiedziłem ten dom? A właściwie dlaczego kazałeś go pilnować?

- Nie powinieneś się w żadnym wypadku krępować a już na pewno nie mnie. Ostatecznie ja też jestem mężczyzną. A ten dom wydaje się dosyć wesolutki. - Heydrich wyszczerzył zęby w sympatycznym uśmiechu. - Ale chętnie bym się dowiedział, kogo tam odwiedziłeś, jeśli nie jest to dla ciebie jako mężczyzny w jakiś sposób kłopotliwe. Możesz liczyć na moją dyskrecję. No, przyjacielu?

- W tym domu - odezwał się Erich Meller w zamyśleniu - mieszka niejaka panna Maria Winter, która już od paru lat zajmuje się nadzwyczaj przykładowie moim mieszkaniem. Żadnych osobistych kontaktów z nią nie mam, jeśli to jest to, co tak bardzo chciałeś wiedzieć. Odwiedziłem ją tylko po to, aby ustalić z nią parę spraw dotyczących mojego mieszkania. Czy wystarczy ci takie wyjaśnienie? .

- Ależ naturalnie, całkowicie! - zapewnił Heydrich i znowu napełnił kieliszki szampanem. - Czy bywałeś tam częściej?

- W ostatnim roku tylko dwa albo trzy razy.

- Czy znasz także innych mieszkańców? Na przykład niejaką Evę Gruhn? A jeśli tak, to co o niej wiesz? Bardzo by mnie to interesowało, że tak powiem, z powodów przyjacielsko-prywatnych.

- Nie znam nikogo takiego - zapewnił Meller z dużym opanowaniem. - Czy ta osoba powinna mnie obchodzić?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Reinhard Heydrich niemal zadowolony. - Ale gdybyś kiedykolwiek z nią się zetknął, to mogę ci tylko poradzić, żebyś trzymał się z daleka! To jest przyjacielskie ostrzeżenie. Bo ostatecznie, jak wiesz, także za sprawą niewinnych drobiazgów można wejść do historii świata, korzystając oczywiście z niewielkiej pomocy.

Generał Werner baron von Fritsch, głównodowodzący sił lądowych, upajał się niebywale swoim pobytem w Kairze. Kilka razy kazał się zawieźć z hotelu „Semiramis”, w którym mieszkał, pod piramidy - sfinks, tkwiący przed nimi jak na warcie, cieszył się jego szczególnym zainteresowaniem. Był co prawda mocno uszkodzony, bez nosa, wystawiony na ciągły proces wietrzenia - mimo to sprawiał wrażenie suwerennego i niezniszczalnego przez całe tysiąclecia. Baron chętnie siadywał u jego stóp.

Ponadto von Fritsch cenił sobie wieczorne spacery brzegiem Nilu, zawsze ubrany w ciemny, przyzwoity, cywilny garnitur. Podczas jednego z takich spacerów wynurzył się nagle przed nim, w pobliżu brytyjskiej ambasady, młody Arab - w jasnym, europejskim ubraniu, o sprężystych ruchach, łagodnych oczach i twarzy jak ze wschodnich bajek. Nadzwyczaj grzecznie spytał po niemiecku:

- Czy pan von Fritsch?

- Tak - potwierdził generał z umiarkowaną uprzejmością. - Czego pan sobie życzy?

Ale nim młody Arab zdołał odpowiedzieć na to pytanie, nadbiegł już, jak na alarm, adiutant generała. Podczas spacerów nigdy nie tkwił u boku swego szefa, ponieważ generał wolał przebywać sam ze sobą i ze swoimi myślami. Adiutant jednak za każdym razem mu towarzyszył; obojętne, gdziekolwiek by się baron wybierał, zawsze był w zasięgu jego głosu i gotowy służyć mu pomocą.

Tym razem działał nieustępliwie. Stał między swoim szefem i tym tak podejrzanie miło uśmiechającym się młodym Arabem. - Kim pan jest? Czego pan chce? Z czyjego polecenia pan przybywa?

- Czy to konieczne, mój drogi? - spytał von Fritsch z lekką dezaprobatą. - Ten pan chce widocznie ze mną porozmawiać.

- Proszę mi wybaczyć, panie generale, ale moim zadaniem...

Na czym naprawdę ono polegało, adiutant nie powiedział: chodziło o osłanianie dowódcy przed podejrzanymi, być może w określonym Celu podsuniętymi von Fritschowi osobnikami. A ten piękny jak z bajki, dyskretnie usłużny młody Arab mógł być właśnie kimś takim - podstawiony lichu wie przez kogo! Może to nie przypadek, że zdarzyło się to w pobliżu ambasady brytyjskiej.

W każdym razie młody mężczyzna oświadczył, patrząc tymi swymi pięknymi, brązowymi oczami tylko na generała: - Nie ma najmniej-

szego znaczenia, kim jestem. Chcę prosić pana von Fritscha tylko o jedno; aby poszedł ze mną do położonego niedaleko stąd szpitala. Spełniam życzenie znajdującego się tam pacjenta, pana Stander..

- To może być - ostrzegł zatroskany adiutant - doskonale przygotowana prowokacja'

- Pan Stander - rzekł von Fritsch niewzruszony - jest kierownikiem naszego hotelu. To niezwykle miły, bardzo życzliwy człowiek. Czy chodzi o niego?

- Właśnie o niego, panie von Fritsch! Ubiegłej nocy został brutalnie pobity, w swoim, to znaczy pańskim hotelu. Życzy sobie jedynie wyjaśnić panu, z jakiego powodu.

- To może się okazać — ponownie poddawał pod rozagę opiekunczy adiutant - pułapką! Przecież jesteśmy tu prywatnie, zupełnie prywatnie. Tylko żadnych komplikacji.

- Jeśli pan Stander chce koniecznie ze mną mówić - zdecydował generał - to powinienem mu to umożliwić. Chodźmy do niego!

Gdy zjawili się w centralnym szpitalu kairskim, ów młody Arab, niemal bez żadnego wysiłku, jakby wszystko było już przygotowane, pokonał kilka trudności. Wystarczyło parę słów. i osobiście pojawił się sam ordynator. Wkrótce znaleźli się w sali 202.

Owinięty w grube bandaże leżał tam rzeczywiście mocno poturbowany mężczyzna. Mimo to, z pewnym trudem, można go było rozpoznać. Istotnie był to mister czy monsieur Stander, kierownik recepcji hotelu „Semiramis”;

Von Fritsch przyglądał mu się ze współzuciem. Przypomnił sobie własne liczne pobyty w lazaretach jako dowódca frontowy.

- Pan chciał że rriną mówić, panie Stander? Jestem. Co chciałby pan mi powiedzieć?

- Parę rzeczy - wydyszał pacjent. - Ale tylko panu, w cztery oczy.

Von Fritsch skinął głową, co znaczyło, że ordynator, dwie siostry, adiutant i młody Arab mieli się oddalić. Pozostali tylko oni dwaj.

- No więc słucham? - powiedział von Fritsch. niezwykle uprzejmie Po czym, nie okazując najmniejszego zaskoczenia, wysłuchał na stępującej opowieści: - Nazywam się Stander, na imięm Jerome Wilhelm. Mój ojciec był właścicielem hotelu w Alzacji, a matka urodziła się w Brandenburgu. Dzięki całemu łańcuchowi przypadków mam pewne co prawda luźne powiązania z niemiecką Abwehrą,

zwłaszcza z pułkownikiem Osterem. Właśnie on prosił mnie, żeby się panem opiekować, czyli w razie potrzeby osłaniać.

- Bardzo to jest miłe - stwierdził generał obojętnie - ale jednocześnie raczej zbędne. Ostatecznie przebywam tutaj wyłącznie z powodu stanu zdrowia.

- Ale mimo to jest pan śledzony.

- Możliwe. Troskliwie pilnowany. Chyba przez pana i mojego adiutanta! Powiniennem raczej być za to wdzięczny.

- Ale pilnują też pana agenci gestapo, panie von Fritsch!

Głównodowodzący armii mógł w tym miejscu tylko z lekka się uśmiechnąć. - Człowiek na moim stanowisku musi godzić się z wieloma rzeczami. Również z tego rodzaju środkami ochrony.

- Ale w tym wypadku wcale nie o to chodzi, panie generale. Ci ludzie starają się raczej bardzo systematycznie pana śledzić. Pańskie życie prywatne!

- Ja nie mam życia prywatnego.

- Wtargnęli do pańskiego pokoju w hotelu, przeszukali bagaż, obwąchali nawet pańskie łóżko. I na tym ich zastałem! A oni bez namysłu mnie pobili. Że aż trafiłem do szpitala! Tak jak pan widzi.

- Nadzwyczaj obrzydliwa historia, panie Stander. I jeśli rzeczywiście to wszystko, co pan przypuszcza, by się zgadzało, natychmiast złożę ostry protest! Ale przecież, nieprawdaż, mogło chodzić o zwykłych hotelowych złodziei, którym przypadkiem wszedł pan w drogę. Ale może potrafi pan wymienić nazwiska tych ludzi? Albo nawet nazwiska ich zleceniodawców?

- Nie, nie potrafię. - Mężczyzna w szpitalnym łóżku zerkał na von Fritscha z niedowierzaniem. Czyli nie jest pan nawet w najmniejszym stopniu zaniepokojony?

- Ależ, mój drogi, bardzo pana proszę! Wiem ostatecznie, kim jestem, co nie znaczy, że tak wysoko się cenię. I nie mam nic dosłownie nic do ukrycia.

Ciężko poturbowany mężczyzna opadł wyczerpany na poduszkę. Teraz również i on zrozumiał: baron był naprawdę godnym najwyższego szacunku człowiekiem - o wręcz nieprawdopodobnej naiwności. I to w tych rojących się od hien czasach. Był już zgubiony!

Słońce Kairu mogło już jako ostatnie rzucać na niego blask.



W Berlinie; niemal w tym samym czasie, feldmarszałek von Blomberg zwrócił się do generała Göringa z prośbą o rozmowę. Jego prośbę niezwłocznie spełniono.

Rozmowa odbyła się w „Domu Lotników”, przy wspólnym obiedzie. Prosty, ale mocno przyprawionym. Podano go w najbardziej odległej salce tego ekskluzywnego klubu, będącej zawsze do dyspozycji wodza Luftwaffe. Tam właśnie spożywali posiłek, niemal w milczeniu, Göring z wyraźną rozkoszą.

Kiedy podano kawę, na sposób włoski mocno prażoną, Blomberg wręcz natarczywie zapytał: - Czy miał pan już okazję rozmawiać z Führerem, drogi przyjacielu? Na temat mojej nieco drażliwej sytuacji osobistej?

- Tak, mój drogi! Oczywiście. I dokładnie w taki sposób, w jaki pan sobie życzył.

- I z powodzeniem?

- Jak najbardziej, panie von Blomberg! Wszystko zapowiada się obiecująco. O co, jak tylko mogłem, się postarałem. Führer był bardzo zadowolony, naprawdę bardzo zadowolony, że chce pan związać się z dzieckiem ludu. Zdaniem Führera jest to krok ogromnie odważny, nadzwyczaj szlachetny, by tak rzec, przełomowy pod względem społecznym, zwłaszcza w tej, w jego przekonaniu, nie w pełni jeszcze ukształtowanej epoce.

- Czy to znaczy, że wyraził zgodę?

- W zasadzie tak.

- Ale z pewnymi zastrzeżeniami, nieprawdaż? <sup>Ł</sup>

Göring uśmiechnął się szeroko, z lekką pobłażliwością. - Ostatecznie to on jest Führerem! I jeśli nawet jest skłonny postąpić w myśl mojej sugestii, to jednak kładzie nacisk na to, by" zwrócono się do niego bezpośrednio, czyli pan osobiście powinien to zrobić.

- I on wtedy wyrazi zgodę? - spytał von Blomberg z napięciem.

- Ależ tak, naturalnie! Nasz Hitler nie zlekceważy tak gorącej tęsknoty serca naszego wielce szanowanego, feldmarszałka. O tym mnie poinformował. A ja za pańską wybrankę włożyłem, że tak powiem, rękę w ogień. Czego z pewnością nigdy nie będę żałował.

- Dziękuję panu z całej duszy!

- Cieszę się, bardzo się cieszę. Zawsze może być pan pewny mojej

koleżeńskiej przyjaźni. Wszystko przebiega jak najlepiej: Po pańskiej, po naszej myśli.

W berlińskiej prefekturze policji przy Alexanderplatz wicenaczelnik, hrabia von der Schulenburg, odwiedził swojego szefa, hrabiego Helldorfa, który na widok zastępcy uniósł obie ręce jakby w geście podania. To była ich ulubiona gra.

Helldorf: - Nie chcę słyszeć o niczym! Ustaliliśmy, że każdy z nas idzie własną drogą. Im mniej będziemy wiedzieć o swoich krokach, tym większe będziemy mieli pole działania.

Schulenburg: - Tym razem jednak ta reguła bezpieczeństwa przestaje obowiązywać, szanowny hrabio. Bo zdaje się, że zabiera się do nas gestapo, i to nie na żarty.

- Ależ hrabio,, równie szanowny, przecież oni próbują tego bez przerwy. A w sprawie von Fritscha macza już palce nawet Abwehra.

- Tym razem jednak żądają od nas czegoś niby zupełnie innego, ale nie mniejszej wagi. Akt niejakej pani Gruhn..

- Kto to jest? - spytał naczelnik Helldorf zupełnie nieświadomy.

- Osoba nagle odnotowana w naszych kartotekach. Nikt nie wie, jak się tam dostała.

- Aż do tego się posuwają? - zapytał przerażony hrabia Helldorf.

. Przy czym prawdopodobnie pomyślał również o sobie - „o swym stosunku z pewną aktorką filmową, istotą raczej „dosyć niegroźną. W tym wypadku bowiem chodziło tylko o zwykłą przyjemność, a nie dalekowzroczone zobowiązania. Ostatecznie Helldorf to nie Goebbels, który mylił obsadę w teatrze z listą swoich kochanek.

- Ale dlaczego gestapo tak bardzo interesuje się tą Evą Gruhn?

- Bo ta pani zamierza wyjść za mąż - oświadczył obojętnie hrabia von der Schulenburg.

- No proszę, jak uroczo! A kto jest tym szczęśliwcem?

Na co wicenaczelnik, raczej miernie ubawiony, oznajmił:

- Tym tak zwanym szczęśliwcem jest feldmarszałek Werner von Blomberg.

Naczelnik policji berlińskiej nagle się rozpromienił. - Czy nie uważa pan, przyjacielu, że to rysztockowe przedstawienie jest już

wystarczająco komiczne? O kogo tu teraz chodzi? Kto ma być załatwiony? Jakaś biedna dziewczyna, feldmarszałek czy gestapo?

- A co by panu najbardziej odpowiadało? .

- Ach, wszystko jedno! Byle ci ludzie władzy nie upiekli nas w tym samym ogniu!

- Wobec tego proponuję - oznajmił mu von der Schulenburg beztrząsco - żebyśmy po prostu oświadczyli, że takich akt u nas nie ma. A więc nie możemy ich także wydać, nawet gestapo.

- To nie jest zbyt bezpieczne -. ocenił Helldorf. - Bo jeśli takie dokumenty istnieją, to na pewno i u nas są kilkakrotnie odnotowane, już niektórzy nad tym się „napracowali”. I to ludzie, których nie znamy, których istnienia tylko się domyślamy.

- Akta mogą zniknąć, bez śladu.

- I my także, jak przypuszczam! Czy pan też jest gotów, jeśli zrobi się gorąco - a zrobi się, kiedy gestapo zdecydowanie włączy się do sprawy - z powodu miłości podstarzałego feldmarszałka gryźć ziemię? Razem ze mną?

- Osobą Evy Gruhn zająłem się trochę dokładniej. I to, co dało się zauważyć, uprawnia do przypuszczenia, że jest ona nie tylko osobą bardzo przyzwoitą, ale również godną miłości. Ona nie pragnie niczego innego jak tylko szczęśliwie kochać.

- Feldmarszałka?

- Najważniejsze w całej sprawie jest to, że ona kocha jego, a on kocha ją! Coś takiego trzeba chyba szanować, prawda?

- To nawet brzmi bardzo po ludzku - stwierdził hrabia Helldorf z łagodną ironią. - Ale czy gestapo zechce ten fakt uszanować?

- Powinniśmy spróbować ją obronić, przynajmniej tym razem! Na to chyba się pan zgodzi, panie naczelniku? powiedzmy, dzięki własnym doświadczeniom.

- Niech pan przestanie ciągle mnie prowokować. No dobrze, spróbuję. Na swój sposób.

Hrabia Helldorf sprawiał teraz wrażenie bardzo. zamyślnego, jakby usiłował niezwykle rozważnie wszystko zaplanować. - A więc gestapo chce bezwzględnie dostać akta tej Gruhn! Powinniśmy się zabezpieczyć, tak gruntownie, jak to tylko możliwe!

-Ale jak?

- Podejmując ponownie zawsze skuteczną grę dotyczącą zakresu kompetencji służbowych. Tym razem może to wyglądać tak: jesteśmy zobowiązani do współpracy z gestapo. Ale naszym bezpośrednim przełożonym jest pruski minister spraw wewnętrznych; a on, na mocy unii personalnej, jest także premierem Prus. I jemu właśnie podsunieśmy te akta.

- Czyli Göringowi! Jest pan gotów na coś takiego?

- Wydaje mi się, że w tym wypadku taki krok jest jak najbardziej celowy. Do niego gestapo nie dotrze. Czyli zabarykadujemy się za nim. I w ten sposób będziemy bezpieczni.

I tak oto jeszcze jednego wilka wpuszczono do owczarni. Był to tym razem wyjątkowo okazały wilk. Toteż dał po sobie znać w przekonujący sposób.

## Ósma próba beletryzacji biegu wypadków związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Ostatnie ograniczenie

Ich miłość wydawała się im cudowna, zdolna przezwyciężyć wszelkie trudności. Bywały godziny, w których tylko patrzyli na siebie, roili sobie, że poza nimi nie ma nikogo na świecie.

Istniały znaki, słowa, hasła, stanowiące ich najzarliwszą tajemnicę, którą wyłącznie oni potrafili zrozumieć, I-tak na przykład wszystko, co dane im było przeżyć ze sobą i co odczuwali jako wyzwolenie, łączyli z jedną jedyną datą. Piątkiem,-trzynastego.

Albowiem takiego dnia wszystko się zaczęło. Od tej pory piątek i trzynasty stały się dla nich ustalonym sygnałem tęsknoty. Bywało, że często zwracała się do niego, używając tego hasła również publicznie, gdzie nikt nie miał pojęcia, có by ono miało znaczyć:

- Czuję się tak, jakby dzisiaj był piątek, trzynastego.

- Każdy dzień przeżyty z tobą nosi tę datę! Jak jasne, jak piękne i naturalne stało się wszystko między nami!

- I nie widzisz już żadnych przeszkód?

- Żadnych!

- Moja matka - wyznała mu - ciągle mnie ostrzega.

- Nie musi tego robić, i nie powinna. Powinna się cieszyć, że jesteś szczęśliwa. Bo przecież jesteś, prawda?

- Tak - powiedziała prosto i zdecydowanie. Aby za chwilę dodać ostrożnie: - Ale matka martwi się właśnie z powodu tego szczęścia. Uważa, że nam na to nie pozwoli, że powinniśmy być bardzo ostrożni, ona miała wiele przykrych doświadczeń z władzami, również z policją.

- Czasami trzeba przez to przejść — stwierdził Werner pogodnie.  
- Twoja matka jest na pewno dobrą kobietą, ale teraz ja jestem po to, żeby cię bronić. I ją też.

-Dziękuję ci! -odpowiedziała sięgając po jego dłoń. – Ale czy nie powinniśmy zostawić wszystkiego tak jak jest? Kochamy się; kiedy tylko zechcesz, mogę być z tobą. A ponieważ co do dziecka pomyliłam się, odpada także i ten powód małżeństwa.

- Na razie! - stwierdził z męską energią. - Wszystko jeszcze może się zdarzyć, i to właśnie zgodnie z wymogami moralności, w małżeństwie. Nasz przyjaciel Göring - obwieścił z pełną satysfakcją - robi wszystko, by utorować nam drogę. Rozmawiał z Führerem, który jest skłonny nasz związek, jak to się pięknie określa, pobłogosławić...

- Mój Boże, Werner! - odezwała się zatrzwożona. - Żeby to tylko dobrze się skończyło...

Uspokoił ją: - Wszystko przebiegnie zgodnie z planem. Dwudziestego drugiego grudnia odbędzie się w Monachium nabożeństwo żałobne za generała Ludendorffa. Mam na nim wygłosić mowę. Obecny będzie Führer. Po uroczystości jest gotów porozmawiać ze mną o nas.

- I co potem?

- Potem, wreszcie się pobierzemy! Myślę, że na początku stycznia trzydziestego ósmego roku. Cieszymy się z tego już teraz!

Z relacji doktora Ericha Mellera. Na temat jego stosunku do Heydricha.

„Nigdy nie wypierałem się głośno tej tak zwanej przyjaźni z lat młodzieńczych - po co "miałbym to robić? Wiadomość o mej szybko rozniosła się w najbliższych kręgach i już wkrótce zaczęły krążyć na mój temat najprzeróżniejsze opinie. Niektórzy uważali mnie - właśnie

dlatego - za osobę niebezpieczną, inni za niezwykle przydatną; dla jeszcze innych byłem czymś w rodzaju miniaturowego konia trojańskiego.

- Tak czy owak - powiedziałem do pułkownika Hansa Oстера, prawej ręki szefa Abwehry Canarisa - byliśmy wtedy, w latach naszego dzieciństwa, jak gdyby braćmi krwi.

Machnął obojętnie dłonią. - Ponieważ akurat mówimy o braciach, rodzonych czy przyrodnych, czy "słyszałeś coś o bracie Führera? Podobno jest właścicielem jakiejś knajpy tu, w Berlinie. Nie daj Bóg wspomnieć przy nim o jego Adolfie, od razu robi się czerwony! Tak samo żona Göringa, Emmy, nie jest przecież odpowiedzialna za to wszystko, co robi jej Herniann, a jego córki Eddy też nie można obciążać tym, że akurat on ją spłodził, ponadto Gónng wcale nie jest najgorszym mężem i ojcem. Chcę przez to powiedzieć, że niektóre więzi i powiązania w żadnym wypadku nie oznaczają świętych węzłów losu, na zawsze. Dlaczegoż by na przykład taka przyjaźń z lat młodości jak twoja miała się bezwzględnie przerodzić w symbiozę? Zwłaszcza w tych czasach?

Ale tak wyraźnie zmanifestowana wspaniałomyślność nie była chyba, jak przypuszczałem, wolna od wyrachowania. W tamtym okresie zawsze musiałem brać pod uwagę, w jakich czasach żyję. Dlatego właśnie nie zawahałem się przed podjęciem próby sprowokowania pułkownika Oстера.

-- Heydrich kilkakrotnie mi proponował przejście do jego komórki, mógłbym tam pełnić, jak mi obiecał, kierowniczą funkcję.

- Ale, jak widzę, odmówiłeś?

- Oczywiście. Używając między innymi argumentu, którego nie chciały przed tobą ukrywać. Powiedziałem mu mianowicie, że w ostateczności mógłbym być bardziej przydatny także dla niego, gdybym zachował moją koordynacyjną funkcję w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

- Bardzo sprytna odpowiedź!

I to było wszystko, co ów zawsze czujny specjalista służby tajnej, prawdziwy mistrz konspiracji, miał na ten temat do powiedzenia. Ale nie oznaczało to bynajmniej, że w ten sposób wyraził swoje pełne do mnie zaufanie. W tym fachu bowiem, a zwłaszcza w tym czasie, nieufność równała się instynktowi samozachowawczemu.

Nie odnosiło się to jednak do mnie, przynajmniej jeśli chodzi o mój stosunek do Heydricha. Chociaż kiedyś, bardzo lapidarnie, oświadczył mi: »Od ciebie, mój drogi, nie oczekuję i nie żądam niczego. Jedno jest ważne: ty jesteś moim przyjacielem, a ja jestem twoim. To chyba mówi samo za siebie!«

Ówczesny naczelnik policji wielkiego Berlina, Wolf hrabia von Helldorf, poprosił Göringa o bardzo poufną rozmowę. Göring niezwłocznie go przyjął. Spotkanie odbyło się w Karinhall.

- W co też dzisiaj zamierza mnie pan wplątać, mój drogi? - spytał gospodarz z zaciekawieniem. - Tylko proszę bez fałszywego wstydu! Mnie można powierzyć po prostu wszystko. Jeszcze nie wynaleziono rzeczy, której zdołałbym się przerazić. A więc, niech pan już puści farbę, hrabio!

Helldorf był zupełnie nieświadom tego, w co się wdał podejmując się tej misji. Toteż oświadczył uprzejmie bez dłuższych wstępów:

- Gestapo zażądało bezpośrednio od nas pewnych akt, niejakiej Evy Gruhn.

Göring zamknął powieki, a dzięki doskonałemu aktorskiemu wykonaniu odnosiło się wrażenie, jakby był nieskończenie zdruzony; nie chciał, by gość widział jego oczy, ich koci, pożądliwy błysk. Za chwilę raczył powiedzieć:

- A więc mówi pan, że gestapo zażądało pewnych akt, których pan prawdopodobnie od razu im nie dostarczył. Dlaczego?

- Bo z tą sprawą wiążą się dosyć nietypowe okoliczności, panie premierze. Po pierwsze: akta zostały założone dopiero niedawno i nikt nie potrafi powiedzieć, na czyje polecenie. Po drugie, należą one do naszego, a więc pańskiego zakresu kompetencji. Ponadto chodzi w tym wypadku o zupełnie wewnętrzne, nie potwierdzone materiały, bez jakiegokolwiek prawnego umotywowania. Czyli nie musimy ich wcale wydawać, tym bardziej jeśli pan nie zechce.

- A dlaczego, przepraszam, miałbym nie zechcieć? - Göring dobrze udawał nieświadomego. - Dlaczego tak się pan tym przejmuje?

- Bardzo szybko pan zrozumie, panie generale, panie premierze,

pan pozwoli, że mu je przedłożę. Najważniejsze fragmenty zaznaczyłem czerwonym ołówkiem.

Göring zachowywał się tak, jakby z wielką niechęcią spełniał życzenie Helldorfa. Po chwili jednak zabrał się za lekturę podsuniętych mu dokumentów z wyraźnie rosnącym przerażeniem. Jego gąbczasta twarz zamarła w zlodowaciałym osłupieniu. Oburzony, jak, gdyby do głębi przepełniony wstrętem, rzucił teczkę na stół i przycisnął ją dłonią.

- To przecież nie może być prawdą! - wrzasnął. - Nie wierzę, nie mogę uwierzyć! Czy pan wie, czego pan ode mnie żąda, drogi panie?

Zareagował - na pozór z ogromnym oburzeniem. Po chwili znowu sięgnął po teczkę, przysunął ją do siebie i powiedział ponurym głosem:

— Przede wszystkim zakładam, że mamy tu do czynienia z przykrymi nieporozumieniami, z całą serią pomyłek. W czym nie zamierzam brać udziału! - Po czym niemal podniośle oświadczył, jakby z myślą o potomności: - Albowiem pan von Blomberg to mój kolega i przyjaciel, proszę to sobie zapamiętać!

Helldorf od razu zrozumiał, co to znaczyło: Göring dystansował się od tej akcji, by tak rzec, oficjalnie, w obecności świadka. A jednocześnie nie udało mu się ukryć wielkiego zainteresowania sprawą.

- Czyli, jak się domyślam, zabierze pan te akta do siebie, panie premierze?

- Dostaną się, że tak powiem, w pewne ręce! - zapewnił Göring, niemal wesoło. - Wręcz trudno sobie wyobrazić, co by się mogło stać, mój drogi, gdyby tego rodzaju dokumenty znalazły się w rękach niepowołanych.

- A więc moja misja jest zakończona?

- W żadnym wypadku, hrabio! Niech pan, jak to się mówi, dalej trzyma rękę na pulsie. Takie brudy trzeba usunąć. Proszę to wszystko gruntownie sprawdzić... albo kazać sprawdzić. Przez pewnych ludzi.

- Hermann Göring robił teraz wrażenie człowieka bardzo czymś zaaferowanego. - Zależy mi na odparciu zarzutów... - urwał -- albo na ich potwierdzeniu, na ewentualnych dalszych dowodach, dodatkowych dokumentach, wszystko jedno, pozytywnych czy negatywnych. Najważniejsze, żeby były niepodważalne, nie ma pośpiechu.

- Tak jest - obiecał hrabia Helldorf, gotów już się oddalić.



A Göring na zakończenie oświadczył jakby w natchnieniu: -W każdym razie dziękuję panu, drogi hrabio, za pełną zaufania współpracę. Cała ta sprawa pozostanie między nami. Spróbujemy zrobić, co się tylko da, biorąc pod uwagę fakt, że chodzi tu o mającego wielkie zasługi przyjaciela i kolegę. Nie zapominając jednak o sprawiedliwości.

Naczelnik policji pożegnał się z ulgą, a nawet z nadzieją. Był bowiem przekonany, że trafił pod dobry adres. Co było zgodne z prawdą..

Albowiem bezpośrednio po tej rozmowie Hermann Göring we zwał swego adiutanta. - Proszę skontaktować się z Heydrichem. Niech się tu zaraz stawi. Myślę, że może mu pan dać do zrozumienia, iż mam coś dla niego.

-Pańskie przemówienie, panie feldmarszałku, było imponujące. - Takie słowa uznania wyraził Führer i kanclerz Rzeszy swojemu Wernerowi von Blombergowi. - Pańskie myśli zawierały twórczą siłę. Znowu, po raz kolejny, zasłużył się pan dla żołnierskiego ducha.

W rzeczywistości feldmarszałek Hitlera za pomocą użytych w przemówieniu sformułowań udowodnił ponownie, że nie tylko ma za sobą dobrą, pruską szkołę, ale jest wykształcony także literacko. Generał Ludendorff, legendarny już strateg z pierwszej wojny światowej, pozostał zawsze wierny swojemu feldmarszałkowi Hindenburgowi, a później także Hitlerowi. W nim bowiem, jak głosiła oficjalnie rozpowszechniona wersja, upatrywał prawdziwego zbawcę i wyćsknionego ojca ojczyzny. Wersja ta nawet w najmniejszym stopniu nie odpowiadała prawdzie, była jednak niezwykle wygodna.

Owego 22 grudnia 1937 roku w Monachium odbyła się ceremonia związana z tak zwanym aktem wagi państwowej: piętrowe wieńce, płonące pylony, licznie zebrani najwyżsi przedstawiciele Wehrmachtu, partii, władz i państwa. I dużo ludzi. Jako gość honorowy Mathilde, wdowa po Ludendorffie, w welonie, wyprostowana jak świeca po prawicy Hitlera. Tuż obok Göring, w lśniącym mundurze, demonstrujący bijącą w oczy żalobę. Wszystko niezwykle podniosłe! Wręcz wagnerowskie!

Bezpośrednio po tym spektaklu Hitler poprosił swoich „najbliż-

szych współpracowników", wszystkich mu „najbardziej drogich” -jak ich zapewniał - do swojej monachijskiej głównej kwatery, czyli do centrali partii przy Königsplatz. Tych „najdroższych” było dwóch. Siedzieli teraz naprzeciwko niego w ciężkich, pluszowych fotelach, odchyleni do tyłu, w pełnym napięciu oczekiwaniu, demonstrując swoje nacechowane przyjaźnią oddanie: feldmarszałek von Blomberg i generał Göring.

Hitler z niezwykłą życzliwością pochylił się w stronę feldmarszałka. - Prosił mnie pan, mój drogi, o rozmowę, poufną, jak uprzedził mi nasz przyjaciel Göring. A więc, szanowny panie von Blomberg, słucham.

- Mein Führer - zaczął feldmarszałek - zamierzam się ożenić.
- I to, jak mnie uprzedzono, z dzieckiem ludu. Miło mi to słyszeć.
- Muszę dodać, że chodzi o istotę jak najbardziej godną miłości - potwierdził Göring z całą mocą. - O damę niezwykle atrakcyjności, o ile. wiem. I jeśli nawet jest młodsza od naszego feldmarszałka o ładne parędziesiąt lat, nie powinno to być jednak żadną przeszkodą, prawda, mein Führer?

Hitler przyjął pozę rozważnego męża stanu, a jednocześnie życzliwego kolegi. Uśmiechnął się promiennie. Aby jednak za chwilę, zgodnie z właściwym mu spojrzeniem na świat, wygłosić, co następuje:

- Po pierwsze! Musimy postawić pytanie, jak na tego rodzaju zamiary matrymonialne zareagowałby korpus oficerski. Bo jeśli idzie o tych ludzi to mamy do czynienia, z całą pewnością w przeważającej mierze, z niezwykle konserwatywnymi i przywiązanymi do tradycji żołnierzami. Zresztą bardzo to sobie cenię. Niewykluczone jednak, że wcale nie mała ich część tkwi w ciasnych przesądach kastowych.

W tym wypadku mogłoby to doprowadzić do dosyć drażliwych reakcji.

Hermann Göring odezwał się z patosem: - Ależ mein Führer! Przecież to są ostatecznie żołnierze! Będą musieli być posłuszni! No bo cóż to znowu takiego, że wreszcie jakiś generał żeni się nie z córką generała ani ze zubożałą artystokratką czy też jedną z jej gorliwych pod każdym względem dam dworu! Zaczniemy myśleć demokratycznie!

Na co feldmarszałek von Blomberg zapewnił ufnie:  
- Jeśli o to chodzi, pozwoliłem sobie zrobić małe rozeznanie. Między innymi zwróciłem się do na pewno niezbyt wygodnego generała Becka. Ale właśnie on oświadczył mi: „Ależ drogi panie, to jest wyłącznie pańska sprawa! Jeśli rzeczywiście tak się stanie, wyślę panu i wybranej przez pana damie kwiaty i telegram z serdecznymi życzeniami szczęścia.

- Bardzo optymistyczne nastawienie - stwierdził führer. — Mimo to proszę pamiętać: naród nie powinien przypominać społeczeństwa feudalnego, ale. raczej stanowić autentyczną wspólnotę. Musimy świadomie do tego zmierzać. I pan, panie von Blomberg, stanowi w tej kwestii dobry przykład.

- Dziękuję, mein Führer - odrzekł z wdzięcznością feldmarszałek, wręcz zachwycony.

Adolf Hitler, stanowczy mąż stanu, zreasumował:

- Jeśli jeden z najświetniejszych przedstawicieli Rzeszy nie waha się poślubić dziecka ludu, to ja nie zawaham się nazwać tego odwagą, niezłomnością, zdecydowaniem.

- Tak jest! Również ja jestem tego zdania! - Göring był niezwykle rozentuzjasmowany. - Mimo to, mein Führer, pozwolę sobie udzielić pewnej rady, powodując się wymogami zalecanego bezpieczeństwa. Być może dobrze by było, gdyby nasz pan von Blomberg postarał się o dwóch, możliwie najwyższych stopniem, cieszących się znacznym szacunkiem generałów na świadków. Ten fakt zamknąłby z pewnością usta każdemu konserwatywnemu szczekaczowi.

- Również o tym - odparł ufnie feldmarszałek - już pomyślałem! Poprosiłem naczelnych dowódców armii | marynarki wojennej; obaj wyrazili zgodę.

-No, wspaniale! - wykrzyknął Göring z entuzjazmem. - To świetny pomysł, na pewno będzie to bardzo korzystne.

Zamilkł. Poczł bowiem, że spojrzenie führera, bynajmniej nie łaskawe, skierowane było na niego. Zawsze robiło to na nim wrażenie. Adolf Hitler usłyszałby nawet, jeśli by chciał, jak rośnie trawa.

Tyni razem führer chciał się objawić jako życzliwy ojciec swego kraju, zwykły kolega, dalekowzroczny obrońca Rzeszy. Oświadczył:  
- Tak więc niech mi wolno będzie oznajmić panu, panie feldmarszał-

ku, że ma pan moją całkowitą zgodę na ten związek. Ze tak powiem, moje błogosławieństwo.

- Gratuluję, gratuluję! - wykrzyknął Göring po kumplowskkt. Położył na ramieniu von Blomberga swoją potężną, grubą rękę i przyciągnął go do siebie.

Führer przerwał tę idyllę. - Niech się pan postara, drogi panie von Blomberg, wyciągnąć jak najwięcej korzyści ze swojej sytuacji.

- Niewątpliwie to uczyni! - zagrział Göring. - Jestem pewny.

## Łatwowierni idealiści

### Z relacji doktora Ericha Mellera

„To, co działo się wówczas, w tamtych tygodniach, można określić tylko jako zgniłą, rynsztokową intrygę, wokół której już niedługo zaczął się unosić niebywały smród. Wyraźnie rozpoznawalnym celem ataku był Wehrmacht. A dokładniej: jego przywódca.

Przy kieliszku szampana pozwoliłem sobie, kiedyś wobec mojego »przyjadela« na następującą uwagę: - Hm, a jak też zareagtg na to nasz Adolf Hitler, kiedy się dowie o tym, co tu naprawdę się odbywa? :

Heydrich roześmiał się gromko. Przy czym być może interesująca będzie wzmianka, że jego śmiech brzmiał zupełnie sympatycznie, niemal wesoło, w żadnym wypadku podstępnie czy szyderczo, jak można byłoby przypuszczać. Reinhard Heydrich był wówczas mężem czynną w swych najlepszych latach; jego praca - jakakolwiek była - dostarczała mu wyłącznie przyjemności. W tych dniach wszystko mu się jakby udawało. Tak więc czuł się silniejszy od innych.

Jego komentarz brzmiał: - Tego Göringa znam; dosyć dokładnie; choć niewiele o nim słyszałem. Nigdy się nie odważy podejść Hitlera od tyłu, bo zdaje sobie sprawę, jak jest niebezpieczny. W sytuacjach takich jak ta zawsze należy zakładać, że wszystko odbywa się na polecenie Führera, choćby nawet tylko pośrednio.

- Czyli Führer pozostaje w cieniu - powiedziałem. - Oficjalnie nic nie chce -wiedzieć o tym, co się dzieje, przynajmniej jeszcze nie

teraz. Podczas gdy jego Göring, razem z tobą, wykonuje niezbędną czarną robotę.

- Ostatecznie po to jesteśmy - stwierdził Heydrich krótko. - Już w niemieckim średniowieczu mówiło się przecież, że również kat należy do królewskiego orszaku.

Wyraźnie nie chciał więcej mówić na ten temat, a ja nie okazałem dodatkowego zainteresowania, co mu się spodobało. W pozostałych godzinach próbowaliśmy, odwracając uwagę wzajemnie od siebie, przypomnieć sobie język rosyjski. Przy tej okazji Heydrich niemal z zachwytem wyraził się o Stalinie:

- Odnoszę wrażenie, że Stalin odznacza się, podobnie jak nasz Führer zupełnie wyjątkowymi właściwościami. Na przykład jeśli chodzi o władzę, obaj są w równej mierze bezwzględni. Wydaje mi się, że będziemy jeszcze świadkami ciekawych historycznych wydarzeń.

. W tych dniach poprosiłem feldmarszałka von Blomberga o prywatną rozmowę. Użyłem pretekstu, że mam do przekazania poświęconą jego osobie książkę od mojego wuja, „Mellera-armaty”. Nosiła ona pompatyczny tytuł »Prawda oręża«. Feldmarszałek przyjął mnie niezwykle serdecznie, zaprosił na kolację u Kempnińskiego, w której uczestniczyła także jego przyszła żona Eva Gruhn.

Miałem okazję dokładnie im się przyjrzeć. Po tych niemal trzech godzinach stwierdziłem, że jest to niezwykle osobliwa, a precyzyjnie mówiąc: wysoce godna uwagi para. Oboje, cały czas pochłonięci sobą, spoglądali na siebie z oddaniem: on nad wyraz czule, ona raczej z wdzięcznością, i widać było, że jest szczęśliwa. Mój Boże, ależ oni się kochali!

Przyznaję, że zrobiło to na mnie dosyć silne wrażenie. I zrozumiałem, że po prostu nie zdołam mu tego powiedzieć. Według mojego odczucia nie miałem do tego moralnego prawa. Dosyć rzadkie w moim przypadku zachowanie - którego już niedługo miałem bardzo żałować. Ostatecznie mieliśmy do czynienia nie z kim innym, tylko z Hitlerem,

Dziewiąta próba beletryzacji biegu wypadków  
związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Zdecydowanie  
Wenera

- Wszystko - powiedział Werner von Blomberg do swojej Evy - powinno odbyć się jak najskromniej, ale i jak najgodniej. - Miał na myśli uroczystość ślubną, - Jestem to winien swojemu stanowisku.

A ona nawet jeszcze teraz jak gdyby opierała się przed tym ostatecznym krokiem. Ale to czyniło ją w oczach Wenera tylko bardziej godną miłości, co wcale nie było świadomie przez nią za planowane. Powtórnie zaklinała go:

Nie musisz wiązać się ze mną; nie oficjalnie. Tak czy owak zawsze będę twoja, tak długo, jak zechcesz. Proszę cię, nie zapominaj o tym skąd się wywodzę.

- Wie o tym dość dokładnie - odparł Werner von Blomberg - dzięki swojemu urzędowi i powiązaniom, ów radca rządowy Meller, z którym niedawno jedliśmy kolację. Nie bez powodu go zaprosiłem. I właśnie on, ku mojej szczerzej radości, był wyraźnie pod twoim urokiem, podobałaś mu się ty, podobaliśmy się my oboje i nasz związek.

- Chwilami jednak miałam wrażenie, że patrzył na nas z lekkim współczuciem.

- Z widoczną przychylnością, choć nie pozbawioną melancholii. Musisz bowiem wiedzieć, że tak się nieszczęśliwie złożyło, iż doktorowi Mellerowi zamordowano żonę i dziecko. Żyje samotnie. Od lat.

- Rzeczywiście należy mu współczuć. To bez wątpienia wrażliwy, miły człowiek, choć trochę skomplikowany. Takie odniosłam wrażenie.

- Doskonale znasz się na ludziach, droga Evo. I właśnie dlatego zrozumiałaś zapewne, że to spotkanie miało dla nas decydujące znaczenie.

Siedzieli u niej w pokoju i pili herbatę von Blomberg przyniósł oryginalne angielskie ciasto z owocami. Eva ujęła jego dłonie. - Jeśli tak bezwzględnie upierasz się przy tym małżeństwie, to ja jestem gotowa. Tylko proszę bardzo, bez szumu.

- Ja też tak uważam, moja piękna. Ale całkowicie nie da się tego

uniknąć, niestety, nie przy mojej pozycji. Myślę jednak, że zgodnie i z twoim, i z moim życzeniem wszystko odbędzie się w miarę dyskretnie. Czyli w jak najwęższym gronie. Oprócz urzędnika stanu cywilnego tylko dwóch świadków i jeden przyjaciel. Nikogo z mojej rodziny. Sądzę jednak, że twoja matka powinna być przy tym.

Eva zareagowała niemal gwałtownie: - Proszę cię, Wernerze, nie nalegaj na to! Oczywiście, że kocham moją matkę, ale ona jest prostą kobietą; nie chciałabym obciążać cię jeszcze i nią. Do tego wszystkiego!

Ależ moja droga, matka jest matką! I naprawdę zostałyby to dobrze odebrane, gdyby była obecna na naszym ślubie.

- Jeśli bardzo tego chcesz powiedziała Eva z oddaniem - niech tak będzie.

- Zresztą niewykluczone - kontynuował Blomberg - że gratulacje złoży nam osobiście Führer, a także Göring. No i oczywiście odpowiedni anons ukaże się we wszystkich gazetach. Z nazwiskami świadków. Do tej roli pozyskałem już wspaniałych generałów.

- Mój Boże - wyznała Eva równie zszokowana, co zaniepokojona - i to wszystko z mojego powodu, z naszego! I jeszcze w dodatku moja matka. Przecież będzie się tam źle czuła.

- Co też opowiesz! Twoja dobra, troskliwa matka będzie z ciebie nieopisanie dumna, jestem tego pewien. Ostatecznie jej córka wychodzi za mąż za feldmarszałka, jedynego w Niemczech. Czy ten fakt może jej być obojętny?

- Na pewno nie! Ale to ona ciągle mnie ostrzegała, wręcz za kłinała, żeby nie wdawać się w tę ryzykowną przygodę, jak ona to nazywa. Twoje zdecydowanie, Werner, nadzwyczaj jej zaimponowało. Mimo to jednak moja matka...

Von Blomberg sięgnął teraz do źródła wyczytanych mądrości: - Kiedy generał kawalerii Ziethen wygrał jedną z ważniejszych bitew, jego król, czyli Fryderyk Wielki, wydał na jego cześć wyborną wieczerzę. Ziethen zaprosił na nią swoją matkę, zwykłą chłopkę! Co za chwyciło monarchę i skłoniło do takiej wypowiedzi: „Pańska głęboka synowska miłość, generale, przynosi panu zaszczyt!”

- Ale ten Hitler - powiedziała ostrożnie Eva - to przecież nie Fryderyk Wielki. No i czasy się zmieniły.

- Na pewne wartości bieg czasu nie ma wpływu, moja droga!



Zwłaszcza że my w Trzeciej Rzeszy znowu odwołujemy się do tych etycznych wartości. Na przykład do germańskiego czy pruskiego ducha, do wierności, rodziny i małżeństwa. Do wspólnoty narodowej... Wszystkie te zasady odgrywają już w naszym nowym państwie należną im rolę.

- Jesteś o tym przekonany?
- W każdym razie jestem pełen ufności.

Szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy był wnikliwym obserwatorem. I właśnie dzięki temu zorientował się szybko, że zapowiedziana przez niego wizyta w luksusowej twierdzy Göringa, w Karinhall, została sklasyfikowana jako „wizyta państwowa”, tyle że o wewnętrznym charakterze. Przy wejściu czekał już na niego adiutant, a służący otworzył oba skrzydła drzwi na oścież.

Göring szedł w stronę swojego gościa krokiem słonia. Niemal obejmując Heydricha zaprowadził go do swojego gabinetu.

..— Nie ma mnie! - wykrzyknął do adiutanta. - Oczywiście z jednym wyjątkiem, gdyby chciał ze mną rozmawiać Führer! - Ale nie należało się tego obawiać.

Po uprzejmym rozeznaniu, czy drogi, wielce szanowny gość nie ma jakichś życzeń ~ nie miał ~ Göring bezzwłocznie przeszedł do rzeczy;

- No, mój drogi, o co chodzi z tą Evą Gruhn? Czy da się coś z tym zrobić?!

- Niewykluczone, panie generale! Zgodnie z pańską sugestią kazałem zebrać trochę materiału, co było dosyć trudne. Istnieją dokumenty w prefekturze, na których, jak mi się zdaje, ktoś chyba położył rękę. Ale ktokolwiek by to był, musimy posunąć się do przodu.

- Pod jakim względem, gruppenführerze?

Heydrich otworzył swoją teczkę. Uśmiechnął się wieloznacznie. - W gruncie rzeczy nic nie ma. Ale wszystko da się zrobić. W wypadku tej Evy Gruhn chodzi, jak widać, o osobę podpadającą pod tak zwany OPS. - Co w żargonie policyjnym, którego niuans nie były Göringowi obce, znaczyło: ogólnodostępne pogotowie seksualne.

- Czy istnieją na to dowody? - spytał Göring z pełnym niepokojem westchnieniem. Udało mu się zademonstrować wręcz dziecinne zdziwienie. - Ciarki przechodzą człowiekowi po plecach na samą myśl, że to może być prawda.

- Nie docenia pan, panie generale, umiejętności naszych specjalistów. Na nich naprawdę można polegać. Czy też nie przywiązuje pan wagi do tej sprawy?

- Wie pan dokładnie, co mam na myśli - powiedział Göring, z trudem się pohamowując. - Bo proszę sobie wyobrazić, że mógłbym znaleźć się w przymusowej sytuacji i zjawić się z przesłanym przez gestapo dokumentem przed Führerem! Doprawdy, nie przyszłoby mi to łatwo. Ale wtedy wszystko musiałyby być zrobione perfektnie. I właśnie dlatego, mój drogi, nie możemy niczego przegapić. Sprawę należy przygotować z jak największą rzetelnością, stuprocentową perfekcją, bez ułamka ryzyka; przy użyciu druzgocących dokumentów. Czy pan rozumie?

- Oznacza to z pewnością - odezwał się Heydrich powodowany niezawodną intuicją - że najpierw Blomberg ma się spokojnie ożenić. Dopiero potem, prawdopodobnie bezpośrednio potem, zamierza pan pójść na całego: wykorzystać dostarczone przez nas dokumenty.

Göring uśmiechnął się mrugając oczami. - Czy pan ma jakieś zastrzeżenia, mój drogi?

- Oczywiście, że nie, panie generale. Ale żywię nadzieję, że rozumie pan, iż ja też muszę się zabezpieczyć. W związku z tym nie powstrzymam się przed poinformowaniem o sprawie, oczywiście z zalecaną ostrożnością, reichsführera SS. Spodziewam się naturalnie, że zada mi pytanie: Co my, czyli SS, będziemy z tego mieli?

- A jaką odpowiedź, pana zdaniem, chciałby ten nasz Heinrich usłyszeć?

- Prawdopodobnie taką: jako rekompensatę za to że naczelnym dowódcą Wehrmachtu zostanie pan zamiast wyeliminowanego Blomberga, SS będzie kłaść silny nacisk na załatwienie generała von Fritscha. On bowiem, a z nim Himmler, sprawiają nam same trudności. Von Fritsch odmawia SS jakiegokolwiek siły obronnej, uważa organizację za podrzędną i próbuje ją usunąć z gry. Został zdemaskowany przez nas jako jednoznaczny przeciwnik, a więc musi zniknąć! Z pańską pomocą. A co najmniej z pańskim przyzwoleniem. Czy możemy na pana liczyć?

- Możecie, absolutnie! - Göring zareagował jak zamyślony niedźwiedź. - Ale ciągle zadaję sobie pytanie: czy wasz materiał rzeczywiście, jest wystarczający, żeby wyrzucić z siodła tak głupio konsek-

wentnego człowieka honoru pełnej krwi jak von Fritsch? Aby osiągnąć coś takiego, musieliście mieć dowody większego kalibru. Macie?

- Mamy, już dzisiaj! :
- Naprawdę? - Göring wahał się między powątpiewaniem a żarzącym się nadzieją zachwytem. - Takie, że naprawdę mogą zwalić z nóg?
- Pod warunkiem, że na podstawie zebranego przez nas materiału sprawa zostanie właściwie i przekonująco rozegrana!
- Przeze mnie?
- Panie generale, jeśli ktokolwiek mógłby w sugestywny sposób przedstawić ten nadzwyczaj drażliwy układ Führerowi, to tylko pan, wyłącznie. Bo on pana słucha!
- Zrobię to tylko wtedy, jeśli to będzie niezbędnie konieczne, i to też z niechęcią. Nie zamierzam jednak uchylać się od swoich zobowiązań. Na mnie zawsze można polegać. Pod warunkiem, że mam materiał najwyższej jakości.

General Werner baron von Fritsch w tym czasie nadal przebywał w Kairze, dla podratowania zdrowia. Zajmował w hotelu „Semiramis” obszerny pokój na piątym piętrze, urządzone bardzo solidnie, według szwajcarskiego gustu. Z balkonu miał widok na leniwie płynący Nil, a dalej, za Ogrodem Zoologicznym - na piramidy..

Jego adiutant otrzymał pokój, na drugim piętrze. Miał on za zadanie osłone swego generała, który występował tutaj w roli turysty. Towarzyszył mu więc na spacerach, zajmował się pocztą i utrzymywał kontakt telefoniczny z Berlinem. Ponadto miał też dotrzymywać towarzystwa swemu szefowi przy dwóch posiłkach, w czasie obiadu i kolacji.

Zarezerwowany na stałe dla pana von Fritscha z Niemiec stół znajdował się z tyłu, w tej części wielkiej sali, do której można było wejść bocznymi drzwiami. Generał, zawsze w zdecydowanie skromnym, ciemnym garniturze, zabronił zwracania się do siebie przy użyciu stopnia służbowego czy szlacheckiego, tytułu. Nie wolno też było rozmawiać..o sprawach zawodowych. Jeśli rozmowa była konieczna, mówił najczęściej o literaturze.

Również tego wieczoru - tuż przed Bożym Narodzeniem 1937 roku - pojawił się w restauracji hotelowej z książką w ręce. Wtedy

zajmował się akurat tekstem oper wagnerowskich, bo bardzo chciał je zrozumieć. Ponadto czytał poezje Holderlina, które odbierał jako niepokojąco zuchwałe. Szczególnie cenił sobie królewskie dramaty Szekspira.

Siadając do stołu, nie zapomniawszy o umiarkowanie serdecznym skinieniu głową w kierunku swego stałego towarzysza, zauważył, że dodano jeszcze trzecie nakrycie. Pytającym wzrokiem spojrzął na adiutanta, który - ubrany także w ciemny, ale trochę elegantszy garnitur - natychmiast przystąpił do wyjaśnienia:

- Chciałem pana prosić o wybaczenie, panie generale. Chodzi o gościa, którego zapowiedział pułkownik Oster z Abwehry. To kuzyn tutejszego ambasadora Niemiec. Przybył dziś po południu do Kairu, jutro rano jedzie dalej, do Aten, Otrzymał polecenie złożenia panu raportu. Na temat pewnych zajęć w Berlinie.

Von Fritsch skinął głową, wyraźnie niezbyt ucieszony z tego zakłócenia normalnego porządku. Nie miał wysokiego mniemania o tych tak zwanych wewnętrznych raportach na temat pewnych zajęć. Często bowiem przeradzały się one w zwykłą paplaninę, podczas gdy on, zgodnie ze swoim charakterem, kładł nacisk na zwięzłe sformułowania, jasne fakty, najdokładniejsze dane liczbowe.

Dlatego też powitał młodego dyplomatę z najwyższą powściągliwością. Ów młody człowiek, mający za sobą wuja ambasadora, Okazał się osobnikiem dość pewnym siebie; nie można mu też było odmówić elokwencji. Wkrótce rozpoczął, bez skrępowania i z wyraźną rozkoszą, najbardziej niedorzeczną, towarzyską gadaninę, nie dając się zbić z tropu z powodu coraz bardziej tężejącej twarzy generała;

Rozprawiał więc, upajając się swoją orientacją w intymnych powiązaniach znanych osób: ten „Jupp”, czyli doktor Goebbels, minister propagandy Rzeszy, ma znowu nową kochankę, oczywiście też ze światka filmowego. Tym razem trafił na wyjątkowo uwodzicielską Czeszkę, co narobiło trochę wrzawy. Ale jednocześnie „Juppowa Magda” - żona doktora Goebbelsa - zaczęła z sekretarzem swojego męża.

Poza tym również nasz „wesoły hrabia” - Helldorf, naczelnik berlińskiej policji - mą teraz jakąś damę z filmu, korpulentną blondynkę, osobkę niezwykle energiczną. Próbuje całkowicie nim zawładnąć, a on wyraźnie jest jej posłuszny!

Co więcej, także „drugi Werner”, czyli feldmarszałek von Błomberg, myśli o ożenku! Jego wybranką jest podobno tak zwane dziecko ludu - ale przypuszczalnie z określoną przeszłością.

Nie można się było zorientować, czy von Fritsch przysłuchiwał się tym towarzyskim plotkom choćby z jaką taką uwagą. Sprawiał wrażenie, jakby całkiem zaniemówił i chciał się zająć wyłącznie swoją kawą po turecku przedniego gatunku. Adiutant usiłował ukryć coraz silniej opanowujący go niepokój. Ale gość mówił, mówił, mówił.

Przy kończącym obiad koniakowi chciał, zdaje się, przystąpić do istoty rzeczy. Sala była teraz niemal całkowicie pusta - kelnerzy z pełnym respektem wycofali się. Dyplomata przeszedł wreszcie do swej właściwej misji:

- W Berlinie - relacjonował dalej tym samym swobodnym, plotkarskim tonem - zanoszą się na kilka niewesołych wydarzeń. I to właśnie mam panu przekazać na polecenie pułkownika Oстера i admirała Canarisa. Albowiem coraz intensywniejsza działalność SS jest zwrócona wyraźnie przeciw armii, a tym samym przeciwko pańskiej osobie. Moim zadaniem jest uzmysłowienie to panu w jednoznaczny sposób.

- Przecież - odezwał się adiutant, ponieważ jego szef dalej milczał, choć już nie bez śladu zainteresowania - nie jest to nic nowego. Wiadomo, że SS zamierza stworzyć własne formacje zbrojne. Armia, a więc pan generał, wypowiada się przeciwko temu z całą stanowczością! Według uroczystej obietnicy Hitlera wyłącznie Wehrmacht jest powołany do obrony narodu!

- Co też pan opowiada, szanowny panie - sprzeciwił się dyplomat. - Chyba nie wierzy pan w te wszystkie hasła Hitlera? A myśli pan, że po SS można się spodziewać lojalności? Oni cały czas ostrzą sobie zęby na to, żeby swoich przeciwników, a więc i pana, wymanewrować z gry. A Hitler zalegalizuje po fakcie wszystkie te ich posunięcia, ponieważ armia, w jego przekonaniu, jest niewygodnie samowładczą, a za mało rewolucyjną w duchu narodowego socjalizmu. W każdym razie daleka od posłuszeństwa Führerowi!

Pozwoli pan - odparł generał von Fritsch nadal pełen opanowania i godności - że zwrócę mu uwagę na rzecz następującą. Mówi się o mnie, że jestem jednym z pierwszych żołnierzy tego państwa, choć nie starałem się o tę pozycję. Ale właśnie uchodząc za takiego, czuję się

zobowiązany do absolutnej wierności i posłuszeństwa wobec głowy państwa, i jest rzeczą zupełnie obojętną, czy chodzi o Paula von Hindenburga czy Adolfa Hitlera!

- No i właśnie na takie podejście, panie von Fritsch - zdenerwował się gość - niemal wszyscy liczą! Przynajmniej Heydrich, Himmler i Göring. Również Hitler! Wszyscy oni wykombinowali sobie, że reakcje takiego człowieka honoru jak pan są z góry do przewidzenia. I posłużą się metodami, które dla ludzi pańskiego pokroju są wręcz niewyobrażalne.

- Powinien pan - zauważył adiutant nie bez zakłopotania - unikać tego rodzaju ekstremalnych sformułowań! - Niechęć generała dała się wyraźnie wyczuć. - Ostatecznie mamy do czynienia nie z przestępczym klubem boksinerskim, ale z legalną władzą naszego państwa!

- Czy jest pan tego absolutnie pewny? - spytał młody człowiek wcale nie zbity z tropu. - Czy nie chce pan wreszcie zrozumieć, że również pan ulega złudzeniu!

Na co adiutant, sztywny i wyniosły, jakby naśladował swego przełożonego, oznajmił: - Myślę, że powiedział pan już chyba wszystko, co miał pan do powiedzenia. Bardzo dziękuję i dobranoc panu.

Naczelnny dowódca jak gdyby całkowicie oniemiał. Zdawał się dotknięty. Jego adiutant pospieszył wraz z gościem do drzwi. Gdy wrócił, von Fritsch dalej patrzył nieruchomo przed siebie.

- Przykro mi, panie generale, że nie udało mi się ustrzec pana przed tym gadułą.

- Nie wolno mi było - powiedział wódz po długiej pauzie opuszczać swojego stanowiska w Berlinie.

- Ale nie miał pan innego wyboru, panie generale, nie W tym stanie zdrowia.

- Takie rzeczy się nie liczą, kiedy chodzi o rozstrzygające decyzje.

- Proszę nic przywiązywać wagi do tej paplaniny!

Na co von Fritsch w niezmiennie oszczędny i rzeczowy sposób wydał następujące polecenie: - Nasz pobyt w Kairze dobiegł końca. Jutro wyjeżdżamy. Najpierw do Włoch, gdzie zatrzymamy się przez kilka dni. Dokładnie w Rzymie. Najpóźniej drugiego stycznia przybędziemy do Berlina, gdzie bezzwłocznie podejmiemy swoje obowiązki służbowe.

W pierwszych dniach 1938 roku doktor Erich Meller ponownie odwiedził swojego „przyjaciela z młodości” na Prinz-Albrecht-Strasse. Reinhard Heydrich zaprosił go do siebie. Przyjął go z pełną ożywienia serdecznością.

-No, wreszcie jesteś! Wśród tych wszystkich kapuścianych głów, pochlebców i naganiaczy w końcu prawdziwy człowiek! Napijmy się najpierw, a potem zapraszam cię na doskonałe; wielkie żarcie!

- A co tym razem zamierzasz uczcić? - Meller dostrzegł na twarzy Heydricha wielce obiecujący, uśmiezek. - Zawsze jesteś pełen niespodzianek. No więc o co chodzi dzisiaj?

- Od niedawna na Friedrichstrasse-znajduje się rosyjska restauracja „Trojka”, Przekomiczna nazwa później ci powiem, skąd się wzięła. Ale najpierw napijmy się po łyku szampana!

- Jesteś w doskonałym humorze, Reinhard.

- Rzeczywiście. Bo wszystko przebiega po mojej myśli, - Heydrich promieniał. - Jeszcze parę dni i wsadzimy ich do worka. Całą tę rzekomą elitę, zarozumiałe, na wskroś konserwatywne generalskie ogiery!

- A kogo mianowicie? - spytał Meller jakby mimochodem.

- Chciałbyś wiedzieć, co?

- Zawsze korzystam z możliwości uzyskania informacji z pierwszej ręki.

Heydrich tryskał tego wieczoru skrzącą się elokwencją, ciągle przeskakując z tematu na temat. Tak więc rozprawiał na przykład o zmiennym szczęściu na wojnie, o radości polowania, a nawet o pięknie niektórych koncertów skrzypcowych. Ostatecznie był on, co prawda przeciętnym, ale namiętym skrzypkciem-amatorem,

Erich Meller wydoskonił się w uważnym, cierpliwym słuchaniu. Nikt nie znał Heydricha tak dobrze jak on. Dlatego też wiedział, że w tych rzadkich momentach doskonałego humoru trzeba mu pozwolić mówić bez przerwy. Jeśli bowiem słuchacz odważyłby się mu zadać jedno jedyne przedwczesne, niezręczne pytanie, to należałoby liczyć się z tym, że ten niejako z urzędu nieufny człowiek natychmiast zamieni się znowu w wietrzącego wszędzie niebezpieczeństwo, chytrego lisa. Tym razem nie doszło jednak do tego.

Trzymając się pod rękę znaleźli się w „Trojce”. Zajęli miejsce we wnęce naprzeciwko wejścia. Spożywali kawior w dużych ilościach

i pili wódkę szklankami. Heydrich w którymś momencie przypomniał sobie kawał - jeden z jego ulubionych tematów - jaki zrobili kiedyś w młodości. Brali udział w jakimś wiejskim weselu na wsi, na którym nieźle narozrabiali. - Pamiętasz?

A jakże, Meller pamiętał! Pamiętał, jak zabrali pastorowi kartki z kazaniem i użyli ich jako papieru toaletowego, i biedny klecha jąkał się potem i plątał w nieskładnej paplaninie. Albo jak ukradli sztucce, w wyniku czego wygłodniałym weselnym gościom zasiedli do piętrzących się półmisków bez łyżek, widelców i noży; i zaczęli po prostu jeść rękami. Czy też jak wyłączyli światło i upili muzykantów mieszanką piwa ze spirytusem...

- Tak - wyznał Meller - to były czasy! Nigdy się już" nie powtórzą.

- Wszystko się powtarza, w pewnym sensie - zapewnił Heydrich i objął „przyjaciela". - Po prostu wszystko się powtarza, tylko w trochę innej postaci, na innym poziomie, w innych układach. Czy wiesz, dlaczego akurat teraz przypomniało mi się tak wyraziście to wesele? Bo właśnie w najbliższych dniach mam zamiar uczestniczyć w pewnym ślubie; tym razem jednak w ślubie większego formatu. Von lotnberga.

- Czy on naprawdę chce jeszcze raz się ożenić, w jego wieku? I ciebie zaprosił na ślub?

- Oczywiście, że nie! Zresztą takiego zaproszenia i tak bym nie przyjął. Jak mógłbym tak lekkomyślnie się kompromitować? Całując na przykład w rękę zdeklarowaną prostytutkę? I może jeszcze ryzykować, że mnie przy tym sfotografują? Mimo to zamierzam jak najbardziej wziąć w tym ślubie udział, pośrednio!

- Czy już jest postanowiony, czy dopiero w planie?

- Postanowiony, i termin podany do wiadomości. - Wesołość Heydricha rosła. - Ślub odbędzie się dwunastego stycznia, czyli za trzy dni. Już samo to zdarzenie można określić jako prymitywną sensację Ale to jeszcze nie wszystko.

- A, co jeszcze? - spytał doktor Erich Meller. ~ Taka przyjemność ci nie wystarcza?

- Człowieku, najlepszy numer odbędzie się później! - Heydrich klepnął przyjaciela mocno po ramieniu, zerkając w stronę wejścia. Tkwił tam jeden z jego najbardziej niezawodnych ludzi z ochrony;



gwarantował mu, że nisza, w której siedzieli, nie była obiektem podsłuchu.

Heydrich uniósł szklanę wódki w stronę przyjaciela. Uśmiechnęli się do siebie i wypili. Potem rzekł: - Pamiętasz, powiedziałem ci, że nazwa tej restauracji wydaje mi się przekomiczna? Chcesz wiedzieć dlaczego?

- Jeśli zechcesz, to mi powiesz.

- Powiem ci jak przyjaciel przyjacielowi. Taką trójkę, taki potrójny zaprzęg u sań trzeba tylko ostro popędzać batem. Wtedy pędzi jak szalona ku celowi! O coś podobnego chodzi właśnie w tym wypadku.

Meller milczał, czekając, nasłuchując. Udało mu się nawet sprawić wrażenie nieco zmęczonego, wręcz znudzonego. Ale jednocześnie patrzył zachęcającym wzrokiem na Heydricha.

- Ta trójka, o której myślę, składa się z narzeczonego tej przygodnej dziwki, a więc z Blomberga, i dwóch świadków, którzy dali się zaprząć do tego pojazdu. Gwarantuję ci, że cały zaprzęg wyląduje w najgłębszym bagnie.

- Czyżby Blomberg naprawdę był tak głupi czy tak naiwny? Meller instynktownie przeszedł na żargon Heydricha. - Przecież nie jest idiotą!

Gruppenführer miał teraz ochotę na krymskiego szampana. Butelka stała już przygotowana, natychmiast ją odkorkowano i szybko napełniono kieliszki. Heydrich spróbował. - Przejmująco słodki? - stwierdził, mimo to szampan chyba mu smakował. Pochylił się w stronę „przyjaciela”.

- Wręcz trudno sobie czasami wyobrazić, że ludzie potrafią być tak głupi! Bo świadkami zgodzili się być głównodowodzący sił lądowych i głównodowodzący floty.

Erich Meller starał się nie dać po sobie poznać zaskoczenia i szoku. - W zamyśleniu wypił trunek do końca. - Fritsch i Raeder? Jesteś pewien, że się nie mylisz?

- Skład tej trójki widziałem już na piśmie, oczywiście mówię o kopii. W każdym razie cały ten zaprzęg rusza za trzy dni, wreszcie będziemy mieli w garści cały ten klub supergenerałów. I właśnie za to wypijmy sobie teraz!

## Dalsze zajścia

Pierwsza faza:

Erich Meller starał się niezwłocznie nawiązać kontakt z generałem von Fritschem. Przy czym na początku nie udało mu się dotrzeć dalej niż do jego przedpokoju. Tam bowiem znajdował się ów adiutant, który towarzyszył swojemu przełożonemu do Kairu. Cerber ten powiedział z żalem:

- Panie doktorze Meller, wiem oczywiście, że pan generał zna pana osobiście i szanuje. Niestety jednak muszę prosić pana o wyrozumiałość, ponieważ pan von Fritsch nie może być obecnie niepokojony. - Od kilku dni pracuje bardzo intensywnie ze swoim szefem sztaba i kilkoma innymi współpracownikami nad nowymi, niezwykle ważnymi koncepcjami strategicznymi.

Meller; - Mimo wszystko nalegam na tę rozmowę! Jest niezbędnie konieczna. Również pułkownik Oster z Abwehry jest tego zdania. Proszę go o to spytać.

Nie było to już potrzebne. Albowiem po niespełna kwadransie pojawił się sam naczelny wódz armii, jak zwykle powściągliwie uprzejmy- Zgodził się na rozmowę w cztery oczy, ale jednocześnie zaakceptował uwagę adiutanta: -Doktorze Meller, proszę w żadnym wypadku nie przedłużać rozmowy.

- Panie generale, zgodnie z życzeniem przedstawię krótko, o c» chodzi: został pan poproszony o wystąpienie w roli świadka na ślubie pana von Blomberga. Z całą mocą chciałbym to panu odradzić. Nie wszystko jest jeszcze dla mnie jasne, ale zdaje się, że gestapo założyło jakieś akta w celu udowodnienia, że przyszła żona von Blomberga ma podejrzaną przeszłość. Pan przecież się orientuje, do czego oni są zdolni W takiej sytuacji. Zdaje się, że po ślubie rozpocznie się akcja zniesławiania.

Generał nie sprawiał wrażenia osoby wyjątkowo zaskoczonej, raczej nieprzyjemnie dotkniętej. - Już wcześniej słyszałem podobne plotki, uważam je jednak za złośliwą gadaninę. Dlaczego przychodzi pan z tym do mnie?. Dlaczego nie zawiadomi pan feldmarszałka osobiście?

Doktor Meller: - Podjęto takie próby, niestety ria próżno. Zareagował odmiennie, niż się spodziewano. Odmówił z całą stanowczością

rozmowy z osobą trzecią na temat przeszłości jego przyszłej żony. Oświadczył, że jest czysta.

- No widzi pan! Przecież Blomberg chyba wie.

- Ale proszę pomyśleć o konsekwencjach, jakie z tych akt gestapo wynikają dla pana. Dla całego korpusu oficerskiego. Nie uważa pan, że niektórzy oficerowie, jeśli się ich odeśle do tych dokumentów uwierzą w te oszczerstwa? Tu przecież chodzi o honor oficerski.

- Do honoru oficerskiego, drogi panie Meller, należy, także do trzymania raz danego słowa. Feldmarszałek poprosił mnie o wystąpienie w roli świadka, na co ja przystałem.

-To przynajmniej, proszę o wybaczenie, żę pozwalam sobie na tę radę, panie generale, niech się pan skontaktuje z drugim świadkiem, czyli admirałem Raederem. I to jak najszybciej!

Druga faza:

głównodowodzący sił lądowych poprosił - rzeczywiście jak najszybciej - naczelnego szefa floty o rozmowę.

Raeder przywitał go poufnie wyszeptaną uwagą: - Gdyby pan mnie nie odwiedził, ja wybrałbym się do pana. Niestety przypuszczalnie z tych samych powodów. Chodzi o ślub pana von Blomberga, nieprawdaż?

- Tak, jak najbardziej! Właśnie nie tak dawno odwiedził mnie doktor Meller, który z pewnością i panu jest znany, w gruncie rzeczy to dosyć porządny człowiek, choć o trochę podejrzanych kontaktach.

- Które sięgają podobno od Heydricha po Canarisa. Co jednak nie oznacza jeszcze nic złego, nie w tych czasach.

- Właściwie to najchętniej poprosiłbym doktora Mellera, żeby się w to nie mieszał, ale w ostatniej chwili zacząłem się zastanawiać. Bo na przykład dzień wcześniej usiłował złapać mnie telefonicznie jeden z moich generałów. Nie udało mu się jednak, ponieważ byłem na ważnej konferencji. Wobec tego polecił mojemu adiutantowi przekazać mi następującą wiadomość: „Niech pan powie panu generałowi, że feldmarszałek von Blomberg zamierza ożenić się z prostytutką!”

Admirał Raeder: - Pan w to wierzy?

Generał von Fritsch: - Nie, nie wierzę. Uważam, to za podłe machinacje gestapo, SS albo jeszcze kogoś innego. Tyle tylko, że to nie

zmienia istoty rzeczy. Niech pan się zastanowi, jeśli naprawdę istnieją te fałszywe dokumenty... Pan dobrze wie, że oni są w tej dziedzinie niezawodni. Udowodnienie, że są sfalszowane, może trwać bardzo długo! A w tym czasie...

Admirał Raeder: - ... a w tym czasie naród, Wehrmacht, korpus oficerski będą uważali, że minister wojny Rzeszy wziął za żonę zarejestrowaną prostytutkę...

Generał von Fritsch: - A my, reprezentanci tych tak bogatych w tradycje sił zbrojnych, wystąpiliśmy na ślubie jako świadkowie...

Admirał Raeder: - Zaczynam rozumieć, w jakim kierunku zmierza cała ta akcja. Musimy nad tym zapanować.

- Ale przecież daliśmy już słowo feldmarszałkowi. A ponadto sam Führer i kanclerz Rzeszy, przy intensywnym poparciu Göringa, udzielił jednoznacznej zgody na ten ślub.

- I właśnie to, panie von Fritsch, dokładnie to, co pan przed chwilą powiedział, wydaje mi się świetnym wyjściem! Podsunął pan rozwiązanie, które pozwoli nam w ostatniej chwili wydostać się z tej pułapki i wsunąć Czarnego Piotrka z powrotem do talii.

- Jakie rozwiązanie pana zdaniem podsunąłem?

- Każdy z nas zadzwoni do pana von Blomberga. Jeszcze raz podziękujemy za niewątpliwie zaszczytną dla nas prośbę, abyśmy byli jego świadkami. Niestety, powiemy dalej, po dokładnym przemyśleniu musimy, z żalem odmówić. Albowiem, niestety, nie jesteśmy godni takiego wyjątkowego zaszczytu! Niestety nie! Do tej roli nadają się bardziej protektorzy tego małżeństwa: Adolf Hitler i Hermann Göring. Powinniśmy dać mu wyraźnie do zrozumienia, że tych dwóch osób nie wolno mu pominąć. W każdym razie my z całym respektem dajemy im pierwszeństwo. I w ten sposób wyjdziemy z tego z twarzą!

Trzecia faza:

Minister wojny Rzeszy i głównodowodzący Wehrmachtu feldmarszałek von Blomberg ponownie odwiedził Hermanna Göringa, który przyjął go uderzająco serdecznie.

- Jakiś problem, mój drogi?

- Bardzo wyjątkowy, chodzi o mój niedaleki ślub. Jak już informowałem Führera i pana, na świadków wybrałem dowódców sił Jadowych i floty, na co Zresztą wyrazili zgodę. Tymczasem jednak...

- - Co takiego, co takiego, czyżby zmienili zdanie?
- Raczej nie o to chodzi. Zapewniali, co zresztą brzmiało przekonująco, że nie zasługują na taki zaszczyt. Jedynymi świadkami tego związku, twierdzili, może być Führer i pan, panie Göring. Jest to niejako narzucona mi koncepcja, na którą oczywiście jedynie z dużym wahaniem bym się zgodził. W każdym razie pańska opinia jest dla mnie ważna, wręcz miarodajna.
- . Hermann Göring sapał ciężko, chciał zyskać na czasie. Musiał bowiem dokładnie się zastanowić. Po chwili jednak roześmiał się, wręcz kocio przyjemnie, i stwierdził: - To się chyba da zrobić, mój drogi!
- Czy więc w dalszym ciągu mogę na panu polegać?
- Oczywiście! Pod każdym względem! Tą sprawą zajmę się szybko i z rozkoszą!

Czwarta faza:

Hermann Göring zjawił się u Adolfa Hitlera w jego gabinecie w Kancelarii Rzeszy, aby przeprowadzić z nim rozmowę w cztery oczy. Hałaśliwie i zuchwale głównodowodzący Luftwaffe wypalił na samym początku:

- Te konserwatywne rumaki bojowe ciągle jeszcze nie mogą przeskoczyć własnego cienia!

Hitler, powodowany przecuciem zapytał – Czyżby były jakieś trudności ze ślubem naszego Blomberga? Z powodu generałów?

- Te beznadziejnie zwapniałe typy - piorunował Göring - ciągle jeszcze nie są w stanie pojąć, co to jest rewolucyjny rozmach i wspólnota narodowa! Oni dalej uprawiają anemiczną hodowlę jednorodną, nie żenią się z kobietami bez arystokratycznego tytułu, wolą tłuste, pokraczne i zasuszone, o spojrzeniu kobyły i tyłku szkapy! Ci starzy kretyni nie mają pojęcia, co to znaczy dziecko ludu!

— Niech pan wreszcie mówi konkretnie, Göring! Co się stało? Fritsch i Raeder nie chcą wystąpić w roli świadków!

Ach tak! Z jakiego powodu! - Hitler nie okazywał zbytnej ciekawości. - Pewnie użyli jakichś wątpliwych wymówek?

- Tego raczej się wystrzegają! Próbują tylko wykręcić się od tego przedstawienia, które nagle za bardzo zaczęło im zalatywać plebejskością. Odstawiają feudalne ceregiele, twierdzą, że nie są tego godni!

Wprawdzie życzą swojemu szanownemu ministrowi wojny szczęścia i wszelkiej pomyślności, ale zaszczytu świadkowania mu nie są godni.

- To kto jest godny? Może my, Göring? My dwaj?... Czy tak?  
- Adolf Hitler patrzył na swojego paladyna pobłaźliwie, w, zadumie, jak zwykle, kiedy niemal bez trudu udawało mu się przejrzeć jego lepkie zasłony dymne. A kiedy Göring dostrzegł, że jego führer się uśmiecha, szybko skinął głową.

Hitler powiedział: - Wobec Jego będziemy musieli pomóc naszemu feldmarszałkowi, co? Po koleżeńsku, jak trzeba. Żywiąc oczywiście nadzieję, że nie nadużyje się naszego zaufania. Ale zdaje się, że w całej tej sprawie jest zasadniczy punkt, czy tak?

Piąta faza:

Ślub feldmarszałka Wernera von Blomberga z panną Evą Gruhn, urzędniczką Rzeszy, odbył się 12 stycznia 1938 roku. W skromnej, ale godnej oprawie,

Miejsce: Ministerstwo Wojny. Zaplanowano wyłącznie ślub cywilny; żadnej uroczystości kościelnej. I wszystko w jak najwęższym gronie.

Nie był obecny ani jeden członek rodziny von Blomberga, również żadne z jego dorosłych dzieci. Nie zjawił się także ojciec jego zięcia, generał Keitel, któremu Blomberg pomógł w zrobieniu wspaniałej kariery. Decyzja jego najbliższych krewnych, czyli rodziny, brzmiała: Nie życzymy sobie przyjmować tego wydarzenia do wiadomości. . Przybył jednakże, nie żywiąc najmniejszych skrupułów, w pełnym umundurowaniu, ze wszystkimi orderami, jeden z nielicznych osobistych przyjaciół Wernera von Blomberga, jego były adiutant z marynarki wojennej, kapitan żeglugi von Friedenburg; I właśnie on, chyba jako jedyny, okazał godne wzruszenie. Spojrzał tylko na przyjaciela i dostrzegł, jak bardzo był szczęśliwy, choć także, co zrozumiałe, lekko zdenerwowany, może nawet trochę przygnębiony. Życzenia złożone przez Friedenburga były skromne, ale wyróżniały się niezaprzeczną serdecznością.

Urzędnik stanu cywilnego stał, pełen unizenia, w kącie przy ostatnim oknie i przyglądał się temu chyba najbardziej niezwyklemu przedstawieniu, jakie widział w swoim życiu: feldmarszałek przytłumionym głosem rozmawiał ze swoim przyjacielem, okazałym ofice-

rem marynarki. Trochę z boku narzeczona, w pełni zasługująca na określenie „atrakcyjna”, wyraźnie nieco wyczerpana. Obok niej jej matka; uśmiechała się do córki, poprawiała jej ciemnobrązowy kostium, wygładzała fałdki, zdjęła włos z wywatowanego ramienia. W pobliżu drzwi tkwił jeden z adiutantów Blomberga, czekając w napięciu i gotowości na pierwszą odsłonę tej sztuki.

Nastąpiła ona co do minuty zgodnie z zapowiedzią o dwunastej w południe. Wkroczył Führer, trochę sztywnym krokiem, spojrzenie miał poważne, jak gdyby dokonywał przeglądu gwardii honorowej. Tuż za nim paradował promienny Göring. Jako jedyny spośród wszystkich przybyłych już gości tryskał pogodną wesołością. Tak samo brzmiał jego głos, wiwatująco donośny w tej przytłumionej, podniosłej atmosferze.

Później urzędnik stanu, ciągle jeszcze pozostający pod wrażeniem tej ceremonii, stwierdził: „Chwilami miałem uczucie, że to odbywa się ślub Göringa! Przynajmniej takie sprawiał wrażenie, jakby chodziło o radosną, jego samego dotyczącą chwilę”.

Blomberg pospieszył w kierunku Hitlera, przywitał go, podziękował mu uniżenie za przybycie, nie kryjąc swego szczęścia, po czym zapewnił, że jego obecność, poczytuje sobie za wielki zaszczyt. Hitler ze swej strony oświadczył, że uczynił to bardzo chętnie i on też zaszczycony jest faktem, że w tej uroczystej chwili stanie u boku swe go feldmarszałka. Następnie zostali przedstawieni führerowi nie znani mu dotąd uczestnicy ceremonii.

Zwracając się do Ewy Gruhn Führer wypowiedział słowa, wyraźnie już przedtem przygotowane: - Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać. Ten, kto należy do ludzi, którzy należą do mnie, jest zawsze mile widziany. - Potem rzekł do matki narzeczonej: - Pani córka, wkrótce pani von Blomberg, będzie musiała u boku najwyższego reprezentanta naszego państwa prowadzić życie, które stawia przed nią doprawdy szczególne zadania. Mam nadzieję, że będzie pani służyć córce wsparciem. - Na koniec rozkazującym tonem męża stanu zwrócił się do urzędnika: - Czyńcie swą powinność!

Ceremonia trwała zaledwie parę minut. Urzędnik przeczytał standardowy tekst. Werner powiedział: „tak”. Eva powiedziała: „tak”. Następnie oboje podpisali dokument, po nich także świadkowie: Hitler Adolf, Göring Hermann. Wszystko to odbyło się jakby w nie-

zbędnym pośpiechu. Widocznie w pomieszczeniu tym nie było ani jednej osoby, która nie chciałaby mieć tej uroczystości już za sobą.

Bezpośrednio potem podano szampana. Uczynił to ordynans, który w tym kręgu sprawiał wrażenie postaci pozbawionej imienia, ów człowiek był po prostu przypadkowo obecnym, usłużnym duchem. Jednakże również on miał imię. Nazywał się Ewald Liedtke.

### Informacje podane przez Ewalda Liedtkego w kilkadziesiąt lat później:

„Akurat wtedy musiałem odsłużyć swoje dwa lata w wojsku. Po ostrej szkole rekrutów i różnych chybionych służbach trafiłem wreszcie - jako wykwalifikowany gastronom - do kantyny. Ale nie do jakiejś przypadkowej, ale do tej mieszczącej się w Ministerstwie Wojny Rzeszy. I stamtąd byłem, że tak powiem, wypożyczany; dzięki temu mogłem usługiwać przy ślubie naszego najwyższego szefa. Podawałem szampana - dziewięć kieliszków; osiem dla gości, jeden dla umie.

Mój Boże, toż to była prawdziwa stupa! Jak na pogrzebie. Ciężka atmosfera. Nie padło żadne, głośniejsze wypowiedziane słowo - wyjątkiem był Göring, który chwilami porykiwał jak jelen. Pozostali jednak tkwili jak oniemiała i skamieniała. Prawdopodobnie z powodu Hitlera, który zachowywał się niczym stojący na wzniesieniu głównodowodzący bitwą, jak Otto Gebuhr w jednym z tych swoich filmów o Fryderyku. Cały czas patrzył w dal, przed siebie, pełen niedostępnej godności.

Feldmarszałek rycerskim gestem otoczył ramieniem swoją małżonkę. Ona, jakby trochę drżąc, przylgnęła do niego niczym bluszcz. A jej matka, zdumiona, przyglądała się tej idylli, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Göring zwrócił się do niej, kładąc nacisk na »łaskawa pani«.

- Łaskawa pani! - zagrzemiał. - Jakże się też pani czuje jako teściowa pierwszego żołnierza Niemiec?

- Moja ukochana córka - wyznała pani Gruhn - zawsze mierzyła bardzo wysoko. I wreszcie dopięła swego.

- Wyżej już chyba nie można! - zażartował Göring ubawiony.

- Pani córka to kobieta godna największej uwagi. Ale nic dziwnego, mając taką matkę! Mam nadzieję, że wkrótce znajdziemy trochę



czasu, aby porozmawiać. Tak po prostu, jak człowiek z człowiekiem. Bardzo by mi na tym zależało.

Nim jednak matka Gruhn, prawdopodobnie niezwykle tym połączona, zdążyła wyrazić zgodę, führer dość szorstkim głosem oświadczył, że chce się już pożegnać. Odstawił niemal nie tknięty kieliszek z szampanem, podał swą bezwładną dłoń wszystkim wkoło i mechanicznie skinął głową w różnych kierunkach. Spytał feldmarszałka:

- Co pan zamierza dalej, mój drogi?

- Jeśli chodzi o moje małżeństwo?

- Pewnie będzie pan chciał wyjechać na miodowy miesiąc, jak to się powszechnie nazywa. Życzę panu, żeby się udał, z całego serca. Dokąd pan się wybiera?

— Zrozumiałe samo przez się, że zostaniemy w naszych Niemczech, mein Führer. Zamierzam pojechać z ukochaną małżonką w moje ojczyście strony, czyli do Saksonii, a zwłaszcza do Lipska. Oczywiście cały czas będę w kontakcie z urzędem.

- A więc, udanej podróży! -powiedział Hitler, po czym szybko się oddalił. Göring pospieszył za nim. Szli ramię w ramię.

Zarówno jeden jak i drugi sądził, że rozegrał wielką bitwę. Dla jednego z nich miało się to jednak okazać straszną pomyłką. Lecz nie dla Hitlera.

Następnego dnia pojawiła się oficjalna notatka w prasie, czyli w czołowej gazecie ówczesnych Niemiec »Völkischer Beobachter«. Na pierwszej stronie, w miejscu niezbyt rzucającym się w oczy, znajdowała się taka oto informacja:

Berlin, 12 stycznia.

Minister wojny Rzeszy, feldmarszałek von Blomberg poślubił pannę Evę Gruhn. Świadcami był Führer i kanclerz Rzeszy oraz generał Göring.

Feldmarszałek von Blomberg może być przekonany, że cały niemiecki naród życzy Jemu i Jego małżonce szczęścia!

I tyle. Ale to w zupełności wystarczyło. Całkowicie! Albowiem już wkrótce miało się rozpętać piekło. I miał powstać przejmujący smród;

W owych dniach w centrali SS, czyli Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, panowało „ciężkie powietrze”. Najwyższy szef, gruppenführer Reinhard Heydrich, wychodził wprost z siebie. Bo nic, po prostu nic nie funkcjonowało, jak należy.

Wobec czego Heydrich postanowił zmyć kolejno głowę swoim kierownikom działów. - Co się z wami dzieje? Cały czas śpicie czy co? Zdaje się, że jest wam za dobrze! A może bohaterowie są zmęczeni życiem? Już miałem całą trójkę razem, w kupie, no i co się stało? Te generalskie szkapy pogalopowały dalej! W ostatnim momencie!

- Możliwe - wyraził przypuszczenie jeden z usłużnych współpracowników - że tutaj, czyli u nas, są przecieki!

- Ja też - wykrzyknął Heydrich - mam takie wrażenie! Zdaje się, że jakieś bydło z naszych szeregów zaczyna paplać bezmyślnie wokół, a może nawet próbuje trzymać dwie sroki za ogon. Może wśliznął się do nas szpicel?! Ale ja już go dostanę, tego śmierdziela, i rozprawię się z nim osobiście! - Następnie gruppenFührer Heydrich zarządził niezwykle ostrym tonem: - Kontrola bezpieczeństwa; totalna! Sprawdzić każdego, kto znajduje się w naszych szeregach. To jest rozkaz, który ma pierwszeństwo przed innymi. Podciągnąć rękawy i do roboty, działać bez krzty litości! Trzeba odkryć, gdzie powstają te przecieki!

Bezpośrednio po tej reprimendzie, powszechnie nazywanej konfrontacją, Heydrich kazał sprowadzić swojego łowcę homoseksualistów, Meisingera. Potraktował go jak ostatnią szmatę.

- Co wy właściwie sobie myślicie? Jak śmiecie podsuwać mi taką partacką robotę! To przecież ostatni idiotyzm, co wyście zrobili: dopuszczać do tych akt człowieka, który teraz robi z wami, co chce!

Meisinger, blady, niemal drżący, próbował wyjaśnić: Zrobiłem to tylko po to, żeby nas całkowicie zabezpieczyć, żeby móc iść na pewniaka...

- Widzę, że jesteście, Meisinger, jeszcze głębsi, niż to sobie wyobrażałem! - syknął Heydrich. Stuknął palcem w leżący przed nim raport. - Jak wy to nazywacie? Zabezpieczyć? Takie zabezpieczenie to ja mam gdzieś! Mnie interesują jedynie w pełni przydatne rezultaty! — Przepraszam - usiłował się usprawiedliwić Meisinger. - Ale starając się niczego nie pominąć, niczego nie pozostawić przypadkowi, myślałem, że intensywne, wewnętrzne badanie...

- Co wy mi tu opowiadacie po prostu pozwoliliście sobie na

zwykłą fuszerkę! I skończyło się tym, że jedna z tych generalskich grubych ryb uciekła nam gładko spod łopaty, przez waszą tępotę! Czy wy nie potraficie czytać?

To, co leżało przed Heydrichem, to był rodzaj raportu pokontrolnego. Sporządził go funkcjonariusz berlińskiej policji kryminalnej, a teraz, zgodnie z wewnętrznym zarządzeniem, raport ten wylądował w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Nazwisko tego funkcjonariusza: Huber.

- Kto nam podłożył taką świnie? - spytał z westchnieniem Heydrich.

### Z relacji Ericha Mellera:

„Kiedy te drażliwe sprawy weszły w stadium ostatecznego niebezpieczeństwa, czułem się zmuszony poprosić do siebie Hubera - rzucając mu na wpeł z żalem, na wpeł z wyzwaniem:

-Sprawy zaszły już dość daleko, mój drogi!

- Jak daleko, panie radco?

- Uznałem za rzecz pilną i niezbędnie konieczną wywindowanie pana w górę, i to od razu do Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Tam ceni się moje rady, jak pan wie. Oczekują tam pana z zyczliwością.

- Jako kogo?

No, powiedzmy, jako wspaniałego specjalistę od spraw kryminalnych, którym przecież pan jest.

- I zamierzam nim pozostać, panie Meller!

-Niech pan próbuje. W każdym razie wylądaje pan teraz u Heydricha, a tam zostanie pan przydzielony Meisingerowi.

- Akurat tej świni! – powiedział Huber z zażartą otwartością.  
- Naprawdę nalega pan na to? Uważa pan to za niezbędne? No dobrze, jeśli musi tak być, podporządkuję się jeszcze i temu. Ale ten Meisinger porządnie się zdziwi.

I rzeczywiście tak się stało. Meisinger bowiem pozwolił sobie na pomysł, aby owego Hubera, jako znanego w branży eksperta obyczajowego, napuścić na Otto Schmidta w celu ponownego sprawdzenia go - a także, by w ten sposób zabezpieczyć się ze wszystkich stron. Rezultaty były alarmujące. Albowiem w ciągu kilku dni udało się mojemu Huberowi wmówić tym partaczom, że podejrzenia dotyczące

generała von Fritscha wyglądają w pewnych detalach na mało uzasadnione. I tak na przykład niektóre szczegóły, uważane za istotne, nie zgadzały się we wszystkich wypowiedziach.

- No to trzeba tak zrobić, żeby się zgadzały - odparł Meisinger obojętnie. - To przecież rutynowa sprawa, opracuję to jeszcze raz. Najważniejsze, że Otto Schmidt jest gotów to wszystko poświadczyć pod przysięgą.

- A co by było, panie Meisinger - podał w wątpliwość Huber - gdyby odnaleźli się jeszcze inni świadkowie? Czy wręcz pojawiły się dokumenty, dzięki którym dałoby się udowodnić, że Schmidt złożył fałszywe czy też sfalszowane zeznanie?

- Człowieku! - wykrzyknął Meisinger z irytacją. - Niech pan nie wywołuje wilka z lasu!

- Wątpliwe jest także - Huber wytrwale drążył dalej - czy da się utrzymać twierdzenie, że Otto Schmidt był agentem policji. To był szantażysta, a wcześniej nawet należał do kręgu homoseksualistów o ile dobrze pamiętam. A właśnie to mogliby sobie przypomnieć, przy pewnym nacisku czy zachęcie finansowej, także inni. W każdym razie przygotowałem dla pana na ten temat notatkę służbową.

I ta oto notatka została przedłożona Heydrichowi.

- Meisinger, człowieku, co mają znaczyć te bzdury! Czy wy macie wodę zamiast mózgu? - Gruppenführer powiedział to jednak niemal serdecznie, miło. - Wyobrażacie sobie, co by to mogło znaczyć?

To potrafił sobie wyobrazić nawet Meisinger. Nie trzeba było do tego wiele fantazji. Patrzył teraz błagalnie, prosił unieżenie o dalsze wskazówki, obiecywał, że będzie ich pilnie przestrzegał. - Cały czas staram się zasłużyć na pańskie zaufanie.

- No to niech się pan naprawdę postara! Bo w gruncie rzeczy to wszystko jest bardzo proste. Ja robię to, co chce Führer; wy robicie to, czego chcę ja, a wasi podwładni robią to, czego wy chcecie. I wszystko jest w porządku.

- Tak jest!

- Dlaczego pozwalacie sobie, żeby ktoś was tak irytował? Jakiś tam Huber! Kto to jest, do licha?

- Przeniesiony do nas niedawno komisarz z berlińskiej obyczajówki,

specjalista. Został zatrudniony przez szefa kadr naszego urzędu na polecenie radcy Mellera.

- Mój Boże, Meisinger, ty idioto! - wykrzyknął Heydrich. - Dlaczego nie powiedzieliście tego od razu? Nie wiecie, kto to jest Meller i kim ja jestem dla niego? Jesteśmy przyjaciółmi! Na nim można polegać na sto procent. Jeśli on przysyła nam eksperta, to wszystko w porządku. Ale teraz musicie coś z tym zrobić!

- Tak jest!- Meisinger wreszcie chyba zrozumiał, czego od niego oczekiwano. - Posłużyłem się tym Huberem tylko po to, żeby otrzymać od niego ostatni materiał dowodowy. Niepewnymi ogniwami które on wykryje, zajmę się osobiście. Wtedy będziemy zabezpieczeni, W każdym razie on w żadnym wypadku nie będzie miał możliwości bezpośredniego włączenia się do sprawy, już ja się oto postaram. Czy o to chodziło?

Heydrich przyglądał się swemu łowcy homoseksualiów z pobłażliwością i nadzieją. - Jesteście odpowiedzialni za wszystko, Meisinger! Niech pan rozegra tę sprawę w sposób zadowalający, czyli tak, żeby powszechnie w to uwierzono, a wtedy możecie liczyć na moją wspianiałomyślność. Ale tylko wtedy!

### Dziesiąta próba beletryzacji biegu wypadków związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Próba miodowego miesiąca

- Werner, czy jesteś szczęśliwy - pytała Eva, obecnie żona von Blomberga, mocno się do niego przytulając.

- Tak, bardzo, kochanie! - zapewnił pieszczotliwym tonem.

- Ale nie jesteś wesoły! - poskarżyła się nieśmiało.

— Przecież nie jestem już beztróskim młodzieńcem.

- Nie mów tak! - upomniała go wybuchając radosnym śmiechem

- wydajesz mi się młodym, bardzo młodym mężczyzną!

- Miło to słyszeć - powiedział. - Jeśli tak jest naprawdę, to tylko twoja zasługa. Jesteś cudowną kochanką.

- Dla ciebie.

Przebywali teraz w Lipsku. Od ich ślubu minęło zaledwie parę dni. Wybrali się do ZOO. Padał drobny eszcz. Pani von Blomberg

rozłożyła ogromny, czarny parasol, który trzymała nad Wernerem i nad sobą. Na głowie miała ciemnobrązowy kapeluszek i musiała unosić głowę, ponieważ była niższa od swego męża.

Kiedy zatrzymali się przed wybiegiem dla małp, zrobiono im zdjęcie - choć tego nie zauważyli. Fotografia została później opublikowana w „Berliner Mustrierte”. Przy czym nigdy nie udało się wyjaśnić, czy uczyniono to za wiedzą lub wręcz na zalecenie Ministerstwa Propagandy Rzeszy. I właśnie to sympatyczne i pozornie niewinne zdjęcie wywołało ogromną sensację.

Von Blomberg nie mógł tego przewidzieć. Ale wnet dały się słyszeć odpowiednie komentarze, boleśnie poufałe. I tak na przykład ojciec jego zięcia, generał Keitel, powiedział: „Czy jeszcze i to było naprawdę potrzebne?”

Również pułkownik Hessbach, adiutant Führera, poskarżył się: „Zdaje się, że feldmarszałek nie zamierza nam niczego oszczędzić. Ale i z tym musimy się pogodzić.”

A jeden z generałów pozwolił sobie na pogardliwy komentarz: „Burdel na wycieczce!”

Należy jeszcze dołączyć uwagę Hitlera, prawdopodobnie poczynioną poufałe, ale w obecności Göringa, co było równoznaczne z poinformowaniem opinii publicznej: „Kiedy na ślubie zobaczyłem matkę narzeczonej, wiedziałem od razu, co to za jedna! Przeszłość miała wyraźnie wypisaną na twarzy.”

— Martwi mnie to, że jesteś taki zamyślony - powiedziała Eva, kiedy po spacerze wrócili do hotelu. •- Mogę mieć tylko nadzieję, że nie ja jestem temu winna.

- Nigdy nie myśl, moja kochana - upomniał ją po rycersku Werner - że kiedykolwiek mógłbym żałować swojej decyzji! Albowiem ciągle Stwierdzam, że dopiero teraz naprawdę żyję!

- Dziękuję - powiedziała i objęła go delikatnie. - No to skąd to przytłaczające zamyślenie?

- Wyczuwam coś złego - wyznał jej, ciężko oddychając. - Przeciwników ma każdy porządny człowiek; a na człowieka mającego powodzenie czyhają wrogowie. Paru generałów czuje się pominiętych z powodu mojego stopnia. Tylko czekają, aż popełnię jakiś błąd. To są hieny!

- Przecież to straszne! - wykrzyknęła zmartwiona. - Ale ze mną nie ma to chyba nic wspólnego, powiedz mi szczerze?
- Nie, moja ty piękna - uspokoił ją. - Ty przynosisz mi tylko wielką, czystą radość! Jedyne ty się dla mnie liczysz, nic więcej.
- Jeśli tak jest, to czuję się bardzo szczęśliwa.
- Właśnie tak jest! - potwierdził obejmując ją mocno. - Az tymi drapieżnymi zwierzętami już jakoś sobie poradzę. Jak tylko wrócimy z naszej podróży poślubnej, zrobię z nimi porządek! I to gruntowny!

W owych dniach, czyli na początku 1939 roku, nastąpiły także te zdarzenia:

Nansenowski Komitet Pomocy otrzymał pokojową Nagrodę Nobla. Nagroda w dziedzinie literatury została przyznana pisarce Pearl Buck z USA. Murzyńska śpiewaczka Marian Anderson, urodzona w 1902 roku, otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu Harvardzkiego.

We Włoszech zmarł Gabriele d'Annunzio - narodowy poeta, osobisty przyjaciel duce, jego głośny wielbiciel. Do ofiar tych dni należał także Ernst Barlach, najbardziej żarliwy, a jednocześnie jeden z najwcześniejszych ekspresjonistów. Pochowano go dyskretnie i po cichu; ani jedna gazeta w Niemczech nie napisała o nim ani słowa.

W tym samym czasie ukazała się książka Georges'a Barnanosa, chyba najbardziej bojowego spośród katolickich pisarzy Francji: „Wielkie cmentarze pod księżycem”. Oskar Kokoschka usiłował zdobyć brytyjskie obywatelstwo. Ernst Ludwig Kirchner, niemiecki ekspresjonista, twórca abstrakcji, wybrał samobójczą śmierć,

Bartok skomponował następną koncert fortepianowy; wraz z nim walczył o przeżycie w Szwajcarii malarz i rzeźbiarz Hans Arp. Obu się udało. Albowiem obywatele Bazylei, na których czele stał profesor doktor Müller i jego żona, postarali się o zapewnienie im, a także innym, finansowej niezależności.

Jednocześnie w Paryżu Joseph Roth, niepowtarzalny powieściopisarz, usiłował zagłuszyć alkoholem swoją emigracyjną niedolę i zmarł. Bracia Mann, Heinrich i Thomas, stracili, jak się zdaje, wszelką

nadzieję na uratowanie swoich Niemiec. Zamienili wkrótce smutną skargę w zdecydowane oskarżenie.

Tymczasem Hitler odbył krótką wizytę w Rzymie. W Anglii doszli do głosu politycy, którzy twierdzili, że na wszystko to, co dzieje się w owej III Rzeszy trzeba patrzeć jak najbardziej realistycznie, a więc bez emocjonalnych uprzedzeń. W Paryżu przygotowywano następną wystawę światową - z niezwykle reprezentacyjnym w zamierzeniu, kolosalnym i nieforemnym niemieckim pawilonem, zaprojektowanym przez Speera, usłużnego architekta fuhrera.

Obergefrajter Schmiedinger, osobisty ordynans generała von Fri-tscha, był człowiekiem pogodnym i beztroskim - czasami także wobec swojego dowódcy, którego często takie zachowanie wyraźnie szokowało, nie wyrażał jednak sprzeciwu. Ów wielki żołnierz uważał, że trzeba nie łąda umiejętności, żeby wobec takiego człowieka jak on zachowywać się z tak skrajną otwartością.

Właśnie teraz znowu się to przejawilo. Gdy Schmiedinger wyczyścił jego oficerki i buty do połysku i zaprezentował wszystkie codzienne uniformy, nienagannie wyprasowane i wyczyszczone, spytał: - Czy mogę pozwolić sobie na bardzo osobistą uwagę, panie generale?

- Dlaczego mnie pytacie, Schmiedinger? Nie potrzebujecie przecież mojego pozwolenia, jeśli chcecie mi coś zakomunikować czy, używając waszego żargonu, coś mi wcisnąć. O co chodzi?

- Czy przypomina pan sobie obergefrajtra Frieberga?

- Zbędne pytanie, Schmiedinger! - Von Fritsch uśmiechnął się wstrzeźmieliwie. - Nigdy nikogo nie zapominam, kto kiedykolwiek podlegał mojej kompetencji.

Ów obergefrajter Frieberg był poprzednikiem jego obecnego ordynansa - niezwykle delikatny, dyskretny mężczyzna. Obecnie pracował w jakimś kasynie, pełnił funkcję bynajmniej nie poślednią. Bo pracowity był także.

- To, jak to się mówi, z gruntu porządny człowiek - powiedział Schmiedinger. - Czyli ktoś, na kim można polegać, prawda?

- Jak najbardziej - potwierdził generał ochoczo. - Czy też jesteście innego zdania?

- Od czasu do czasu spotykamy się z nim, w celu, powiedzmy,



wymiany doświadczeń. Nie tak dawno, wczoraj, gawędziliśmy sobie przy niejednej wódce i niejednym piwie. Ale tym razem nie spodobał mi się! Czy życzy pan sobie usłyszeć, dlaczego?

- No, mówcie, bo widzę, że wam na tym zależy.

- No dobrze, panie generale. Wobec tego bez owijania w bawełnę: nasz przyjaciel Frieberg wpadł w ręce gestapo! A ci szubrawcy solidnie się nim zajęli, urobili go sobie według reguł ich sztuki. Teraz jest z niego zwykła świnia! Jedna więcej w tych czasach. Ale pewnie jest pan ciekawy, z jakiego powodu to wszystko. Z pańskiego, panie generale!'

Von Fritsch oparł się w fotelu i powoli pokręcił głową.

-Niemożliwe!

Na co Schmiedinger, już bez oporów, powiedział:

- Te wyuzdane świnie z gestapo próbowali, i to przy użyciu siły wydobyć z naszego Frieberga, czy kiedyś w kontaktach z panem był narażony na próby nieobyczajnego zbliżenia. A jeśli tak, to jak to przebiegało. Mam nadzieję, że pan rozumie, co oni mieli na myśli.

Generał von Fritsch podniósł się, stał sztywno wyprostowany, stanowczy, odpychający. - To po prostu wzbudza obrzydzenie! Znacnie mnie przecież i nie powinniście żądać ode mnie, bym wysłuchiwał takich rzeczy!

- Ależ panie generale, daleki jestem od tego, żeby żądać czegoś takiego od pana, a już w żadnym razie nie mógłbym przypisywać panu takich świństw! - Obergefrajter spojrzał zatroskany na swojego szefa. - Ale gestapo usiłuje właśnie to zrobić. Rozumie pan?

Co to nas obchodzi, Schmiedinger! Ci ludzie mogą robić, co im się tylko podoba, ja jednak nie zamierzam zniżyć się do ich poziomu.

- Gówno ich to wzrusza! Oni robią swoje i jest im wszystko jedno, kto później pije to piwo, którego oni nawarzą.

- Wszystko się we mnie burzy, choćby przeciwko przyjmowaniu tego do wiadomości.

- Rozumiem - zapewnił obergefrajter Schmiedinger pod wrażeniem tak niezłomnej postawy, nie dając się jednak specjalnie zbić z tropu. Miał swoje zdanie na ten temat. Zorientował się bowiem i rzeczywiście było to zgodne z prawdą - że jego generał po prostu nie pojmował, co działo się wokół jego osoby. I chociaż ów von Fritsch uznał za możliwe, że gestapo byłoby w stanie zniszczyć

von Blomberga w podły, podstępny sposób, za pomocą sfałszowanych dokumentów - to jednak teraz, kiedy dotyczyło to jego osoby, okazał się, przejawiając wręcz upór samobójcy, całkowicie naiwny. Niewykluczone, że przynosiło mu to chwałę. Ale właśnie owa naiwność sprawiała, że napływająca nań fala brudu stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

Schmiedinger wyczuwał, że godziny tego człowieka są policzone. Próbował przewyciężyć przygnębienie, wyrzucając z siebie po cichu okropne przekleństwa. Na próżno. Będzie musiał chyba rozjeździć się za inną pracą, żeby z tych śmiertelnie niebezpiecznych oparów wyjść cało.

Jedenasta próba beletryzacji biegu wypadków  
związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Śmierć pewnej  
matki

- Słońce wschodzi - zawołał Werner do swojej Evy. Niechcący użył tytułu popularnego szlagieru z tamtych lat. Ciągłe starał się okazywać, jak bardzo jest szczęśliwy, że ją widzi. - Kiedy zbliżasz się do mnie, zawsze ogarnia mnie cudowne uczucie, że świat jest piękny.

Eva pospiesznie zamknęła drzwi ich wspólnego pokoju w lipskim hotelu. Oparła się o nie, jakby zupełnie pozbawiona sił, i powiedziała:

- Mam dla ciebie bardzo smutną wiadomość.

- Ale chyba nic, co by dotyczyło nas obojga? Przecież wszystko jest w jak najlepszym porządku! Obiecaliśmy sobie, że nic nie może nawet w najmniejszym stopniu nas zaszokować. - Wyczuwał jednak jej rosnący niepokój, jakieś głębokie zmartwienie. Na jej twarzy malowała się bezradność. - Czy źle się czujesz, moja droga? Co się stało?

- Przyszedł do ciebie - powiedziała niemal bezgłośnie - telegram. - Pokazała mu go. Ale on dalej patrzył tylko na nią, jej blada twarz tworzyła jasną plamę w zalewającym pokój świetle wieczornego słońca. - Telegram od twojej rodziny, podpisany przez jednego z twoich synów.

- Cóż dla niego jest tak ważne, że aż wysłał mi telegram?

- Śmierć twojej matki.

Von Blomberg, ciężko westchnąwszy, wyprostował się, stając przy drzwiach niemal się zatoczył.

Odwrócił się, aby ukryć głębokie wzruszenie i niepowstrzymanie płynące łzy. Można by było pomyśleć, że nawet w takiej chwili rozkazywał sobie: niemiecki feldmarszałek nie płacze - nigdy! Wyszedł do łazienki.

Gdy w wiele minut później wrócił do pokoju, był pełen żołnierskiego opanowania i godności. Skinął głową w stronę swojej Evy i oznajmił jej: - Nic w tym życiu nie jest tak nieuniknione jak śmierć. Nieraz mówiła mi to, z właściwą jej pogodą ducha. Moja droga, szacowna matka. Wiele jeszcze mam ci o niej do opowiedzenia. Już dawno powinienem był to zrobić. Nie wolno mi też było zwlekać z przedstawieniem jej ciebie. Ona na pewno by dostrzegła, że dzięki tobie stałem się naprawdę szczęśliwy. A to umocniłoby tylko nasze szczęście i wiele by ułatwiło, A teraz pozostaje, nam jedynie wzniesić toast na jej cześć.

Matka, opowiadał przytulając się do Evy, w ostatnich latach szczególnie lubiła wyborne, czerwone, francuskie wino - chateau rotschild. Jeszcze na ostatnie urodziny podarował jej skrzynkę rocznika 1933, wyjątkowo wyśmienitego.

Zadzwoił do recepcji hotelu. Po kilku minutach otrzymał stamtąd informację: tak jest, chateau rotschild rocznik 1933 znajduje się w piwnicy hotelu - dysponują jednak tylko dwiema butelkami. Poprosił o nie.

Napełnił kieliszek Evy, potem swój. Uniósł purpurowe wino pod światło elektrycznej lampy - iskrzyło się jak płomień. Siedzieli obok siebie na swoim podwójnym łóżku, pili. Eva przyglądała mu się z hamowaną uwagą, podczas gdy on uroczystym gestem opróżnił dwa, trzy kieliszki:

Potem zaczął mówić, medytować - w głębokim zamyśleniu., Choć przytulał się do Evy, wyglądało, to tak, jakby mówił sam do siebie, - Mieć taką matkę! Przy niej zawsze czułem się bezpieczny! Bo ona po prostu potrafiła zrozumieć, co się we mnie działo. Nie było sprawy, której nie mógłbym jej powierzyć. Od wczesnego dzieciństwa. Kiedy jeszcze jako chłopiec miałem jakieś straszne zmartwienie, ona brała mnie w ramiona i wszystko było w porządku. Później, kiedy

zostałem żołnierzem, oficerem, jeśli wyczuła, że jestem przygnębiony, czy nie czuję się bezpieczny, podawała mi tylko rękę. Wiedziałem, że mnie rozumie. Wystarczyło, że na mnie spojrzała, i już istniało między nami porozumienie.

Nie zapomnę nigdy, jak odwiedziłem ją tuż po mianowaniu mnie feldmarszałkiem, bezpośrednio po audiencji u Führera. Zjawiłem się wtedy u niej w galowym mundurze, ze wszystkimi orderami i odzttaczefliami, i wyciągnąłem ku niej prawą rękę z marszałkowską buławą. I cóż ona zrobiła?

Moja matka uśmiechnęła się tylko do mnie —z czułością, na jaką tylko ją było stać, ciebie wtedy jeszcze nie znałem, moja droga. I co powiedziała? „Werner, mój chłopcze, masz za ciasny mundur! Ale teraz osiągnąłeś pozycję, przy której nie musisz się przejmować żadnymi błahostkami. Teraz możesz być wreszcie taki, jaki jesteś. Jakim chcesz być. Taka była.

Kiedy widziałem ją po raz ostatni, leżała w łóżku. Mijała gripę, dyszała ciężko - ale mimo to uśmiechnęła się, z twarzą zlaną potem uśmiechnęła się do mnie. Powiedziałem wtedy: „Twój stan zdrowia nie podoba mi się, mam. Zostanę przy tobie, jeśli chcesz - mimo że jestem wezwany do Führera.”

Co miało znaczyć, i co ona doskonale rozumiała, że ona, matka, była dla mnie o wiele ważniejsza! Odparła jednak: „Mój chłopcze - ciągle jeszcze, choć miałem już prawie sześćdziesiąt lat, mówiła do mnie »mój chłopcze« - nie chcę, żebyś dostosowywał się do mnie! Wystarczy, że ty jesteś zadowolony, a ja już będę szczęśliwa.

Tej nocy Eva i Werner siedzieli parę godzin, obok siebie - niemal że z nabożeństwem, opróżnili obie butelki. Ona milczała, nie była w stanie powiedzieć nawet tego: „Jeśli twoja matka była tak nadzwyczajnie cudowna, to może zaakceptowałyby także i mnie. Ale na to było już za późno.

- Oczywiście, będę na pogrzebie swojej matki - oświadczył Werner - razem z tobą. Albowiem musisz wiedzieć, że teraz, kiedy jej zabrakło, mam już tylko ciebie.

Generał, który kazał zameldować o swoim przybyciu naczelnemu dowódcy von Fritschowi, był komendantem dywizji z garnizonu

w Królewcu. Człowiek żołnierskiego ducha, o dużej pewności siebie. A tym samym stanowczy, niezłomny obrońca pruskich tradycji oficerskich.

Von Fritsch przyjął go z wyjątkową rezerwą. Skłoniła go choćby do tego zuchwała i wyzywająca bezpośredniość gościa. Nie poprosił go nawet, aby zajął miejsce. Stojąc wyprostowany podobnie jak on, spytał stanowczo: - Co pana do mnie sprowadza?

Generał odparł, bez wahania, z wojskową lapidarnością: - Chodzi o to w najwyższym stopniu podejrzanе małżeństwo, jakiego dopuścił się feldmarszałek.

- A co pana zdaniem - spytał von Fritsch jeszcze w miarę uprzejmie - może nas obchodzić życie prywatne naszych bliźnich?

- Niemiecki generał nie jest bynajmniej osobą prywatną. Jest symbolem żołnierskiego ducha.

- Ale chyba nie jako małżonek. W tej roli może chyba robić to, co uważa za słuszne.

- Również w tym wypadku, panie generale, istnieją pewne, dające się dokładnie określić granice! Nasz kodeks honorowy wyraźnie je wyznacza. Ostatecznie nikomu z naszych kręgów nie wolno wiązać się z tak wysoce podejrzaną osobą, po prostu ze zwykłą kurwą, mówiąc dosłownie.

- To jest potworne pomówienie! Czy zdaje pan sobie z tego sprawę? Czy się pan zastanowił, co pan mówi?

- Bardzo dobrze to przemyślałem. I mam po temu podstawy, tym bardziej że przemawiam nie tylko we własnym imieniu, ale w imieniu licznych kolegów oficerów i generałów. I właśnie oni za moim pośrednictwem żądają, aby von Blomberg podał się do dymisji! A pan, panie generale, powinien go do tego zmusić. Tu chodzi o godność narodu!

- Zdaje się, że pod tym pojęciem każdy z nas. rozumie zupełnie co innego. - Von Fritsch uśmiechnął się z właściwą sobie powściągliwością. - Liczą się wyłącznie długoletnie zasługi pana von Blombeta, a nie jego życie prywatne.

- Panie generale, czy nie potrafi pan przewidzieć istotnych, wręcz nieuchronnych konsekwencji tego faktu? Feldmarszałek tym lekko-myślnym małżeństwem sam wydał na siebie wyrok. Jest załatwiony! Trzeba wyznaczyć jego następcę. Według opinii znacznej części kor-

pusu oficerskiego i generalicji, w której imieniu tu występuję, w rachubę wchodzi tylko jedna osoba: pan!

- Nie przyjmuję tego do wiadomości - powiedział von Fritsch skromnie. - A tym bardziej zabraniam tego rodzaju spekulacji w korpusie oficerskim. Kategorycznie Jestem nikim więcej jak tylko żołnierzem - i to wystarczy!

Pogrzeb matki Wenera von Blpmberga odbył się w styczniu 1938 roku w Berlinie. Była to niezwykle skromna, ale pełna godności ceremonia. Również pastor otrzymał polecenie, aby ograniczyć się wyłącznie do tego, co niezbędne. A więc ewangeliczna skromność, jak przystało na wielce szacowaną matkę feldmarszałka.

Pogoda była odpowiednia do pory roku: temperatura nieco powyżej zera. Zachmurzone niebo, ani śniegu czy deszczu. A ziemia, która miała przykryć skromną dębową trumnę, była brązowa i ciężka.

Poza pastorem i służbą cmentarną obecni byli niemal wszyscy członkowie rodziny von Blomberg: synowie i ich żony, córki ze swoimi mężami. Wśród nich także generał Keitel, który wielce żalobnie patrzył w ziemię. Ale chyba tylko dlatego, aby nie spojrzeć w oczy swojemu teściowi, gdyby ten rzeczywiście się pojawił. Bo choć był on jego mecenasem, przełożonym i krewnym, Keitel wstydził się za niego.

Drgnął lekko, gdy dostrzegł wchodzącego na cmentarz von Blomberga. Przybył on w ostatnim momencie i na szczęście nie próbował przecisnąć się do przodu. Towarzyszyła mu szalenie zasłonięta woalką kobieta, z pewnością jego żona.

Oboje przez nikogo nie witani, z nikim się nie przywitawszy - stali obok grobu bez ruchu, bez słowa, z zastygłymi twarzami. Nie ruszyli się z miejsca nawet wtedy, gdy trumnę ze zwłokami ukochanej matki opuszczono do dołu i zaczęła ją pokrywać rzucana garściami ziemia. „Niech proch w proch się obróci!”

Po czym jako pierwsi opuścili cmentarz - dostrzeżeni przez uważnych obserwatorów. Trzymając się pod rękę odchodzili stamtąd pośpiesznie. Sprawiało to wrażenie ucieczki.

W bramie cmentarnej wpadł na nich jeden z adiutantów Hitlera, który zaszalutował przepisowo i oznajmił: - Otrzymałem zaszczytne, polecenie, panie feldmarszałku, przekazania panu od naszego Führera

wyrazów najgłębszego współczucia z powodu z pewnością bardzo bolesnej dla pana straty.

- Dziękuję - odpowiedział Werner von Blomberg wzruszony tym nadzwyczaj serdecznym w jego odczuciu gestem. - Proszę przekazać Führerowi słowa mojej głębokiej wdzięczności.

- Przekażę, panie feldmarszałku! Ponadto mam rozkaz poinformowania pana, że Führer prosi pana o pozostanie jeszcze przez parę dni w Berlinie. Z powodu ewentualnych, bardzo ważnych, rozmów.

- Naturalnie, jestem zawsze do dyspozycji Führera - potwierdził von Blomberg.

Podniósł prawą rękę, jakby chciał dotknąć daszką czapki, Ale był przecież w cywilnym ubraniu. Wobec tego położył dłoń na ramieniu żony, jak gdyby chciał ją osłonić. Eva drżała.

# 7

## Wielka akcja państwowa

Z relacji doktora Ericha Mellera:

„Jeśli idzie o wydarzenia, które się wtedy rozegrały, nie chodziło o żadne znane z historii metody polityków. Była to po prostu kiepska gra zwykłych aferzystów.

Udowodnione jest, że Hitler już od kilku miesięcy znał to fatalne dossier Fritscha. Można również założyć, że był świadom istnienia teczki Gruhn. Mimo wszystko wystąpił wspólnie z Göringiem w roli świadka na ślubie von Blomberga, ponieważ prawdopodobnie uważał to za genialne posunięcie szachowe. Umiał kierować przypadkami. Dlatego też mogło dojść do tego hałaśliwego spektaklu, przedstawiającego zmierzch bogów-generałów w stylu wagnerowskim. Nadludzie przeciwko karłom!

Führer i kanclerz Rzeszy trzy dni przed ową datą, uznaną później za historyczną - a więc przed 26 stycznia 1938 roku - kazał zmienić swój zwykły porządek dnia. Tym razem dał pierwszeństwo Göringowi, którego wyraźnie, to zachwyciło, choć starał się również wówczas przybrać wygląd człowieka niezwykle przygnębionego! Jakby zmuszo no go do wzięcia udziału w głęboko go zasmuającym państwowym pogrzebie.

Był to widok, któremu Hitler przyglądał się z widoczną rozkoszą, nie zapominając jednak p d czasu do czasu zerknąć na swojego



adiutanta, pułkownika Hossbacha. Albowiem również jego poprosił na tę rozmowę - „nadzwyczaj poufną”. Jak się zdaje, chciał uczynić z niego swojego świadka. Gdyż Hossbach podczas tego przedstawienia, które miało się za chwilę zacząć, miał zarejestrować to, co w mniemaniu Hitlera było najważniejsze: kto był posłańcem, a kto odbiorcą tej wiadomości! Ponadto niezwykle interesująca była także reakcja samego Hossbacha.

Paladyn Göring zapewnił na wstępie, że bardzo żałuje, iż musi przekazać te nadzwyczaj ponure wieści. Ale niestety, niestety, chodzi o niewzruszone fakty. Przedstawienie ich nie przychodzi mu łatwo, lecz ostatecznie on zawsze odznaczał się prawą otwartością.

- Wystarczy, mój drogi Göring! - zawołał w jego stronę Hitler, który wręcz nie potrafił ukryć radości. Spojrzał na pułkownika Hossbacha i dostrzegł, jak jego niepokój wyraźnie rośnie, w związku z czym bez chwili wahania przybrał rzeczowy ton: - Może pan sobie i nam, czyli pułkownikowi Hossbachowi i mnie, zaoszczędzić wszelkich opisów, co czyni pan z pewnością w dobrej wierze. Nas nie jest łatwo wyprowadzić z równowagi. A więc, niech pan pozwoli przemówić faktom!

I tak się stało. Generał wyjął z teczki niezbyt duży plik akt, które położył przed Hitlerem. Führer jednak nie sięgnął po nie. Jak widać oczekiwał, także ze względu na swojego adiutanta, krótkiego wyjaśnienia ze strony Göringa - czyli informacji, jakie ten miał do przekazania. I za chwilę rzeczywiście je usłyszał.

- Teczka numer jeden. Zawiera różne szczegóły dotyczące wysoce podgrzanego małżeństwa pana von Blomberga z osobą, która weszła w konflikt z prawem obyczajowym, i to kilkakrotnie. Następnie teczka numer dwa. Zawiera ona detale dotyczące seksualnych dewiacji; mianowicie homoseksualizmu. Osoba podejrzana: nikt inny i nikt pomniejszy, ale sam generał von Fritsch!

Można było odnieść wrażenie, że Adolf Hitler wstrzymał oddech. Wydawał się głęboko wstrząśnięty. Potrafił wytrwać w takim stanie przez dłuższy czas. Zupełnie jak gdyby nawet jemu, najbardziej złotoustemu komentatorowi i interpretatorowi swojej epoki, zabrakło odpowiednich słów. Niemal z prośbą o pomoc spojrzął na swojego adiutanta, który wyglądał także na bardzo zmieszanego i dosyć bezradnego - całkowicie zgodnie z oczekiwaniami.

- Na coś takiego - wyrzucił wreszcie z siebie Hitler - nie można, nie wolno nas narażać! To potworne. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. - Pułkownik Hossbach pochylił głowę, co Hitler odczytał jako przepelnioną wzruszeniem aprobatę jego słów. - Jak widać, nic nie zostaje mi zaoszczędzone, ale to zupełnie nic!

Adolf Hitler był aktorem pierwszej wielkości; opanował znaczną liczbę teatralnych efektów i wykorzystywał je chętnie, a czynił to na ogół przekonująco. Nawet reichsleiter Alfred Rosenberg, szczególnie oddany kulturze zausznik Hitlera, w momencie, swojej wielkiej błyskotliwości stwierdził: „On jest sam w sobie Szekspirem!”

A teraz dołączył się do niego, „głośno grząc i kipiąc energią, aktor państwowy numer dwa - Göring. Oni dwaj podsuwali sobie nawzajem wręcz z profesjonalną wprawą hasła do tego zakrojonego na niemałą skalę spektaklu. Za publiczność i świadka mieli pułkownika Hossbacha.

- Wszystko, po prostu wszystko się we mnie burzy przeciwko temu, żeby uzpać tó za rzecz w ogóle możliwą! Ale chyba nie ma wyjścia. Zakładam bowiem, Göring, że te przedstawione przez pana akta są w stu procentach oparte na prawdzie.

Generał wyraźnie podobał się sobie samemu w roli radosnego posłańca nieszczęścia; a jednocześnie starał się wystąpić jako pełen oddania giermek führera. - Tak po prostu jest, i musimy to przeżyć.

Co, jak się zdaje, führer gotów był uczynić, nie omieszkując jednak zauważyć: - Z największym żalem, z krwawiącym sercem. - Zdanie to było przeznaczone przede wszystkim dla uszu jego adiutanta. Hitler zwrócił się do niego teraz bezpośrednio, przy czym można było odnieść wrażenie, że pilnie potrzebuje jego rady: - Co pan na to powie, pułkowniku Hossbach?

- Zatkąło pana, co? - zażartował po męsku Göring, trochę w stylu żołnierza frontowego.

Pułkownik Hossbach, zawsze usiłujący wypowiadać się szczerze, teraz jakby zamarł; był równie przygnębiony, co zakłopotany.

- No cóż, muszę przyznać, że ja także nie uważałem tego małżeństwa pana feldmarszałka za szczególnie szczęśliwy pomysł. Mimo to przy pewnej zyczliwości można przyjąć je zę zdarzenie czysto prywatnej natury. I właśnie dlatego radziłbym przejść nad tym faktem do porządku, pomijając go milczeniem.

- Jestem dokładnie tego samego zdania, drogi Hossbach - zapewnił Adolf Hitler. - Nie mogę jednak nie postawić sobie pytania, czy taka sytuacja jest w ogóle do przyjęcia, czy można ją czymś usprawiedliwić? Na przykład przed naszym korpusem oficerskim, przed opinią publiczną, przed historią?

- A jakie jest pańskie zdanie, pułkowniku Hossbach - spytał Göring, szybko prąc do przodu - jeśli chodzi o pana von Fritscha ?

- Tę sprawę da się ocenić jeszcze prościej. Wszystko to bowiem, co się przeciw niemu wysuwa, jest pełnym absurdem! By nie powiedzieć: całkowitą bzdurą!

- Nie bierze więc pan pod uwagę tych dokumentów, przekonujących wypowiedzi świadków, istniejącego jednoznacznego materiału?

- Niewykluczone, że chodzi tu o zupełnie coś innego. - Pułkownik niewzruszenie nie dawał się przekonać. - Jak wiadomo, pan generał von Fritsch jest daleki od przyjacielskich uczuć wobec gestapo. I choćby już z tego powodu mógł stać się dla tych osobników obiektem skorych pomówień. O co tylko się im spodoba! W każdym razie, należy chyba przeprowadzić z panem Fritschem wyjaśniającą rozmowę. Jestem do dyspozycji.

Göring, jak zaalarmowany, huknął: - Co to ma znaczyć, panie pułkowniku? Czyżby miał pan zamiar ostrzec von Fritscha? Żeby mógł się zabezpieczyć? Żeby zyskał czas na obronę? I żeby mógł zmobilizować rozmaite siły do pomocy? Zrodziłoby to same kłopoty! Budzące największe obawy, zagrażające państwu! Czy chce pan tego?

- O ile dobrze znam naszego pułkownika - odezwał się Führer z sugestywną ufnością - to zawsze dążył on do ugody, do możliwie najrozsądniejszego kompromisu. Z pewnością odnosi się to także do tego przypadku, prawda?

- Jak najbardziej, mein Führer! I właśnie dlatego proszę pana o pozwolenie mi na skonfrontowanie generała von Fritscha z tymi niezwykle podejrzanie wyglądającymi faktami. Jestem pewien, że wkrótce wszystko się wyjaśni.

Führer milczał jak gdyby zamyślony. Potem spojrzał wyzywająco na swojego Göringa.

A ten wybuchł: - Jak widać, jest pan kompletnie naiwny! Czy pan nie wie, że homoseksualiści ,to urodzeni kłamcy, notoryczni demoralizatorzy, potencjalni przestępcy? Czyżby się pan spodziewał, że czło-

wiek takiego pokroju otwarcie przyzna się do swoich obrzydliwych zdrożności?

- Zakładam, panie generale - powiedział na to Hossbach, starając się nie ulegać emocjom - że pańskie uwagi były natury zupełnie ogólnej. I nie odnosiły się do określonej osoby?

- Oczywiście, że nie! - Tym razem Hitler pospieszył z odpowiedzią. Wiedział bowiem, że ów adiutant Wehrmachtu nie był ani trochę typem gnuśnego, służalczego lokaja, którego byłoby stać na zabawy rodem z koszarowego dziedzińca. - Ale musi pan także zrozumieć uzasadnione obawy generała Göringa.

- Próbuje! I właśnie-tym ważniejsze wydaje mi się bezzwłoczne skłonienie pana generała von Fritscha do zajęcia stanowiska w tej sprawie.

- Nie sądzę, żeby pan to zrobił - powiedział Hitler zaskakująco otwarcie - tym bardziej że kategorycznie tego panu zabraniam.

- Pan Hossbach nie pozwoli sobie z pewnością na jakkolwiek samowolę - dorzucił szybko Göring. - Jest to bowiem w najwyższym stopniu poufna rozmowa, w której pozwoliliśmy uczestniczyć panu pułkownikowi, licząc na jego lojalność.

On jednak pozostawał niewzruszony. - Te przedwczesne, wątpliwe, i nie udowodnione pomówienia wymagają pilnego wyjaśnienia. Jestem gotowy podjąć się tego zadania, proszę mi na to pozwolić!

- Nie - obstawał przy swoim führer. - Nie teraz, jeszcze nie. To znaczy nie wcześniej, nim fakty zostaną gruntownie zbadane. I to przeze mnie osobiście! Czy zrozumiał mnie pan, panie pułkowniku Hossbach?

- Tak jest - odparł ten zawahaniem. - Przyjmuję to do wiadomości.

- I podporządkuje się pan, mam nadzieję! - wykrzyknął Göring z groźną energią w głosie. - Cenimy pana, Hossbach! Jest pan człowiekiem, przed którym stoją otworem wysokie i najwyższe urzędy, da czego z pewnością przywiązuje pan wagę? Niech pan spróbuje być rozsądny, potrzebujemy pana!

Gdy pułkownik Hossbach się oddalił, führer i jego paladyn pozostali sami. Pogrążeni w wielkiej zadumie. Przez chwilę milczeli. . . Później główny dowódca Luftwaffe powiedział pełen wątpliwości:

- Gdyby ten Fritsch dowiedział się tym za wcześnie, mógłby się wykręcić!

- Nie on - stwierdził Hitler z przekonaniem.

- W każdym razie niektórzy z jego kompanów mogliby wykorzystać nadarzącą się okazję i próbowaliby nas wykiwać. Znam paru, eo tylko czekają na coś takiego, żeby wywołać rewolucję pałacową.

- Nie zna ich pan, w każdym razie nie najlepiej. - Hitler pozostawał niewzruszony. Pozwolił sobie nawet na żart, z którego sam się roześmiał: - Ostatecznie ja też się znam na psach! I właśnie dlatego wiem, że te, co najgłośniej szczekają, nie gryzą.

Teraz i Göring roześmiał się jak kumpel; za«moment przyjął jednak kojową postawę jak zwykle w drażliwych, niebezpiecznych sytuacjach, - A więc jeszcze da się wszystko wyprostować, tak?

- Musi się dać —potwierdził Hitler z przekonaniem. - Reakcja Hossbacha była jednoznaczna. Ale można uznać, że ten pociąg już odjechał i musi dotrzeć do wyznaczonego przez nas celu. Jak najszybciej. I to między innymi dlatego, że mogę polegać na panu, to znaezy na pańskich dokumentach, prawda?

- Całkowicie! - zapewnił Göring. - Zgodnie z zasadą: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam! Niezależnie od tego, do jakiej instytucji ten adiutant należy, musi zostać zwolniony! Na jego miejsce i nie tylko na jego - czeka wielu. Stoją w kolejce!

Bezpośrednio po opuszczeniu Kancelarii Rzeszy pułkownik Hossbach, nie zwlekając ani chwili, kazał się zawieźć na Tirpitzufer. Znajdowała się tam siedziba dowódcy sił lądowych. Spłowiła, czerwona cegła, wyblakły, szary cement, zniszczone korytarze.

I właśnie w tym budynku, za błyszczącym biurkiem, zawsze sprawiającym wrażenie starannie uprzątniętego, siedział generał von Fritsch, niewzruszenie pewny siebie, jakby całkowicie nieprzystępny. Jednakże jego spojrzenie, zwrócone na wchodzącego gościa, było po ojcowsku dobronudne. Ten gość bowiem wywodził się z jego szk«ły, należał do jego świata, zawsze był mile widziany.

- Co pana do mnie sprowadza,, drogi Hossbach?

Sprawa niezwykle delikatna

Ależ mój kochany, chyba nie ma rzeczy, która w tych czasach laogłaby mnie jeszcze zaskoczyć!

- Wiem, panie generale, że wobec pana mogę być całkowicie szczery. Tym razem jednak nie jest mi łatwo. Chodzi o sprawę ogromnie przykrą.

- Przykrą, dla kogo? - Von Fritsch nie stracił ani na chwilę swojego opanowania. - Bardzo proszę, niech mi pan wyjaśni.

Pułkownik Hossbach podjął tę próbę, uczynił to jednak z wielkim wysiłkiem. Starając się przedstawić sprawę jak najłagodniej, powiedział: - Zdaje się, że usiłuje się zarzucić panu, panie generale, szczególny rodzaj przestępstwa. Rzekomo istnieją odnośne wypowiedzi świadków, kryminalne docnodzenie, sporządzone w Urzędzie Bezpieczeństwa akta.

- Dotyczące czego? Proszę mówić precyzyjnie!

- Hm, pewnej odmiany płciowej dewiacji, to znaczy homoseksualizmu. Bardzo proszę o wybaczenie, panie generale, że narażam pana na taką rozmowę, ale ktoś musiał to uczynić.

- Ale, jak pan widzi, drogi Hossbach, nie jestem tym ani specjalnie zaskoczony, ani zaszokowany. Albowiem już od dłuższego czasu robiono wiele aluzji na ten temat.

- To znacznie ułatwia moją misję, panie generale. Czułbym się - bardzo źle, gdybym był pierwszym, który informuje pana o czymś takim. Czy mogę się spodziewać, że zajmie pan w tej kwestii stanowisko?

- Nie, mój drogi - oświadczył von Fritsch z godnością. -Ponieważ tego rodzaju podejrzenia nie licują po prostu z moim światem, z moim życiem. Nie życzę też sobie, żeby pana wciągano w te sprawy. Nie powinny one pana obchodzić.

Pułkownik zareagował niemal zaskoczony: - Przepraszam, ale jak mam to rozumieć? -Czy pan mi nie ufa? Czy nie uważa mnie pan za godnego zaufania?

- Ależ nic podobnego! Ostatecznie nie jest pan przecież moim spowiednikiem, raczej jakby synem, kimś bardzo mi bliskim, mówiąc szczerze. Ale właśnie od synów ojcowie oczekują zaufania. Czy chce mnie pan tego pozbawić?

- Na pewno nie! Ale proszę się zastanowić, panie generale. Te

okropne pomówienia dotyczą teraz pana bezpośrednio. I właśnie przeciw nim musi się pan bronić, póki nie będzie za późno!

- Jeśli kiedykolwiek sprawy zaszłyby tak daleko - oznajmił generał nieco podniosłym tonem - to wystarczy tylko jedno. Moje słowo honoru! Które dam Führerowi i w ten sposób wszystko będzie załatwione.

- I pan naprawdę w to wierzy? - Pułkownik Hossbach był do głębi wstrząśnięty. - Ciągłe jeszcze nie przejrzał pan tego Hitlera? Jeśli trzeba, to on pójdzie po trupach! Również po pańskim!

- Ach, mój drogi Hossbach - mówił von Fritsch z pogodną pobłażliwością. - Ja w pana wieku także byłena dosyć buntowniczy, co można też określić mianem rewolucyjnego ducha. Teraz jednak moje życie opiera się na całej masie doświadczeń. A oto jedno z nich: Nic i nikt nie jest doskonały, żaden cesarz, żadna republika, żaden führer.

- Czyli pan rezygnuje?

- Nie! Usiłuję tylko ze wszystkiego, co mi się przydarza, wyciągnąć to najlepsze.

- Również jeśli chodzi o Hitlera?

- Został nam już dany, musimy więc z nim żyć! Jednakże nie pozbawieni przekonania, że możemy żyć w sposób nas godny, czyli godnie spełniając swoje obowiązki.

- A jeśli to się nie uda? Co wtedy?

- No cóż, Hossbach. Sądzę, że nie należy przedwcześnie powątpiewać w człowieka, którego los wyraźnie przeznaczył do przewodzenia naszej ojczyźnie. Zwłaszcza że stwierdziłem niejednokrotnie, iż ludziom w pewnej mierze historycznego formatu udawało się sprostać ogromowi postawionych przed nimi zadań. A nawet je przewyższyć! A to, że ów Hitler ma niezwykle właściwości, nie ulega raczej kwestii.

- Ma. Pytanie tylko, jakie?

## Z relacji Ericha Mellera:

„Następna z ostatnich już faz strategii zniszczenia zaczęła się 25 stycznia 1938 roku - dokładnie o godzinie 10 przed, południem. Owe imprezy z fajerwerkami miały trwać przez kilka dni niemal bez

przerwy i doprowadzić do wielu punktów kulminacyjnych, których podstępność nawet w III Rzeszy nie miała sobie równej.

Należała do nich również tak zwana narada służbowa w rozszerzonym gronie. Czyli: żaden szczegółowo rozpatrywany wewnętrzny temat, ale raczej ogólna interpretacja sytuacji, bez wcześniejszego ustalenia porządku obrad, który tak czy owak był najczęściej samowolnie określany przez Hitlera lub przez niego zmieniany. Tym razem wszystko wydawało się o wiele bardziej niejasne, a także bardziej wieloznaczne niż zwykle.

Już sama lista obecnych stanowiła zagadkę i stała się źródłem pełnego wyczekiwania niepokoju: przybyć mieli nie tylko osobiści doradcy Hitlera, lecz także liczni sekretarze, a nawet minister sprawiedliwości Rzeszy. Ponadto pojawili się również, i to jednocześnie, Göring i Heydrich, obaj o twarzach nieprzeniknionych i tajemniczych. Tym samym trybunał stał się kompletny, łącznie ze statystami.

Jako ostatni wszedł na salę Hitler. Sprawiał wrażenie przygnębionego, lekko pochylony kroczył w stronę swojego miejsca; wykonał ruch ręką, jakby chciał ich wszystkich pobłogosławić; to był jego sposób przekazywania »niemieckiego pozdrowienia«.

Na ten temat w parę godzin później Heydrich powiedział do Mellera z pełną ufnością, przyjacielską otwartością: »Niejeden robił w portki. Nastrój Führera zapowiadał ogromną burzę. To było dobrze zrobione! Niewiele brakowało, a zalałyby się łzami!«

Hitler poinformował zebranych o swoim »głębokim poruszeniu«, swojej »wielkiej, nieustającej trosce«. Albowiem doszło do wydarzeń o których chyba już się głośno mówi. - Cały czas zadaję sobie pytanie, nieustannie, jak im zaradzić. Ale tak, aby nie narazić na szwank znaczenia Rzeszy czy naszego Wehrmachtu.

Tak więc nie oskarżał; skarżył się i ubolewał, i udawał szczerze zatroskanego. Zaplanowaną brutalną akcją pozostawił bez obaw godnemu zaufania Göringowi. A ten bez ogródek mówił o »świństwie«, o »zdradzie lojalności wobec Führera«, a na koniec wspominał nawet e »stajni, którą wreszcie trzeba oczyścić«.

Była to uwaga, której jednak Hitler nie pochwalał, pozostając w całkowitej zgodzie ze swoją rolą. - W ramach władzy, jaką dysponuję, muszę uczynić wszystko i uczyaię, aby uchronić mój naród



przed złem. Mogę być chyba pewny waszej pełnej zrozumienia aprobaty, moi współpracownicy i towarzysze wspólnej drogi.

Podsumowanie, które Heydrich tak oto później mi skomentował: ten sposób miał ich wszystkich w ręku! Bo oczywiście żaden się nie ruszył, nikt nie odważył się zgłosić jakiegoś zastrzeżenia, a już w żadnym wypadku choćby lekko zaprotestować.

- W ten sposób zyskał publiczną aprobatę.

- No właśnie! Tak oto Führer wkroczył na arenę. A stamtąd nie może się już cofnąć, póki nie zakłuje swoich byków." Prawdopodobnie trzech."

Już w godzinach popołudniowych 25 stycznia 1938, roku energicznie zmierzający do celu Göring poprosił feldmarszałka von Blomberga o „krótką, lecz wysoce poufną, ponadto bardzo osobistą rozmowę”. Werner von Blomberg bez wahania się zgodził.

Göring dziękował niezwykle ożywiony: - A więc mogę pana prosić o przyście do mnie, panie feldmarszałku? Pozwalam sobie na tę propozycję z powodu pewnych akt, które raczej powinny zostać panu udostępnione i nie mogą znaleźć się na żadnym innym biurku.

Feldmarszałek stawiał się natychmiast, w cywilnym ubraniu, w Ministerstwie Lotnictwa Rzeszy. Była to kłocowata twierdza z betonu i szkła. Göring przyjął go w swoim gabinecie przypominającym halę, nie różniącym się bardzo od tego, w którym rezydował führer.

- Jak już wspomniałem, nie zabiorę panu wiele czasu, - Na tę rozmowę przewidział rzeczywiście tylko piętnaście minut-Temat był bezsprzecznie drażliwy; należało się więc streszczać. -, Zamierzam uprzedzić pana o pewnej sprawie, która przy najbliższej rozmowie z Führerem, prawdopodobnie już jutro, nieuchronnie zostanie poruszona. Pozwoli pan!

- Bardzo proszę. - Feldmarszałek, nie przeczuwając nic złego, zajął miejsce i uśmiechnął się z ufnością do Göringa. Ale już następne słowa spowodowały, że zaczął słuchać z zaniepokojeniem.

Göring bowiem, spoglądając nań ze smutkiem i nadając żalobny ton tłusto brzmiącemu głosowi, powiedział: - Panie von Blomberg - a więc nie zwracał się do niego tak jak zawsze, per „feldmarszałku”

- proszę pozwolić mi na wstępie na następujące stwierdzenie: mnie, a także w dodatku samego Führera skłonił pan do wystąpienia na pańskim ślubie w roli świadków.

- Nie skłoniłem, panie Göring, nie ośmieliłem się nawet o to. prosić. Jednakże pańską gotowość i gotowość Führera, by wyświadczyć mi tę łaskę, odczułem jako najwyższy zaszczyt. Zawsze będę za to wdzięczny.

- Toteż my uczyniliśmy to bardzo chętnie, panie von Blomberg, pełni dobrej wiary, że tak powiem, z naturalnego poczucia koleżeńskości więzi. Niestety, okazuje się jednak i przykro mi, że muszę o tym mówić - że doszło w tym wypadku do godnego ubolewania wprowadzenia w błąd albo wręcz do zwodniczego nadużycia. Dotyczy to zwłaszcza Führera - siebie już pomijam. Führera jednak nie powinien być pan, panie von Blomberg, narażać na coś takiego!

- Nie rozumiem, o czym pan mówi! - zapewnił feldmarszałek zdenerwowany, wyraźnie starając się zachować spokój.

- O pańskim związku z tą osobą.

- Wyrażenie „osoba” muszę zdecydowanie zakwestionować! Chodzi o kochanego przeze mnie człowieka, o moją żonę!

- Pardon - zagrzmiał Göring. - Proszę jednak zrozumieć moje wzburzenie, właśnie z powodu przeszłości pańskiej żony.

- Na tak zwaną przeszłość mojej żony, jej pochodzenie z prostego środowiska, przezornie zwracałem uwagę wcześniej, panie Göring, mianowicie wtedy, kiedy prosiłem pana o wstawienie, się za mną, za nami, u Führera. Co, pan rzeczywiście uczynił i za co jestem panu wdzięczny. Szczerze przyznałem, że według tradycyjnych pojęć honorowego kodeksu oficerskiego małżeństwo to z pewnością nie może być uważane za „stosowne do mojego stanu”. Jednakże obaj, panie Göring, byliśmy zdania, że obecnie nadeszły czasy, w których można wreszcie myśleć prawdziwie demokratycznie.

- Jak najbardziej, panie von Blomberg, jak najbardziej! Ale nawet w takiej sytuacji trzeba dostrzegać pewne granice i zachować umiar.

- Nie wiem, do czego pan zmierza?

- Trudno uznać to za przejaw demokracji, skoro pańska żona jest odnotowana w kartotece policji obyczajowej.

- To wykluczonej - Feldmarszałek wahał się między przerażeniem a oburzeniem z powodu tego, co próbowano mu wmówić. -Jeśli

nawet istnieją odnośne notatki, to opierają się z pewnością na fałszywych informacjach! Niewykluczone, że zostały celowo sfalszowane.

- Tak czy inaczej mamy do czynienia z aktami urzędowymi; leżą tutaj, są do pana dyspozycji.

- Nie zamierzam przyjmować tego do wiadomości.

- Ale właśnie powinien pan to uczynić, zalecam to panu z całą mocą. Aby się dobrze przygotować przed jutrzejszym spotkaniem z Führerem.

- Ja mu ufam!. Całkowicie i bez zastrzeżeń! A on ufa mnie!

Göring skinął pobłażliwie głową. Zrozumiałe, że Blomberg jest niepoprawnie naiwny. Wydał mu się zmiażdżonym karłem - mimo jego wielkiego wzrostu. Można uznać, że był już skończony. Hitler bez trudu go dobije.

Generała barona von Fritscha nierzadko uważano za -nadzwyczaj skomplikowanego, wysoce samowolnego człowieka, czasami jednak mówiono o nim jako o osobie wręcz dziecinnie naiwnej. Kiedy w jego życiu nastąpił największy kryzys - szukał ucieczki w pracy. Następstwem tego było to, że w owych dniach w najbliższym otoczeniu naczelnego dowódcy sił lądowych panowała przygniatająca, napięta atmosfera.

Jego codzienne pensum wynosiło około dwunastu godzin. „Robił wrazenie - opowiada jeden z jego adiutantów - jakby się wziął, żeby doprowadzić do końca swoje wielkie plany organizacyjne. Inny z adiutantów zauważył, że jego małowówność nie dawała się już niczym przełamać! „Nie sposób było nawiązać z nim rozmowy!” Jednakże generał Beck, szef sztabu generalnego armii, stwierdził lapidarnie: „Był taki jak zawsze”.

Gospodyni Wernera von Fritscha, baronowa, oficjalnie nazywana „damą dworu”, opowiadała: „Nie wiedziałam już po prostu, co mam robić! Śniadania tak czy owak jadał zawsze bardzo skromne, ale od pewnego czasu nie chodził na obiady nawet do kasyna. Dowiadywałam się. A wieczorem mogłam postawić na stole nie wiem co, on i tak niczego nie tknął. Nawet ulubionych potraw swojej matki, na które miałam przepisy.”.

Prawdopodobnie jedyną osobą, która w pewnym, sensie potrafiła dotrzeć do generała, a także starała się o to, był Schmiedinger,

opiekujący się nim obergefrajter. Zaniepokoił się zwłaszcza po alarmującej wiadomości od feldfebla Maiera, że von Fritsch w ogóle nie jeździ już konno. A więc zaniedbał też swojego konia! Była to niepodważalna oznaka niezwykłego załamania.

W parę lat później Schmiedinger powiedział na ten temat: „Kim ja wtedy byłem? Jeszcze jednym głupcem w tym cyrku władzy. Póki skubałem sobie trawę na wyznaczonej mi, łączce, nie musiałem się tak bardzo bać, że pójdę na rzeź. Byłem jak dumny byk! Tak siebie widziałem. Ale wie pan, generał wydawał mi się wtedy swoim własnym posągiem, wykutym w grobowo ciemnym marmurze.

Hitler przyjął von Blomberga z nie ukrywaną uprzejmością, ale także z wyraźnie demonstrowanym zatroskaniem. Göring trzymał się z tyłu, na razie. Uśmiechał się życzliwie.

Adolf Hitler poprosił Blomberga, aby zajął miejsce tuż pizy nim. W ciągu tych paru sekund wszystko sprawiało wrażenie pełnej harmonii i całkowitego zaufania. - Wśród wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, którzy należą do mojego świata, którym wiele zawdzięczam, z którymi czuję się związany, pan, panie von Blomberg, zajmuje jedno z pierwszych miejsc!

- Dziękuję - odparł feldmarszałek uszczęśliwiony i pełen oddania.  
- 1 o samo odnosi się także do pana.

Na co odezwał się Göring, na którego Hitler rzucił tylko krótkie spojrzenie: - Jednakże to, co obecnie, że tak powiem, na płaszczyźnie służbowej wyszło na jaw, należy określić jako niezwykle obciążające, niestety, niestety?

- Może tu chodzi o zwykłe nieporozumienie, o błędne informacje. Hitler popatrzył na swojego feldmarszałka w zamyśleniu, aby za chwilę, jakby wychodząc mu naprzeciw, przejść do dygresji politycznej: - Może należałoby spojrzeć na to inaczej: Otóż pewna bardzo młoda, niezwykle atrakcyjna, spragniona życia istota mieszkała, wychowywała się w tym bagnie Republiki Weimarskiej, w tym wtedy jeszcze brudnym mieście, jakim był Berlin! I po prostu stała się przypadkową ofiarą zdiczalej obyczajowości, nie znającej żadnych hamulców, propagowanej przez Żydów wolności seksualnej.

- Dziękuję, mein Führer - powiedział von Blomberg pochylając nisko głowę. Wydawało mu się, że Hitler za pomocą tych wywodów zamierza pomniejszyć znaczenie istniejącego materiału dowodowego.

Przykro mi - sprzeciwił się Göring, który zgodnie ze swoją rolą przywdział maskę wybornie udawanego żalu - ale tak niestety nie było. - Po czym szybko przeszedł do oskarżenia: -W aktach sądowody, że wspomniana dama rzeczywiście pobierała pewne opłaty za okazywane łaski. Istnieją również dosyć delikatnej natury zdjęcia, wśród nich nawet kilka pornograficznych. Z okropnymi, ordynarnymi detalami.

- To jest - wykrzyknął feldmarszałek szczerze wzburzony - całkowicie niewyobrażalne! -Niemał błagalnym wzrokiem spojrzął na swojego führera.

Pan się chyba myli! – wykrzyknął Hitler bez wahania. - Czyżby?

- Nie myślę się - odpowiedział Göring stanowczo. - Istniejący materiał ma niepodważalną wartość, jest całkowicie przekonujący. Czy mam przedstawić szczegóły?

Führer wstał, szorstko odmawiając, jakby spłoszony. Zaczął chodzić w tę i z powrotem w pobliżu swojego biurka, jakby nurtowały go głęboko niepokojące myśli. Feldmarszałek, blady, wpatrywał się w niego - wciąż jeszcze miał nadzieję. Göring wolał udawać świeżo zastygły posąg.

- Po prostu wszystko się we mnie burzy przed uznaniem czegoś takiego za możliwe! - oświadczył Hitler drżącym głosem. Po czym przerwał wędrówkę, stanął jak w ziemię wryty i spojrzął sugestywnie na swojego feldmarszałka. - Bo na taką rzecz, mój drogi panie von Blomberg, z całą pewnością pan sobie nie zasłużył! Ani pan, ani także ja! W każdym razie pan jest i pozostanie nadal w moich oczach człowiekiem honoru! Jeśli jednak wstrętne, ale jednak przecież urządzenie rozpoznania miałyby się okazać prawdziwe, to muszę zadać pytanie: W jaki sposób moglibyśmy, ja mógłbym ustzec naszego feldmarszałka przed takimi podejrzeniami?

Podczas gdy von Blomberg milczał chwilę oniemiały, Göring tym bardziej aktywnie grał dalej swoją rolę: - Niewykluczone, że mogłoby jeszcze pomóc szybkie rozwiązanie tego małżeństwa. Na przykład uzyskanie urzędowego unieważnienia związku wobec ordynarnego

oszustwa, za jakie można uznać świadome i pełne wyrachowania przemilczenie ważnych szczegółów z przeszłości. Coś w rodzaju uroczyściego wyrzeczenia się...

- To niemożliwe - odparł Blomberg przyjmując ponownie stanowczą postawę. Natychmiast bowiem zorientował się, do czego Göring zmierza: chciał, aby przyłgnęło do niego piętno człowieka pozbawionego honoru i nie przestrzegającego żadnych zobowiązań. Sprzeciwił się temu. - Ona jest moją żoną. I nią pozostanie.

- No cóż - powiedział Göring - co prawda ta dama nawet po rozwodzie mogłaby dalej wykorzystywać nazwisko feldmarszałka. Przez resztę życia. I jak byśmy wyglądali?

- Przygnębiającą wizja! - wykrzyknął Hitler. Spojrzał na Blomberga, jakby sama myśl o podobnej ewentualności sprawiała mu cierpienie.

- Nie chcemy jednak pominąć żadnej szansy sensownego oczyszczenia tej sprawy, jestem to panu winien.

Feldmarszałek wyraźnie widział, jak bardzo Führer był zatroskany o niego. Niebylegale go to wzruszyło. Wobec tego człowieka odczuwał bezgraniczny podziw i wdzięczność. On jeszcze wiedział, co znaczy prawdziwe koleżeństwo. A teraz na dodatek oznajmił:

- Göring. może pan odejść! Albowiem to, do czego nieuchronnie zmierzam, muszę omówić z moim feldmarszałkiem w cztery oczy.

Tego dnia wieczorem przepisową szklanekę mleka, pomagającą w zaśnięciu, przyniósł generałowi von Fritschowi nie jak zwykle Schmie-dinger, obergefrajter i opiekun generała, lecz jego gospodyni, „dama dworu”. Po raz pierwszy od wielu lat pozwoliła sobie wejść do jegosypialni wtedy, kiedy on się w niej znajdował.

Werner von Fritsch spojrział na nią z osłupieniem.

- Czy mogę panią prosić, łaskawa pani, o przestrzeganie zwyczajów tego domu w każdych okolicznościach! Mówię to tylko ze względu na panią.

. - Co jednak nie znaczy, panie generale, że od czasu do czasu nie mogą się zdarzyć wyjątki.

Owa baronowa, która opiekowała się generałem, nie była bynajmniej jak często uważano, niewiastą w biblijnym wieku, lecz wcześniej

owdowiałą córką poległego w wojnie światowej kolegi von Fritscha z pułku; została, by tak rzec, powierzona generałowi. Mając trochę ponad czterdzieści lat, ciągle jeszcze mogła uchodzić za osobę atrakcyjną. Można było nawet określić, że jest kwitnącą pięknnością o lekka słowiańskich rysach. Miała wąskie, wyglądające jednak na pełne usta, z niewielkim garbkiem nos, którego nozdrza często nieco drżały. Kobieta ta dla wielu mężczyzn byłaby uosobieniem leniwie tłumionej zmysłowości - jednakże nie dla generała.

Do niego właśnie zwróciła się teraz» bynajmniej nie uniżenie, ale raczej zuchwałe: - W jakiś sposób jestem przecież częścią pana życia. Odczuwam w stosunku do pana nie tylko wdzięczność lecz także sympatię, uwielbienie! Może powinien pan to wykorzystać, gdyby na przykład zaszła taka potrzeba. A wydaje mi się, że właśnie teraz jest taki moment:

, - Moja droga, szanowna pani! - wykrzyknął z przerażeniem von Fritsch prostując się w swoim łóżku i uważając przy tym, aby nie odsłonić choćby skrawka swego ciała, co wcale nie było trudne, ponieważ nosił zawsze bardzo długie, sięgające do kostek nocne koszule. Wyłącznie białe. Z właściwą sobie ojcowską pobłażliwością, również wobec niej, oświadczył teraz: - Musi pani wiedzieć, łaskawa pani baronowo, że zawsze chętnie panią widzę, ale nie tutaj, nie w mojej sypialni. Jako człowiek znaczy pani dla mnie bardzo wiele. Mogę być chyba uważany za mężczyznę w pewnym stopniu zrównoważonego albo po prostu mądrego. Siły, jakimi jeszcze dysponuję, poświęcam wyłącznie pracy i tylko dla niej mi ich starcza.

- Nie oczekiwałam od pana nic innego - odparła. - Chodzi mi jedynie o stworzenie pewnych gwarancji bezpieczeństwa dla pańskiej osoby. Gdyby pan tylko zechciał, moglibyśmy uzyskać ten sam efekt, jaki z inicjatywy jednej z moich przyjaciółek osiągnięto w Monachium przy użyciu metod, które okazały się dosyć skuteczne.

- Przepraszam, co pani ma na myśli? - spytał von Fritsch, którego w ostatnich dniach bezustannie wprawiano w zdumienie.

Wyjaśniła mu: - Mojej przyjaciółce z Monachium i kilku innym damom udało się w sposób dość niekonwencjonalny uratować znajdujących się w niebezpieczeństwie, zagrożonych przez określone przepisy przyjaciół. Systematycznie produkowały materiał oczyszczający ich z zarzutów, w formie listów miłosnych, w których można było

przeczytać, że panie te odczuwają pełną oddania sympatię, z wdzięcznością wspominają wspólnie spędzone, upojne godziny i mają nadzieję na ponowne spełnienie ich marzeń. I tak dalej. W ten sposób powstał materiał dowodowy, którego nie mogło pominąć nawet gestapo. Dzięki temu niejednemu z tych ludzi udało się pomóc.

- Przepraszam, łaskawa pani, co usiłuje mi pani zasugerować? - spytał generał. - Za kogo mnie pani uważa?

- Za człowieka zagrożonego! Rzuca się na pana ordynarne pomówienia. Oczywiście pana to nie obchodzi! Trzeba się jednak zabezpieczyć. I bardzo bym chciała panu w tym pomóc, w każdy możliwy sposób. Czy pozwoli pan?

- Nie, pani baronowo, nie pozwolę! - odparł generał niezłomnie. - Nikogo nie byłbym w stanie narazić na coś takiego, a już w żadnym wypadku pani. I bardzo proszę przyjąć jedno do wiadomości: ja nie jestem homoseksualistą! Tym samym nigdy nie mogę być w uzasadniony sposób podejrzany o to, że nim jestem! W każdym razie dziękuję pani za gotowość przyjścia mi pomocą, którą, naturalnie, muszę odrzucić. Proszę mi zaufać: ja nie czuję się zagrożony! Niezależnie od tego, co by mnie miało spotkać, dam sobie z tym radę. Sam.

Gdy führer, sprawiający wrażenie głęboko zatroskanego, wyprosił Hermanna Göringa, został sam na sam w swoim gabinecie z Wernerem von Blombergiem. Patrzyli na siebie przez chwilę.. Obaj wydawali się być raczej dobrej myśli.

Wreszcie, po pewnym wahaniu, feldmarszałek wyznał: - Pozwoli pan, mein Führer na pewną uwagę, w całkowitym zaufaniu. Nie pojmuję reakcji pana Göringa w stosunku do mojej osoby. Zawsze bowiem uważałem go za swojego przyjaciela, a w każdym razie za kolegę, na którym można polegać.

- I jest nim rzeczywiście, choć okazuje to w sposób jdość specyficzny - wyjaśnił führer. - Musi pan Jednak pamiętać, że on sam uważa siebie za człowieka przebiegłego, o silnie zakodowanym instynkcie władzy. Zawsze należy brać to pod uwagę.

- Ale do czego on zmierza? - spytał von Blómberg dosyć bezradnie. - Może chce zostać moim następcą?

Było to przypuszczenie, któremu Hitler wspomniał gestem za-



przeciżył. - Jego pan przeceniana mnie nie docenia! Dlaczego miałbym pozwolić na powierzenie mu najważniejszego instrumentu władzy naszego państwa, Wehrmachtu? Göring ma za mało cierpliwości i nie jest wystarczająco pilny ani wytrwały, ani też dalekowzroczny. Można się nim posłużyć, czasami nawet z dobrym skutkiem, w charakterze bufora, niekiedy wielce przydatnego walca. Ale do niczego więcej się nie nadaje!

Były to wywody, których von Blomberg słuchał raczej chętnie, czuł się bowiem oszukany przez Göringa, a te słowa napępiały go na dzieją. Mimo to zaznaczył: - Jednakże mianował go pan swoim oficjalnym zastępcą.

- To był dobrze wyważony krok. Ponieważ w ten sposób Göring został sklasyfikowany jako jednoznacznie druga osoba, jeśli pan woli: drugorzędna! Natomiast moi najważniejsi współpracownicy, wśród nich również pan, jako dowódca Wehrmachtu znajdujący się na pierwszym miejscu, muszą być absolutnie pierwszej kategorii! I pan właśnie w całej rozciągłości odpowiadał tym wymogom, aż do tej strasznie przykrej afery.

- To nie jest afera, mein Führer, to nieporozumienie.

- Wszystko jedno, jak to nazwiemy, drogi Blomberg, musi pan temu zaradzić.

- Ale jak?

- Na przykład oświadczając, że chce się pan rozwieść z tą kobietą. Lecz to rozwiązanie już pan zdecydowanie odrzucił. Ten gest przynosi panu chwałę jako człowiekowi, jednak ja, jako głowa państwa, szczerze nad nim ubolewam! Albowiem w tej sytuacji, nie mogąc w żaden sposób tak po prostu usunąć tych akt, muszę wyciągnąć z tego nieuniknione konsekwencje, gwarantujące bezpieczeństwo nam obu. Nikt nie żałuje tego bardziej niż ja.

Feldmarszałek von Blomberg potrzebował kilku dłuższych sekund, by uświadomić sobie, że oto właśnie zapadł na niego wyrok. Prawdopodobnie brał i taką ewentualność pod uwagę, nie sądził jednak, iż tak szybko to nastąpi. No cóż, musiał to po prostu przyjąć z żołnierską pokorą

- Czuję się wobec tego. zmuszony do podania się do dymisji - oświadczył bezbarwnym głosem.

- Sformułujemy to trochę inaczej - poprawił go führer ze współ-

czuciem. - Na okres przejściowy zwolni pan swój urząd, czyli odda go pan znowu w moje ręce. Na co ja udzielię panu urlopu. Dzięki lemu zyska pan możliwość odbycia wspólnie z pańską drogą małżonką dłuższej podróży zagranicznej, którą ja osobiście, proszę mi na to pozwolić, sfinansuję. Poza tym pozostanie pan oczywiście nadal na szym feldmarszałkiem, otrzymującym pełną gażę i wszelkie specjalne dodatki. Ważne jest tylko jedno: musi pan jak najszybciej zniknąć z pola ostrzału tej zgrai pysznych, zatwardziałych, konserwatywnych prześladowców z pana kręgu, Wszystkim innym, jak powiedziałem, zajmę się ja.

- Dziękuję panu, mein Führer, za pańską wielkoduszności pełną zrozumienia życzliwość.

Nie mą o czym mówić, panie von Blomberg! Przecież nie mogę sobie pozwolić na stracenie człowieka takiego formatu jak pan. Jest mi pan potrzebny jako doradca: Jako feldmarszałek. Jako zaprzyjaźniony ze mną kolega. A zwłaszcza gdy dojdzie, co chyba jest nieuniknione, do wojny.

- Mam wielką nadzieję, że zostanie mi powierzone dowództwo na froncie.

- Naturalnie! Poproszę pana wtedy o włączenie się do działania. Powierzony panu odcinek będzie miał bez wątpienia decydujące znaczenie strategiczne.

Von Blomberg spojrział z ulgą i wdzięcznością na swojego Führera. Mój Boże, to jest dopiero godny zaufania człowiek! Jest skłonny uczynić wszystko: uratować jego reputację, ochronić jego honor, nie naruszyć jego małżeństwa. - Dziękuję - powiedział skromnie, ale żarliwie.

- Wobec tego proszę mi pomóc dalej. - Hitler szybko się zorientował, że ta skomplikowana i doprawdy nie pozbawiona ryzyka część planu powiodła się. W związku z czym nie omieszkał wykorzystać swego sukcesu z właściwym mu zmysłem praktycznym dla osiągnięcia czegoś więcej: - Teraz musimy się zastanowić nad następującą sprawą: na wszystkie zajmowane przez pana urzędy musi zostać powołany, pełnomocny zastępca - mianowany przeze mnie. Zgodnie jednak z pańską sugestią. A więc?

Von Blomberg natychmiast skoncentrował się na tej myśli führera.

A więc Führer go ocenił, potrzebował! Przywiązywał wagę do jego rad.  
- Jako mój zastępca, do czasu definitywnego wyjaśnienia sprawy, wchodzi w rachubę właściwie tylko jeden człowiek równy mi stopniem: dowódca sił lądowych, czyli generał von Fritsch.

- Ja też cenię go niebywale! - zapewnił bez wahania Hitler.

- Z całą pewnością jest on po panu najlepszym z moich generałów. Natychmiast przystałbym na pańską propozycję, gdybym mógł wziąć za nią odpowiedzialność.

- A dlaczego uważa pan to za niemożliwe?

- Ponieważ musiałem przyjąć do wiadomości fakty wręcz niewyobrażalne. Chodzi o niezwykle obciążający zarzut! Dotyczy on kilkakrotnego naruszenia przez generała istniejących norm prawa obyczajowego.

- Ja również o tym słyszałem, przypadkiem. Ale nigdy nie dawałem temu wiary. Gdyby jednak miało się to okazać zgodne z prawdą, byłoby mi niezwykle przykro. Uważam, że należy zrobić wszystko, by uchronić generała przed tymi okropnymi atakami.

- Myślę dokładnie tak samo! Wszystko gruntownie sprawdzimy; obawiam się jednak, że należy się spodziewać najgorszego. Co nie zwalnia nas z obowiązku zatroszczenia się o godnego pana zastępcę. - Nie powiedział „następcę”. - Göring nie może nim być. Von Fritsch na razie też nie wchodzi w rachubę. A więc kto?

Na co ów poddawany wielokrotnym próbom generał, otoczony spragnionymi łupu hienami, wpadł na pomysł, który miał się okazać niepowtarzalnym strzałem w dziesiątkę. - Dlaczego pan, mein Führer, sam nie przejmie tego urzędu? Pan osobiście. Powstałaby w ten sposób silna unia personalna: führer-kanclerz Rzeszy - głównodowodzący Wehrmachtem. Wszystko zjednoczone, wszystko w jednej ręce!

- Niezwykle przytłaczająca wizja - stwierdził Adolf Hitler. Pozor nie do głębi zaniepokojony podniósł się i odwrócił tyłem do gościa; nie chciał, żeby widziano jego oczy, mogły bowiem zdradzić błysk triumfu. Blomberg ustawił zwrotnicę dokładnie tak, jak Hitler się spodziewał. Przerwał swój krótki spacer, stanął przed feldmarszałkiem i za pewnił: - Wszystko się we mnie burzy przed braniem na siebie jeszcze tej odpowiedzialności. Jeśli jednak pan podsuwa roi taką radę to muszę się nad tym zastanowić. Zwłaszcza że dzięki temu powstałaby

możliwość niejako zneutralizowania tego urzędu, póki znowu nie wróci pan na swoje miejsce. Gdy obciążająca pana i pańską małżonkę afera umrze śmiercią naturalną. Nad czym będę czuwał.

- Byłoby to z pewnością najlepsze rozwiązanie, mein Führer  
- potwierdził feldmarszałek nadal niczego nie przeczuwając.

Późnym popołudniem 26 stycznia 1938 roku w Kancelarii Rzeszy na polecenie Hitlera miało zebrać się kilka osób.

Wśród nich był także dowódca sił lądowych, generał von Fritsch. Został powiadomiony o spotkaniu przez pułkownika-Hossbacha, który także go powitał przy głównym wejściu. Z respektem i w najwyższym zatroskaniu pułkownik zdołał mu szepnąć: „Uwaga, ostrożnie!”

Jednocześnie zjawił się wprowadzony bocznym wejściem przez dwóch funkcjonariuszy, gestapo o obojętnych twarzach niejaki Schmidt, czyli Otto-Otto, występujący w charakterze starannie wytrenowanego, głównego świadka oskarżenia. Ponieważ naczelny szef od homoseksualistów wyjechał, wszystkim trzem przewodził; spec od spraw kryminalnych nazwiskiem Huber - był on niezwykle ciekawy tego, co miało się tu wydarzyć.

Hitler wraz z Göringiem przyjął generała w pokoju bibliotecznym Kancelarii Rzeszy.. Przywitał go powściągliwym ukłonem. Fritsch zasalutował przepisowo.

Göring zbliżył się do niego z kumplowskim gestem dłoni. - Obrzydliwe to wszystko, prawda-

- Rzeczywiście - potwierdził sztywno von Fritsch.

Hitler, choć starał się wyglądać na nieopisanie przygnębionego, zwrócił się do von Fritscha tonem, w którym dało się wyczuć nutę groźby.

- Bardzo ubolewam nad tym, że zostałem zmuszony .do narażenia pana, mój drogi panie von Fritsch, na takie spotkanie. Jestem jednak pewny, że zakończy się ono wynikiem negatywnym, dla gestapo. Co jednocześnie załatwi sprawę! Czy mogę mieć taką nadzieję?

- Daję panu moje słowo honoru - zapewnił umiarkowanie generał.  
- Albowiem podejrzenia tego typu nie mogą mieć nic wspólnego z moją osobą!

W co oczywiście wierzę, bez najmniejszych zastrzeżeń, panie von Fritsch - oświadczył pospiesznie Hitler. - Ale tym razem nie chodzi tu tylko o mnie. W tym wypadku trzeba rozprawić się, że, tak powiem, z urzędowymi aktami znajdującymi się w obiegu służbowym.

- Może już zaczniemy, żeby mieć to za sobą! - wykrzyknął Göring z druzgocącą energią. - Myślę, że zajmie nam to tylko parę minut. Jest pan gotów, panie von Fritsch?

- Owszem - potwierdził generał. - Jeśli jest to niezbędnie konieczne.

Po czym zdarzyło się, co następuje: Göring gorliwie pospieszył ku drzwiom prowadzącym na klatkę schodową. Otworzył je szeroko zapraszającym gestem. Hitler poprosił uprzejmie von Fritscha, aby wszedł przed nim.

Klatka schodowa była jaskrawo oświetlona, widoczny był każdy detale lśniący marmur, krwistoczerwone chodniki, girlandy żyrandoli ze złota i kryształu. Na najniższym podeście stali czterej mężczyźni; Huber, spec od spraw kryminalnych, dwaj funkcjonariusze gestapo i między nimi - Otto Schmidt.

Wszyscy czterej wyciągnęli ręce w niemieckim pozdrowieniu - i to dwukrotnie: najpierw, gdy dostrzegli Göringa, i po chwili, kiedy pojawił się führer. Pełni oddania patrzyli przed siebie. Otto-Otto był przejęty. Zawsze spodziewał się, że jego wielka godzina nadejdzie nie wyobrażał sobie, że będzie aż tak wspaniała. Opanowało go gorączkowe podniecenie.

A przecież wszystko było zupełnie proste, wmawiał sobie przez cały czas. Ma tylko zachowywać się tak, jak tuzin razy przećwiczył to z Meisingerem, posługując się licznymi zdjęciami. Poza tym w minionym czasie już dwukrotnie widział obiekt, o który chodziło „in natura”. Co prawda z pewnej odległości, ale wyraźnie rozpoznawalny. Było to w Tiergarten. Dwaj funkcjonariusze gestapo pokazali mu generała, gdy odbywał konną przejażdżkę.

Pytanie, jedyne, o które tutaj chodziło, postawił führer Huberowi:

-- Proszę spytać przyprowadzonego przez pana mężczyznę, czy zna osobiście którąś z obecnych tu osób, jeśli tak, to którą i skąd? .

Huber powiedział tylko: - No, Schmidt?

- Tak, tak, jednego z tych panów znam! - wykrzyknął Otto-Otto piskliwym głosem. - Poznaję go, to był on! - Zrobił jeden krok do

przodu, wyciągnął prawą rękę i bez wahania wskazał na generała.

- To on, na pewno! Wtedy na stacji Wannsee...

Führer bardzo rzeczowo, z niezachwianą władczością powtórnie zwrócił się do Hubera - Niech pan spyta sprowadzonego przez pana mężczyznę, czy jest zupełnie pewny, że się nie myli.

- No, Schmidt?

- Nie, nie myślę się! Dałbym sobie głowę uciąć! Mogę przysiąc, że mówię prawdę!

Göring ciężko oddychając, oparł się o ścianę. Hitler patrzył jak osłupiały. A von Fritsch wzruszył tylko z pogardą ramionami, jakby automatycznie, aby po chwili ledwo słyszalnie powiedzieć: - Po prostu absurd!

- Poznaję go nawet po tym wzruszeniu ramionami, to typowe dla niego! - zawołał Otto Schmidt. Obaj funkcjonariusze gestapo spojrzeli na niego z uznaniem, podczas gdy Huber patrzył w ziemię. - To mógł być tylko on! Jestem całkiem pewny! - powtórzył Otto-Otto.

Göring nie był już w stanie dłużej hamować emocji. - To chyba wystarczy! - wykrzyknął z wszelkimi oznakami oburzenia.

-I rzeczywiście wystarczyło.

## Z relacji doktora Ericha Mellera.

„Owa konfrontacja uważana była przez wielu za niezwykle odważną. W gruncie rzeczy jednak opierała się po prostu na starannej analizie sposobu zachowania generała, gruntownie przestudiowanego już wcześniej. Albowiem reakcje tego druzgocąco naiwnego von Fritscha były do przewidzenia, zwłaszcza przez człowieka o tak niezawodnym instynkcie, jeśli chodzi o znajomość ludzi, jakim był Hitler.

Łatwo sobie wyobrazić, że ktoś inny w takiej strasznej sytuacji - która bynajmniej nie była czymś wyjątkowym - wrzasnęłaby w od ruchu świętego oburzenia. Jeśli już nie wprost na fihferą, to na pewno na Göringa. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że inny zawiadacki generał usiłowałby w sprawdzonym, koszarowym stylu zrobić z tego podejrzanego świadka miazgę.

Można też sobie wyobrazić reakcję pewnego siebie generała w rodzaju szefa sztabu Becka. Ten prawdopodobnie uciekłby się do

ekstremalnej negacji, oddaliłby się bez słowa, z pogardą odwróciwszy się tyłem do swojego führera i tego Göringa. Ale nic z tych rzeczy w wypadku Fritscha.

O tym, jaki widok przedstawiał generał, opowiedział mi Huber: - Najpierw stał jak osłupiały, zupełnie jak posąg. Nie próbował się przeciwstawić, poddał się! Ale komu? No cóż, chyba swojemu losowi, można by powiedzieć; a może też, była to niewzruszona żołnierska postawa. Przy czym nawet on nie zdołał się jeszcze zorientować, że stał się ofiarą kryminalnego -spisku.

Georg Huber, dobry, wyszkolony, nadzwyczaj rzeczowy obserwator, wylądował, jak było widać, na właściwym miejscu.

- Cała ta sprawa - powiedziałem - ma więc charakter jednoznacznie kryminalny! Teraz jest o tym przekonany również pan!

- Jestem - potwierdził mój Huber. - Ale przekonanie i udowodnienie to dwie różne rzeczy. Przypuszczalnie jednak gdzieś w Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy leżą rozmaite zatrzymane materiały, z którymi na pewno dałoby się niejedno zrobić. Lecz nie mam do nich dojścia, na razie. Może pan mógłby mi w tym pomóc, przez pańskiego przyjaciela Heydricha?

Obiecałem spróbować - nie pozbawiony realnych nadziei. Bo jeśli to rynsztokowe przedstawienie rzeczywiście opierało się na tak podejrzanych podstawach, to na dłuższą metę nie mogło być chyba kontynuowane. Nie sposób było tego robić nawet z von Fritschem! Człowiek tak dobrze kalkulujący jak Heydrich prawdopodobnie zdał sobie z tego sprawę.

Możliwe by to było wówczas, gdyby całą ta historia znalazła się na tak zwanej wokandzie sądowej i tani była dalej rozpatrywana. Wtedy bowiem przydzielono by generałowi obrońcę z urzędu; może spośród naszych ludzi. Wówczas on mówiłby za generała, w jego zastępstwie przedstawiłby wszystko to, czego Fritsch nie chciał powiedzieć, a może mając taką naturę powiedzieć wręcz nie-potrafił.

Na razie jednak Göring, który, przeczuwał, że zbliża się jego wielka godzina, pozwolił sobie na wzbudzającą drzenie, groźną scenę teatralną.

Bezpośrednio po tym, jak Otto Schmidt na klatce schodowej wykrzyknął „To on!”, a Göring zawołał „To chyba wystarczy!” Zastępca Hitlera niczym słoń wpadł do biblioteki. Aby tam bez tchu i ociekając potem, oznajmić każdemu, kto chciał czy nie chciał - adiutantom, personelowi, urzędnikom i pułkownikowi Hossbachowi:

- To był on! To był on!

Potem Hermann Göring rzucił się na najbliższą sofę, która o dziwo nie załamała się pod jego ciężarem. I według zgodnych wypowiedzi świadków „kwilił” z cicha, jak „w najwyższej mecie duszy”. Przycisnął dłonie do twarzy, by po raz trzeci, niemal łkając, wykrzyknąć: — To był on!

Ów po aktorsku wykonany~solowy popis oglądano z niekłamanym podziwem, A może nawet ze współczuciem. Ci oddani führerowi ludzie z Kancelarii Rzeszy robili wrażenie wręcz wzruszonych. Jednakże również i tym razem pułkownik Hossbach nieprzyjemnie się wyróżnił. Pozwolił sobie bowiem na niemal wyzywającą uwagę:

-Zadaję sobie pytanie, komu należy bardziej wierzyć: oszustowi czy generałowi?

Göring, jakby gwałtownie wyrwany ze snu, wyprostował się. Opuścił ręce, nadal wyglądał na cierpiącego; ale jego groźna stanowczość przejawiała się teraz wyraźnie: - Proszę nie zapominać: Führer szanuje generała niebywale. I ja także, panie pułkowniku!

- Nie zapominam, panie generale. Ale jak ten szacunek wyraża się w praktyce?

Göring dźwignął w górę kolosalną masę swego cielska. Wówczas ważył już ponad sto kilogramów. W tych „kryzysowych czasach” jadł niewyobrażalnie dużo. Nawet w nocy nie uchowała się przed nim żadna spiżarnia w Karinhall.

- Nie ma po prostu takiej rzeczy - wysapał, chcąc jakby uprosić pułkownika o zrozumienie - której nie byłbym gotów uczynić dla Führera, Rzeszy, Wehrmachtu, a więc także dla pańskiego, naszego generała von Fritscha. Spróbuję wyciągnąć go z tego, użyję wszelkich sposobów. Niech pan trzyma za mnie kciuki!

Tymczasem Adolf Hitler wycofał się z głównodowodzącym sił lądowych do swojego gabinetu. Znalazłszy się w nim, opadł jakby pozbawiony sił na jeden ze skórzanych foteli w pobliżu okna.



Oslabłym ruchem ręki poprosił von Fritscha, aby zajął miejsce blisko niego.

, - Nadzwyczaj paskudna sytuacja! - Można było odnieść wrażenie, że Hitler wpatruje się w najgłębszy obłok mgły. - Cały czas zadaje sobie pytanie, jak mamy z tego wybrnąć.

- W tym wypadku, panie kanclerzu, chodzi nie tylko o jedyną w swoim rodzaju imputację, ale być może także o niezwykle podstępny intrygę skierowaną przeciw armii, a skupioną na mojej osobie. Niełatwo mi pogodzić się z taką tezą.

- Mimo wszystko jednak - oznajmił Hitler - nie sprawia pan wrażenia osoby przejętej tym wszystkim, o co pana pomówiono. Raczej powiedziałbym, że jest to panu obojętne. Jak to możliwe?

- Z dwóch przyczyn! Po pierwsze: tę zajścia w najmniejszym stopniu mnie nie dotyczą! Po drugie: mam do pana zaufanie.

- Wolno panu.

Na to Hitler-mógł zezwolić bez wahania: Ale nawet tak twarda skała jak ten Fritsch kiedyś zaczyna się kruszyć, rozpada się i zamienia w pył. Tego rodzaju proces da się, jak mówi doświadczenie, przyspieszyć - za pomocą odpowiednich środków.

Dosyć szybko znalazło to potwierdzenie, gdy wszedł Hermann Göring - pełen właściwego mu zaferowania. Obwieścił głosem głębokich trąb: - Powszechnie przerażenie! Głębokie zatroskanie! Oczywiście starałem się uspokoić tych przedwcześnie wystraszonych ludzi. Dając im do zrozumienia, że Führer sobie z tym poradzi! Mam rację?

- Słusznie! - potwierdził Hitler patrząc tylko na von Fritscha. - Proszę przypadkiem nie myśleć, panie generale, że podejrzewałem pana kiedykolwiek o tego rodzaju rzeczy, z całą pewnością nie! Jednakże musimy się jakoś uporać z wynikającymi z tej przykłej sytuacji, dosyć nieprzyjemnymi problemami. Tylko jak? Pytam siebie - i pytam pana.

- To da się rozwiązać dość łatwo - oznajmił radośnie Göring, zgodnie z oczekiwaniem führera. - Pan von Fritsch złoży swój urząd; to po pierwsze. W ten sposób uniknie dalszych przykrych wywiadów i prześladowań i na pewno nie będzie nagabywany. Czy nie byłoby to rozsądne wyjście, mein Führer?

Adolf Hitler powiedział bez wahania; - Niewykluczone. Proponowałbym jednak rzecz następującą: oficjalnie ogłosimy tylko skierowa-

nie pana von Fritscha na urlop, na czas nieokreślony. Na przykład z przyczyn zdrowotnych. Bo przecież wszyscy wiedzą, że można pana uznać za bardzo chorego. A tego rodzaju oświadczenie niezwykle by sprawę ułatwiło. Tylko bez paniki! Na to nie może sobie teraz pozwolić żaden z nas!

Göring, świadom celu, brnął dalej: - Całkiem słusznie. Niech to umrze śmiercią naturalną, i dopiero wtedy zobaczymy. Najważniejsze dla pana, panie von Fritsch, jest jednak to, że Führer przywiązuje ogromną wagę do tego, aby pana nie stracić. - Tak jest! - potwierdził Hitler niezwłocznie, nie bez emfazy. - Przy czym biorę pod uwagę następujące możliwości: po pierwsze: jeśli się nam uda, w co wierzę, dokonać szybkiego i gruntownego oczyszczenia tej sprawy, będzie pan mógł ponownie objąć swój urząd. Po drugie: wtedy poproszę pana o zajęcie miejsca pana von Blomberga.

- Czego ani nie chcę, ani sobie nie życzę, panie kanclerzu!

- Nie możemy jednak pomijać żadnej możliwości. Albowiem ktoś, kto tak nienagannie jak pan mi służy, godzien jest także odpowiedniego uhonorowania.

- Przepraszam, pod jakim względem?

- Szanowny panie von Fritsch, proszę zapamiętać: jeśli po wyjaśnieniu tej sprawy będzie pan chciał nadal być dowódcą sił lądowych, bardzo proszę! Jeśli jednak byłby pan gotów, tak jak bym sobie tego życzył, przejąć dowództwo Wehrmachtu, niezmiernie by mnie to ucieszyło! Ale możliwe jest jeszcze także trzecie rozwiązanie.

- Jakie?

Hitler uśmiechnął się do niego, po koleżeńsku, jednak z wyższością głowy państwa. - Prosiłbym pana o przyjęcie stanowiska ambasadora w Moskwie. Zdaje pan sobie sprawę, że jest to jedyny w swoim rodzaju dowód zaufania. Tych Sowietów trzeba bowiem uważać za zesłane przez los zagrożenie naszego narodu, całego świata zachodniego. Toteż potrzebuję tam człowieka godnego najwyższego zaufania, umiejącego myśleć kategoriami wojskowymi. Kogoś pańskiego formatu!

- Gratuluję! - zawołał Göring! - Führer ściele panu drogę różami. Czego można chcieć więcej?

- Chcę tylko jednego - oznajmił generał z wielką skromnością.
- Całkowitego odbudowania mojego splamionego honoru!
- Ale jak to zrobić - zagrział Göring oburzony - nie przynosząc szkody Rzeszy?

- Prawdziwa wielkość naszej Rzeszy polega ostatecznie także na udowodnionych zasługach jej kompetentnych jednostek! - Von Fritsch był jeszcze o tym przekonany. - A więc człowieka takiego jak ja nie może splamić żadna skaza, żadna podejrzana sprawa. I dlatego pozwolę sobie wnieść o powołanie sądu honorowego, przed którym stanę.

Z jego punktu widzenia nie miał nic więcej do powiedzenia na ten temat. Stał wyprostowany, jego monokl połyskiwał jak ostrzegawcze światełko. Potem pożegnał się po wojskowemu i oddalił, lekko powłócząc nogami.

Kiedy opuścił Kancelarię Rzeszy, odprowadzany w milczeniu przez pułkownika Hossbacha, zaskoczyła go mroźna i jasna noc. Zdjął czapkę i oddychał głęboko. Potem nawet jakby się nieznacznie uśmiechnął - nie wiadomo dlaczego. Może śmiał się z siebie. W każdym razie uśmiechnął się.

### Fragment relacji Mellera:

„W ten oto sposób ustawiono ostatnie zwrotnice. Jak bez trudu zgadli wszyscy wtajemniczeni, von Fritsch odmówił wstąpienia na którąś z owych usłanych różami dróg. On nie nadawał się do handlu żywym towarem.

Wkrótce po tych zajściach w rozmowie z pułkownikiem Osterem i ze mną opowiedział o odniesionych wtedy wrażeniach: Przez cały czas słyszał sformułowanie typu: »jeśli - kiedy - o ile - wówczas - dołożyć starań - usiłować...« - To słowa, które z powodu ich ogólnikowości nie są przeze mnie używane. Brakowało im prostolinijności, jednoznaczności, bezpośredniości.

- Bardzo słuszne spostrzeżenie! - zgodził się z nim pułkownik Oster. - Ci ludzie - miał na myśli Hitlera i Göringa - są do głębi zepsuci, podstępni i nieszczerzy! I z tego powinien pan wreszcie, pa nie generale, wyciągnąć właściwe wnioski. Niech pan sobie na to

wszystko nie pozwala, niech pan zaprotestuje, a wielu stanie po pańskiej stronie!

Co ja bez wahania także potwierdziłem. Nawet z niejaką żarliwością. Bo i mnie zdarzały się lekkomyślne pociągnięcia.

Von Fritsch spojrział jednak na nas niezwykle surowo. - Ja jestem żołnierzem, moi panowie, a nie spiskowcem! Jediną konsekwencję, jaka tu wchodzi w rachubę, już wyciągnąłem, żądając odbudowania mojej czci, która według mnie jest równoznaczna z honorem armii."

## 8

### Kapitulacja generałów

Już 26 stycznia 1938 roku - około godziny szesnastej --stawił się na rozkaz w Kancelarii Rzeszy, po raz pierwszy u Hitlera, człowiek, który wkrótce miał się okazać jednym z jego najbardziej niezawodnych popleczników. Pozostał nim do samego gorzkiego końca. Był to generał Keitel.

Wilhelm Keitel był szefem Wehrmachtsamtu. Jako bliski współpracownik feldmarszałka von Blomberga pracował tam od 1935 roku. Zawdzięczał to niewątpliwie faktowi, że w tym czasie został także powinowatym swojego szefa. Albowiem krótko przed tą aferą; Karl-Heinz, syn Keitla, poślubił córkę feldmarszałka, Dorotheę.

Oczywiście Hitler doskonale się we wszystkim orientował. Przejrzał odnośne dokumenty i z właściwym mu talentem do syntezy szybko wyłowił to, co najistotniejsze: ów Keitel, postawny mężczyzna - był bez wątpienia tego rodzaju postacią, jaką zwykle się określać mianem „wygodny poddany”; w kręgach generalskich uchodził za „przyjemnego współpracownika”. Dlatego też Führer przyjął go z pełną oczekiwaniami uprzejmością.

- Te potworne wydarzenia, mój drogi panie Keitel - powiedział Hitler, dokonując z wyczuciem rozpoznania sytuacji - nie dają mi spokoju. Że też akurat mój uwielbiany, wysoko ceniony feldmarszałek znalazł się w takich tarapatkach! Bardzo mnie to boli, z pewnością podobnie jak pana, jest pan przecież jego przyjacielem i towarzyszem z frontu. W czasie wojny służyliście w tym samym pułku, prawda?

- Dowodziliśmy jednostkami piechoty na sąsiadujących ze sobą odcinkach frontu. Wspaniały żołnierz, świetnie wyszkolony, pełen niepowtarzalnej, koleżeńskiej serdeczności. No a teraz coś takiego!

- Nikomu, panie Keitel - oznajmił Hitler wspaniałomyślnie - nie wolno zawczasu wydawać wyroku na pana von Blomberga! Z drugiej strony musimy się jednak liczyć z niezwykle przygnębiającymi faktami dokonanymi. Co pan o tym sądzi?

- Ja także - wyznał generał Keitel - zdaję sobie sprawę z tego, że sytuacja jest bardzo przykra. I również zastanawiam się nad nieuchronnie nasuwającymi się wnioskami. Usiłowałem go przekonać, odważałem się nawet określić jego żonę jako element podejrzany i doradzić mu rozwiązanie tego całkowicie nie odpowiadającego jego stanowi małżeństwa.

- Oczywiście na próżno? - spytał Hitler z nadzieją. - Co bardzo dobrze o nim świadczy jako o człowieku! Ale ja jestem führerem i kanclerzem tego państwa. Czy zdaje pan sobie sprawę, jakie konsekwencje muszę wyciągnąć z tej sytuacji?

- Oczywiście, mein Führer! - potwierdził generał. - Albowiem w tak drażliwym położeniu nie może być mowy o kompromisach. Zlekceważenie honoru niemieckiego oficera byłoby szkodliwe albo wręcz zagrażałoby państwu. Cały czas powtarzałem to samo Wernerowi, to znaczy feldmarszałkowi. Z niezbędną w tej sytuacji otwartością - ostatni raz wczoraj wieczorem!

- Proszę mi powiedzieć, jak on na to zareagował?

- Ponownie odrzucił zdecydowanie moje „pretensje”; mówił o małżeństwie z miłości. Powiedział nawet, że prędzej strzeliłby sobie w łeb, niż zawiódł tę kobietę. I miał łzy w oczach!

- Ach, co za tragedia! - odrzekł Hitler i sprawiał wrażenie bardzo poruszonego. - Jaka szkoda! Dla nas wszystkich! Tak więc nie możemy raczej na niego liczyć, i to na czas nieokreślony. Mimo wszystko życie musi toczyć się dalej. Co prawda mówi się, że nie ma ludzi niezastąpionych, nie dotyczy to jednak mojego Blomberga. Ale trzeba spróbować. Zadaję sobie pytanie - a teraz zwracam się też do pana, drogi panie Keitel - kto mógłby wchodzić w rachubę jako jego następca?

- W zasadzie, moim zdaniem, generał von Fritsch. Ale on teraz też chyba odpada, na razie.

- Niestety! - potwierdził Hitler bez wahania.
- Dalej, generał Göring, ale jak słyszałem, mein Führer, nie zamierza mu pan powierzyć tego zadania.
- Zgadza się - odparł Hitler.
- Wobec tego pozostaje tylko jedno rozwiązanie: pan sam, jako Führer i kanclerz Rzeszy, przejmie również i ten urząd.
- Hm, prawdopodobnie wie pan, że również feldmarszałek von Blomberg prosił mnie, i to używając bardzo zobowiązujących słów, abym osobiście objął dowództwo nad Wehrmachtem.
- Byłoby to z pewnością - zgodził się bezzwłocznie generał Keitel - jedyne dobre rozwiązanie.
- Pomyśl ten budzi moje wątpliwości, wręcz przejmuję dreszczem. Ale chyba muszę to uczynić. Życzyłbym sobie jednak mieć u swego boku człowieka, któremu mógłbym całkowicie zaufać, na którym mógłbym bez zastrzeżeń polegać. Pana! Bez wątpienia byłoby to całkowicie po myśli feldmarszałka. Czy byłby pan skłonny, panie Keitel, pracować dalej jako szef Wehrmachtsamtu - jednakże ze znacznie rozszerzonym zakresem działania, zwiększonymi kompetencjami i przy odpowiednio wyższej pozycji? Rozumie się, również pod względem finansowym. I w ścisłej współpracy ze mną. No, co pan na to?
- Tak jest, mein Führer! - powiedział generał Keitel oszołomiony i pełen oddania. - Jestem gotów.
- Dziękuję panu! Wobec tego proszę się nad wszystkim zastanowić i jak najszybciej przedstawić mi swoje wnioski. Powiedzmy, od razu jutro, o trzynastej. Pokładam w panu duże nadzieje

Przez kilka kolejnych nocy Wernera von Fritscha, głównodowodzącego sił lądowych, męczyła dławiąca bezsenność. Choć przed pójściem do łóżka wypijał szklankę mleka z koniakiem albo nawet butelkę wina, by usnąć trapiące go myśli, i tak przez parę godzin nie mógł zasnąć, dręczony przez ciemne, zmieniające się jak meduza monstra. Leżąc wyprostowany na wznak z rękami mocno przyciśniętymi do tułowia, wpatrywał się w sufit swojej sypialni. Często, gdy dawno minęła już północ, a on dalej nie spał, przytłoczony chłodną, mrozącą ciemnością, przed jego oczami zaczynały się jak gdyby przesuwać

w płowym blasku, połyskując jak na filmowym ekranie, kolejne obrazy z jego życia:

On jako dziecko, już wtedy nad wiek rozwinięty. Obok niego matka o dobrodusznym spojrzeniu, ale i ona się nie uśmiechała. Nie miał odwagi przytulić się do jej ciepłego ciała.

Potem on jako żołnierz na wojnie. Jeszcze prawie chłopak, a już oficer i jak gdyby ojciec dla swoich chłopców, od których nie żądał nigdy niczego ponad to, czego żądał od siebie. Nie znosił żadnych przywilejów dla swojej osoby; jedzenie dzielił z żołnierzami, spał z nimi w tym samym schronie, szedł przed nimi do ataku.

I wreszcie jako generał. Niezmordowanie czynny, całymi dniami i nocami pracował dla odbudowy swojej ojczyzny, tak sądził. O niczym innym nie myślał, tylko o odbudowaniu godności niemieckiego żołnierza, o odnowieniu narodu. „On i Prusy to jedno!”, mówiono o nim.

To, co zazwyczaj, oczywiście również wśród żołnierzy, nazywa się życiem prywatnym, w jego wypadku nie istniało: ani hałaśliwe imprezy w kasynie, ani luksusowe uciechy czy pogodne pogawędki w kręgu przyjaciół. Również żadnych kobiet. Był człowiekiem, który „zmienił siebie w obowiązek”. Jego hasło życiowe brzmiało: służyć! I wyłącznie ono określało tę jego coraz bardziej skromną egzystencję.

To, co go najbardziej bolało, czego po prostu nie mógł pojąć, o czym w bezsenne noce godzinami rozmyślał - to zachowanie kanclerza Rzeszy. Wobec niego. Znajdując się w tym stadium godnego szacunku rozdarcia wewnętrznego, rozważał możliwość napisania listu do Adolfa Hitlera.

Tak też uczynił. Dziękował w nim, wyraźnie wzruszony, za okazane mu do tej pory zaufanie - „z wyjątkiem tego przypadku”. Mimo to, pełen ufności, nie tracił nadziei na okazanie mu zrozumienia przez głowę państwa. Ciągle jeszcze nie pojmował roli Hitlera w tej grze przeciw niemu - a nawet roli Hermanna Göringa czy też kilku innych generałów.

- Mój Boże - powiedział obergefrajter Schmiedinger - on jest skończony! Jest jak złapane w sidła zwierzę! Jak można było akurat Jemu, temu delikatnemu mężczyźnie, zrobić coś takiego?

Zaprzyjaźniony z generałem lekarz, profesor doktor Karl Nissen,



stwierdził w tych dniach chłodno, że pan von Fritsch jest bliski zapaści - należało przypuszczać, że z powodu silnego wyczerpania psychicznego, głębokiej depresji. „Nie wykluczam u niego myśli samobójczych”.

Osoby z najbliższego otoczenia generała, zwłaszcza jego adiutanci, okazali mu wiele współczucia - byli jednak dosyć bezradni. Albowiem ich dowódca - ten nadzwyczaj subtelny, wrażliwy, zamknięty w sobie człowiek, którego niedawno niektórzy określili jako niezupełnie bezpiecznego introwertyka - wykazał wręcz chorobliwą uległość. I to akurat wobec takiej osoby jak Hitler, którego najwidoczniej traktował jako swoje „przeznaczenie”.

Wydaje się, że owładnięty był tym uczuciem nawet jeszcze wtedy, gdy odwiedził go w biurze jego poprzednik, generał von Hammerslein, człowiek o niezmiennych poglądach, zdecydowany na wszystko. Dla niego Hitler był „środkiem na wymioty”, co odczłowieczało każdego, kto ewentualnie chciał go słuchać. Stał przed von Fritschem i spytał go *t* pełnym napięcia niepokojem: - Człowieku, kolego! Chyba nie da się pan tym ludziom tak po prostu wykiwać?

- Drogi kolego Hammerstein - powiedział głucho generał - jeśli nawet może powstać wrażenie, że ci ludzie próbują pozbawić mnie mojej godności, to ja jestem ponad to!

- To bardzo szlachetnie z pana strony! - wypalił von Hammerstein.  
- Szanowny panie generale, przecież wokół nas są same świny, które chcą tylko żreć i świntuszyć - i nic więcej nawet nie potrafią! Czy nigdy nie przyjrzał się pan dokładniej temu Göringowi?

Tego rodzaju sformułowania nie sprawiały przyjemności dystyngowanemu Wernerowi von Fritschowi. Co prawda wiedział, że generał von Hammerstein należał do „śmiazków” i cały czas za wszelką cenę starał się prowadzić swoją własną, patriotyczną politykę. Wielokrotnie głoszona przez niego lekceważąca opinia o tym rzekomym „szarlatan” Hitlerze groziła niemal skandalem. Jednakże tak zdecydowany człowiek obowiązku, jakim był Werner von Fritsch, należał do zupełnie innego świata, zdominowanego wyłącznie przez żołnierskie posłuszeństwo.

I właśnie dlatego zareagował na te słowa ze zmieszaniem, niechęcią, oburzeniem. Ale dopiero wtedy, kiedy von Hammerstein

posunął się jeszcze dalej! - Panie generale, jest pan naczelnym dowódcą armii. Wystarczy, że wyda pan rozkaz! I to taki, który w tej sytuacji jest raczej nieodzowny. Czekamy na to!

Von Fritsch odrzucił to żądanie z zaniepokojeniem: - Panie von Hammerstein, oświadczam, że nie mam zamiaru rozumieć, o czym pan mówi.

Na co generał wyraził się zupełnie jasno: - Panie generale, jestem tutaj, aby w imieniu niektórych kolegów poinformować pana, że nasze oddziały stoją, by tak rzec, z bronią u nogi. Wystarczy jeden pana rozkaz - i ruszymy! Na kogo i dokąd pan zechce!

- Uznajmy obaj, że nie słyszałem tego - oświadczył von Fritsch szorstko.

- Ale niech pan się nad tym zastanowi - zalecił uparty gość. - Nie ma zbyt wiele czasu. Już pora.

Niemal bezpośrednio po tej oczywistej konfrontacji pojawił się u swego dowódcy szef sztabu generalnego armii Ludwig Beck. Ten był zupełnie innego pokroju niż żelazny rębajło. Becka zgodnie określano jako subtelnego myśliciela; człowiek honoru i arystokrata, choć bez tytułu szlacheckiego. Jak gdyby był predestynowany do tego, by kiedyś znaleźć się w książce „Wielcy Niemcy” jako jedna z czołowych postaci. Co zresztą rzeczywiście nastąpiło.

Ów Ludwig Beck wkrótce po tych wydarzeniach miał się jednoznacznie przeciwstawić coraz wyraźniej widocznym planom wojennym Hitlera; w związku z czym poszedł na zieloną trawkę, czyli został zwolniony. Co prawda z pełnym uposażeniem, a więc niejako z honorem. Hitler uważał takie postępowanie za korzystne. Po 20 lipca 1944 roku, czyli po zamachu na Hitlera, również ten generał został „dokładnie załatwiony”.

Wtedy jednak także jemu, podobnie jak jego przyjacielowi i koledze von Fritschowi, wydarzenia te wydawały się nie do pojęcia. - Po prostu nie mogę uwierzyć - wyznał dosyć bezradnie, ale nie bez godności - że ma tu obowiązywać tak bezprzykładny brak skrupułów. Nie spodziewałbym się tego nawet po tym Hitlerze.

- Ja też nie - potwierdził z przekonaniem von Fritsch. - Ale już wkrótce wszystko się wyjaśni. Zwłaszcza że kanclerz powiadomił mnie, że byłaby wskazana oczyszczająca rozmowa z komórką, która dysponuje tymi wątpliwymi aktami.

- Chyba nie gestapo? Chyba nie zamierza pan wchodzić w kontakt z tymi podejrzanymi typami, wydając się na ich pastwę? - spytał Beck nadstawiając uszu.

- Nie zamierzam unikać nikogo, gdy rzecz tyczy mojej całkowitej rehabilitacji. Zwłaszcza że zlecił mi to sam kanclerz. Dlaczego miałbym się wahać?

Szef sztabu generalnego był zaniepokojony. - Pozwoli pan, panie generale, zwrócić sobie uwagę na następujący stan rzeczy: przy naszym zakresie działania, a więc dotyczącym sił lądowych i całego Wehrmachtu, obowiązuje nas tylko własna jurysdykcja. A więc żaden organ prawny, a już tym bardziej specjalne jednostki SS nie są upoważnione do ingerencji w nasze sprawy. Jest to zasada, o którą pan walczył i którą wprowadził pan w życie.

- Chodziło o naszych żołnierzy, nie o mnie osobiście. Dlaczegoż nie miałbym się zgodzić na taką rozmowę, jeśli nie mam nic do "ukrycia?"

- Pan to nazywa rozmową? Ta rozmowa na obszarze działania tych pozbawionych najmniejszych skrupułów ludzi może bardzo szybko przerodzić się w przesłuchanie - z wszelkimi jego konsekwencjami. I co wtedy?

- Moje sumienie jest całkowicie czyste oświadczy! von Eritsch ' z niezmaconą nadzieją.

27 stycznia 1938 roku, nazajutrz po pierwszym spotkaniu z Hitlerem, generał Wilhelm Keitel miał dogodną okazję, by ucieszyć swego Führera. Spotkanie rozpoczęło się około trzynastej. Trwało niemal trzy godziny i wyglądało na to, że przebiegło w niezwykłej harmonii.

Hitler, znowu bardzo serdeczny, oznajmił: Pański kolega i towarzyszy broni, pan von Blomberg, jest i pozostanie pierwszym feldmarszałkiem naszej Rzeszy. Najpierw jednak otrzyma zgodę na dłuższy urlop. Od zaraz. Mniej więcej na rok, najlepiej poza Niemcami.

Generał Keitel zorientował się natychmiast, że Hitler czeka na coś w rodzaju aprobaty. - Jest to, mein Führer, niezwykle trafna i abso-j lutnie słuszna decyzja - powiedział.

- Osobiście, czyli z mojej prywatnej kasy, dam mu do dyspozycji co najmniej pięćdziesiąt tysięcy marek. Wydam Bankowi Rzeszy po

lecenie, aby wypłacił tę sumę w każdej zagranicznej walucie, jaka będzie potrzebna, po najkorzystniejszym kursie. Czy uważa pan to za stosowne, panie Keitel?

- Powiedziałbym więcej, mein Führer, to jest trudna do wyobrażenia wspaniałomyślność!

- Zawsze staram się być wspaniałomyślny, używając pańskiego sformułowania, jeśli tylko wydaje mi się to wskazane. A w stosunku do moich przyjaciół okazuję wspaniałomyślność szczególnie chętnie. Mimo to mam przeciwników, również wrogów, człowiek zajmujący taką pozycję musi się zawsze z nimi liczyć. I dlatego tym cenniejsi są dla mnie ci współpracownicy, na których mogę całkowicie polegać. Bardzo bym się cieszył, drogi Keitel, gdybym także pana mógł do nich zaliczyć.

- Bardzo o to proszę, mein Führer! Proszę mną dysponować!

W ten oto sposób został zawarty sięgający daleko w przyszłość pakt. Nareszcie bowiem führer znalazł takiego generała, który miał się okazać wyjątkowo posłusznym wykonawcą jego rozkazów. Gdy Hitler to sobie uświadomił, bez wahania zaczął mówić otwarcie:

- Tę bardzo przykrą sprawę dla naszego Wehrmachtu, wywołaną małżeństwem pana von Blomberga, będziemy usiłovali wspólnymi siłami wymazać. Powinno nam się to udać dosyć szybko, tym bardziej że sam feldmarszałek, co trzeba mu przyznać, zamierza unikać wszelkich kroków, które mogłyby zaszkodzić naszej Rzeszy. Ale nadal pozostaje do załatwienia sprawa von Fritscha.

- Czy uważa go pan za winnego?

- Oczywiście, że nie! Zawsze niebywale cenilem tego człowieka, i jemu właśnie, z uzasadnioną nadzieją, powierzyłem nasze siły lądowe. Może to pan powtórzyć każdemu. Potwierdzam to w całej pełni! Jednakże teraz, pod presją okoliczności, muszę ustąpić.

Keitel był uważnym słuchaczem. Jego talent do wyczuwania intencji innych ludzi, a zwłaszcza tego człowieka, okazał się zupełnie wyjątkowy i miał go nie zawieść w ciągu siedmiu najbliższych lat. A czy nie można by - zaproponował ostrożnie - zaaranżować z Fritschem czegoś podobnego jak z Blombergiem? - Właśnie dokładnie to samo, mój drogi, próbowałem przeprowadzić, kilkakrotnie. Jak pan pewnie wie, jego zdrowie jest poważnie

zagrożone. Zaproponowałem mu więc dłuższy urlop, zapewniając wszelkie możliwe ulgi, okazując naprawdę wiele życzliwości! Ale on nie chce! Nalega, z niebezpiecznym uporem, na całkowite wyjaśnienie podnoszonych przeciw niemu zarzutów.

- Czy on naprawdę żąda czegoś w rodzaju postępowania sądowego, mein. Führer? - Keitel potrafił już śledzić tok myśli Hitlera. Jego talent, by sprawy Führera czynić skwapliwie swoimi, zaczynał święcić triumfy.- To przecież może być dla niego groźne?

Adolf Hitler skinął głową potwierdzając to przypuszczenie. Następnie przekazał swojemu nowemu wasalowi dokument, coś w rodzaju opinii, którą wydał ówczesny minister sprawiedliwości Gurtner. "Wi piśmie tym jako wniosek dotyczący „sprawy Frilscha" znajdowało się następujące zdanie:

„Dokumenty w poznanej przeze mnie postaci mogą stanowić podstawę dla prokuratora do wniesienia oskarżenia".

Tak więc najwyższy urzędnik prawa tego państwa określił jednoznacznie postępowanie sądowe przeciwko Fritschowi jako słuszne. Tym samym obaj, szybko ze sobą zaprzyjaźnieni mężczyźni uznali sprawę za na razie załatwioną. Hitler bez chwili zwłoki przeszedł do następnego punktu:

- A co pan sądzi, drogi Keitel, o pułkowniku Hossbachu?

Generał natychmiast się zorientował, że było to pytanie, na które oczekiwano bardzo konkretnej odpowiedzi. Nie wahając się odparł:

- Pułkownik Hossbach jest z pewnością godnym szacunku człowiekiem. Mimo to jednak nie można go nazwać oficerem będącym wcieleniem prawdziwie nacjonalistycznego ducha. Coś sobie przypominam, że Blomberg, w całkowitym zaufaniu, określił go kiedyś jako człowieka niezwykle trudnego nadzwyczaj niewygodnego.

- To się dokładnie zgadza z moją opinią! Zwłaszcza że Hossbach nierozważnie, przedwcześnie poinformował von Fritscha o oskarżeniu, jakie zamierzam przeciwko niemu wnieść. A na dodatek, w co pewnie pan nie wierzy, wbrew mojemu wyraźnemu poleceniu, aby tego nie robił. Co pan na to?

- Jest to oburzającej lekkomyślne zachowanie, absolutnie niegodne niemieckiego oficera. - Keitel podzielił ochoczo oburzenie Führera.

- Wręcz strach, pomyśleć, co mogłoby; się stać, gdyby na miejscu

zrównoważonego, opanowanego von Fritscha znajdował się jakiś zawadiaka i raptus! Wydaje mi się, że Hossbacha nie należy już! uważać za właściwego współpracownika.

- To pan to powiedział, Keitel - Hitler kilkakrotnie pokiwał . głową z pełną aprobatą. - Tak więc będzie to jedno z pańskich pierwszych zadań: znaleźć następcę Hossbacha. Jak najszybciej. Bez jakiegokolwiek sensacji. Jest pan gotów?

- Naturalnie, mein Führer! Pułkownik Hossbach, jak słyszałem, już kilkakrotnie wyrażał życzenie objęcia dowództwa jakiegoś oddziału. Powinniśmy spełnić je jak najszybciej. Najlepsze byłoby chyba dowództwo pułku, jak najdalej od Berlina, może w Prusach Wschodnich.

Dobrze, Keitel, bardzo dobrze! Niech pan opracuje kilka propozycji. Również te, które dotyczą następcy naczelnego dowódcy sił lądowych. Chciałbym, żeby był to człowiek stuprocentowo pewny. Czy zajmie się pan tym?

- Tak jest, mein Führer!

Obaj czuli się tak, jakby szukali się długo i wreszcie się odnaleźli. Rzeczywiście, ci dwaj torowali potem drogę decyzjom mającym wpływ na losy świata. Wskutek których miało rozpaść się jedno państwo, miał zginąć jeden naród - i sto milionów ludzi w Europie.

- A więc postanowione, moj drogi generale! - oznajmił Hitler. - Wobec tego nie będę już dłużej zwlekał z objęciem dowództwa Wehrmachtu. Na razie nieoficjalnie, bez podawania tego faktu do publicznej wiadomości, ale wkrótce i to nastąpi. Został pan jednym z moich ważniejszych doradców i powierników. Od dziś może pan do mnie przychodzić o każdej porze, bez uprzedniego meldowania się, niezależnie od tego, gdzie się znajduję. Niniejszym mianuję pana szefem Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu.

Keitel, głęboko poruszony, zdał sobie sprawę, że stał się teraz właściwie nieodzowny, co rzeczywiście odpowiadało prawdzie. Złożył więc obietnicę, której w następnych i jednocześnie ostatnich siedmiu latach swojego życia dotrzymał: - Dołożę wszelkich starań, aby nje zawieść pokładanego we mnie zaufania.

Również 27 stycznia - i to już w godzinach porannych - na Prinz-Albrecht-Strasse, czyli w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy, panowało napięcie.

Gruppenführer Heydrich chodził po pokojach swojego urzędu jak pies myśliwski. Posykiwania, jakie przy tym wydawał, zdradzały hamowane zdenerwowanie. Ta kamienna skrzynia, ciągle jeszcze nazywana pałacem, sprawiała wrażenie - wyjątek stanowił pokój Heydricha - opustoszałej i bardzo zaniedbanej budowli. Powodowała to nie ustająca w dzień i w nocy pracowitość i pilność; piwniczne katownie niemal przez cały czas były pełne.

Ale również w tym budynku znajdowało się jedno pomieszczenie, które wyglądało na stosunkowo zadbane, choć jego agresywny wystrój sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Pokój ten nazywano, najczęściej z lekkim, szyderczym uśmieszkiem, salonem albo pokojem przyjęć. Chodziło o „pokój przesłuchań nr 1”, który był zarezerwowany dla „specjalnych klientów”. A właśnie takiego teraz oczekiwano.

W tej wystawnej jamie, wyłożonej pluszem i dębowym drewnem, siedzieli w milczeniu, jak kwoki, dwaj mężczyźni: niejaki doktor Werner Best, który nawet jeszcze dzisiaj mógłby uchodzić za stosunkowo kompetentnego prawnika; obok niego funkcjonariusz policji kryminalnej nazwiskiem Huber, który wylądował w tej stajni z rekomendacji doktora Mellera. Przed obydwoma leżała gruba, czerwona teczka.

Pojawił się Heydrich. Zmierzył obu rybiozinnymi oczami; nazywano to jego urzędowym spojrzeniem. - Sądzicie, że przyjdzie?- Miał na myśli generała von Fritscha.

- Dlaczego miałby przyjść? - spytał Huber rozpierając się wygodnie w fotelu. - Ostatecznie gestapo nie ma żadnej władzy prawnej nad Wehrmachtem. I on o tym prawdopodobnie wie. W każdym razie można założyć, że koledzy poinformowali go o tym.

- Ale przecież wyraził zgodę - stwierdził Heydrich. - I to za radą Führera.

- To mogło być wczoraj albo przedwczoraj - oświadczył Huber z ukrytą prowokacją. - -A w tym czasie zdarzyło się może coś, co go skłoniło do zmiany stanowiska. W każdym razie ja, gdybym był na jego miejscu...

Heydrich pokiwał głową, nie bez uznania dla tego funkcjonariusza

policii kryminalnej. Podobał mu się ten człowiek! Nie był to skwapliwy potakiwacz, on miał swoje zdanie i głośno je wypowiadał. A więc przyjaciel Meller przysłał mu całkowite przeciwieństwo miękkiego przeciętniaka. Był to raczej czujny pies myśliwski. Należało to wykorzystać. Ktoś taki mógł się mu przydać, ostatecznie jako szef urzędu był niezależny.

Teraz Heydrich spojrział pytającym wzrokiem na doktora Wenera Besta, godnego zaufania eksperta prawnego gestapo. Best czuł się niejako zmuszony potwierdzić na początku poglądy funkcjonariusza Hubera, aby jednak po chwili uzupełnić je zgodnie z własnym tokiem myślenia. Powiedział:

- No cóż, z pewnością. Zmusić go nie można! Mimo wszystko jednak von Fritsch, jak się zorientowałem, jest człowiekiem o silnym poczuciu obowiązku. Można więc założyć, że dotrzyma raz danego słowa. - Spojrzął na swój zegarek, doskonały, precyzyjny, szwajcarski wyrób. - Mamy jeszcze trzy minuty. Liczę na punktualność generała. Również w tej dziedzinie uchodzi za niezawodnego.

Miał rację. Werner baron von Fritsch zjawił się w głównej kwaterze gestapo w co do minuty ustalonym czasie: o godzinie 10<sup>00</sup>. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, przyszedł więc jako osoba cywilna. , Zgodnie z wydanymi poleceniami przy wejściu do głównej kwatery gestapo czekał na niego młodszy oficer SS, który pręźnie zsalutował i z respektem poprowadził go dalej: najpierw przez obszerny, zaniedbany hall. Tu znajdowało się około dwudziestu, a może więcej osób płci męskiej, które na ich widok ostrożnie się usuwały, jakby przyklejały do ścian, nie spuszczać z przechodzących oczu. Były to typy najrozmaitszego autoramentu: niektórzy sprawiali bardzo nędzne wrażenie; zaniedbani, o zniszczonych twarzach i wyblakłych oczach. Ale byli też inni, wręcz kobiecej urody, napuszeni jak pawie. Obrazu dopełniali „wspaniali mężczyźni”, „męskie okazy”, wiązki mięśni, jędrne ciała. Wszyscy oni wyróżniali się szklanoobojętym, taksującym spojrzeniem: czyli homoseksualiści pomieszani z bykami z gestapo - zebrani tutaj w celu obserwacji pana von Fritscha.

W tym wypadku chodziło o rodzaj „odwrotnej parady”. Tak nazywało się w policyjnym żargonie zgromadzenie wszelkich możliwych „świadków”, wyznaczonych dla jednego „podejrzanego”. Większość z nich to zawodowi szpicle najrozmaitszych odmian. Wszy-



stkim im obiecano w razie „pozytywnego rozpoznania” „premię za wydajność” i w przyszłości dalsze „ulgi”.

Generał minął sztywnym, dumnym krokiem tę gromadę wszelkich wątpliwych świadków oskarżenia. Oni dla niego po prostu nie istnieli! Tym bardziej że nawet w najmniejszym stopniu nie był w stanie pojąć ich znaczenia. Kroczył prosto przed siebie, jak zawsze niewzruszony.

Następnie znalazł się w „salonie”, czyli w pokoju przesłuchań nr 1, uprzejmie wprowadzony tam przez towarzyszącego mu oficera SS. Heydrich otrzymawszy telefoniczną informację - już jest! - ucieszony opuścił „salon”, nie omieszkawszy rzucić pełnego zachęty spojrzenia w stronę Hubera i Besta: no, chłopcy, pokażcie, co potraficie!

Doktorowi Bestowi bardzo na tym zależało. Pospieszył przywitać uprzejmie generała vori Fritscha. - Dziękuję, że pan przyszedł. Na wstępie chciałbym pana zapewnić, że zgodnie z poleceniem, jakie otrzymałem, by tak rzec, z najwyższej instancji, uczynię wszystko co w mojej mocy, aby nie tylko wykazać wobec pana jak największą życzliwość, ale ponadto przyczynić się w miarę możliwości do całkowitego oczyszczenia z zarzutów pańskiej osoby.

- Miło mi to słyszeć - zapewnił ciągle jeszcze nie zdający sobie z niczego sprawy von Fritsch. - Dlaczego jednak sądzi pan, że miałbym panu nie wierzyć? Pan jest osobą urzędową, a ja nie poczuwam się do żadnej winy. I niczego nie życzę sobie bardziej niż usunięcia tych nieuzasadnionych podejrzeń.

- W czym chętnie panu pomogę - zapewnił doktor Best. —Tego samego bowiem życzy sobie Führer, a także Göring i Himmler. Poinformowali mnie o tym. Oni wszyscy są po pana stronie, oczywiście ja także. - Ale za chwilę dodał: - Jednakże tak bardzo przez nas wszystkich oczekiwane pozytywne wyjaśnienie tej sprawy jest możliwe tylko w wyniku gruntownego dochodzenia. Proszę więc pana o cierpliwość i wyrozumiałość. Zwłaszcza że przedmiotem tej sprawy będą pewne krępujące i być może nawet niezwykle przykre detale. Tak jak ja to widzę, wpadł pan w bagno, z pewnością nie z własnej winy. Musimy teraz się z niego wydostać! Czy mogę uważać, że mam na to i pańską zgodę?

- Proszę robić wszystko, co jest uważane za konieczne, również przez kanclerza.

Huber, doskonały specjalista odsunął się z krzesłem do tyłu, aż

pod ścianę. Wyraźna i bezgraniczna pokora generała napawała go, znawcę wszelkich taktyk przesłuchania głębokim niepokojem.

Wpatrywał się sugestywnie w von Fritscha, usiłując skierować jego spojrzenie na dosyć niezgrabnie wmontowane w stół konferencyjny mikrofony. Ich kable prowadziły do sąsiedniego pomieszczenia, w którym znajdował się odbiornik, a także głośnik - tkwił przed nim nisko pochylony stenotypista o tłustej twarzy bez wyrazu; jego prawa dłoń poruszała się jak w gorączce. Tak więc w tak zwanym salonie nie mogło paść żadne słowo, które nie zostałoby bezzwłocznie, i to dwukrotnie, urzędowo zarejestrowane. Von Fritsch niczego nie zauważył.

- Pozwoli pan, panie generale - odezwał się niemal przyjaźnie doktor Best - że ponownie skonfrontuję pana z rzekomym głównym świadkiem oskarżenia, czyli z tym Otto Schmidtem! Oczywiście zdaję sobie sprawę, że narażam pana na rzecz nieprzyjemną, proszę mi wierzyć. Albowiem ja, powiem to w zaufaniu, gardzę tym człowiekiem z całego serca. Pominąć go jednak nie możemy, teraz już za późno.

- Niech przyjdzie! - wykrzyknął von Fritsch z zażartą skwapliwością. Nadal był bardzo pewny swoich racji.

- I Otto-Otto zjawił się - jakby na określone hasło wepchnięty do pokoju. Zatrzymał się w pobliżu drzwi, stał w rozkroku, pochylony do przodu jak tropiciel, twarz miał gładką i niespokojne oczy. Jego chrapliwy głos brzmiał donośnie, kąśliwie, jakby nie pozostawało mu nic innego jak wgrzyźć się we własne argumenty.

- Schmidt - powiedział doktor Best na wpół ostrzegawczo, na wpół zachęcająco - uważajcie na każde swoje słowo! To, co przytoczy cie, musi być całkowicie pewne! Jeśli coś się nie będzie zgadzać, to wy znajdziecie się na miejscu oskarżonego. Mianowicie z powodu potwarzy, fałszywych zeznań i jeszcze innych poszlak! - Następnie zwrócił się do von Fritscha tonem niemal serdecznym: - Proszę wysłuchać wszystkiego, co ten człowiek zezna. Jeśli nawet wystawi to na ciężką próbę pańską cierpliwość i pobłażliwość. Mimo wszystko proszę spróbować to znieść z największą obojętnością. Niech pan przystanie na jego zeznania, radzę to panu, aby ten człowiek zyskał sposobność skorygowania swoich wypowiedzi na pańską korzyść. Czy jest pan na to gotów?

Von Fritsch potwierdził. Nie dostrzegł jednak przerażonego gestu

funkcjonariusza policji kryminalnej Hubera, który kiwając się niespokojnie na swoim krześle, lekko pokręcił głową.

Przyszła więc kolej na Otto Schmidta. Oświadczył on, doskonale przygotowany i niezłomnie pewny siebie, że nie ma najmniejszego powodu zmieniać swoich dotychczasowych zeznań. Ponownie zapewnił: - To był właśnie von Fritsch! Mogę przysiąc, że on z Sepem-Bawarczykiem na stacji Wannsee...

Jesteście naprawdę tego pewni, Schmidt? - spytał doktor Best, który podobnie jak generał i feldmarszałek miał na imię Werner. Sprawiał wrażenie, że absolutnie nie może w to uwierzyć, wyczuwało się wręcz przerażenie w jego głosie. - Zastanówcie się! Jeszcze raz! Dokładnie! Wasze zeznanie ma niezwykle wagę. Może zaszła tu jakaś pomyłka?

- Żadną pomyłką nie wchodzi tu w grę, panie doktorze.

- Może tylko pewne podobieństwo...

-- Nic z tych rzeczy. To był on, poznaję go. To ten pan! Nie mam najmniejszej wątpliwości.

Podczas gdy wszyscy wkłó zamilkli, dotkliwie i nieprzyjemnie poruszeni, Otto Schmidt służył dalszymi szczegółami: Bezpośrednio po tym jednoznacznie nieobyczajnym zajściu zamierzał-jako sprawdzony agent od tych spraw - oddać tego pana w ręce policji. Na co zaproponowano mu łapówkę, żeby trzymał język za zębami. Czyli próba przekupienia...

- Najpierw chodziło o sumę picciuset-marek, a potem zaoferowano mi jeszcze dodatkowo dwa tysiące.

- I wy, Schmidt, naprawdę wzięliście te pieniądze? - dochodził dalej doktor Best, mimo że znał odpowiedź z akt. - Daliście się namówić?

- Tylko pozornie. - Niby je przyjął, i to przy świadkach, w dworcowej restauracji; potem jednak bez wahania zameldował o tym gdzie trzeba, to znaczy temu funkcjonariuszowi policji, z którym wówczas współpracował.

- I on to zaakceptował?

- Oficjalnie nie, panie, doktorze! Ale zarejestrował, sporządził szczegółową notatkę ze wszystkimi detalami: datą, godziną, opisem przestępstwa, opisem osób. formą zapłaty - i tak dalej, i tak dalej. Ta notatka powinna być w aktach.

- Wystarczy, Schmidt, w zupełności! - wykrzyknął ekspert prawny gestapo, na pozór głęboko zaniepokojony. - Panie generale, czy mogę pana prosić o zajęcie stanowiska wobec tych zeznań?

W tym momencie jednak, ku zdziwieniu wszystkich, po raz pierwszy zabrał głos specjalista Huber: - Pan Fritsch nie musi tego robić! Ma prawo odmówić wszelkich odpowiedzi.

- Ależ oczywiście, bez wątpienia - przyznał Werner Best, z trudem ukrywając swoje zaskoczenie z powodu tego nieoczekiwanego i nieprzyjemnego incydentu. Zmierzył Hubera wzrokiem z nieukrywanym oburzeniem. Ten jednak siedział absolutnie niewzruszony, opierając się o ścianę.

- To, o czym przed chwilą wspomniał nasz współpracownik - kontynuował powoli doktor Best - stanowi odmowę zeznań, w rozumieniu prawa środek całkowicie dopuszczalny. Ma uzasadnienie wtedy, gdy obwiniony odnosi nieodparte wrażenie, że jego wypowiedzi będą wykorzystane przeciwko niemu. Ale przecież w tym wypadku nie mamy z czymś takim do czynienia. Prawda?

- Oczywiście, że nie! Ja sam dążę do całkowitej otwartości.

- Wobec tego chciałbym jeszcze raz prosić pana o zajęcie stanowiska. Co pan powie na temat zeznań Schmidta?-

Huber głośno chrząknął - wyraźnie z zamiarem ostrzeżenia generała. Von Fritsch nie zwrócił jednak uwagi na tę przeznaczoną - wyłącznie dla niego demonstrację. Dał się namówić do znizenia się do poziomu tego skonfrontowanego z nim, notorycznego kryminalisty.

Jego kontrargumenty na których usiłował się teraz skupić, w najważniejszych punktach wyglądały następująco:

Po pierwsze: - To pomyłka, panie Schmidt! Musiał się pan pomylić! Bo ja pana nie znam! Przed konfrontacją w Kancelarii Rzeszy nigdy pana nie spotkałem. Nie wiem, kto mógł być na tyńi dworcu, ale z całą pewnością nie chodziło o moją osobę.

Po drugie: - Jeżeli nawet możliwe byłoby wystaranie się przeze mnie, jak pan twierdzi, o sumę pięciuset marek w gotówce, to z całą pewnością nie mógłbym mieć takiej kwoty przy sobie, pod ręką. Moja miesięczna pensja jest dosyć precyzyjnie podzielona - od lat mam zwyczaj zapisywać wszystkie wydatki z całą dokładnością. Notatki te są do pańskiej dyspozycji, panie Best. W każdym razie

niewydanie dwóch tysięcy marek jest do udowodnienia bez najmniejszych kłopotów.

Otto Schmidt nie dawał się zbić z tropu: - Ostatecznie mógł pan pożyczyć te pieniądze. Całkiem możliwe, że pomógł panu jakiś kolega.

Na to Best, demonstracyjnie ostro: - Proszę się ograniczyć do odpowiedzi na stawiane wam pytanie, „Schmidt! Wszelkie nasuwające się domniemania możecie spokojnie pozostawić nam. Proszę dalej, panie Von Fritsch!

Po trzecie: - Doprawdy niełatwo mi o tym mówić, ale widzę, że muszę nadmienić o tej kwestii: jestem mężczyzną w takim wieku, który wyklucza pewne zdrożności, Pod względem fizycznym, cielesnym - pan rozumie co mam na myśli, prawdą?— prowadzę tryb życia bardzo surowy, wręcz spartański. Proszę spytać ludzi, którzy kiedykolwiek należeli do mojego najbliższego otoczenia. Potwierdzą to panu.

Otto-Otto spojrział na generała z pogardą i roześmiał się na cały głos. Był zadowolony z siebie, ponieważ wszystko przebiegało zgodnie z zaleceniami- Ten von Fritsch znalazł się w beznadziejnym położeniu - tak jak to zaplanowano.

- Możecie odejść! - krzyknął Best w stronę Schmidta.

Odszedł. Przedtem jednak skłonił się głęboko przed generałem, co ten skwitował pełnym osłupienia zdziwieniem.

- Wyjątkowo obrzydliwa postać! - wykrzyknął doktor Best z pogardą. - Ale mamy teraz niezły bigos! Zeznanie przeciw zeznaniu!. Wiem dokładnie, panie von Fritsch, co chce pan powiedzieć! Że chodzi tu z jednej strony o wypowiedź przypadkowego współpracownika policji, a z drugiej - o czołową postać naszej Rzeszy.

- Tak jest, właśnie na to chciałbym zwrócić pańską uwagę!

- Całkowicie to rozumiem, jako człowiek. Chodzi tu jednak o sytuację prawną opierającą się na urzędowym dochodzeniu. Co z pewnością potwierdzi także pan Huber. Czy też może jest pan zdania, że istnieją pewne sprzeczności między wypowiedziami tego Schmidta a zebrany materiał?

- Bezpośrednio rozpoznawalne, nie - potwierdził Huber skąpo.

- Co to znaczy: bezpośrednio rozpoznawalne? Czy coś wydaje się panu wątpliwe? - dopytywał - się doktor Best.

- Mam na myśli wyłącznie to, co powszechnie określane jest jako wiarygodne.

Generał skinął głową z aprobatą. Poprawił monokl, aby przyjrzeć.. się trochę dokładniej temu funkcjonariuszowi policji kryminalnej. Nie bez życzliwości. Siedział sztywno wyprostowany, teraz jednak się trochę uśmiechnął, jak gdyby na myśl: również tutaj są ludzie, którzy go rozumieją.

- Także dla mnie - przyznał doktor Best - wiarygodność ma decydujące znaczenie, i pod tym względem z całym przekonaniem jestem po pana stronie, panie generale. Mimo wszystko jednak jestem podporządkowany pojęciom prawa, obecnie obowiązującym przepisom.

- A co pan, przepraszam, rozumie przez obecne pojęcie prawa odnośnie do mojej osoby?

- Jeśli o to chodzi, panie Von Fritsch, muszę niestety stwierdzić, że świadek jest jednak świadkiem! Jego zawód czy pozycja nie odgrywa tu żadnej roli. I jeśli ten osobnik, jak należy przypuszczać, będzie niewzruszenie trwał przy swoim zeznaniu, wyniknie z tego nieuchronnie nadzwyczaj drażliwa sytuacja! Jak pytam pana, mamy sobie z nią poradzić?

Po czym zaproponował rozmowę w cztery oczy, okazując pozorne zatroskanie o generała.

## Dalsze wydarzenia

Pierwszą stacją:

Pokój przesłuchań numer 1 w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Generał von Fritsch siedział teraz zupełnie sam naprzeciwko eksperta prawnego doktora Wernera Besta. Wspólnie uzgodniono przeprowadzenie „poufnej rozmowy”.

Jednakże zainstalowane mikrofony nie zostały wyłączone, stenotypista w sąsiednim pokoju pracował, tak więc każde słowo owej - rozmowy w cztery oczy” było zapisywane. Podły, z pewnością; odpowiadający tamtym czasom oszukańczy manewr. Jeden spośród wielu.

Werner Best zapewnił: .- Teraz możemy rozmawiać całkowicie” otwarcie, tak między nami, że tak powiem, absolutnie prywatnie.

Von Fritsch: - Myślę, że to wcale nie było konieczne

Werner Best: - Proszę tak nie mówić! Bo z pewnością nie jest pan w stanie rozpoznać pułapek tego prawa, każdego prawa. Proszę więc

mi pozwolić być panu pomocnym. Czynię to z wielką ochotą; zwłaszcza że, jak powiedział Führer, nie powinienem zaniedbać niczego, co mogłoby oczyścić z zarzutów jego naczelnego dowódcę - w każdych okolicznościach, za pomocą wszelkich dostępnych środków. Z pewnością domyśla się pan, co to znaczy?

Von Fritsch: - Nie.

Werner Best: - Führer chce uratować pana i dla siebie, i dla Wehrmachtu. I właśnie dlatego, by wreszcie wyjść z tej katastrofy, nie powinniśmy cofnąć się nawet przed absolutną otwartością. Przy czym już teraz proszę o wybaczenie, jeśli chwilami będę zbyt dosłowny, jest to nieuniknione.

- Czy to wszystko do tej pory nie było jeszcze wystarczająco dosłowne?

- Spróbujemy rozważyć te wydarzenia możliwie obojętnie, panie generale! Proszę pozwolić, że spytam: czy istnieje choćby minimalna możliwość, że kiedyś w pańskim życiu prywatnym mogło dojść do tak zwanych zachowań homoseksualnych?

Von Fritsch: - Nie.

Werner Best: - Proszę, żeby wziął pan następującą rzecz pod uwagę: tego rodzaju zachowania mogą czasami wynikać z "nieuchronnej konieczności, z przypadku, mogą zrodzić się z nieporozumienia, po prostu nieoczekiwanie, nagle się stać. Coś takiego może zdarzyć się każdemu, i nie jest wtedy naganne. Ale musimy to wiedzieć, aby móc się zabezpieczyć przed określonymi podejrzeniami.- No?

Von Fritsch: - Nie! Nic podobnego.

Werner Best: - No dobrze, wobec tego spróbujemy podejść do sprawy niejako z innej strony. Na przykład tak: czy z nieugiętym uporem powtarzane twierdzenie, że ma pan skłonności homoseksualne i stosuje pan te praktyki, da się skutecznie obalić? Załóżmy, że przy użyciu dowodów na to, iż pod względem seksualnym jest pan zupełnie normalny?

Von Fritsch: Nie rozumiem, co pan ma na myśli'

Werner Best: To znaczy, że byłoby możliwe udowodnienie, że w pańskim, życiu istnieją bądź istniały osoby płci żeńskiej, z którymi utrzymywał pan wiadomego charakteru kontakty? Czy można dostarczyć na to przekonujących dowodów? Bezpośrednich! Czy byłby pan gotów wymienić odpowiednie adresy?

Von Fritsch: - Nie! Za kogo mnie pan właściwie uważa?! To byłaby przecież raniąca godność niedyskrecja, na którą stanowczo się nie zgadzam!

Druaga stacja:

Pokój obok sali przesłuchań numer 1, wyposażony w urządzenia podsłuchowe odpowiadające najnowszym wymogom amerykańskiej techniki. W nim właśnie przebywał wyglądający na bardzo znudzonego szef SS. Pilnie stenografujący żółw pracował - szary, pomarszczony, niemal nieruchomy. Ponadto znajdowali się tu też dwaj inni, podobnie obojętnie reagujący uczestnicy tej „poufnej rozmowy w cztery oczy”. Wśród nich był także Huber, specjalista od spraw kryminalnych. Właśnie on, bez najmniejszych zahamowań, pozwolił sobie na kilka spostrzeżeń:

- To jest nie do wytrzymania! Dlaczego ten Fritsch daje się wciągnąć w taki okropny cyrk? Czy on jest naiwny, czy głupi, czy może to po prostu godny szacunku żołnierz? Naiwność tego rodzaju ludzi jest wręcz niebezpieczna dla otoczenia!

Stenograf: - Proszę" trochę ciszej, panie Huber, bo nie słyszę.

Huber: - Dlaczego nie powie na przykład; wypraszam sobie tego rodzaju imputacje? Dlaczego nie ciśnie, mówiąc symbolicznie, swojej szabli na stół i nie krzyknie: pocałujcie mnie wszyscy w dupę! Albo coś podobnego! Dlaczego nie zmobilizuje swoich ludzi? Ostatecznie jest dowódcą armii. W każdym razie ja na jego miejscu narobiłbym szumu, nie pozwoliłbym na takie przesłuchania i metody poniżej pasa!

Stenograf: - Kolego Huber, bardzo pana proszę! Naprawdę, nie usłyszałem teraz dwóch słów.

Huber: - Człowieku, przecież wszystko jedno, co oni tam paplają! Przecież to zwykle, podstępne draństwo!

Na co siedzący z tyłu dowódca SS odezwał się z pobłażliwością:  
- Dlaczego ty się właściwie tak denerwujesz, Huber?

- Mnie po prostu drażni każdy, kto daje się tak łatwo zrobić w konia! Chciałbym mieć do czynienia z ostrymi, sprytnymi, przeciwnikami, z którymi naprawdę mógłbym walczyć. Co innego nie sprawia mi przyjemności.

- Człowieku, o czym ty mówisz?! Te śmierdzące mięczaki to dla



nas nic nowego! - powiedział obojętnie sturmführer. - Jeśli nawet nie są tacy z natury, to i tak się w nich zamienia! Wcześniej czy później zawsze nam się to udaje, zazwyczaj wcześniej, niż się spodziewamy.

- W każdym wypadku?

- Z tymi śmierzdelami - potwierdził sturmführer lapidarnie - można zrobić po prostu wszystko! Na gestapo każdy puści farbę, gwarantowane - czy to generał, zwykły członek partii, czy dyrektor generalny. Człowieku, coś takiego to rzecz codzienna! Powinieneś się do tego jak najszybciej przyzwyczaić!

- Spokój! - krzyknął oburzony stenograf. - Znowu uciekło mi parę słów. Nie mogę już tego znieść! Chcę mieć niczym nie zakłócone warunki do pracy!

Trzecia stacja:

Raport sporządzony przez doktora Wenera Besta bezpośrednio po „przesłuchaniu” generała von Fritscha przez gestapo. Przekazany bezzwłocznie Heydrichowi, który z kolei poinformował Himmlera, a ten także Göringa. Göring tak oto relacjonował führerowi:

- Otto Schmidt trwa niewzruszenie przy swoim obciążającym zeznaniu. I to nawet po dwukrotnej konfrontacji z obwinionym. Można przyjąć, że postawa głównego świadka oskarżenia nie budzi wątpliwości. Oczywiście, podejrzany w dalszym ciągu uparcie za przecza, jakoby miał z tą sprawą coś wspólnego. Nie potrafił jednak przedstawić żadnych przekonujących argumentów. Tym samym nie można go uznać za oczyszczony z zarzutów prawnych. Przeciwnie, jego pasywność jest podejrzana. Albowiem nie broni się dość skutecznie przeciwko tym pomówieniom. Z czego nieuchronnie można wnioskować, że jest winny.

Hitler: - To wszystko jest naprawdę obrzydliwe! Niepojęte, na co naraża nas ten człowiek! trzeba go wreszcie przywieść do rozsądku. Wszelkimi środkami.

Czwarta stacja:

Szczegóły z raportu doktora Mellera;

„Jeszcze tego samego wieczoru zobaczyłem się z moim przyjacielem Huberem - mniej więcej o tej samej godzinie zjawił się także, na moją propozycję, pułkownik Oster. Spotkaliśmy się w miejscu uważa-

nym za nie wzbudzające podejrzeń; w mieszkaniu znajomego, który wybrał się w podróż. Uhlandstrasse 24. Znajomy ten był nie tylko godnym zaufania stronnikiem, ale miał także okazały zapas wysokiej jakości trunków. Dysponowałem kluczami do mieszkania i barku.

- Pułkownik Oster przybył bezpośrednio po mnie - poprosił o kieliszek sherry. Podobnie jak ja był pełen napięcia. Nie musieliśmy długo czekać na Hubera. Robił wrażenie agresywnie, wręcz wyzywająco rozeźlonego – nigdy jeszcze do tej pory takiego go nie widziałem. Prawie się z nami nie przywitał; tym intensywniej lustrował mieszkanie.

- Cholernie wytworny ten lokalik. -Kim trzeba zostać, żeby móc sobie pozwolić na coś takiego? Ten nasz świat jest zepsuty, gdziekolwiek by spojrzeć. Zawsze tak było. Tylkcrze teraz widać to szczególnie wyraźnie.

Na tę uwagę, wypowiedzianą niemal z wrogością, zareagowałem z oburzeniem. „Pułkownik Oster jednak z wyczuciem zinterpretował jego stan ducha: - Widać, że jest pan ty złym nastroju, panie Huber. Czy zdarzyło się coś złego?

- Delikatnie powiedziane! - Huber rzucił swój lekki płaszcz i zmięty kapelusz na fotel. Potem stanął, szeroko rozstawiwszy nogi, w swoim nędznym, zniszczonym garniturze i poprosił o koniak - »ale w szklance«. Nim jednak otrzymał żądany trunek, wykrzyknął niebывale oburzony: - Na co, do licha, narażono tego von Fritscha a przy tym także i mnie?! Przecież nie można puszczać go na dwór bez parasolki kiedy z nieba leje się gówno!

, A więc wszystko było jasne: zdaje się, że gestapo miało generała w rękę. Samo to jednak nie wyjaśniało w pełni niemal zjadliwej agresji Hubera. Trzymał w dłoni napelnioną koniakiem szklankę, ale nie pił. Przeciwnie, patrzył na mnie i na Oстера prawie oskarżycielskim wzrokiem.

- Jak panowie mogli do tego dopuścić?! Myślałem, że z was prawdziwi, wypróbowani tacytocy i organizatorzy! A wy wydaliście tego Von Fritscha prosto w ręce tych nożowników - bez przygotowania go, bez instrukcji! Mój Boże, on przypominał owieczkę ofiarną prowadzoną na rzeź.

- Naprawdę było aż tak źle, panie Huber? - spytał pułkownik Oster, teraz wyraźnie zaniepokojony.

Usiłowałem złagodzić oburzenie naszego przyjaciela Hubera, przy czym jednak, reagując zupełnie spontanicznie, dopuściłem się prowokacji: - Ostatecznie, mój drogi, wpuściliśmy pana między te wilki mając nadzieję, że wkroczy pan do akcji skutecznie i rozsądnie.

- Toż to czysta bzdura, Meller! - wypalił Huber bez zażenowania. By już za chwilę udowodnić, dlaczego to taka »bzdura«, co mu się nawet bez trudu udało, muszę przyznać. Pułkownik Oster, jak się zdaje, też był tego zdania.

Huber: - Zacznijmy od praktyki! Tak więc w moje ręce dostały się dosyć starannie opracowane dokumenty końcowe. Przede wszystkim ich musiałem się trzymać. Gdybym tego nie zrobił, wtedy gestapo, ale i na pewno Heydrich, zorientowałyby się bardzo szybko, że ze mną jest coś nie w porządku. Od razu powstałoby pytanie: co on tu knuje i kto nam go podsunął?

- A wtedy dobrahby się tobie do skóry, Meller - powiedział pułkownik Oster. - Logiczne. Stałbyś się dla tych naszych braci osobą co najmniej podejrzaną. A przy tej okazji wszyscy byśmy się potopili.

Aby uporać się z tym, co usłyszałem, potrzebowałem, mówiąc szczerze, trochę czasu. Oster patrzył na mnie z wyczekiwaniem. Ciągle jeszcze próbując uniknąć odpowiedzi, musiałem jednak przyznać:

- Rzeczywiście, sytuacja zrobiła się cholernie drażliwa.

Huber patrzył na mnie niemal szyderczo, a jednocześnie badawczo; również Oster mierzył mnie krytycznym wzrokiem. I w tym momencie przyszło mi do głowy takie rozwiązanie:

- Ty, Oster, musisz teraz jak najszybciej zadbać o to, żeby generałowi przydzielono pierwszorzędnego adwokata, którego i on zaakceptuje. Zgodą?

- W porządku!. Spróbuję zdobyć najlepszego. Co dalej?

- Na początek to wszystko, dla ciebie. Ja natomiast niezwłocznie odwiedzę mojego przyjaciela Heydricha. I oświadczę mu, bardzo ostrożnie, ale zarazem dosyć stanowczo, że całe to forsowane, przez gestapo oskarżenie von Fritscha jest kolosem na glinianych nogach. Są o tym przekonani, powiem mu, Naczelne Dowództwo, Abwehra, liczni generałowie i oficerowie, a także niektórzy fachowcy z policji.

Oster skinął głową z aprobatą, nie bez uznania, jak mi się zdawało. - Może to rzeczywiście nie byłoby złe. Heydrich nie jest półgłówkiem; nie da się zrobić w lekkomyślne imputacje.

I właśnie dlatego spróbuję mu zasugerować, że byłoby raczej wskazane wycofanie się z linii ostrzału! Ale żeby zabrzmiało to przekonująco, musiałbym mieć pod ręką jakieś prawne szczegóły, które wywarłyby na nim wrażenie.

- Domyślam się, że potrzebna jest moja pomoc? No dobrze, spróbuję, na pańską odpowiedzialność. Ale czy pan w ogóle zdaje, sobie sprawę., w co się wdaje?

Stwierdziłem, że wiem. Z pewnością wtedy nie można było jeszcze się zorientować, w co wdałem się tak naprawdę. Koniec Hubera też był w to wliczony".

Piąta stacja:

Pomieszczenie biurowe w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy - w nocy po opisanym dniu. Zawalone papierami biurko, pełne półki, ale ani jednego urzędnika. Albowiem również ta główna kwatery śmierci miała uregulowany czas pracy. Dodatkowe nocne akcje jednostek specjalnych odbywały się "- najczęściej pod hallem, czyli .w piwnicach. .

Tej nocy Huber pozostał w pomieszczeniach biurowych; w wydziale Meisingera - Zwalczenie homoseksualizmu. Włączył górne oświetlenie, aby skutecznie przeszukać tę oborę. Dokładnie wiedział, czego szukał i gdzie szukać.

Huber bowiem był praktykiem - specjalistą wysokiej klasy, nie omylnie działającym, z zimną krwią i z godną uwagi znajomością rzeczy. Od razu się zorientował: akta stanowiące podstawę przesłuchania von Fritscha zostały po prostu gorliwie spreparowane. Prawdopodobnie przygotowane przez specjalnie do tego powołanych urzędników pod kierownictwem Meisingera, który, nawiasem mówiąc, przebywał obecnie na Dalekim Wschodzie, czerpiąc „siłę z radości".

Ale przecież albo gdzieś u niego, albo u kogoś z jego' najróżniejszych współpracowników musiał leżeć ten materiał - czyli w pokoju, w którym obecnie znajdował się Huber. Pracował bardzo systematycznie. Poruszał się jak czyhający tygrys na samym skraju należącej do niego części dżungli.

Najpierw, przeszukał dolne szuflady z lewej strony biurka rozmaitych ekspertów, i tam właśnie odkrył wreszcie teczkę dwa razy

grubszą od tej, którą oficjalnie nazywano „dossier Fritscha” i którą mu udostępniono. Owo znalezisko stanowiło rodzaj suplementu do cieńszej teczki, było zbieraniną zgromadzonych, ale nie wykorzystanych dokumentów. Nie wykorzystanych wyraźnie z tego powodu, że przeszkodziłyby w osiągnięciu wyznaczonego celu.

Te oszalamiająco przydatne akta Huber przeglądał, wcale się nie spiesząc. Robił przy tym liczne, bardzo dokładne notatki. Co chwilę kręcił głową z niedowierzaniem - tak jak często w ostatnich dniach.

- To by chyba wystarczyło - powiedział wreszcie.

Potem odłożył teczkę na to samo co do milimetra miejsce, gdzie leżała poprzednio. Niczego nie dało się rozpoznać, nigdy też nie wzbudziło to potem żadnych podejrzeń. Biuro znowu było puste.

Szósta stacja:

Berlińska prefektura policji. Gabinet zastępcy naczelnika, Fritza-Dietlofa hrabiego .von der Schulenburga.

Był to pokój, w którym panował irytujący rozgardiasz: gazety i czasopisma leżały na stołach, krzesłach i parapetach; wśród nich piętrzyły się książki, poniewierały się również na podłodze. I właśnie tutaj znalazł się Huber niemal godzinę po północy.

- Co za niespodzianka! -wykrzyknął von der Schulenburg z lekką ironią. - Nasz najlepszy koń, którego musieliśmy oddać gestapo! Ale jak pana znam, to nie przyszedł pan tu niestety po to, aby odwiedzić znajome kąty..

- To dosyć drażliwa sprawa, panie hrabio.

- Nie straszcie, nie straszcie, drogi Huber - odparł hrabia żartując pogodnie. - Czyżby chciał mnie pan aresztować?

- Prawdopodobnie wcześniej czy później zrobią to inni, lecz na pewno nie ja! W każdym razie ja czuję już taki smród, że czasami jest mi wręcz niedobrze.

- Hrabia von Schulenburg zmierzył Hubera uważnym spojrzeniem.

- Jeśli pan chce wrócić do nas, będę się tylko cieszył. I zrobię wszystko, żeby się tak stało.

- Nie o to chodzi, panie hrabio. Teraz już na pewno nie mogę wrócić, w żadnym wypadku. Chciałbym tylko dostarczyć panu pewną informację. I wyrazić jedną prośbę.

- Słucham i mam nadzieję, że to nie potrwa długo, drogi Huber.

- Hrabia von der Schulenburg z uśmiechem wskazał na przepelnione regały. - Jak pan widzi, robię właśnie porządki. Jutro rano bowiem wyjeżdżam z rodziną na urlop w góry: narty, spacer, sanki! No i wreszcie trochę pooddycham świeżym powietrzem. Chyba nie będzie mi pan próbował w tym przeszkodzić.

- W żadnym wypadku, panie hrabio! Życzę panu udanego urlopu i mniej więcej tego samego życzyłbym również sobie. Na razie jednak nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem zajęty tak zwanym przypadkiem Fritscha.

- O którym słyszałem i potraktowałem go najpierw jako swoisty żart władzy, lecz nie potrafiłem się z niego śmiać. Ale teraz i pan z tym wyjeżdża, i to akurat u mnie! Dlaczego?

- Ponieważ znam bardzo różnorodne dokumenty dotyczące tej sprawy, nie mające jednak mocy dowodowej. Chodzi o wyciągi z akt, odpisy, a więc nie oryginały. A właśnie oryginały są mi potrzebne, muszę je mieć! Na pewno dałoby się je znaleźć tutaj, panie hrabio, w aktach berlińskiej prefektury policji. Czy mogę liczyć na to, że mi pan pomoże w tych poszukiwaniach?

- Do czego pan zmierza? Czyżby miał pan zamiar zakwestionować cały nasz materiał?

Coś w tym rodzaju. Ale to będzie tylko tak wyglądało. Zależy mi zwłaszcza na dokumentacji referatu obyczajowego. Trzeba ją zablokować, czyli uniemożliwić bezpośrednie sięgnięcie po nią przez gestapo W ciągu najbliższych dwóch, trzech tygodni. W tym czasie spróbuję przejrzeć ten materiał i to, co będzie mi się wydawało ważne, zabezpieczę. Czy daje mi pan wolną rękę?

- Jeśli jest to bezwzględnie konieczne - zgodził się hrabia von der Schulenburg, co prawda z lekką niechęcią. Ale to już naprawdę, ostatnia rzecz, jaką zrobię tu, w tym bałaganie, nim wreszcie pójdę na urlop. Tak więc schowam te dokumenty tak, aby oprócz pana nikt nie miał do nich dostępu podczas mojej nieobecności, która potrwa mniej więcej tyle czasu, ile pan potrzebuje na dosyć dokładne opracowanie tych materiałów. Nikt, także gestapo. Tylko pan. Odpowiada to panu?

- Dziękuję, panie hrabio. Coś powinno z tego wyniknąć.
- A więc mogę spokojnie opuścić ten chlew?
- Pozwolę sobie życzyć panu udanej podróży.

Von der Schulenburg uśmiechnął się z ulgą. - Może przyjedzie pan odwiedzić mnie w górach, całkiem oficjalnie, na przykład w celu złożenia raportu czy też służbowej relacji, na koszt państwa. W każdym razie będzie mi miło pana zobaczyć, drogi panie Huber.

- Niewykluczone, że również ja będę musiał udać się wkrótce na długi, prawdopodobnie nawet bardzo długi urlop. Chcę jednak na niego zasłużyć, żeby móc go w pełni wykorzystać. Mam nadzieję. Wszystkiego dobrego.

Siódma stacja:

Następnego dnia po południu. Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Biuro gruppenführera Heydricha. Przed nim stoi funkcjonariusz policji kryminalnej Huber. Huber nie prosił o tę rozmowę, to Heydrich wezwał go do siebie, starając się być sympatyczny.

- Ubiegłej nocy - powiedział Heydrich poufnie - przeprowadziłem dosyć interesującą rozmowę z moim drogim przyjacielem z lat młodości, Mellerem. Jego zdaniem byłby pan w stanie wyjaśnić, może jeszcze nie jest za późno, tę delikatną sprawę. Proszę bardzo, niech pan mówi, słucham.

Na co Huber bez zbędnych ceregieli oświadczył: - Mam uzasadniony powód, by zakładać, że oskarżenia wysuwane przeciwko generałowi von Fritschowi są do podważenia.

Heydrich niemal osłupiał. - Chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że istnieje materiał przemawiający na jego korzyść?

- O tym jestem nawet przekonany, gruppenführerze. Zgodnie z otrzymanym poleceniem wszcząłem śledztwo mające na celu ochronę naszego urzędu, i w jego wyniku okazało się, że to nie generał von Fritsch, ale zupełnie inny mężczyzna o podobnie brzmiącym nazwisku był obserwowany przez Otto Schmidta, a później szantażowany.

Heydrich wyraźnie nie mógł uwierzyć. - - Czy jest pan pewny? Całkowicie? Tak? No dobrze, dlaczego miałbym panu nie ufać? Ostatecznie w swojej dziedzinie jest pan uznanym fachowcem, do tego jeszcze rekomendowanym przez mojego przyjaciela Mellera, co ma dla mnie duże znaczenie. Gdzie znajdują się te dokumenty?

- Zdaje się, że są dwa egzemplarze. Jeden w formie kopii, i to niepełnej, u nas w urzędzie, w wydziale, H-II, a drugi, prawdopodobnie oryginał, w zbiorze akt prefektury policji kryminalnej.

Heydrich zareagował szybko i zdecydowanie, jak zawsze: - Panie Huber - powiedział rozkazującym tonem - potrafię docenić pańską pracę. Ale tym razem nie muszę chyba szczególnie podkreślać, że w tego typu drażliwym wypadku liczę na pańskie zdyscyplinowane milczenie. Dziękuję panu, wkrótce znowu się odezwę.

Gdy tylko Huber się oddalił, Heydrich poddał się rozbudzonemu instynktowi psa myśliwskiego. Najpierw zadzwonił do generała Göringa: - Szykują się komplikacje w sprawie von Fritscha.

Hermann Göring zareagował jak można się było spodziewać, wielkim oburzeniem: - To nie wchodzi w grę - parsknął. - I ma pan nad tym czuwać Zgodnie z ustaleniami. Do tej pory starał się pan, potrafię to docenić, Ten von Fritsch jest już w pułapce! Niech pan pod żadnym pozorem nie pozwoli mu się z niej wydostać! Musi być poddany takiemu naciskowi, żeby wreszcie do wszystkiego się przyznał. Takie jest pańskie zadanie. Czy też koniecznie chce mnie pan zawieść?

- Nie! - odpowiedział Heydrich.

- Również bym panu tego nie radził! Sprawa przedstawia się teraz tak, jak kiedyś powiedział Führer: ten pociąg już odjechał! Czyli nie da się go zatrzymać. Czy też akurat pan zamierza go wyhamować? Nie? No to, człowieku, czuwać nad tym, żeby jechał dalej! Szybko i prosto do celu. Zrozumiałe?

Heydrich zrozumiał i natychmiast wezwał do siebie swoich dwóch najbliższych, najbardziej zaufanych współpracowników, którzy na każde skiniecie jego ręki byli gotowi do usług. Niby posokowce weszli ciężko do gabinetu.

Heydrich powiedział im: - Ma się tu natychmiast stawić hrabia Helldorf. Przydzielony nam niedawno funkcjonariusz Huber, wyraźnie przeciążony pracą, może iść na dłuższy urlop. Jednocześnie trzeba przygotować jego przeniesienie, jak najdalej stąd, bez sensacji. A teraz wezwać Meisingera, dostanie mu się ode mnie!

- Wyjechał na urlop - powiedziano ostrożnie.

- Mam to w dupie. Natychmiast ma się tu stawić! Jak znam Göringa, użyje do tego swojej Luftwaffe. Ja w każdym razie chcę wreszcie widzieć nie dające się podważyć rezultaty, wszystko jedno, jakim kosztem. Żadna cena nie jest tu za wysoka!



Dwunasta próba beletryzacji biegu wypadków  
związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Podróż do  
Włoch

Dni, jakie dane było spędzić Wernerowi von Blombergowi z jego ukochaną żoną we Włoszech, wydawały mu się na początku niczym nie zmaconym pasmem szczęścia. Słońce na Capri świeciło szklanym, zimnym blaskiem. Zaznaczało wyraźną linią kontury stromych skał nad białą plażą, pinii, które nigdy nie traciły liści, jasno połyskujących domów i wielobarwnych, łodzi rybackich daleko na morzu.

Tu, na Capri, Blombergowie byli przyjmowani z wyszukaną uprzejmością, przynajmniej przez personel hotelu. Werner prosił, aby unikać mówienia do niego per „panie feldmarszałku”. - Czy mógłbym prosić, aby zwracano się do mnie per „panie Blomberg”? Jestem tutaj z moją żoną na urlopie. I oboje chcielibyśmy korzystać z niego jako osoby najzupełniej prywatne.

Mhno to zwracano się do niego per „panie feldmarszałku”. Na przykład wtedy, kiedy dyrektor hotelu, uszczęśliwiony i z pełnym uniżeniem, spieszył do niego, by mu zameldować: - Panie feldmarszałku, błyskawiczna rozmowa z Berlinem, Ministerstwo Wojny.

A więc ciągle jeszcze go tam potrzebowano, stwierdził von Blomberg. Keitel pod wpływem Führera był uosobieniem uprzejmości; prosił go łaskawie o informacje, wskazówki, rady.

- No, mój drogi Keitel, co tam słyszeć? Wszystko dobrze? Naprawdę? Czyli dokładnie tak, jak zaplanował Führer? W porozumieniu ze mną. Cieszę się.

Niektórzy z zaprzyjaźnionych generałów pisali także do mego listy, wręcz wyjątkowo serdeczne, niektóre jednak boleśnie obojętne. Blomberg wolał przypuszczać, że to tylko dlatego, by nie dawać powodu bardzo gorliwej niemieckiej cenzurze do zatrzymania korespondencji czy też by nie dopuścić, aby listy krążyły między gestapo a policją. Ale również i te listy, ku jego uldze, adresowane były jednoznacznie do pana feldmarszałka Wernera von Blomberga, obecnie Grand Hotel, Capri, Italia.

W hotelowej szafie na ubrania, obok paru starannie uszytych, angielskich cywilnych garniturów, w kolorach od stali do ciemnego granatu, wisiał także jego galowy mundur Błyszcział nęcąco rażący

oczy krwistą czerwienią kołnierzyk z wyhaftowanymi dębowymi liśćmi, a poniżej imponująco szeroki rząd orderów. Na dole leżała jego marszałkowska buława w aksamitnym futerale - w każdej chwili można było po nią sięgnąć. I Blomberg z uszcześliwieniem stwierdził, że jego ukochana Eva przywiązywała dużą wagę do tego, aby ten wspaniały uniform znajdował się w nienagannym stanie.

- Mam nadzieję - powiedziała, czując na sobie jego pieśczośliwe spojrzenie - że wkrótce będziesz znowu miał okazję włożyć ten przepiękny strój.

- Z całą pewnością, moja droga - zapewnił z przekonaniem Werner - wcześniej czy później to nastąpi. Przecież Führer mnie potrzebuje, mówił mi o tym kilkakrotnie.. Kiedy tylko ta cała sprawa, spreparowana przez paru karierowiczów i zazdrośników, umrze śmiercią naturalną, znowu nastanie mój czas.

- Czy wtedy dalej będę twoją żoną?

- Nie miej żadnych czarnych myśli, moja piękna! Obiecuj mi to!

Objął ją, a ona przytuliła się mocno do niego. - Jesteś jedynym człowiekiem, który całkowicie odpowiada mojej istocie - wyznała, czując do niego nieskończoną wdzięczność. Udowadniała mu to ciągle swoją bezmierną, pełną oddania czułością. Przy niej wydawało mu się - i to mężczyźnie sześćdziesięcioletniemu - że jest w kwiecie wieku.

Wspólne dni na Capri spędzali na wesołym lenistwie, pogodnie odprężeni, w błogosławionym spokoju. Delektowali się wysmienitymi posiłkami, pili wyborne białe wino, szczególnie frascati i orvieto; wytrawne, nazywane secco, produkty rzymskiej prowincji, które należało pić ostrożnie schłodzone, a w żadnym wypadku lodowato zimne. - Co za precudny kraj, jaki wspaniały czas! — powtarzała ciągle Eva.

- To dopiero początek - zapewnił on.

Na przedpołudniowych spacerach nie rozmawiali ze sobą zbyt dużo. Trzymając się za ręce, przytuleni, szli jak młoda, zakochana para, uliczkami, po skałach, aż do piniowych lasów.

Cudownie błyszczącym zachodom słońca przyglądali się zazwyczaj z balkonu, w milczeniu, szczęśliwi, jak zaczarowani. Ich miłość osiągnęła to stadium, w którym milczenie staje się mową. Mocno przytuleni do siebie spoglądali na jedwabiście niebieskie, łagodnie połyskujące morze. Nigdy jeszcze nie czuli się tak sobie bliscy. I nigdy jeszcze do tej

pory ich Niemcy nie wydawały im się tak dalekie, tak nieskończenie dalekie.

- Mam ochotę krzyknąć ze szczęścia! - wyznała. - Tak oboje znaleźliśmy szczęście -- potwierdził. - Nic poza tym się nie liczy.

Ktoregoś z tych przepojonych miłością dni zjawił się na Capri poważny mężczyzna w ciasnym, ciemnym garniturze. Miał przy sobie ciężką teczkę. Ani na chwilę nie wypuszczał jej z rąk, czym prawdopodobnie chciał dać do zrozumienia że przybył tu z misją służbową.

Był to pułkownik należący do sztabu Wehrmachtu. Swego czasu Blomberg sam go sobie wyszukał, pomógł inu w karierze, obdarzył ważnymi zadaniami, wprowadził nawet w swoje prywatne kręgi towarzyskie, za co ów oficer okazywał mu dużą wdzięczność. Jedną z ostatnich czynności służbowych feldmarszałka było przedstawienie kandydatury pułkownika do awansu na generała majora.

Gdy ów mężczyzna tu, na Capri, stanął przed Blombergami, wyglądał na wojskowego z prawdziwego zdarzenia. Prześiąknięty poprawnością aż do szpiku kości. Pełen konwencjonalnego dystansu.

Uklonił się. Najpierw Blombergowi, z pełnym respektem. - Panie feldmarszałku! - Potem wykonał ukłon, ale ledwie zauważalny, w kierunku małżonki. - Pani Blomberg - wymamrotał.

Mimo to feldmarszałek przywitał go bardzo serdecznie, mocnym kłapinięciem w ramię. - Ogromnie się cieszę, że pana widzę, drogi pułkowniku. Co pana do mnie sprowadza?

- Mam wręczyć panu, panie feldmarszałku, pewne dokumenty z Ministerstwa Wojny Rzeszy. Nie znam ich, treści, pełnię tylko funkcję kuriera. Polecono mi poprosić pana o przejrzanie tych papierów i poczynienie uwag do nich. O co chodzi dokładnie, generał Keitel na polecenie Führera - proszę przyjąć pozdrowienia od nich obu - zaznaczył w każdym wypadku na oddzielnych kartkach.

- Zaraz się do tego zabiorę - zapewnił von Blomberg. Sprawiało mu to radość, że nadal chciano znać jego stanowisko. Bo przecież chodziło na pewno o jakieś znaczące sprawy wagi państwowej, skoro dostarczono mu te dokumenty przez specjalnego kuriera, wyższego oficera. Dlatego też z wdzięcznością przyjął przekazaną mu teczkę z dokumentacją. - Pójdę do sąsiedniego pokoju, żeby nie nie prze-

szkadzało mi w pracy. A ty w tym czasie, droga Evo, zajmij się naszym miłym gościem.

Pani von Blomberg rzeczywiście starała się uczynić zadość prośbie - męża, i to w sposób wręcz wzruszający, czego jednak ów pułkownik jak gdyby nie zauważał; prawdopodobnie nie chciał zauważyć. Kiedy poprosiła go, aby spoczął, usiadł na krześle znajdującym się w pewnej od niej odległości. I nawet odsunął go jeszcze kawałek dalej.

Eva von Blomberg spytała uprzejmie, czy miałby ochotę na kawę; odmówił. Potem zaproponowała mu wino, również wodę mineralną, campari. - Napój godny polecenia, panie pułkowniku, w jakiś wyjątkowy sposób pasuje do tego krajobrazu. A może woli pan szampana?

- Dziękuję za wszystko! - odmówił pułkownik. Przy czym zmierzzył ją wzrokiem bez skrępowania, jakby miał przed sobą jakieś zwierzątko z bajki. Wśród określonych „materiałów dowodowych” na pewno wpadły mu w ręce rozmaite fotografie tej „pani feldmarszałkowej”.

Mimo to jednak, tak, tak, musiał przyznać, że ta osobka nie była aż tak niesympatyczna, jak sobie wyobrażał. Przeciwnie, powiedziała by nawet, że jest bardzo kobieca, mająca znaczne walory! Ale ożenić się z czymś takim? Nigdy! Nawet będąc pułkownikiem! A już na pewno niejako feldmarszałek...

Eva zadawała sobie wiele trudu, by przełamać nieprzyjemną powściągliwość gościa. Doprawdy nie przychodziło jej to łatwo. Zwłaszcza że zauważyła, iż pułkownik nie zwraca się do niej per „laskawa, pani”, lecz mówił - jeśli w ogóle się odezwał - „pani Blomberg”. Zapominając o przynależnym jej nazwisku arystokratycznym „von”.

Czuła się dotknięta. Niebywale. Starowała się jednak nie dać tego po sobie poznać. Ale im serdeczniej się zachowywała, tym bardziej zdradzała swoją niepewność. Na przykład wtedy, gdy powiedziała zachęcająco: - Mam nadzieję, że kiedy wrócimy do Berlina, to Znaczy Werner i ja, będziemy mieli przyjemność gościć pana u nas. Wiem, iż mój mąż niezwykle pana ceni, panie pułkowniku. Moglibyśmy miło spędzić czas.

To niezwykle nęcące, pani Blomberg - oświadczył pułkownik niewzruszenie powściągliwym, lekko skrzypiącym głosem - bardzo interesujące!

- No, to załatwione - oznajmił feldmarszałek wychodząc z sąsied-

niego pokoju. - Führer powinien być zadowolony, nasz Keitel też. Czy zje pan z nami kolację?

- Bardzo żałuję, ale dano mi do zrozumienia, że moja misja jest równie ważna, co pilna. Tak więc bezzwłocznie muszę wracać do Berlina. - Po czym uklonił się tak samo jak przy powitaniu: - Panie feldmarszałku! Pani Blomberg! - aby jak najszybciej się oddalić.

- No, moja droga, miło ci się z nim rozmawiało? - spytał Werner.

- Usiłowałam- wyznała patrząc na męża ze zmieszaniem -Zdaje się, że jednak mi się nie udało. Nie do końca.

- To nic. Ostatecznie potrzebujesz czasu, żeby przyzwycząić się do mojego świata, co na pewno nie przyjdzie ci z trudem. Jesteś cudownie elastyczna! Musisz oczywiście wiedzieć, że w tyna naszym świecie zdarza się walka o władzę, która czasami prowadzi do dosyć dziwnych komplikacji. Trzeba nauczyć się odróżniać rozmaite typy. Pułkownik z całą pewnością nie jest złym człowiekiem, ale chyba nie wie, kogo ma wybrać.

Kiedy jednak ów pułkownik znowu znalazł się w Berlinie, opowiadał wszystkim wokoło bez skrępowania: -Ta dama jest niemała kokietka"

## Jak Hitler wystarał się o nowego dowódcę sił lądowych Przygotowanie

- Moi panowie - mówił Adolf Hitler - powinniśmy przyjąć, że raczej nie uda nam się uniknąć utraty naszego pana von Fritscha. A więc, chcąc nie chcąc, musimy pomyśleć o jego następcy.

Führer wezwał do siebie swoich nowych mężów zaufania; po pierwsze generała Keitla, który wkrótce miał zostać oficjalnie mianowany szefem Wehrmachtu. Następnie urzędującego już następcę pułkownika Hossbacha, adiutanta Wehrmachtu majora Schmunda, Zdawało się, że również on był „udaną zdobyczą”; także odznaczał się wprost bajeczną zdolnością czytania w ludzkich myślach.

Hitler poprosił o konstruktywne propozycje. Na co bezzwłocznie przedłożono mu listę, niezbyt długą, z nazwiskami osób, które wchodziły w rachubę jako następcy von Fritscha. Nowi doradcy Hitlera ze strony Wehrmachtu pozwalali sobie przy tym na krótkie, w ich pojęciu konieczne komentarze z których wynikało, co następuje:

Pierwsza możliwość, z pozoru najprostsza:

Beck, szef sztabu generalnego armii. Znał dokładnie najważniejsze plany operacyjne von Fritscha; poza tym był organizatorem i teoretykiem dużej miary. Jednakże jego ogromna arbitralność pod względem militarno-politycznym mogłaby okazać się nie do końca bezpieczna, a co najmniej niewygodna.

Dalej: generał von Rundstedt. Doskonały dowódca, wspaniały żołnierz. Ale chyba o pięć, jeśli nie o dziesięć lat za stary jak na taki wyczerpujący nerwowo urząd. Potem: generał von Witzleben. Nadzwyczaj utalentowany strateg, szanowany i przez oficerów, i przez żołnierzy, jednak o niezbyt klarownych poglądach politycznych. To samo można powiedzieć o generale Stülpnaglu; tego należałoby nawet określić jako „niełojalnego” z powodu kilku wysoce wątpliwych wypowiedzi,

- A więc kto?
- No, może generał von Reichenau!

Balansowanie;

- Reichenau! - Adolf Hitler w tym momencie zaczął uważnie nasłuchiwać i potakującym ruchem głowy przyznał rację swoim doradcom. Właśnie dokładnie to nazwisko chciał usłyszeć, ale oprócz tego jeszcze jedno. - To doskonały pomysł, który jednak należy gruntownie przemyśleć więc proszę o argumenty za i przeciw, jak najbardziej szczerze.

Generał Walter, von Reichenau był dla jeszcze licznych i nadal dominujących w Wehrmachcie zdecydowanie konserwatywnych żołnierzy starej daty czymś w rodzaju „czerwonej płachty na byka” - a dokładniej mówiąc: brunatnej, rażącej w oczy! Tego wysportowanego, grającego w piłkę nożną generała uważano powszechnie za zdeklarowanego nazistę - niekiedy nawet za zdecydowanego faworyta Hitlera. To on właśnie po śmierci Hindenburga wymyślił tę wątpliwą przysięgę Wehrmachtu - to nastawione wyłącznie na osobę Hitlera ślubowanie.

Mimo to wielu osobom - w tym także Hitlerowi - człowiek ten wydawał się postacią dosyć niepewną i zmienną. Ponieważ on także, podobnie jak von Blomberg, był typem światowca. Kiedyś towarzyszył swojemu ojcu w podróży do Ameryki Południowej, gdzie obaj

sprzedawali z sukcesem działa Kruppa oprzyrządowanie i amunicję. Zjeździli Stany Zjednoczone, Bliski Wschód, całą Europę Środkową. Władal kilkoma językami, jego angielski uchodził za doskonały.

I właśnie w tym języku powiedział kiedyś do swojej żony, beztrósko, wśród licznych towarzyszy: „I hate these swastikamen!” Nienawidzę tych hakenkreuzów! O wyznaniu tym szybko doniesiono Hitlerowi, który jednak nazbyt skwapliwie - co wielu wydało się podejrzane - zbył je słowami że prawdopodobnie uknuto podstępne oszczerstwo.

- A więc Reichenau! Co pan o tym sądzi, Keitel?

- Miałbym wiele do powiedzenia. Nie ukrywam też moich zastrzeżeń! Wydaje mi się, że znam nieco Reichenaua; przez dłuższy czas ściśle współpracował w Ministerstwie Wojny z Blombergiem. Potem jednak doszło między nimi do wcale niemałych rozbieżności.

- Jakich?

- Hm, Reichenau uparcie usiłował zmienić zasady zachowania się żołnierzy. Chciał na przykład zrezygnować ze zwracania się w trzeciej osobie; zastanawiał się nawet, czy nie można by usunąć dystynkcji wojskowych. Pomysły, które w sferze wojskowości zagrażałyby całej substancji. Na dodatek kiedyś w Królewcu wziął udział w biesiadzie żydowskiego związku bojowników frontowych na szczęście nie występował w mundurze.

- To zwykła fanfaronada - stwierdził Hitler z obojętną wyższością.

- Mimo to niech tu przyjdzie, spróbujemy go wysondować. - Po chwili spojrzal uważnie na Schmundta. - Zdaje się, że ma pan jeszcze jakąś zupełnie inną propozycję? - zachęcał adiutanta. - Słuchamy!

Major Schmundt powiedział: - W tej sytuacji, która jest w pewnej mierze sytuacją przejściową, potrzebujemy, mein Führer, kogoś, kto jest zdolny do kompromisów. - I wtedy padło wreszcie to nazwisko, na które Hitler czekał cały czas, - Pozwalam sobie - powiedział nowy adiutant Wehrmachtu - zgłosić kandydaturę generała von Brauchitscha.

- Propozycja zasługująca na uwagę! Pan pewnie też jest tego zdania, Keitel? Tak? Dobrze, wobec tego niech i on też przyjdzie. Zobaczymy, co z tego wyniknie

Wybory wstępne:

Od razu następnego dnia, w godzinach przedpołudniowych, generał Keitel zjawił się ponownie u swojego fùhrera. Przez cały wieczór i przez noc zbierał materiał - bądź też wydawał odnośne polecenia. Wspaniały materiał, uważał. I właśnie teraz zamierzał go zaprezentować.

Keitel: - Generałowie von Reichenau i von Brauchitsch są już w drodze do Berlina. Dla jednego zarezerwowałem pokój w hotelu „Esplanade”, dla drugiego w „Continentalu”. Obaj tuż po przyjeździe zameldują się u mnie.

- Moje uznanie, Keitel, to się nazywa organizacja! - wykrzyknął z aprobatą Hitler. - Ale teraz niech mi pan powie, jak daleko zaszedł pan w swoich dociekaniach. Reichenau nie interesuje mnie tak bardzo, o nim wiem dostatecznie dużo. Chcę wiedzieć, co z Brauchitschem?

Keitel zaczął żarliwie referować: - Walther von Brauchitsch, generał piechoty, ma za sobą wzorową żołnierską karierę. Jako chłopak należał do poczdamskiego korpusu kadetów, potem był paziem u cesarzowej. Augustyny Wiktorii. Bardzo wcześniej awansował na oficera. Następnie doskonale sprawdził się na froncie, otrzymał ordery. Wreszcie został oficerem, Reichswehry, bez skazy. Wszędzie określany jako godny zaufania, niezwykle przydatny, wielostronny - również teraz. Ponadto jest to mężczyzna o eleganckiej aparycji, rycerskim sposobie bycia i godnej postawie.

- Nawet nieźle się tego słucha - stwierdził Hitler. - Mam jednak wrażenie, że za tym wszystkim kryje się jakaś pułapka. "

- Można by tak sądzić, mein Fùhrer. Mianowicie na początku trzydziestego piątego roku Brauchitsch podał się do dymisji. Złożył ją ha ręce swojego bezpośredniego przełożonego, czyli pana von Fritscha. Z bardzo osobistych powodów.

- Niech mi pan to bliżej wyjaśni!

Keitel starał się wyglądać na zaszępionego, albowiem miał teraz zrelacjonować rzecz następującą: Mniej więcej dwanaście lat temu Brauchitsch poznał we Wrocławiu niejaką Charlotte Riiffer, żonę kolegi, oficera, z którym owa dama później się rozwiódła. Wkrótce jednak wyszła ponownie za mąż, nie zrywając zresztą bliskiego stosunku z Brauchitschem. Jej drugim mężem był dyrektor banku o nazwisku Schmidt, który utopił się w wannie. Brauchitsch nie wahał się



wkrótce po jego śmierci zamieszkać z ową panią Ruffer-Schmidt. Gotów był się z nią ożenić, nie może jednak, ponieważ on sam nadal jest żonaty.

- Co to za kobieta, ta Ruffer?

- Bardzo reprezentacyjna osoba, z całą pewnością zasługuje na miano damy. Poza tym zdeklarowana nazistka, ta kobieta wielbi pana, mein Führer, niebywale; niejednokrotnie dawała temu wyraz publicznie. Ona i Brauchitsch stanowiłby idealną niemiecką parę! Jednakże pani von Brauchitsch, jak się zdaje, nie chce się rozwieść, mimo że od lat żyje sama.

- A dlaczego nie chce się zgodzić na rozwód?

- Chyba ze względów finansowych; prawdopodobnie żąda bardzo wysokiego odszkodowania, a Brauchitsch nie jest w stanie jej zapłacić, choćby nawet bardzo chciał. Zdaje się, że finansowo jest zupełnie skończony.

- Moglibyśmy go uwolnić od tego fatalnego przymusu - powiedział Hitler w zamyśleniu.

Gdyby pomysł ten został zrealizowany, nałożyłoby to oczywiście na Brauchitscha poważne zobowiązania. Keitel otrzymał polecenie zajęcia się tą sprawą.

Oczyszczenie:

31 stycznia jeden z synów Brauchitscha, Bernd, późniejszy pułkownik, udał się do swojej matki mieszkającej w Lipsku. Właśnie z nim odbył zasadniczą rozmowę Keitel, sprytny pośrednik, poprosił go o poufną pomoc, zapewniając go jednocześnie: - Sprawa ta mogłaby zostać godnie i wspaniałomyślnie rozwiązana. Takie jest nawet specjalne życzenie Führera.

Po czym posłużył się następującymi argumentami: pan i pani von Brauchitsch niestety rozstali się - tego stanu rzeczy nie da się już z pewnością zmienić. Co prawda można całkowicie zrozumieć panią von Brauchitsch, że nie chce zgodzić się na rozwód przy tak niewielkim miesięcznym odszkodowaniu wypłacanym jej przez męża, z drugiej strony jednak - Führer pilnie potrzebuje generała. Tak więc od pani von Brauchitsch oczekuje się zrozumienia, zwłaszcza że jej się to opłaci.

Pani von Brauchitsch zareagowała z dużym opanowaniem: Te

dwanaście ostatnich lat ponizającego związku przetrwała z godnością; nie zdradzała najmniejszych oznak zgorzknienia, nawet wobec, własnego syna. Takie rozwiązanie mogłoby ją zadowolić, gdyby przedstawiono jej godne warunki. - Jak to ma wyglądać?

- Mamo, odszkodowanie w wysokości osiemdziesięciu tysięcy marek, wypłacane w dowolnej formie. Do tego jeszcze miesięczny wpływ w wysokości tysiąca marek, dożywotnio, z osobistą gwarancją Hitlera.

Propozycja nie została odrzucona.

Nabytek:

Generał Walther von Brauchitsch nie musiał już dłużej czekać w hotelu „Continental” na decyzję. Führer i kanclerz kazał przyjść mu do siebie i przyjął go z olśniewająco dobrze zagraną serdecznością Keitel, stojąc tuż obok, uśmiechał się z triumfem:

- Pan, panie generale, jest człowiekiem, w którym pokładam nadzieję, zawsze tak było. Nie wyobrażam sobie nikogo bardziej odpowiedniego, kto mógłby przejąć dowództwo nad naszą armią. Czy byłby pan gotów to uczynić?

- Zawsze jestem gotów, mein Führer, tym bardziej że pan sobie tego życzy. Niestety jednak muszę zwrócić uwagę na moją sytuację osobistą...

- Pańskie obiekcje dobrze o panu świadczą, panie von Brauchitsch. Doceniam pana otwartość i szczerość. W tym wypadku jednak nie musimy już obawiać się żadnych komplikacji, prawda, Keitel?

- Jeśli pan wyrazi zgodę, wówczas pańska małżonka otrzyma możliwie najwyższe odszkodowanie; jest już o tym poinformowana i zgłosiła gotowość udzielenia rozwodu. Wreszcie będzie pan mógł ożenić się z panią Ruffer-Schmidt. Co pan na to?

Generał von Brauchitsch nie powiedział najpierw ani słowa; zanie-mówił. Jednakże po uczuciu ulgi i uszcześliwienia ogarnęły go wątpliwości i niepokój. Bo nasuwało się pytanie, jaką cenę będzie miała ta niepomierna życzliwość. Mimo wszystko jednak: oto znalazł się, zupełnie nieoczekiwanie, w punkcie szczytowym swojej kariery. A zdarzyło się to wtedy, kiedy już myślał, że doszedł do kresu.

- A jakie warunki, pana zdaniem, miałbym spełnić, mem Führer?

Hitler nie odpowiedział precyzyjnie na to uzasadnione pytanie. Oświadczył wymijająco, że nie trzeba się spieszyć, należy to dokładnie przemyśleć, dopiero wtedy da się wszystko precyzyjnie ustalić i sformułować na piśmie. - Myślę, że za dwa trzy dni powinno nam się to udać, prawda, Keitel?

- Dwa dni z pewnością wystarczą - potwierdził generał skwapliwie

I rzeczywiście wystarczyły. Nad Brauchitschem pracowano niemal bezustannie; najintensywniej zajmował się nim Keitel, ale także Hitler, który wykazywał niezwykle koleżeńską postawę. Nawet Göring pod wpływem sugestii Hitlera udawał uszczęśliwionego i okazał to von Brauchitschowi. Major Schmudt zaopatrzył przyszłego dowódcę sił lądowych w grube stopy, akt, nie omieszkując przy tym dodać:

- Pan, parne -generale, byłby dla nas najlepszym człowiekiem! Obdarzonym powszechnym zaufaniem!

Dopiero później ujawniono najważniejsze życzenia Hitlera, przy których już wkrótce z dużym naciskiem obstawał: przepojenie armii duchem narodowosocjalistycznym, ograniczenie działań konserwatywnego sztabu generalnego, odpowiednie zmiany w urzędzie kadr, popieranie nowej generacji oficerów. Następnie: przyspieszone przygotowanie i uzbrojenie armii na wypadek wojny. Listę żądań zamknął następującymi słowami:

- Pozostanie pan w najściślejszej ze mną współpracy .

Walther von Brauchitsch zorientował się natychmiast, co to miało oznaczać w praktyce: całkowite podporządkowanie sił lądowych Adolfowi Hitlerowi. A tym samym uzależnienie całego Wehrmachtu od Führera i kanclerza Rzeszy.

Generał rzeczywiście dość długo zwlekał, nim przystał na wszystkie warunki. - Czy mogę prosić o czas do namysłu? - Prośbę tę jednak bez wahania i bardzo jednoznacznie odrzucono.

Przeciwnie, zażądano od mego, aby zdecydował się natychmiast: tak czy nie!

Co innymi słowy - znaczyło: albo zostanie pierwszym żołnierzem niemieckiej armii, zyskując największą materialną niezależność, albo

po prostu zdymisjonowanym generałem na przedwczesnej emeryturze i do tego jeszcze z balastem dwóch kobiet.

Odparł: - Tak jest, mein Führer!

Tym samym został kupiony.

Izolacja feldmarszałka von Blomberga, nieodzownie konieczna ze względów strategiczno-politycznych, dokonywała się teraz w tempie oszałamiającym. Wszystkie kontakty z nim zostały zerwane. Żadna osoba urzędowa nie pojawiała się już u niego. Również wizyty prywatne zdarzały się bardzo rzadko.

Stało się tak po tym, gdy tajny okólnik, wymyślony przez Hitlera, a sformułowany i podpisany przez Keitla, przedstawiono do wiadomości szefom poszczególnych sekcji, kierownikom wydziałów planowania i zarządzania Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Jego treść stała się wkrótce tematem rozmów w kasynach.

Owo szeroko rozpowszechnione „tajne pismo” oznajmiało: feldmarszałek von Blomberg nie pełni już swoich urzędów. Nie jest więc uprawniony do przyjmowania i żądania dokumentów, raportów i informacji. Od tej pory nie wolno z nim odbywać urzędowych narad czy przeprowadzać służbowych rozmów - bez specjalnej zgody Führera, o którą należy się-ubiegać za pośrednictwem generała Keitla. Ponadto zalecane jest znaczne ograniczenie prywatnych kontaktów z panem von Blombergiem, „feldmarszałkiem bez teki”; przynajmniej tak długo, dopóki nie dojdzie do ostatecznego wyjaśnienia wszystkich dotyczących go okoliczności.

To dobrze pomyślane, podstępne rozporządzenie wywołało najrozmaitsze reakcje. Większość z nich, co jest godne uwagi, była wyraźnie nieprzychylna osobie feldmarszałka. Albowiem ów von Blomberg nie cieszył się specjalną sympatią wśród konserwatywnego korpusu oficerskiego z powodu rzekomo prowokacyjnie pronazistowskiego nastawienia. Większość myślała tak: doczekał się. Ma za swoje.

Natomiast inni, choć w niewielkiej liczbie, potrafili przewidzieć wszelkie możliwe konsekwencje tej sytuacji: jeśli Hitler potrafi się tak obejść nawet ze swoim feldmarszałkiem - to czego można się po nim spodziewać? I zirytowani zadawali sobie pytanie: „Powinniśmy się przeciwko temu bronić - ale jak?”

Trzynasta próba beletryzacji biegu wypadków  
związanych z osobą Evy Gruhn Temat: Upadek

Eva Blomberg niczego nie zauważyła. Nawet wtedy, kiedy u jej męża w Rzymie - Blombergowie przenieśli się tymczasem z Capri do Rzymu - pojawił się oficer marynarki w pełnej gali: komandor porucznik.

Jego nazwisko należy raczej przemilczeć z powodu bolesnego charakteru wizyty.

Blomberg i jego żona mieszkali przejściowo - nadal na koszt Hitlera - w jednym z wytwornych hoteli tuż przy Trinita dei Monti, zwanym „Villa Medici”. Rzym leżał u ich stóp, Werner von Blomberg nadal czuł się u boku swojej Evy nieopisanie szczęśliwy.

Z wielką serdecznością przyjął owego komandora; uważał go za bliskiego współpracownika, admirała Raedera i sądził, że wreszcie znowu potrzebowano jego konsultacji.

- Witam, mój drogi - wykrzyknął nazbyt skłonny do poufnej rozmowy. - Co mogę dla pana uczynić?

- Dla mnie nic! - Oficer pozostał w pobliżu drzwi. - Do tej rozmowy skłania mnie nadzieja, że wyrazi pan gotowość obrony honoru naszego korpusu oficerskiego, i to bez wahania, godząc się z tą jedną, ale najważniejszą konsekwencją.

Von Blomberg był wyraźnie zaskoczony tym wręcz głupawo-zuchwałym tonem, jaki przyjął komandor. Mimo to nie przestał być uprzejmy. - Zechce pan wybaczyć, ale co pan ma na myśli?

- Panie von Blomberg, przybyłem tu na polecenie wielu oficerów, nie tylko marynarki wojennej.

- A czego oni sobie ode mnie życzą?

- Żądają jednoznacznej reakcji z pańskiej strony. I to tej jedynej, jaka tylko już teraz jest możliwa, ratującej pański honor, który jest jednocześnie naszym honorem. Tak jak to zawsze bywało wśród żołnierzy, zwłaszcza niemieckich.

Von Blomberg wciąż się jeszcze uśmiechał, wręcz z pobłażliwością. Co jednak w tym wypadku było błędem, i to znacznym. - A co pan przez to rozumie?

Na co komandor ruszył w stronę Feldmarszałka i wyciągnąwszy

swój służbowy pistolet, cisnął go na środek stołu. Prawdopodobnie był to kaliber 7,65. - Właśnie to! - powiedział twardo.

Blómberg obdarzył go niemal współczującym spojrzeniem. - Co. to ma znaczyć, mój drogi? Co pan zamierza z tym zrobić? Pan wyraźnie nie rozróżnia przyczyn od skutków.

- Oceniam tylko to, co się stało: splamienie honoru, honoru naszego pierwszego żołnierza, przez- zawarcie niegodnego związku małżeńskiego! Jest to fakt, który pozbawia honoru nas wszystkich. Może go wymazać tylko ostatni przekonująco zamanifestowany, absolutnie konsekwentny czyn!

- Młody przyjacielu - powiedział von Blómberg z trudem zachowując spokój. - Lubię pana i cenię, tak jak wszystkich błędzących, ale ambitnych oficerów. - W tym momencie, ruchem nieco nerwowym, przesunął pistolet w stronę swojego gościa. - Pan wyraźnie nawet sobie nie wyobraża, w jakich formach przejawia się racja stanu. Ja się jej podporządkowuję, ochoczo ponoszę na jej rzecz ofiary; ofiary, o których dotkliwości pan i pańscy koledzy nie mają nawet pojęcia. Ale samobójstwo, młody człowieku, do nich nie należy.

- Panie Blómberg - wykrzyknął komandor - gardzę panem!

- Ja natomiast mogę panu tylko współczuć. A teraz proszę, aby się pan oddalił. Niech pan nie zapomni swego żelastwa.

Bezpośrednio po tym wydarzeniu Werner von Blómberg odszukał swoją żonę. Siedziała w „Cafe Goya”, znajdującej się pod Hiszpańskimi Schodami. Czekala tam na niego. Kiedy przy niej usiadł, ujęła jego dłonie.

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego - powiedziała. - Ale nie na nieszczęśliwego czy nawet przygnębionego. Co się wydarzyło?

- Rzecz raczej straszna - powiedział patrząc na nią czule. - Co jednak nastroiło mnie także pogodnie, tak jak zawsze, kiedy uzyskujemy ponownie pewność, niewzruszoną pewność.

— I to prawdopodobnie znowu w związku ze mną? - wyraziła przypuszczenie.

- W związku z nami, Evo! - odparł uśmiechając się do niej. - Albowiem właśnie teraz stało się dla mnie całkowicie jasne, co w tym życiu naprawdę się liczy: przez nic nie zakłócona, niezniszczalna, czyli nierozdzielna wspólnota dwojga ludzi! Wszystko inne w porównaniu z tym jest drugorzędne, jeśli nie podrzędne. I nie ma o czym mówić.

Było to doświadczenie, które miało odtąd ważyć na całym jego życiu.

Mimo to feldmarszałek miał wystarczający powód, by poskarżyć się na ten przykry incydent. Ale jego skarga nie była utrzymana w tonie szczególnego oburzenia. Jeden z listów dotyczących tej sprawy dotarł także do Hermanna Göringa.

Göring czuł się już pierwszą osobą w Wehrmachcie, nie przeczuwając, że Hitler siebie przewidział na ten urząd. W każdym razie Göring wkroczył teraz odważnie na scenę. Zademonstrował jeden ze swoich wielkich napadów wściekłości:

- Co temu przedpotopowemu rumakowi bojowemu przyszło do głowy! Mój Boże martwy feldmarszałek. Tylko tego by nam brakowało w tej cholernie paskudnej sytuacji! Takiego konserwatywnego barana jak ten komandor należałoby rozstrzelać!

Po czym natychmiast zatelefonował do Hitlera. Ten jakby na chwilę oniemiał. Potem powiedział tylko: - Świństwo jedyne w swoim rodzaju - I to wystarczyło. Göring bez wahania połączył się z Heydrichem.

- Nie ma już czasu do stracenia! Musimy iść na całego, jeśli nie chcemy, żeby znowu pojawili się gdzieś jacyś półdiodzi, którzy popsują nasz piękny plan. Wreszcie trzeba dobrać się wrogowi do skóry.

## 9

### Bezwzględna nagonka

Z relacji radcy rządowego w pruskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, doktora Ericha Mellera: „I stało się tak, jak to określił pułkownik Oster usiłując ukryć swoje oburzenie: - No i mam" ładny bigos! Plajta na całej linii! - Brzmiało to jak zarzut, i to wobec mnie.

- Nie przypominam sobie - odparłem - żebym dostał polecenie udzielania rad generałowi Fritschowi. To była twoja sprawa. Jego pasywne zachowanie, prawdopodobnie wywołane brakiem dostatecznego rozeznania we własnym położeniu, spowodowało, że sytuacja -stała: się tak drażliwa.

- Czym ty próbujesz mnie obciążać, przyjacielu Meller? - spytał pułkownik dosyć ostro. - Czyżbym stracił już twoje zaufanie?<sup>1</sup>

Zrozumiałem wreszcie, na co się narażaliśmy. Był to w naszych szeregach najokropniejszy błąd, jaki ciągle popełnialiśmy: nigdy nikomu w pełni nie ufać. Ciągłe obciążenie, coraz większe zagrożenie naszego życia leżały u podstaw takich niebezpiecznych zmian.

Również pułkownik Oster jak gdyby to rozumiał. Krótko się roześmiał i gestem wyraził ubolewanie. - No cóż, chyba pojmujesz, że nie czuję się najlepiej w całej tej sytuacji! Ty pewnie tak samo. Właściwie powinienem się dziwić że w ogóle jeszcze istniejesz po tym, jak przepadł twój podopieczny Huber, ta wesz na futrze Heydricha.

Jeżeli o to chodzi, mogłem wyjaśnić mu co nieco i uspokoić go trochę: Heydrich poprosił mnie do siebie. Byłem przygotowany na



najgorsze; tymczasem zastałem go jak zwykle w przyjaznym nastroju. Poruszył jedynie swoimi trochę za dużymi uszami i powiedział:

- Kogoś ty mi podsunął, człowieku? Gdyby to zrobił ktoś inny uważałbym to za podejrzanę, ale wobec ciebie nie pozwolę sobie na nieufność.

- Chciałem ci dać doskonałego fachowca, a on nim jest.

- Masz rację, Erich! Jest nie tylko dobry, jest nawet za dobry jak na naszą codzienną praktykę, której ten Huber, jak się zdaje, nie bardzo może pojąć. Zarządziłem więc, żeby najpierw pojechał sobie na urlop i, przemyślał wszystko. W tym ostatnim mógłbyś mu być może pomóc.

Po tej relacji pułkownik Oster zareagował ze spontanicznością prawdziwego kolegi. - Czyli na razie zniknąłeś z linii ostrzału. Dobrze i dla ciebie, i dla nas. Tylko że przepadł ten twój Huber.

- Ależ nie! Właśnie teraz może bez przeszkód dalej zbierać materiał, żeby oczyścić z zarzutów generała von Fritscha. I wszystko, co mu się uda znaleźć, dotrze przeze mnie do ciebie. A tym samym do osoby, która będzie musiała bronić naszego dowódcy w czasie nie uchronnego postępowania sądowego.

Oster pokiwał głową w zamyśleniu. - Prawdopodobnie wiesz o tym, że gestapo oficjalnie i w wyjątkowo uprzejmej formie zażądało od naszego generała wstępnej »rozmowy«, to znaczy »poprosiło« o nią.

- Wiem, a na miejsce Hubera ma wejść do akcji ten Meisinger.

- Ostry pies, o ile się orientuję.

- Ale i wyjątkowo głupi! Jesteśmy w sytuacji, w której musimy liczyć się ze wszystkim. A co w tym czasie porabiają nasi generałowie, czy możesz mi to powiedzieć?

Oster podniósł w obronnym geście obie ręce. - Czekaają! Na to, co z tego wyniknie. Generałowie też są ostatecznie tylko ludźmi - mają swoje życie prywatne, potrzebę poczucia bezpieczeństwa. Zadają sobie pytanie, dla kogo, dla czego mieliby ryzykować być może własną pozycję, najbliższy awans?

- I tak myślą wszyscy?

- Na szczęście nie! Ale ci nieliczni, którzy myślą inaczej, są wyjątkiem potwierdzającym coraz bardziej wyraźną regułę. Jeśli chodzi o młodszych oficerów, wcale nie jest wiele lepiej. Ale wśród nich

znajdzie się jeszcze trochę takich którzy zachowali młodzieńczą, szczerą bez troskę Jak się zdaje, są zdecydowani »przemówić«. Musimy brać o pod uwagę "

Radca kryminalny Meisinger musiał przerwać przed zaplanowanym terminem swą podróż pod hasłem „siła w radości" Wobec tego stał się ponury ozdrażniony, gotów był wręcz rzucić się na tych którzy „zasrali mu urlop". Nawet na generała.

W dodatku jeszcze Heydrich osobiście zmył mu głowę Wymagował go któryś raz z kolei na wszelki wypadek – Posłuchajcie mnie dobrze człowieku! Może ostatni raz! Jeżeli znowu nawalicie możecie uważać się za definitywnie zwolnionego ja sam was załatwię jasne.

Tak jest gruppenführerze potwierdził radca kryminalny Ale tym razem będzie bez pudła.

Musi być Meisinger. Wykluczyć absolutnie wszelkie ewentualne źródła błędów. Żeby wycisnąć tego von Fritscha jak cytrynę Musi wreszcie skończyć z tym robieniem z nas wariatów Załatwcie go jeśli sami nie chcecie być załatwieni!

Zacznijcie trząść portkami gwarantuję Już ja go przygotuję na ten proces

Panie Boże, wy macie nie po kolei w głowie! Heydrich spojrzął na niego nieprzytomnym wzrokiem Potem potrząsnął głową Ciągłe jeszcze nie zrozumieliście, co tu trzeba odegrać? Czy nie pojęliście tego nawet teraz, kiedy mało brakowało, a ten Huber popsułby całą naszą koncepcję<sup>7</sup> Nie wolno przecież ryzykować z tym procesem kiedy nie można wykluczyć, że zastawiono na nas sidła

Rozumiem gruppenführerze! Meisinger szybko włączył wsteczny bieg Czyli teraz chodzi o takie rozpracowanie tego Fritscha, żeby się wycofał, czyli zrezygnował Czy tak?

No właśnie. Ale nie tylko to, Meisinger. Na wypadek gdyby jednak doszło do tego spektaklu, musicie wymacać wszystkie słabe punkty Fritscha i jednocześnie znacznie umocnić naszą pozycję Tego od was oczekuję Nie ważcie się mnie zawieść!

Rozmowa z gruppenführerem stanowiła dla Meisingera wystarczający bodziec Teraz była o tylko jego sprawa jego wielka sprawa!

Jeszcze raz, zgodnie ze wskazówkami, spreparował swoich obu „śpiewaków operowych”, jak nazywał dwóch głównych świadków oskarżenia: Schmidta i Weingartnera. Oddał ich ponownie do dyspozycji najostrożniejszych specjalistów od przesłuchań, w których też brał intensywny udział. Te „oczyszczające” rozmowy trwały parę nocy. Jak się spodziewano, Otto Schmidt z brawurą przetrwał piekielne męki w „komorze strachu” w kaźniach gestapo. Ostatecznie dobrze znał metody ówczesnej władzy; trwał więc niewzruszenie przy swoich zeznaniach. Meisinger o mało go potem nie uściskał.

Zupełnie inaczej jednak zachował się ów Weingartner, Sepp-Bawarczyk. Po prostu nie dorósł do takich metod. Dostyc szybko się załamał: skamlał po cichu, aż wreszcie, ciężko dysząc, wyznał: - Tak, przyznaję się. To nie był generał. Jego nie obsługiwałem wtedy na stacji Wannsee. Nie jego!

Meisinger sapnął z pogardą, po czym kopnął leżącego przed nim Seppa-Bawarczyka prosta, w tyłek. - Jesteś wykolejoną świnią! Do niczego nie przydatną!

W ten sposób Weingartner, Sepp-Bawarczyk, został wykluczony z kręgu owych szacownych świadków oskarżenia. Bezpośrednio po tym znalazł się w obozie koncentracyjnym. I od tego czasu wszelki śluch o nim zaginął.

Nim von Fritsch udał się na kolejną, zaaprobowaną przez siebie rozmowę w gestapo, zjawił się u niego pułkownik Oster i oświadczył: - Nie musi pan narażać się na tego rodzaju przesłuchania. W każdym razie nie można pana do tego zmusić...

- Drogi Oster - powiedział generał nie ukrywając tego wręcz już drażniącego, ślepego zaufania - jedynym moim dążeniem jest jak najszybsze, jednoznaczne wyjaśnienie sytuacji.

- Ale właśnie dlatego nie powinien pan tak się poddawać tym ludziom! - zażądał Oster. - Jeśli oni chcą czegoś od pana, to oni mają się stawić. Przynajmniej powinien pan nalegać na jakieś neutralne miejsce, gdzie moglibyśmy pana chronić.

Von Fritsch z najwyższym oburzeniem potrząsnął kwadratową głową żołnierza, gubiąc przy tym monokl. Powiedział: - Moje życie oparte jest na zaufaniu! Do ludzi z mojego najbliższego otoczenia. W niustającej nadziei na wzajemność.

- No dobrze, panie generale, zakładam, że mnie też pan do nich zalicza.

Bez wahania zostało to potwierdzone.

Wkrótce przeprowadzono kilka rozmów telefonicznych. Mianowicie między dowództwem sił lądowych a centralą gestapo, Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy. Doszło do kompromisu, który zaproponował Heydrich, Oster odrzucił, a von Fritsch przyjął: spotkanie w nie zamieszkannej willi nad jeziorem Wannsee.

Pułkownik Oster był bardzo zmartwiony. Znał sztuczki gestapo wystarczająco dobrze, tak mu się wydawało. A wybór tego rzekomo neutralnego miejsca, tej położonej na uboczu willi, podsuwał wiele możliwości. Można by było na przykład oświadczyć, że generał zagroził przesłuchującym bronią - po czym usprawiedliwić śmierć rzekomego napastnika konieczną obroną własną. W rachubę wchodziło także sprytnie zainscenizowane „samobójstwo”. Uzasadnienie: przesłuchiwany pod ciężarem przedstawionych mu dowodów sięgnął po pistolet i skierował go...

- Absolutna bzdura, Oster - stwierdził von Fritsch słuchając tych wywodów. - Nie mam zwyczaju nosić przy sobie broni.

- Ale przecież mogliby ją panu podłożyć!

- Na jakim świecie pan żyje, Oster?

- W Niemczech Hitlera, Göringa i Himmlera, by nie wspomnieć o tym szakalu Heydrichu! Wreszcie powinien pan to sobie uzmysłowić! Tu nie chodzi już wyłącznie o pańskie życie, ale o rozstrzygnięcie losów naszej ojczyzny. Nie potrafi pan tego zrozumieć?

- Oczywiście, nikt nie zabroni panu tak myśleć, Oster - powiedział von Fritsch skromnie. - Natomiast moim jedynym celem jest doprowadzenie do absurdalnego, śmiesznego oskarżenia. I to wszystko. To pańska sprawa, co wydaje się panu ważne w tych okolicznościach. Mam nadzieję, że wyciągnie pan z tego właściwe wnioski, za które będzie pan odpowiedzialny.

- Chyba będę musiał - powiedział Oster.

Po czym starał się przedsięwziąć wszelkie możliwe środki ostrożności dla zapewnienia bezpieczeństwa tej „rozmowy na neutralnym gruncie”. Kazał dokładnie spenetrować willę nad Wannsee, niektórzy z jego specjalnych agentów usiłowali udowodnić, że niemało nauczyli się od Karola Maya.

Ich raporty donosiły, że willa jest położona na ustroniu. Trudno zajrzeć do środka, ponieważ otacza ją mur, a dodatkowo jest odizolowana wysokimi, starymi kasztanami. Sam dom: przypominająca pałac budowla, dosyć zaniedbana, okna niezbyt duże, niektóre zakratowane. Jednakże droga dojazdowa dobrze widoczna: zarówno przy bramie, jak również dalej - do głównego wejścia.

Zakładając zgodę generała, pułkownik Oster postarał się o służbowego mercedesa Abwehry, który by zawiózł von Fritscha na miejsce i przywiózł z powrotem. Było to czarne jak trumna anto o grubej karoserii i kuloodpornych szybach.

Na kierowcę tej monstrualnej, państwowej karocy wybrano obergefrajtra Bennikena. Uchodził za kierowcę, który potrafi sprostać wszelkim sytuacjom na drodze. Obok niego miał siedzieć generał - tym razem w pełnym umundurowaniu. Z tyłu natomiast mieli zająć miejsce starannie dobrani oficerowie pełniący funkcję obstawy: wykwalifikowany bojownik oddziałów szturmowych o nazwisku Kant i funkcjonariusz o kwalifikacjach prawnika Siewert.

- Powinien pan zdecydowanie nalegać na to, żeby Siewert mógł wszędzie panu towarzyszyć. A więc także przy przesłuchaniu, czyli tak zwanej rozmowie. Proszę cały czas kłaść nacisk na jego obecność! On ma być pańskim cieniem! Jest całkowicie godny zaufania. Ponadto dostał rozkaz niewtrącania się do niczego - chyba że pan tego zażąda. Może pan na nim w pełni polegać, jest bowiem zaznajomiony z wszelkimi prawnymi i militarnymi ustaleniami.

Von Fritsch zaakceptował to, co prawda trwając w ponurym milczeniu, a więc nie bez protestu. Tak czy owak zachęciło to Ostera do zwiększenia podjętych już środków ostrożności. Wezwał więc do siebie kierowcę Bennikena oraz porucznika oddziałów szturmowych Kanta.

Udzielił im jednoznacznych instrukcji: Każdy z was otrzyma dwa pistolety zero osiem. Do tego dwa dodatkowe, pełne magazynki. Z waszych akt personalnych wynika, że przeszliście gruntowne przeszkolenie i dobrze znacie tę broń. Jeśli uważacie za konieczne, możemy jeszcze przeprowadzić parę ćwiczeń w strzelaniu. Nie trzeba? Tym lepiej.

- Przeciwno komu ewentualnie ją zastosować? - spytał porucznik.
- Zgodnie z tradycyjnymi metodami gestapo w okolicy domu i tuż

przed wejściem będzie na pewno parę osób, przypuszczalnie w pełnym umundurowaniu SS. Trzeba na nich dokładnie uważać. Gdyby doszło do najgorszego i ci niegodziwcy by wam zagrozili albo nawet zaczęli do was strzelać, to wtedy musicie się postarać .wyeliminować jak najwięcej tych łajdaków.

Porucznik Kant tylko skinął głową. Obergefrajter Benniken myślał natomiast o wiele praktyczniej. - Ale chyba nie musimy dać się od razu położyć trupem? Musiałbym przedtem spisać testament.

Oster udał, że nie słyszy. - Najważniejsza jest rzecz następująca - kontynuował - macie przejechać samochodem przez bramę i dalej, aż do głównego wejścia, na to musicie nalegać. Poza tym to auto może wam posłużyć jako kuloodporna osłona.

- No dobrze. Czyli mamy sobie utorować drogę za pomocą pistoletów! I zająć bezpieczną pozycję w naszym pancernym samochodzie. Ale co dalej, panie pułkowniku?

- Gdy tylko padną pierwsze strzały - wyjaśnił im - natychmiast otrzymacie znaczne wsparcie. I to, że tak powiem, z pełnych luf. To jest już zapewnione.

Oster zobowiązał kapitana Botha, aby w określonym przez pułkownika czasie znalazł się wraz ze swoją jednostką w pełnej gotowości w pobliżu willi nad Wannsee. Kapitan ten był niezwykle patriotą, był bezpośrednim podwładnym von Fritseha, uwielbianego przez .niego ponad wszelką miarę. W Abwehrze uchodził od dawna za „godnego najwyższego zaufania i zawsze gotowego do czynu, Dowodzona przez niego jednostka składała się z ciężkich czołgów

- Tak więc, Both - oznajmił pułkownik Oster - zorganizujecie coś w rodzaju ćwiczeń w bezpośrednim otoczeniu tej willi nad jeziorem. Ci moi ludzie, którzy zbadali już teren, udzielą panu wskazówek i jako łącznicy będą do pańskiej dyspozycji. Alarm pierwszego stopnia - ostra amunicja! Celem pańskiej akcji jest odstraszenie. Może się pan nawet pokazać z pańską jednostką - ale w pewnym oddaleniu. Chodzi o to, żeby tym łajdakom nie przyszła przypadkiem do głowy myśl, że mają wolną drogę do działania. Na samym wstępie pozbawimy ich tej nadziei!

W ten sposób wszystko zostało przygotowane - i to z pewnością przez obie strony. Finał mógł się już rozpocząć. I rozpoczął się w ustalonym

czasie z dokładnością co do minuty. Von Fritsch kładł na to szczególny nacisk, nawet w takiej sytuacji.

Jego pojazd podjechał zgodnie z planem do szeroko rozwartej bramy, przy której stali dwaj esesmani; potem przejechał przez bramę i znalazł się tuż przed wejściem do willi. Generał wysiadł - choć był tylko średniego wzrostu, sprawiał imponujące wrażenie. Porucznik Kant i obergefrajter Benniken zajęli pozycję za samochodem. Siewert, prawnik w mundurze porucznika, cały czas trwał przy boku swego dowódcy.

Przy wejściu do domu przywitał Fritscha i jego towarzyszy doktor Werner Best, tym razem także wyjątkowo uprzejmie. Był tam również Meisinger, stał trochę z tyłu; przedstawiono go jako „radcę kryminalnego i rzeczoznawcę do spraw specjalnych”.

Z trudem ukrywał zdenerwowanie. Wiedział, że oto właśnie zbliża się decydujący moment w jego karierze. To wielkie zadanie należało wykonać po mistrzowsku. Tylko jak?

Wszystko, co się tu rozgrywało, wydawało się możliwe tylko dzięki wspaniałomyślnej uprzejmości obu stron. Nie zgłoszono sprzeciwu wobec opieki porucznika Siewerta nad generałem, zaakceptowano również funkcję Meisingera. Tak więc wszyscy weszli do opuszczonej willi, Bert po prawej ręce von Fritscha, a tuż za nimi Meisinger i Siewert. Najpierw przeszli przez hall, w którym prężyli się dwaj esesmani. Następnie znaleźli się w małym pokoju, w którym był tylko ciężki, solidny stół dębowy, parę krzeseł, masywnych i delikatnych zarazem, pruski barok, można by pomyśleć, że zaprojektował je Schluter, ale w okresie, gdy wyjątkowo się nudził. Dwa krzesła stały po jednej stronie stołu, dwa po drugiej. Mężczyźni usiedli na nich.

- Pozwoli pan, panie generale, na małe wyjaśnienie - odezwał się Werner Best skłaniając głęboko głowę. - Dzisiaj występuję tu tylko w roli obserwatora, a więc pełnię funkcję zupełnie uboczną. Właściwą i mam nadzieję wyjaśniającą rozmowę przeprowadzi z panem radcą kryminalny Meisinger, uznany ekspert. Radziłbym panu całkowicie mu zawierzyć.

Tym samym doktor Werner Best uznał, że jest „zwolniony z wszelkich obowiązków”, przynajmniej na razie. Wykonał swoją powinność, wyraźnie się starał i podjął daleko idące kroki w celu zabezpieczenia.

własnej osoby. Pozostałą brudną robotę miał załatwić Meisinger, który wydawał się wręcz idealny do tego celu. Jeśli nie zawiedzie. Nie zawiódł.

Meisinger rozpoczął przesłuchanie, nadal maskowane jako „rozmowa informacyjna”, tonem niemal unizonym. Widok jednej z najbardziej reprezentatywnych osobistości III Rzeszy - generała i głównodowodzącego sił lądowych w pełnym umundurowaniu - wprawił go w lekko paralizujące zakłopotanie. Zadawał sobie pytanie: jak skutecznie go podejść? Jak najszybciej go załatwić?

- A więc nadal zaprzeczają pan znanymi sobie zeznaniom Otto Schmidta?

- Z całą stanowczością!

- Czy pana zdaniem nie ponosi pan w tej kwestii żadnej winy?

Najmniejszej, panie Meisinger!

Zwraca się do niego nawet per panie Meisinger, stwierdził z zadowoleniem radca kryminalny. Jak podpowiadało mu doświadczenie, można to było zinterpretować jako oznakę nieczystego-sumienia. Wszystko zapowiadało się obiecująco.

Meisinger próbował kilkakrotnie zirytować obwinionego; stawiał szczegółowe, a jednocześnie dosyć rzeczowe i uprzejme pytania; ale "cały czas otrzymywał jedną odpowiedź: „nie”. Zorientował się szybko, że w ten sposób niewiele osiągnie. Powinien więc być chyba bardziej dosłowny, grubiański, nawet prowokujący, żeby wypłoszyć tego von Fritscha z jego kryjówki. Zerknął na Wenera Besta - ten jak gdyby pokiwał głową uśmiechając się zachęcająco.

Na co Meisinger przystąpił do działania. Postępował teraz zgodnie ze sprawdzoną zasadą gestapo: wystarczy podejrzenie - pozew jest równoznaczny z oskarżeniem a przesłuchania mają kończyć się wyrokiem! - No, panie von Fritsch, chyba musimy wreszcie zacząć rozmawiać bez osłonek, używając sformułowania Führera.

- Proszę bardzo, niezależnie od tego, co pan przez to rozumie.

Meisinger zaczął przerzucać akta, co z całą pewnością wcale nie było konieczne. Potrząsnął przy tym głową, posykując co chwila, có raz wyrażało ubawienie, raz pogardę, raz groźbę. Potem szczerknął:

- A więc kwestionuje pan to zajście na dworcu Wannsee mimo niepodważalnych zeznań świadków; przynajmniej jednego. Co w zu-



pełności wystarczyłoby do oskarżenia. Ale to przecież jeszcze nie wszystko. To dopiero mała cząstka!

- A co jeszcze? - spytał von Fritsch. Sprawiał teraz wrażenie umęczonego, jakby oszołomionego i przez moment niezmiernie bezradnego. - Czy to naprawdę potrzebne? - spytał.

- Czy chce się pan poddać?

- Nigdy! Jestem gotów stawić czoło wszelkim pomówieniom i obalić je.

Jego towarzysz, porucznik Siewert, pochylił się w kierunku swojego dowódcy i gapił się na niego z niezrozumieniem. Z twarzy można było wyraźnie odczytać, co myślał. Dlaczego generał toleruje taką bezczelność wobec siebie? Dlaczego, nie podniesie się na znak protestu i nie opuści tego pomieszczenia? Niemało wysiłku kosztowało Siewerta wykonanie zobowiązania, jakiego się podjął - by w żadnych okolicznościach w nic nie ingerować.

A Meisinger dokładał dalej: - Skoro pan, panie von Fritsch, nalega, by zapoznać pana z dalszymi dowodami, bardzo proszę, już nimi służę! I to nawet trzema! Po pierwsze, chodzi o tych trzech chłopców z Hitlerjugend, którymi pan tak bezinteresownie się opiekuje. Istnieje zeznanie jednego z nich, Heinza, obciążające pana w sposób niezwykle przykry. Wynika z niego, że usiłował pan obmacywać to dziecko - i to znacznie poniżej głowy i ramion.

- Ależ to jest po prostu niegodziwe! - wykrzyknął Fritsch boleśnie dotknięty! Miał przy tym na myśli tę „wypowiedź świadka”, a nie sam fakt, że pozwalano sobie wobec niego na twierdzenia budzące zgrozę.

- Ponadto -kontynuował Meisinger z niezmienną stanowczością - istnieje jeszcze jedno zeznanie, również jednoznacznie pana obciążające, mianowicie niejakiego Konstantina Krausego. To jeden z pańskich byłych stajennych, w czasie kiedy był pan jeszcze dowódcą pułku. Jest gotów zeznać pod przysięgą, że robił mu pan niedwuznaczne, moralnie zdrożne propozycje.

- To absurd - wydusił z siebie von Fritsch. Twarz silnie mu poczerwieniała, w zdenerwowaniu mocno zaciskał dłonie. - Nic takiego nigdy się nie zdarzyło.

- Wreszcie po trzecie -grzmiał Meisinger, szarpiąc swą ofiarę jak sęp - dysponujemy też zeznaniami byłego porucznika Kerna. To jeden

z pańskich adiutantów, który jednak musiał pożegnać się z wojskiem - na pańskie polecenie. Przeszedł do służby w partii. Teraz jest generałem brygady SA na Pomorzu. Pamięta pan jeszcze, dlaczego Wtedy został wypędzony?

- On nie został „wypędzony”, jak to raczył pan sformułować. Osądzono go i zwolniono. Z powodu poważnej, kilkakrotnie popełnionej defraudacji, o ile sobie przypominam.

- To pan tak uważa! On jednak zeznał, że robił mu pan nieprzyzwoite oferty, które on zdecydowanie odrzucił. I tylko z tego powodu musiał wtedy zniknąć, bo nie był panu całkowicie posłuszny! Tak to było, Fritsch!

Generał wyciągnął obie ręce w obronnym geście. Jego twarz wyrażała przerażającą pustkę. Nawet doktor Werner Best robił wrażenie wręcz zakłopotanego i przepelnionego współczuciem. Męisinger wierzył, że wreszcie osiągnie sukces.

Teraz jednak włączył się porucznik Siewert, nieopanowanie wzburzony, zapomniawszy o swojej roli milczącego obserwatora: - Stanowczo protestuję przeciwko tego rodzaju metodom! Każdy obwiniony ma prawo mieć obrońcę! Nie wolno nikogo pozbawiać możliwości weryfikacji oskarżenia, wszystko jedno jakiego. Należy zapewnić obwinionemu swobodny wgląd w protokoły z przesłuchań!

- Proszę się uspokoić, mój drogi - odezwał się doktor Best z obawą w głosie.- Wydaje mi się, że całkowicie pana pojmuję. Musi pan jednak zrozumieć, panie Siewert, że usiłujemy jedynie przeprowadzić wyjaśniającą rozmowę!

- Ale nie powinien pan przy tym zapominać, z kim ma do czynienia: z dowódcą armii! To wręcz potworne, że pan generał von Fritsch podstępnie i obraźliwie nazywany jest Fritschem! Wyprasza-  
my to sobie!

- Kto? Pan? - wykrzyknął Męisinger z wściekłą agresją. - A kim pan jest? Jakim prawem miesza się pan w te sprawy, młody człowieku! Na co pan sobie pozwala!

- Wystarczy!.- odezwał się doktor Best, tym razem energicznie.

- Pozwolę sobie zaproponować rozmowę w cztery oczy, między panem von Fritschem a mną. W celu ostatecznych wyjaśnień. Czy mogę łaskawie o to prosić?

Przy tym ponownym spotkaniu w cztery oczy także obecny był

świadek: porucznik Siewert. Nalegał uparcie, by towarzyszyć swemu generałowi, co wreszcie zostało zaakceptowane. Ale z jednym zastrzeżeniem - Siewert miał się trzymać jak najbardziej z dala.

- Doprawdy, to wszystko jest straszne, panie generale - wyznał doktor Best, ekspert prawny Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, z miłą brzmiącą nutą żalu. - Musimy się jednak z tym uporać, i to z pozytywnym wynikiem, zgodnie z życzeniem Führera.

- Nie mogę po prostu zrozumieć, jak w ogóle można mi coś takiego przypisywać - wydyszał von Fritsch. — Właśnie mnie!

- Mamy tu do czynienia, panie generale - uspokajał go doktor Best - jedynie z tak zwanym rutynowym postępowaniem policji. Ci ludzie wyraźnie cierpią na permanentną manię prześladowczą, najzwyczajniej nie są w stanie pojąć, że nawet w takim wypadku mogą istnieć pewne delikatne różnice, które należy bezwarunkowo uwzględnić. Zwłaszcza że chodzi tu o dobre imię naszej Rzeszy, o rację stanu.

- O mój honor!

- Bez wątpienia, panie generale! O honor człowieka, który piastuje jeden z najwyższych urzędów państwowych. Pan i niemiecka armia to jedno, riie tylko W oczach opinii publicznej. Tym samym pański honor to honor armii! Czy wolno nam lekkomyślnie narażać go na szwank? Proszę to wziąć pod uwagę!

Von Fritsch milczał przygnębiony. Jego twarz o zazwyczaj ojcowskim wyrazie była teraz blada, ziała z niej pustka. Potem zwiesił głowę

- widać było tylko wysokie czoło, starannie zaczesane na boki włosy z równym przedziałkiem pośrodku - wręcz trudno było obronić się przed wrażeniem, że ten mężczyzna chylił głowę w geście rezygnacji, -poddania się.

Werner Best uderzał dalej: - Przy czym, panie von Fritsch, w żadnym wypadku nie wolno dopuścić do procesu publicznego. Nikt tego nie chce; a już najmniej Führer.

- Ja jednak nalegam Na to! - powiedział generał cicho, ale bardzo dobitnie. --Żądam ostatecznego, nie podlegającego żadnym wątpiwościom wyjaśnienia.

- Niech pan to sobie przemyśli! wykrzyknął doktor Best tonem wręcz błagalnym - dawało się wyczuć, że jego niepokój był nieklamany.

- Taki proces przed sądem mógłby mieć najstraszliwsze skutki dla pana, dla dobrego imienia armii, dla na wszystkich!

- Nie dojdzie do tego, jeśli w tym kraju panuje jeszcze sprawiedliwość, w co wierzę. Chcę wierzyć.

- Brawo! - wykrzyknął porucznik Siewert stłumionym głosem, z oddali.

- Pan będzie łaskaw nie wtrącać się, panie poruczniku! - zawołał W jego stronę doktor Best. - Pan przecież nie jest w stanie nawet się domyślić, o co tu ostatecznie chodzi! - Po czym znowu zwrócił się do generała, zaklinając go niemal: - Niech pan wreszcie zrozumie, panie von Fritsch, do jakiej fatalnej sytuacji mogłoby dojść w konsekwencji procesu, w obliczu tych akt, jakie są do dyspozycji! Führer tego nie chce, on pana niezwykle ceni. A dla nas wszystkich, którzy życzą sobie Niemiec czystych, szanowanych, jest pan postacią-symbolem i chcemy, by ten symbol pozostał w miarę możliwości nieskalany.

Generał zdobył się jednak w tej chwili na skrajną stanowczość, wręcz instynktowną, ale nie wyrażającą się bynajmniej w podniesionym głosie czy w szczególnej energii. Stwierdził jedynie:

- Nie życzę sobie żadnego wewnętrznego uregulowania tych spraw. Żądam absolutnej jawności, oficjalnego ustalenia prawdy. Nakazuje mi to mój honor.

- Tym samym wywołuje pan coś, panie generale, do czego nikt ze spokojnym sumieniem nie mógłby pana skłonić. Albowiem jeśli w dalszym ciągu będzie pan nalegał na tego rodzaju rozwiązanie, trzeba będzie wnieść oficjalne oskarżenie; nie da się tego uniknąć. Musi pan także zrzec się wszystkich swoich funkcji. Proszę się nad tym dobrze zastanowić!

- Nie ma już nad czym - oświadczył dowódca. - Nalegam na honorowy proces sądowy. Żądam wyroku!

## Z raportu Ericha Mellera:

„Rezygnując z wszelkich maskujących środków, jeszcze tego samego wieczora spotkałem się z pułkownikiem Osterem. Jedliśmy wspólnie kolację u Horchera na Kurfürstendamm.

- Tym razem - zapewnił pułkownik, będąc najwyraźniej w pogodnym nastroju - nic dla nas nie jest za drogie, to, co najlepsze, jest wystarczająco dobre.

- Co zamierzasz tu zrobić, Oster? - chciałem wiedzieć.

- Nie byle co, ale samo zmartwychwstanie owej legendy o ostatnim przedstawicielu pruskiej nacji! - Jako aperitif u zażądał szampana. - Generał von Fritsch okazał się wreszcie tym, kogo zawsze chcieliśmy w nim widzieć: skalą w morskiej kipieli!

- Czyżby naprawdę chciał się wdawać w proces sądowy?

— Bezwzględnie tak! Był wspaniały, wręcz jak zestali!

- A ten materiał, zebrany przeciwko niemu, nie zrobił na nim wrażenia?'

Oster machnął ręką, wywijając jadłospisem. - Odnosi się wrażenie, że on nie docenia znaczenia tych materiałów.

- To przecież może się dla niego bardzo źle skończyć.

- Niekoniecznie! Właśnie ja, w porozumieniu z generałem Beckiem i wąskim gronem sztabowców, jestem w trakcie poszukiwania dla niego jak najlepszego obrońcy, człowieka o odpowiedniej pozycji, poważnego i znaczącego.

W tym momencie nie pozostawało mi nic innego, jak tylko wyrazić zdziwienie w obliczu tego optymizmu Oстера. - I ty wierzysz w to, że to wszystko ci się uda? Może uważasz, że tego rodzaju kroki nie są znane twojemu szefowi, admirałowi Canarisowi? Ostatecznie on wciąż jeszcze uchodzi za jednego z najbardziej miarodajnych doradców Hitlera. Podobno w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy był przez niego osiemnaście razy wzywany na długie rozmowy.

- Dwadzieścia jeden razy! Ty nie znasz Canarisa. Intrygi należą w bezpośredni sposób do jego rzemiosła; zabezpieczanie się ze wszelkich możliwych stron także. Oczywiście, że on wie, co ja tam wyprawiam oficjalnie jednak nie chce o tym słyszeć, nawet w formie aluzji. Jeśli wszystko okaże się w porządku, to dobrze! Jeśli natomiast coś się nie powiedzie, wtedy podjęte zostaną bezwzględne kroki przeciwko tak zwanym osobom odpowiedzialnym.

- Czyli przeciwko tobie! Mimo to sprawiasz na mnie wrażenie osoby pewnej swego. Dlaczego?

- Między innymi, i to wcale nie jest ostatni powód, dlatego, przyjacielu Meller, że pokładam największą nadzieję we włączonej przez ciebie do gry tajnej broni numer jeden, czyli w twoim Huberze. A na niego, jak sam zapewniałeś, można liczyć całkowicie, czy nie tak?

- Można ~ powiedziałem nie bez wątpliwości. Nim bowiem w ten

późny wieczór wybrałem się na kolację do Horchera, miałem tuż przedtem spotkanie z Huberem. Nie uspokoiło mnie ono, raczej nappełniło niemalą obawą, ponieważ Huber czuł się zmuszony oświadczyć mi rzecz następującą:

- Doktorze Meller, powinien pan trzymać się tego, że zna mnie pan tylko przelotnie, ja tak twierdzę wobec wszystkich. Tak więc zgodnie z pańskim poleceniem na rozkaz berlińskiej prefektury policji dostarczałem do pańskiego biura akta urzędowe. Spotkaliśmy się ze sobą tylko parę razy. Ja nie orientowałem się nazbyt dokładnie, kim był pan, pan nie wiedział, kim byłem ja. A już na pewno nie potrafił pan przewidzieć, czego można się po mnie spodziewać.

- Do czego pan zmierza, mój drogi?

- Niech się pan zabezpieczy na wszelkie możliwe sposoby! Jeśli ma pan notes, w którym jest zanotowane moje nazwisko, proszę go zniszczyć. Niech pan wyrwie kartkę z moim numerem telefonu. Jeśli u pana w domu czy w pańskim sekretariacie znajdują się jakieś zapiski na mój temat - pozbyć się ich! To w pewnym stopniu ochroni pana przed pańskim przyjacielem z młodości, Heydrichem! Może, mam nadzieję, pozwoli panu przeżyć.

Czy pan nie przesadza, drogi przyjacielu?

- To nie jest przesada, jeśli zależy nam na tym, żeby nie dwóch naraz wyciągnęło kopyta, ale tylko jeden, skoro już tak ma być. Musimy osiągnąć to za pomocą wszelkich odpowiadających tym czasom środków. Będę mówił, że nigdy panu nie ufałem i zawsze uważałem pana za karierowicza i oportunistę. A pan może na przykład twierdzić, że już od dawna wydawałem się panu zwariowany na punkcie swojego fachu; ale nie sądził pan, że jestem aż tak podstępny i zły!

Huber, składając to niesamowicie brzmiące oświadczenie, sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego, choć oczywiście trochę wyczerpanego -- chorobliwie blada twarz, oczy na wpół przymknięte. Potem powiedział:

- Nie chcę już dłużej bezmyślnie przykładać ręki do tego, co się tu dzieje. Pragnąłbym spróbować zrobić jeszcze tylko jedno: temu godnemu pożalowania, zacnemu człowiekowi pomóc w dochodzeniu jego praw. Jeśli mi się to uda, to wtedy moje życie, nawet gdybym miał je stracić, nabierze sensu.

W tym momencie dotarło do mojej świadomości coś, co mnie przygnębiło. Jeśli ktoś utonie w tym bagnie afery Blomberga i Fritscha - to tym kimś będzie on! Bezimienny, drobny urzędnik, obdarzony jednak doprawdy imponującym poczuciem odpowiedzialności.

- Tylko spokojnie! - zaleciłem mu, oczywiście nadaremnie. - Nawet teraz wszystko wydaje się jeszcze otwarte. Niech pan nie zapomina, że są także i inne Niemcy. Uśmiechnął się – pobłaźliwie.

W tych dniach Adolf Hitler otrzymał szybkie potwierdzenie tego, czego się spodziewał i oczekiwał: generałowie nie buntują się! A już w żadnym wypadku niemieccy generałowie. Trochę pyskowali i szemrali, ale z tym bez wątpienia można było się uporać.

Chociaż chodziło tu o być może najniebezpieczniejszy od czasu tak zwanego puczu Röhma w 1934 roku kryzys w strefie władzy Hitlera, to można było odnieść wrażenie, że właśnie teraz mijał. Co zapowiadało zarazem obiecujące zmiany. W każdym razie generałowie nie stanowili żadnego szczególnego problemu. Dawali się prawie bez wysiłku poróżnić między sobą.

Co prawda nowy dowódca sił lądowych Hitlera, generał von Brauchitsch, usiłował bezustannie wypertraktować dla siebie taki czy inny- przywilej, ale było to do przewidzenia i dało się załatwić: ustępstwo rodzi ustępstwo. I tak na przykład zgodnie z żądaniem Hitlera usunięto tego czy innego szefa Wehrkreisu, ponieważ jego przekonania nie wydawały się jednoznaczne. Brauchitsch przywiązywał dużą wagę do pozostawienia na stanowisku generała von Rund-Steda. Zrobiono to dla niego, gdy okazał się skłonny zrezygnować z generała von Leeba.

Ów handel generałami funkcjonował jak najbardziej perfekcyjnie. Hitler korzystał z istniejącego stanu rzeczy ile się dało. Z'coraz mniejszym skrupowaniem stawiał nowe żądania.

- Ponieważ akurat jesteście w trakcie przeprowadzania wielkich nieodzownych porządków, nie możemy także, mój drogi Brauchitsch, zapomnieć o naszym Göringu. W całej tej sytuacji okazał się bardzo energiczny, również o pana dzielnie walczył. I właśnie za to powinien być nagrodzony, nie uważa pan?

- Jak najbardziej, mein Führer - zapewnił von Brauchitsch, choć jego spojrzenie wyrażało pewną obawę. - Gzy zamierza pan może mianować go dowódcą Wehrmachtu!?

- Ależ mój drogi, pan mnie chyba z kimś myli! Na rzecz mojego Göringa zamierzam jedynie zrobić przyjazne ustępstwo, dać mu oficjalną nominację, która w praktyce niewiele by znaczyła, jego zaś uspokoi i uhonoruje. Najpierw planowałem nadać mu stopień marszałka sił powietrznych. Słusznie zauważono jednak, że jest już paru marszałków tego rodzaju, mianowicie w Wielkiej Brytanii. Co bez wątpienia należy wziąć pod uwagę. Wobec czego zamierzam mianować naszego Göringa feldmarszałkiem. Jakieś zastrzeżenia?

-Ależ skąd, dlaczego, mein Führer! Zwłaszcza że, jeśli dobrze zrozumiałem, chodzi w tym wypadku o swego rodzaju uhonorowanie.

- I o nic więcej - potwierdził Hitler. - Göring otrzyma ten stopień, nadal jednak pozostanie tylko dowódcą sił powietrznych. A skoro już jesteśmy przy tym pociąganiu za właściwe sznurki, jakie jest pańskie zdanie o naszym obecnym ministrze spraw zagranicznych?

- Pan von Neurath? Jest to chyba, o ile się dobrze orientuję, człowiek godny najwyższego szacunku, mein Führer.

- Bez wątpienia, absolutnie. Godny najwyższego szacunku, jak najbardziej. Ale niestety już nie najmłodszy, a więc i nie dosyć dynamiczny - w obliczu tego wszystkiego, co wkrótce nas czeka. Musimy go chyba zmienić, zastąpi go pan von Ribbentrop. W konsekwencji czego pan von Neurath, że tak powiem, jako rekompensatę dostanie kopniaka w górę. Zamierzam mianować go szefem mojej Tajnej Rady Gabinetowej.

Co należało rozumieć pod tym określeniem Von Brauchitsch nie miał pojęcia. Chyba nikt tego nie wiedział. Sama nazwa „Tajna Rada Gabinetowa” mogła robić wrażenie, ale w rzeczywistości instytucja ta nie miała najmniejszego znaczenia politycznego. Utworzenie jej nie było niczym innym, jak tylko rozpostarciem jeszcze jednej zasłony dymnej w tym świecie obfitującym w małe zmierzchy bogów.

Hitler rzeczywiście zamierzał wziąć na siebie całą pracę. Stosował przy tym wypróbowaną taktykę nieustannego poddawania swoich poglądów akceptacji innych osób - czyli czynienia ich współodpowiedzialnymi I tak na przykład wraz z odprawieniem ministra spraw



zagranicznych postanowił zwolnić paru ambasadorów. Należał do nich także Ulrich von Hasel urzędujący w Rzymie; nietrudno było uznać go za niedostatecznie niezawodnego.

Również coraz bardziej niewygodny minister finansów Hjalmar Schacht wydawał się teraz führerowi zupełnie zbędny. Na miejsce tego rzekomego geniusza finansowego planował obdarzyć tym urzędem niejakiego Funka. I choć ów Funk był podobno szeroko znanym w świecie wielbicielem mężczyzn, jego nominacja nastąpiła niemal dokładnie w tym samym czasie, gdy sporządzano akt oskarżenia przeciwko von Fritschowi.

Czwartego lutego 1938 roku mieli stawić się w Berlinie generałowie dowództwa Wehrmachtu z okręgów 1 do 6, czyli od Prus Wschodnich po Bawarię. Na spotkanie przybyło posłusznie ponad trzydziestu. O godzinie czternastej zjawili się w Ministerstwie Wojny Rzeszy.

Atmosferę należałoby określić jako dosyć przytłumioną, jednakże nie beznadziejną, a już w żadnym razie wojowniczą. Kilka zajętych rozmową mniejszych grupek sprawiało wrażenie wręcz rozbawionych, nawet i wtedy, gdy na salę wkroczyli dowódcy trzech sił zbrojnych w tej samej co zawsze kolejności: najpierw siły lądowe, a więc v m Brauchitsch, potem siły powietrzne - Göring, na końcu marynarka - ciągle jeszcze Raeder. Ustawili się wyprężeni.

Tuż po nich zjawił się führer i kanclerz Rzeszy. Towarzyszył mu generał Keitel i adiutant Wehrmachtu major Schmundt. Hitler robił wrażenie przygnębionego. Głowę miał lekko pochyloną, a twarz wydawała się naznaczona ciężkimi troskami.

Stanąwszy jednak przed swoimi generałami, wyprostował się. I ód razu starał się przykuć ich uwagę: zdecydowanymi żądaniami, niezachwianą wiarą w siebie, niewzruszonym przekonaniem o swojej wartości. O swojej misji.

Na początku wydawało się, jakby Adolf Hitler mozolnie, wręcz z bólem szukał właściwych Słów. Aby już po chwili, niczym nagle włączony silnik, pędzić na pełnych obrotach. Wyrzucał z siebie grzmiące, głośnie tony, które oznaczały jednocześnie oskarżenie i wezwanie. Potem znowu jego sposób mówienia zdradzał medytacyjne

zamyślenie, oddalające go w dalekie rejony. Po czym wybuchnął nieoczekiwanie i jego zdania ponownie spadały na zasłuchane audytorium jak pociski.

Wszystko, co mówił, sprawiało wrażenie niezwyklej spontaniczności, jakby płynęło prosto z serca. Ludziom, którzy nie należeli do jego najbliższego otoczenia, coś takiego niezwykle imponowało. Jedyne nieliczni znali go naprawdę.

Nie ulegało bowiem wątpliwości, że nic tu nie było improwizacją Hitler, jak zawsze w takich wypadkach, gruntownie się przygotował, najważniejsze fragmenty swego przedstawienia przećwiczył chyba nawet przed lustrem. Był on najznakomitszym aktorem charakterystycznym Niemiec, a kreacja z tego dnia należała do najświetniejszych w jego karierze.

Oto co mówił; wyrażał ubolewanie, że musiał fatygować tutaj szanownych, nadzwyczaj cenionych przedstawicieli generacji. Uczynił to jednak powodowany głęboką troską, Ale i wielkim zaufaniem. Wie bowiem, że co do jednego i oni, i on są zgodni: honor i cześć Wehrmachtu oznacza dla nich wszystkich świętość; należy jej strzec za wszelką cenę. Mając pewność, że jesteście ze mną, ściśle skupie ni Wokół mnie, wierzę, że każda ewentualna przeszkoda jest do pokonania.

Punkt pierwszy: pozycja pana von Blomberga. On, Adolf Hitler, chciałby zawsze całkowicie mu ufać! Feldmarszałek jednakże, niestety, nie okazał się w oczekiwanym stopniu jednoznacznym doradcą i kategorycznym żołnierzem. I to - rzecz godna ubolewania - sprawdziło się już wtedy, gdy szło o remilitaryzację Nadrenii przez niemieckie oddziały. Blomberg, pełen obaw, wspominał Hitler z przygnębieniem, odradzał mu wówczas ten krok. Tak więc przeceniał ponad miarę Francuzów i ich drugorzędnych sojuszników.

- Moja decyzja jednakże, by poważnie się na pozorną ostateczność, okazała się tymczasem absolutnie słuszna. Ale cóż, dziś to już historia. Szanowni panowie z pewnością się z tym zgodzą, nieprawdaż?

Miało to być chyba wezwanie do aplauzu. Ale ani jeden ze zgromadzonych tu dostojników nie był skłonny do okazywania jakichkolwiek uczuć. Ponad trzydziestu generałów sprawiało wrażenie cierpliwego stadka baranów, co prawda szlachetnej rasy.

Hitler kontynuował: - Ale z tym można było jeszcze się pogodzić.

No bo ostatecznie Blomberg miał także bardzo dobre żołnierskie cechy: wierność i posłuszeństwo! Za co należy mu podziękować. Zebrani tu panowie, zapewne pokrewni mu duchem, są z pewnością gotowi potwierdzić ten pogląd. W tym czasie jednak wydarzyło się coś, co jest godne najwyższego ubolewania. Można to także określić jako bardzo ludzkie, jeśli wręczanie: zbyt ludzkie nieszczęście. „Niektórzy oficerowie, także generałowie z waszych szeregów, przezornie i z pożądaną w takim wypadku jednoznacznością zwracali mi uwagę na to, że może z tego wyniknąć sytuacja groźna dla państwa”.

Większość skupionych wokół Hitlera generałów sprawiała wraże nie niepomiernie zdziwionych. Zauważyć można było wprawdzie kilka odmian, co prawda nieznacznych, tej reakcji: tu ostrożne zdziwienie, tam niewiarygodny popłoch. Ogólnie jednak: obezwładniające wy czekiwanie. Führer mógł się czuć podbudowany.

Po chwili, jakby w pośpiechu, oznajmił:

- Tym samym stało się nieuniknione znalezienie następcy tego wykołejonego społecznie, ku ubolewaniu nas wszystkich, Blomberga. Nie wchodziłby tu w rachubę oczywiście nikt pomniejszy niż generał von Fritsch. W tym czasie jednak wyszły na jaw pewne fakty, z pewnością panom znane, które, choć przyszło mi to ciężko, musiałem wziąć pod uwagę. Co wy, moi panowie, niewątpliwie zrozumiecie.

Jeden z panów jednak, stojący tuż obok szefa sztabu generalnego Becka, odważył się ostrożnie i niezwykle uprzejmie zapytać:

- Czy to znaczy, że podjęto już jakieś kroki służbowe, mein Führer?

Na to Hitler: - Pan von Fritsch poprosił osobiście, po zapoznaniu się z podnoszonymi przeciwko niemu zarzutami, o wyjaśniany hono rowy proces sądowy. Bardzo na to nalegał! Jest to decyzja, którą chyba musimy respektować.

Generałowie milczeli. Brak jakiegokolwiek widocznej reakcji Führer zwykł zawsze interpretować jako wyraz zgody. Dający się zauważyć pewien niepokój wśród zebranych skwapliwie zignorował. Nie liczyło się to.

Generałowie starali się ukryć niesmak. Wahali się między uzna niem racji stanu, posłuszeństwem wobec władzy a poczuciem honoru. Nie bardzo wiedzieli, jak zareagować.; Ich Führer jednakże, jak zawsze z niezawodnym wyczuciem, cisnął im w twarz informację, która

sprawiła, że doprawdy zaniemówili. Posługując się pozornie zimną liczbą przedstawił im imponujący dowód ich znaczenia.

Obwieścił: - Dla panów, czyli dla naszego Wehrmachtu, przed którym stoją najwyższe cele, nic nie może mieć zbyt wysokiej ceny. W związku z tym poczyniłem odpowiednie starania, mimo licznych sprzeciwów z różnych stron. Mianowicie, udało mi się- zdobyć do dyspozycji naszych sił zbrojnych sumę tak znaczną, że jest ona bez wątpienia wyjątkiem w historii zbrojeń wszystkich krajów. Chodzi o sumę dziewięćdziesięciu miliardów marek!

Istotnie była to wiadomość zapierająca dech. Zebrani wokół Hitlera mężczyźni, sami fachowcy w tej dziedzinie, doskonale zdawali sobie z tego sprawę: nawet owe zdumiewające sumy, jakie kosztowały niszczycielskie bitwy wojny światowej, nie dawały się porównać z tą kwotą.

- Proszę was, moi panowie, o bezgraniczne zaufanie. Nigdy nie cofnę się przed wykonaniem swoich obowiązków. Proszę was, abyście i wy czynili to samo.

Po czym generałowie zostali zwolnieni - i oniemiała ze zdziwienia wychodzili. Hitler patrzył na nich uszczęśliwiony. Teraz Wehrmacht należał do niego!

Proces przeciwko generałowi von Fritschowi - z powodu domniemych wykroczeń przeciwko paragrafowi 175 kodeksu karnego - rzekomo postępowanie czysto'prawne, zaczął się dziesiątego marca 1938 f roku. Odbywał się w tak zwanym Domu Pruskim. Był to pałac, ' w którym kiedyś spotykali się reprezentanci pruskich domów panujących.

Najwyższym sędzią był Adolf Hitler, nie musiał jednak od razu pokazywać się osobiście. Załatwiał to za niego Göring, już feldmarszałek, ale nadal „tylko” głównodowodzący Luftwaffe. Na to przedstawienie został wydelegowany jako godny zaufania mim teatru państwowego.

Wraz z nim włączeni zostali do akcji także dwaj pozostali dowódcy: sił lądowych - obecnie Brauchitsch, i marynarki - ciągle jeszcze Raeder. A do nich przyłączyli się, na rozkaz, dwaj wyżsi sędziowie wojskowi.

Pierwszy popis Göringa na tej pomyślanej bez wątpienia jako proces pokazowy imprezie polegał na tym, że on sam, bez najmniejszego skrupowania, sobie powierzył przewodnictwo obradom. Uczynił to, używając absolutnie niepodważalnego argumentu: on jako feldmarszałek jest tu jednoznacznie najwyższy stopniem. Doprawdy niechętnie obejmuje funkcję przewodniczącego tego sądu honorowego czyni to jednak z poczucia obowiązku.

Gdy następnie trybunał, składający się z owych pięciu - z Göringiem na czele - wkroczył do prowizorycznej, sali sądowej, wszyscy obecni, zgodnie ze zwyczajem, podnieśli się. Z jedynym wyjątkiem: von Fritsch pozostał w pozycji siedzącej.

Jakby chcąc go osłonić, wysunął się przed niego jego obrońca. Był nim Rudiger hrabia von der Goltz. Pierwszy garnitur; przyznać trzeba, że miał wyjątkowe kwalifikacje, nie tylko prawnicze, także żołnierskie, a nawet osobowościowe. Ponadto uchodził za zdeklarowanego nazistę, co w tym wypadku mogło się okazać korzystne. W każdym razie aż do tego procesu nikt nie miał mu niczego do zarzucenia. Nawet Heydrich.

Faktu, że w posiadaniu, von der Goltza znalazł się tymczasem ważki materiał świadczący o braku winy, podsunęty mu przez Hubera, nikt jeszcze nie mógł przewidzieć. Pomijając Oстера i Mellera.

Na samym początku tego spektaklu Hermann Göring wystąpił ociążale na scenę. Jako przewodniczący sądu honorowego obwieścił wyzywającym tonem:

- Mamy tu do czynienia z zajściami, które należy określić jako tajną sprawę Rzeszy. Ten, kto będzie rozpowszechnia szczegóły na ten temat wśród opinii publicznej, podlega karze i zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Zadbam o to osobiście. - Göring nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości, kto tu miał decydujący głos.

Następnie wkroczyli na salę, dowodzeni przez Meisingera, rzekomi świadkowie -w szyku, właściwie spreparowani, obciążający feldmarszałka w mniejszym lub większym stopniu. W mniejszym - na przykład były stajenny von Fritscha, ale także jeden z jego dawnych adiutantów Ich wypowiedzi były w najwyższej mierze wymijające: „Wydawało się...” - „Miałem wrażenie...” - „Można by pomyśleć” Z tych nędznych kreatur nie dało się wiele wyciągnąć. Nawet kiedy Gönng głośno i wyzywająco grzmiał na nich, apelował do ich sumie-

nia, nazywał ich wypowiedzi bzdurami. „Kto ośmiela się podsunąć mi coś takiego!” - krzyczał oburzony, rzucając ostre, złowrogie spojrzenia w stronę oskarżycieli.

Ale potem zjawił się Otto Schmidt, którym Meisinger przezornie sterował. Teraz wszystko wydawało się jasne jak słońce. Otto-Otto, zgodnie z oczekiwaniami, wkroczył na scenę „z nieporuszoną twarzą”, ponownie wypowiadając niezłomie brzmiące: „To on”. Riidigerowi hrabiemu von der Goltz, obrońcy, udało się jednak sprytnie zbić z tropu tego świadka za pomocą pytań krzyżowych i innych trików. Oparł się na dokumentach Hubera. Dały mu one możliwość zdyskwalifikowania owego Otto Schmidta jako notorycznego kryminalistę.

Na co ostrzegawczo włączył się Göring: Co prawda potrafi zrozumieć, że obrońca usiłuje oczyścić swojego klienta. Nie może się to Jednak odbywać w ten sposób, że uczciwego świadka, zeznającego z własnej woli, próbuje się bezmyślnie oczernić. ~ To po prostu nieuczciwe. A w tym wypadku chodzi o proces w najwyższym stopniu uczciwy i czysty, eo chciałbym szczególnie podkreślić.

Brauchitsch i Raeder milczeli. Pozostali dwaj sędziowie także. Z wyczekiwaniem.

Teraz bezzwłocznie wkroczył do akcji Meisinger, wezwany przez oskarżyciela: - Jest pan radcą kryminalnym i powierzono panu kierowanie dochodzeniem. Proszę ustosunkować się do wypowiedzi obrońcy dotyczącej świadka Otto Schmidta.

Na co ów radca kryminalny oświadczył, wręcz pompatycznym gestem wskazując na Otto-Otto: - Człowiek ten być może popełnił w młodości różne grzechy, kto ich nie popełnia! I może wskutek tego wszedł w drobny konflikt z prawem, ale to wszystko dawno już zostało unieważnione! Od tego czasu zdecydowanie się przeobraził, stał się pożytecznym członkiem niemieckiej wspólnoty, wielokrotnie sprawdzonym pomocnikiem, dbającym o porządek i prawo. To przecież człowiek. Czy ktoś chce temu zaprzeczyć?

W tym martwym punkcie, wyglądającym nadzwyczaj niebezpiecznie dla oskarżonego von Fritscha, proces został przerwany. Nastąpiło to

w drugim dniu obrad, jedenastego marca 1938 roku. Göring nie pytając ławników o akceptację swojej decyzji, obwieścił: - Odraczam obrady. Na razie. Na czas nieokreślony, ale niezbyt długi.

Powodem było wkroczenie akurat w tym czasie niemieckiego Wehrmachtu do Austrii. Nazywane także przywróceniem Rzeszy stron ojczystych Hitlera. Führer triumfowa . Tym samym wszystkie polityczne problemy wewnętrzne, a więc także afery Blomberga i Fritscha, skryły się jakby w głębokim cieniu światowej historii.

Jednak przerwa, jaka nastąpiła w procesie, została intensywnie wykorzystana na rzecz von Fritscha z niemałym sukcesem. Postarał się o to Huber. Szperał w aktach wykorzystując przy tym agentów Abwehry i pracowników policji kryminalnej, i udało mu się wreszcie wytropić dodatkowy materiał dla obrony.

Gdy siedemnastego marca 1938 roku ów honorowy proces sądowy został wznowiony, bardzo szybko doprowadzono go do końca. Jak gdyby po raz ostatni miała zwyciężyć sprawiedliwość.

Albowiem funkcjonariusz policji kryminalnej Huber - wówczas skierowany przez gestapo na „urlop” zdołał w tym czasie znaleźć, by tak rzec, igłę w stogu siana. W samym środku stosu akt prefektury berlińskiej policji odkrył pewną notatkę służbową! Z datą, dokładnie podaną godziną i precyzyjnymi szczegółami. Oto jej treść:

„Stacja Wannsee, listopad 1933. Odnotowano akt homoseksualny. Uczestnicy: Weingartner, nazywany także Seppem-Bawarczykiem, w roli opłacanego obiektu; odnotowany w kartotece, karany. Korzystający z usług - niejaki Frisch, emerytowany rotmistrz austriackiego pochodzenia, dotychczas nie notowany, co wskazuje na jednorazowy charakter wykroczenia. Ponadto: Otto Schmidt, nazywany także Otto-Otto. Szeroko znany (w odnośnych kręgach), posługujący się szantażem, notowany wielokrotnie we wzmiankowanej kwestii. Bardzo przydatny, na usługach agenta. W załączeniu wykaz wymuszonych w tym wypadku sum pieniędzy: kwota, forma realizacji, gdzie, jak i komu. Rozpatrzenie sprawy z powodu konieczności zgromadzenia dalszych materiałów zostaje na razie odroczone.”

Najważniejsze w tej służbowej notatce były jednak dodatkowe podpisy. Najpierw: „Potwierdzono. Brei” Podpis ówczesnego szefa kartoteki Breitnera, inspektora kryminalnego. Dalej: „Sporządzono.

Meisinger." Chodziło właśnie, jak udowodniono bez najmniejszych wątpliwości, w wyniku porównania z licznymi innymi aktami, o byłego radcę kryminalnego zatrudnionego w gestapo.

Doktor Meller, któremu Huber jako pierwszemu zaprezentował ten pyszny dowód, ożywił się radośnie. Zamierzał bezzwłocznie zmobilizować wszystkie siły pomocnicze w obronie Fritscha - przede wszystkim adwokata von der Goltza, ale także Oстера i godnych zaufania oficerów z naczelnego dowództwa.

- To będzie cios - wykrzyknął - jak rażenie piorunem! Tym możemy ich załatwić.

- Huber jednak powiedział: - Nie!

- Nie? Powiedział pan „nie”? - Doktor Meller był szczerze zaskoczony. - O co panu chodzi, drogi przyjacielu, do czego, pan jeszcze zmierza?

- Chcę doprowadzić robotę do końca w sposób całkowicie przekonujący! - oświadczył Huber niewzruszenie. - Notatki takie jak te mogą zakwestionować, a także uznać za sfałszowane. Chcę dowodu absolutnego. Spróbuję więc wytropić tego rotmistrza Frischa. Jest to całkiem możliwe, jeśli on jeszcze żyje, i do tego mieszka tu w Berlinie, czego należy się spodziewać.

- No dobrze, załóżmy, drogi Huber, że rzeczywiście znajdzie pan tego mężczyznę. Ale co dalej? Naprawdę pan w to wierzy, że on będzie chciał zaryzykować i wystąpi jako świadek w tym cyrku na skalę państwową?

- Jeśli udałoby mi się go wytropić, to natychmiast powinien go przejąć von der Goltz albo inne osoby, na przykład pan albo Oster. Przejąć, to znaczy intensywnie człowieka przeszkolić! W jednym jedynym celu: skłonienia go do bezpośredniej wypowiedzi przed tym tak zwanym sądem honorowym. Chyba tylko wtedy udałoby się nam doprowadzić do zawalenia tego brudnego i lepkiego domku z kart wzniesionego przez oskarżenie.

I rzeczywiście, Huber zdołał odszukać byłego rotmistrza Frischa. Odnalazł go leżącego w łóżku, naznaczonego ciężką i przewlekłą chorobą. Według opiekującego się nim lekarza pacjent nie zniósłby transportu, a więc nie można go było wykorzystać jako świadka w procesie.

Mimo to udało się von der Goltzowi podczas długiej, wyczer-



pującej rozmowy przekonać ciężko chorego o niezwykłej doniosłości jego zeznań. Ale również o braku jakiegokolwiek niebezpieczeństwa, przeciwnie, o wynikających z tego korzyściach dla niego. Wyznanie to bowiem nie tylko oczyści jego sumienie, ale także uratuje uczciwego człowieka przed utratą honoru.

Rzeczywiście, w jakiś czas potem doszło do tego zeznania. Frisch, emerytowany rotmistrz, został przetransportowany pod opieką pielęgniarza do sądu w Domu Pruskim. Przybywszy tam oświadczył, co prawda głosem ledwo słyszalnym, starając się jednak zaprezentować jako mężczyzna prawy i otwarty: . - Tak jest, przyznaję się, to byłem ja! Czyli to on wówczas na stacji Wannsee wszedł w bliższy kontakt z niejakim Weingartnerem. To on był potem szantażowany przez Otto Schmidta.

- Jestem gotów zeznać to pod przysięgą.

Po czym także sprzączka dworcowa - świadek drugiej wymuszonej zapłaty w wysokości dwóch tysięcy marek, i to zmobilizowany przez gestapo przeciwko von Fritschowi - teraz spontanicznie zapewniła:

- Jasne, to był on! Na pewno! To ten pan zapłacił! - W tym momencie wskazała ręką na byłego rotmistrza, - który z dużym wysiłkiem woli starał się siedzieć prosto. A potem równie zamaszystym gestem wskazała generała: - W każdym razie to na pewno nie był ten! Bo jego, teraz jestem całkowicie pewna , nigdy przedtem nie widziałam!

Wówczas Göring, samozwańczy przewodniczący sądu honorowego, wrzasnął teatralnym tonem. Widział, jak odpływają wszystkie jego lupy, jakby porwane wirem. Za CO teraz próbował znaleźć winnych.

- Co to ma znaczyć! - grzmiał na całą salę, a jego prawa dłoń bębniła nerwowo w blat stołu. - Kogóż to odważono się podsunąć nam tutaj jako. świadków?! Nie mogę tego nazwać inaczej jak tylko bezdennym" świństwem! -Natychmiast wyprowadzić tego nędznego szubrawca Schmidta! Powinno się go rozstrzelać!

Wyrok, który miał zapaść bezpośrednio po tym, był nieunikniony. Musiał podać go do wiadomości feldmarszałek Hermann Göring, osobiście. Zjadliwym głosem obwieścił decyzję sądu:

- Uniewinnienie z powodu braku dowodów winy.

Po czym Göring, chcąc chętnie zmanifestować swoje koleżeńskie uczucia, na zakończenie tego nieudanego przedstawienia pozwolił sobie na następującą uwagę:

- Sztandar armii, a tym samym honor jego dowódcy są teraz czyste!

W takim właśnie duchu utrzymane było również pismo führera i kanclerza Rzeszy skierowane do von Fritscha. W piśmie tym, będącym okazowym przykładem największego zakłamania, czytamy:

„Panie Generale!

Znany jest Panu wyrok, który potwierdził Pańską całkowitą niewinność. Przyjąłem go z sercem przepelnionym wdzięcznością. Bo tak jak Panu musiał przerażająco ciążyć ten straszny zarzut, tak samo i dla mnie bolesna była nie do zniesienia myśl o nim"

I w dalszej części listu:

„Podam dowiadomości całemu narodowi."

Co jednak nigdy nie nastąpiło i w co nieliczni prawdziwi znawcy tego spektaklu nigdy nie wierzyli. Pewne było natomiast: Hitler osiągnął po raz któryś z rzędu jeden ze swoich największych celów. Wszelkie dalsze możliwości nadużywania władzy nasuwały się kusząco same. I bez najmniejszych hamulców dalej korzystano z okazji.

## Relacja końcowa

### **Koniec afery generalów**

Otto Schmidt natychmiast po tych zdarzeniach został przetransportowany do obozu koncentracyjnego. Żył tam jeszcze do lipca 1942 roku. W nadziei, że na pewno przeżyje, ponieważ kilkakrotnie obiecywano mu to, poświadczając słowem honoru funkcjonariusza gestapo. Potem jednak Himmler zwrócił się do Hitlera z prośbą o zgodę na likwidację rozmaitych, ocenionych na podstawie opinii lekarzy „elementów schizofrenicznych i społecznych”.

- Zgody udzielono. Otto Schmidta zlikwidowano.

Małżeństwo bezpośredniego następcy generała von Fritscha, czyli generała von Brauchitscha, po szybkim wypłaceniu uzgodnionego wielkodusznie dosyć znacznego odszkodowania dla jego żony, zostało rozwiązane czwartego sierpnia 1938 roku. „Za pieniądze - skomentował Meller - można nawet, jak mawiała moja babka, zmusić diabła do tańca!”

Ślub generała von Brauchitscha z jego długoletnią towarzyszką życia Charlotte Schmidt-Ruffer odbył się 23 września tegoż roku. Obecni byli Hitler i Göring. Ostatecznie mieli już wprawę w uczestniczeniu w tego rodzaju ceremoniach. Także i ta przebiegała w duchu równie podniosłym, co nroczytvm. Odpowiednio do pozycji uczestniczących w niej osób.

Finansową stroną tego wydarzenia - wypadek nierzadki - Hitler

miał bowiem zwyczaj kupować sobie nie tylko różnych generałów - zajmował się kompetentny kierownik biura Rzeszy Bouhler, zawsze dyskretnie pozostający w tle. Nie istniała sprawa, której nie udałoby mu się doprowadzić do należytego porządku. Jego dewiza bowiem brzmiała: liczy się tylko ten lub to, co da się kupić. I to dotyczy wszystkiego i wszystkich!

Feldmarszałek von Blomberg pozostawał nadal w znacznej izolacji. Można było odnieść wrażenie, że przedwcześnie zmarł. Nawet po wybuchu II wojny światowej bezwzględnie wywołanej przez Hitlera i zuchwale przez niego zaplanowanej dużo wcześniej, co mu właśnie ułatwiły te afery generałów - nawet wtedy nie brano Blomberga w ogóle pod uwagę.

Feldmarszałek miał nadzieję, że w tego rodzaju poważnym przypadku zostanie mu powierzone dowództwo odpowiednio dużej jednostki. To bowiem Hitler obiecał mu wręcz uroczyście. Gdy jednak sprawy zaszły dość daleko, führer stwierdził jedynie: „Jeśli pozwolę na coś takiego Blombergowi, wtedy musiałbym się też zgodzić na von Fritscha. A z jakiej racji? Bardzo się cieszę, że ci dwaj zostali odsunięci, czyli tak naprawdę przestali się liczyć.

I tak ów pierwszy wielkoniemiecki feldmarszałek przez wiele lat wegetował w niemalym osamotnieniu. Jakby na marginesie wszelkich wydarzeń. Ale razem ze swoją żoną Evą. Był jej oddany całym sercem. Albo posłuszny jak rozpowszechniano w zainteresowanych kręgach. Oszczerstwa pod ich adresem chyba nigdy nie miały się skończyć.

Kiedy po 1945 roku Werner von Blomberg znalazł się w brytyjskim obozie jenieckim, przez prawie wszystkich przebywających tam kolegów był traktowany jak powietrze. Odnosili się do niego ze wstrętem. I to wtedy, kiedy leżał wśród nich umierający.

Krótko przed śmiercią, zamyśliwszy się nad sobą, nad światem, wyznał z pobłażliwym uśmiechem: „Ale ostatecznie przez siedem lat byłem nieopisanie szczęśliwy. Z Evą, moją żoną - dzięki niej! Czego można chcieć więcej?”

Werner von Fritsch jeszcze przed wybuchem wojny, którą wkrótce miano nazwać drugą światową, został mianowany „honorowym pułkownikiem” 12 pułku artylerii. Przejął go 12 sierpnia 1938 ro-

ku. Odbyło się to podczas uroczystej ceremonii w ramach manewrów w północnych Niemczech, w obecności jego następcy, generała von Brauchitscha.

Także tym razem Hitler skierował do niego w nadzwyczaj serdecznym tonie utrzymane pismo, którego ukoronowaniem było sformułowanie: „... w pełnym wdzięczności uznaniu pańskich zasług dla odbudowy niemieckich sił zbrojnych.”

Na zorganizowanym z tej okazji bankiecie obecnych było, jak się utrzymuje, około, pięciuset oficerów. Wiadomo także, że von Fritsch wygłosił przemówienie do swoich kolegów. Nie zawierało ono jednak ani słowa skargi, nawet najmniejszego obwinienia – znalazło się w nim natomiast, jak należało się spodziewać, szczerze wyznanie:

„Żołnierz powinien pozostać tylko żołnierzem! Czyli zawsze musi być gotów służyć! Bez jakichkolwiek zastrzeżeń, z absolutną bezwzględnością. Nie zważając na to, co może mu się przytrafić!”

Werner von Fritsch, z pełnym oddaniem, jak potwierdzają to zgodnie różne źródła, troszczył się odtąd o swój pułk. Nosił jego mundur, czuwał nad wyszkoleniem, przeprowadzał ćwiczenia bojowe. Podobno spędził tam piękne chwile, ostatnie w swoim życiu, w harmonijnej współpracy z kolegami.

Kiedy wybuchła wojna, von Fritsch towarzyszył swojemu pułkowi w wyprawie na Polskę. „Choćby jako cel dla wroga!” - powiedział podobno do jednego ze swoich nielicznych przyjaciół. Zginął pod Warszawą 22 września 1939 roku. Kula roztrzaskała mu czaszkę.

Często powtarzane potem przypuszczenie, że generał z premedytacją szukał śmierci, nie wydaje się uzasadnione; w każdym razie nie w odniesieniu do jego obecności na pierwszej linii frontu, gdzie trafiła go kula.

Von Fritsch bowiem rozkazał swojemu adiutantowi, aby mu towarzyszył. A jego z całą pewnością nie narażałby na śmierć. Trudno byłoby się tego spodziewać po człowieku tak bezinteresownie szlachetnym, jakim był generał.

Tego dnia skrajnie rzeczowy, często uważany za oschłego generała Jodl, zdając codzienny raport w głównej kwaterze Hitlera, dodał: „Dzisiaj poległ jeden z najlepszych żołnierzy, jakiego kiedykolwiek miały nasze Niemcy!” Powiedział to nie ulegającym wątpliwości.

oskarżycielskim tonem prosto w twarz patrzącego na niego ze zdziwieniem führera.

Ten bezzwłocznie zarządził pogrzeb na koszt państwa, najgodniejszy z godnych! Żałował głęboko, że nie będzie mógł uczestniczyć w nim osobiście. Czuwanie nad tym aktem wagi państwowej powierzył swojemu Göringowi, który sprostał zadaniu, robiąc przy tym wiele fałszywego szumu.

Oto właśnie nadeszły czasy - po raz kolejny w historii świata - kiedy z bezwstydną oczywistością kaci odgrywali rolę cierpiących, duchownych zamieniono w oszustów dusz, żołnierze zachowywali się jak handlarze, a generałowie wyglądali jak zapaśnicy.

Wszystko było „bardzo ludzkie”.

Wcale nie tak mało ludzi w tamtych czasach - wśród nich nawet ci, którzy mieli pewną orientację - sądziło, że nie pozostaje im nic innego jak tylko pogodzić się z tą sytuacją w nadziei na rychłą zmianę. Inni usiłowali, niczym ścigane zające, umiejętnie kluczyć, jeszcze inni Wikłali się w podstępną konspirację; przygotowani na tę, że ich życie zamieni się teraz w nie kończącą się serię intryg Prawie wszyscy. Ale jeden nie.

Był nim Huber. Jego takie postępowanie przepełniało wstrętem. Akurat jego, który w swoim zawodzie zefisnął się z wszelkimi możliwymi potwornościami ludzkiej natury, z całym wachlarzem obyczajowych i moralnych wynaturzeń.

Ale właśnie on, jakby na zakończenie, powiedział do swojego przyjaciela Mellera: - Choroby niszczą! Chorzy ludzie są jak wynaturzone zwierzęta. Ale zasługują chyba na nasze współczucie; trzeba ich jednak izolować i próbować leczyć. A co robić wtedy, gdy tego rodzaju zepsute i destrukcyjne elementy sprawując władzę i kierując polityką otrzymują możliwość dysponowania swoimi bliźnimi? Czy można, czy wolno nadal przyglądać się temu bezczynnie?

Meller usiłował uspokoić Hubera, co wcale nie było łatwe. Użył argumentu, że na tym świecie, który bezustannie się zmienia, niczego nie można uważać za wieczne. Tym samym proklamowanie przez Hitlera „Tysiącletniej Rzeszy” jest absolutną bzdurą! Niczym innym, jak tylko dowodem na to, że ten człowiek nie potrafi myśleć historycznie

- Ale wam się wydaje, że wy potraficie - stwierdził Huber. - Po przejęciu władzy przez tego faceta dawaliście mu co najwyżej rok. Potem w najlepszym razie trzy. A zrobiło się już z tego sześć. I nie widać końca. Dziś jest już za długo o każdy dzień!

Ten bardzo mu drogi przyjaciel Huber znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie, Meller zdawał sobie z tego sprawę. Huber bowiem nie zamierzał - jak to należało czynić z duchem czasu - działać w ukryciu. Nie chciał być żadnym bojownikiem podziemia, pragnął raczej wymusić sprawiedliwość, na oczach wszystkich.

Meller usiłował go uchronić przed tego rodzaju samobójczym, samowolnym działaniem. W tym celu wezwał do siebie Meisingera, używając kuszących słów: „To może się opłacić”.

Meisinger zjawił się natychmiast. Wyglądał na zaciętego, jak zły pies. Warcząc wyrzucił z siebie:

- Pewnie próbuje się pan zabezpieczyć, co? Dostał pan sraczki ze strachu, tak? No bo jeśli to wszystko prawda, Meller, czego się domyślam a co właściwie mogę udowodnić, to jest pan u Heydricha, tego niby, przyjaciela z młodości, załatwiony. Kompletnie. I pański specjalny donosiciel także.

- Hola, hola, nie tak szybko? - ostrzegł go Meller. Po czym wręczył Meisingerowi jakąś kartkę. Ten chwycił ją, a Meller z satysfakcją obserwował jego coraz bardziej osłupiałą twarz.

- To jest tylko kopia, Meisinger, jedna z wielu. Oryginał znajduje się w bezpiecznym miejscu. Nie muszę chyba panu specjalnie wyjaśniać, co ta notatka na dokumencie, przezornie nie wykorzystana w procesie Fritscha, mogłaby dla pana oznaczać. Dowodzi ona niezbicie, że o faktycznym przebiegu wydarzeń był pan doskonale poinformowany! To znaczy: ten dokument potwierdza pański podstępny udział w spreparowaniu fałszywych oskarżeń przeciwko generałowi von Fritschowi.

Meisinger, również i w tej chwili pragmatyk, szybko zrozumiał znaczenie tego dokumnetu. - Nie zamierz pan chyba pokazać tego Heydrichowi?

- Byłby pan wtedy załatwiony, Meisinger, bo do tego nie ma najmniejszej wątpliwości! Mógłbym to zrobić, oczywiście. Ale nie chcę, niekoniecznie. Stawiam jeden warunek.

- Ma pan na myśli tego swojego Hubera? - wyczuł Meisinger

z intuicją godną uwagi. - No dobrze, zgoda! Póki ja będę bezpieczny, jemu też nic nie grozi.

Tak oto Huber, znowu w obrębie gestapo, mógł skutecznie pracować dalej, co prawda od tej pory nieufnie kontrolowany przez radcę kryminalnego Meisingera, który nie spuszczał Hubera z oka, czyli nie dopuszczał go do żadnej grubej ryby.

Jednakże bezpośrednio po zamachu w Pradze w 1942 roku, którego ofiarą stał się Heydrich, mianowany wcześniej na potężnego prześladowcę w Czechach, Meisinger rozpoczął karierę w wyższych kręgach SS. Włączono go nawet do korpusu dyplomatycznego. Odkrył tam jako na przykład attache policji ambasady w Tokio, obiecujące pole działania.

Dzięki temu dla Hubera, pozbawionego teraz wiernego anioła stróża, powstały zupełnie nowe możliwości. Uwolniony od niego zdołał zdemaskować jakiegoś gauleitera jako notorycznego gwałciciela. Wkrótce potem zlikwidował jakieś „towarzystwo wzajemnej adoracji” z siedzibą na Masurenallee w Berlinie, do którego należeli dyplomaci i wyżsi dostojnicy partyjni. Wreszcie podjął się wyrwania ze szponów kolegów z gestapo wszystkich niepełnoletnich, którzy byli zmuszani do seksualnych orgii.

Następca Heydricha, człowiek o nazwisku Kaltenbrunner, wypowiedział to przez wielu z utęsknieniem wyczekiwane słowo wiosną 1943 roku skierowano Hubera do obozu koncentracyjnego, który nazywał się Flossenburg. Przeżył tam jeszcze kilkanaście miesięcy.

Parę dni przed zakończeniem wojny jakiś oprawca wywłócił go nagiego na plac. Obok esesmani popychali przed sobą mężczyznę, którego Huber nigdy jeszcze nie widział, którego jednak nazwisko i funkcje były mu dobrze znane.

Dla niego bowiem, w decydujących momentach afery Blomberg-Fritsch, pracował na polecenie Ostera czy Mellera. Mężczyzną tym, który teraz stał nago obok tak samo trzęsąc się z zimna tęgo chłodnego ranka, był niejaki admirał Canaris.

Rozstrzelano ich razenu



Radca rządowy doktor Erich Meller po zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku został aresztowany przez gestapo, poddany przesłuchaniom i torturom. Do niczego się nie przyznał, nie podał żadnego nazwiska - oprócz jednego: Göring. Powiedział gestapowcom: „Spytajcie jego, co on o tym sądzi!”

I rzeczywiście to uczynili. Na co ówczesny marszałek Rzeszy, oburzony, w obecności licznych świadków wrzasnął: - Jak śmiecie, nędznicy, bez pytania mnie o zgodę wyciągać swoje brudne łapy po jednego z moich najlepszych współpracowników! Po przyjaciela Heydricha! Nie pozwalam na to!

Meller: „Ta wypowiedź Göringa uratowała mi życie. A jednocześnie stanowiła dla mnie ogromną satysfakcję. Dowodziła bowiem, co napawało mnie dumą, że na swój sposób byłem mistrzem intrygi. Nawet ów marszałek Rzeszy, słynny aktor państwowy dużej klasy, uznał moje występy za prawdziwe.”

Meller nie przewidywał jednak, że przysporzy mu to wiele kłopotów w przyszłości, w czasach już powojennych. Gorszyli się nim, wówczas jeszcze działający jednomyślnie, tropiciele przeszłości nazistowskiej ze Wschodu i Zachodu. Ich komentarze brzmiały: Podejrzana postać - trudno go przejrzeć - czyli nie taka całkiem czysta.

Po zapoznaniu się z tymi uwagami Meller oświadczył z dużą swobodą:

- Powiada się, że błędzić jest rzeczą ludzką. Nie należy jednak czynić ludzkiego życia nazbyt ludzkim w tym właśnie sensie. Zawsze wzbudzają we mnie niepokój usiłowania tych, którzy chcą istnieć na tym świecie, zmiierzając do upraszczania niemal wszystkiego na użytek codzienności. Jest tylko: białe albo czarne, dobro albo zło, prawo albo lewo. Nic pośredniego! Czy mamy się z tym pogodzić?

Nigdy!

Tuż przed śmiercią Adolf Hitler powiedział do swego kierowcy, który potem pomagał przy podpaleniu jego zwłok benzyną: „Na moim nagrobku ma być napis:

Tu spoczywa ofiara  
własnych generałów”

Pani Eva von Blomberg przeżyła wszystko. W czasie kiedy powstawała ta książka, przebywała w Berlinie, świadomie odizolowana od świata, ale niezupełnie samotna. Przypuszczalnie zauważyła już, że jej „zniekształcony obraz w historii” poddawany jest pilnie niezbędnej korekcie.

W tym czasie historycy stwierdzili, że określenie „kurwa”, używane przez Hitlera, było bezpodstawne. Chodziło bowiem o jeden z najpodlejszych, najbardziej oszczerczych i fałszujących prawdę manewrów okresu nazistowskiego. A mimo wszystko to, co stanowiło produkt tamtych czasów, po 1945 roku rozpowszechniano dalej, posługując się aluzjami, robiąc perskie oko. Już najwyższy czas położyć temu kres. Jeśli pani Eva von Blomberg, z domu Gruhn, ponosiła jakąś winę, to tylko tę, że odczuwała ludzką tęsknotę za szczęściem i miłością w czasie, który bestialstwo uczynił swym programem. I kochała normalnego mężczyznę, który tym bestiom stał na drodze. Aby później zamienić się w ich ofiarę, wraz ze swoją żoną.

Jej, właśnie jej należy się ta próba udzielenia niewczesnej rekompensaty za doznane krzywdy. Było to najważniejszym zadaniem tej książki.